

POWIEŚĆ, KTÓRA PORUSZYŁA SUMIENIE HISZPANII

DULCE CHACÓN

UŚPIONY

GŁOS



DULCE CHACÓN
UŚPIONY
GŁOS



Przekład

KATARZYNA OKRASKO

ALEKSANDRA WIKTOROWSKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

**TYM,
KTÓRYCH ZMUSZONO
DO MILCZENIA**

CZEŚĆ PIERWSZA

*Na próżno rysujesz serduszka na szybie:
 generał milczenia
w dole, na zamkowym dziedzińcu, musztruje żołnierzy.*

PAUL CELAN

Kobieta, której było pisane zginąć, miała na imię Hortensia. Miała ciemne oczy i nigdy nie podnosiła głosu. Tylko wtedy, gdy dusiła się ze śmiechu, wymykało się jej Oj, matulu, nad którym nie umiała jeszcze zapanować, i wykrzykiwała je coraz głośniejszym, trzymając się za brzuch. Większość dnia spędzała na pisaniu w niebieskim zeszycie. Swoje długie włosy splatała w warkocz opadający na plecy. Była w ósmym miesiącu ciąży.

Przyzwyczała się już do mówienia szeptem, nie było to łatwe, ale się przyzwyczała. I nauczyła się nie zadawać sobie samej pytań, pogodziła się z przegraną i z tym, że poczucie klęski, nie pytając o pozwolenie i nie udzielając żadnych wyjaśnień, wpycha się głęboko, w najodleglejsze zakamarki duszy. I była głodna, i było jej zimno, i bolały ją kolana, ale nie mogła przestać się śmiać.

Więc się śmiała.

Śmiała się, bo Elvira, najmłodsza ze współtowarzyszek, włożyła do rękawiczki groch, żeby zrobić głowę pacynce, ale jego ciężar sprawiał, że nie mogła nią poruszać. Elvira nie dawała za wygraną. Jej drobne palce zawzięcie walczyły z wehnianą rękawiczką, a ona wydawała z siebie piskliwe dźwięki, cała pochłonięta tym jednoosobowym teatrykiem, wymyślonym po to, by odegnać strach.

Strach Elviry. Strach Hortensii. Strach kobiet, które przyzwyczały się rozmawiać szeptem. Strach w ich głosach. I strach w ich spłoszonym wzroku, odwracanym, żeby nie widzieć krwi. Żeby nie widzieć strachu w równie spłoszonych oczach ich bliskich.

Był dzień odwiedzin.

Kobieta, której było pisane zginąć, jeszcze nie wiedziała, że ma zginąć.

Pacyнка Elviry znów zmienia się w rękawiczkę na jej prawej ręce. Hortensia wpatruje się w nią, nie przestając gładzić się po brzuchu i bardzo uważając, żeby Elvira nie zorientowała się, że na nią patrzy. Rękawiczka. Zwykła rękawiczka, malutka rękawiczka zrobiona na drutach kochającymi dłońmi matki może pogrążyć w rozpacz, jeżeli nie jest się wystarczająco czujnym, jeżeli zagapimy się nawet przez jedną krótką chwilę, niby nic, a może wystarczy, by czyjaś twarz odwróciła się nagle i czyjeś oczy zobaczyły to, czego nie powinny zobaczyć.

Hortensia znajdowała się obok Elviry w rozmównicy, sali, której środkiem biegł korytarz osłonięty po obu stronach gęstą metalową siatką. Korytarzem przechadzała się strażniczka pilnująca więźniarek i ich bliskich. Elvirę odwiedzał dziadek, a Hortensię siostra Pepa. Żadne z nich nie mogło nic usłyszeć. Hortensia gestykułowała, aby pokazać siostrze, że ciąża nie przysparza jej żadnych dolegliwości. Mówiła tylko tyle, ile trzeba, wymawiała wszystkie słowa wyraźnie, jedno po drugim, powoli, żeby Pepa mocno ucałowała od niej męża. I obejmowała siebie, żeby przesłać jej uścisk.

Zgiełk wśród odwiedzających nie pozwalał Hortensii usłyszeć tego, co usilnie starała się jej powiedzieć siostra. Krzyżąc, Pepa próbowała przekazać najświeższą wiadomość, że nie ustalono jeszcze daty procesu.

- Nie wiadomo, kiedy odbędzie się proces!
- Co?!
- Proces, nic jeszcze nie wiadomo!

Hortensia chwyciła się siatki, która odgradzała ją od korytarza, a ten z kolei oddzielał ją od Pepy. Pepa również chwyciła się siatki naprzeciwko, chcąc zbliżyć się do siostry; wtedy właśnie obie zobaczyły, że strażniczka chodząca po korytarzu odwróciła głowę i zatrzymała spojrzenie na rękawiczkę Elviry.

Groch, którym Elvira wypchała główkę pacynki, był w dalszym ciągu czerwony od krwi. Na oczach zdumionego dziadka, patrzącego zza siatki naprzeciwko, Elvira zdjęła z dłoni laleczkę i nią pomachała. Strażniczka przeszła obok obojętnie, przekonana, że dziewczyna stara się rozbawić dziadka jakąś pantomimą, i maszerowała dalej zdecydowanym krokiem, z rękoma skrzyżowanymi na plecach. Kiedy była już wystarczająco daleko, Elvira wyjęła z rękawiczki czerwony od krwi groch i palcem pokazała na swoje kolana. Półmrok i dystans nie pozwoliły dziadkowi dostrzec ran wnuczki, ciągle jeszcze świeżych.

Nagle strażniczka staje. Odwraca głowę. Patrzy groźnie. Wrzeszczy Elvira, do tyłu! Podchodzi do niej spokojnie i patrzy na nią, zaciskając wargi w grymasie, który ma udawać uśmiech. Trzymając wciąż ręce skrzyżowane na plecach, strzela palcami i wrzeszczy ponownie:

– Elvira, do tyłu!

Elvira cofa się o krok dokładnie wtedy, kiedy strażniczka wali lewą ręką w siatkę na wysokości jej twarzy.

– Koniec wizyty! Wracaj do swojego bloku i tam na mnie zaczekaj!

I dodaje ciszej, zwracając się do dziadka Elviry:

– Proszę już iść.

Staruszek patrzy na kobietę stojącą obok, siostrę tej, której pisane było zginąć, na Pepe. Patrzy zdezorientowany, ale nie pyta, co się stało, bo o wiele lepiej nie zadawać pytań.

– Niech pan lepiej już stąd idzie. Dla pana i pańskiej wnuczki odwiedziny się skończyły.

Elvira chowa groch do kieszeni, wsuwa małą dłoń w rękawiczkę i ją też wkłada do kieszeni, mimo że chciałaby pomachać dziadkowi na pożegnanie. Staruszek również nie ma odwagi się z nią pożegnać. Patrzy na nią. Odwraca się. I przeciska pomiędzy odwiedzającymi, którzy nadal krzyczą i starają się teraz dopchać do wolnego miejsca przy siatce. Odchodzi, nic nie rozumiejąc.

Nic. Zupełnie nic.

Nie spadł jeszcze pierwszy śnieg. Na dziedzińcu kobiety zbijały się w grupki, jak gdyby dodając przemarznięcie do przemarznięcia, miały nadzieję uciuć chociaż odrobinę upragnionego ciepła. Chociaż odrobinę. Wyczekująco spoglądały w niebo, licząc na to, że wreszcie trochę poproszy. Kiedy pada śnieg, zaraz robi się trochę cieplej, upierała się Reme, najstarsza z grupy, ale Tomasa, Estremadurka o oliwkowej cerze i nieco skośnych oczach, patrzyła na nią z powątpiewaniem.

– No mówię ci, że robi się cieplej.

– Akurat. Co ty tam wiesz.

– A wiem, bo mówił mi syn, który mieszka w León. A poza tym w zeszłym roku, gdy spadł śnieg, zrobiło się trochę cieplej.

– Pożyjemy, zobaczymy.

Już trzy dni wpatrywały się w niebo.

– A co twój syn robi w León?

– Pracuje w kopalni.

– A widział morze?

– Morze? Przecież w León nie ma morza.

– A, nie ma tam morza.

– Za to raz widział Pasionarię.

– Akurat!

Reme, by zająć czymś ręce, czesała Hortensię, raz po raz splatała jej włosy w warkocz, a potem znów rozplatała.

– Takie samiusieńkie włosy miałam. Długie i czarne.

– To prawda, że twój syn widział Pasionarię?

– Z daleka, ale widział.

Już od trzech dni tak patrzyły w niebo. I przez te trzy dni nie było z nimi Elviry. Spędziła je w karcerze, bo próbowała wytłumaczyć dziadkowi, że podczas przesłuchań zniosła ból, że klęczała na grochu i mocno zaciskała usta, że nie odpowiedziała na ani jedno pytanie i nie zdradziła, kim jest jej brat Paulino.

Elvira nie chce dołączyć do kółeczka, stanąć obok Reme, Tomasy i Hortensii, by choć odrobinę się ogrzać. Siadła bez sił w kącie dziedzińca i gładzi się po policzkach rękawiczkami, które zrobiła dla niej matka.

I zaczyna kasłać.

– Elvirita się rozchorowała.

– Ma gorączkę, od kiedy wyszła z karceru.

– Trzeba zawiadomić gwardzistkę.

– Raczej się nie przejmie.

Reme przestała się bawić włosami Hortensii.

– I tak pójdę.

– A idź, szybko wrócisz.

– Straszna z ciebie zrzęda, Tomaso. Ciągłe tylko gderasz i gderasz. Tylko gderać potrafisz, do licha!

Welniana chusta otula ramiona Tomasy, która bierze się pod boki i wyzywająco spogląda

na Reme.

– A co innego, do cholery, można tu robić?

Kłótnie Tomasy i Reme nigdy nie trwały długo. Zawsze zanim zdążyły na dobre się zacietrzewić, wkraczała między nie Hortensia, żeby przywołać je do porządku. Ale tym razem Hortensia ich nie słyszy. Bo w skupieniu przygląda się Elvirze. Uważa jednocześnie, by Elvira nie zorientowała się, że jest obserwowana.

Hortensia już nie głaszcze się po brzuchu. Trzymając się za nerki, podchodzi do kąta i nachyla się nad Elvirą, która gładzi się po policzkach rękawiczkami zrobionymi przez matkę niedługo przed jej śmiercią.

A Elvira cała się trzęsie.

Gorączka to tylko kolejny rodzaj zamroczenia. A zamroczeni śnią. Śnią, że są gdzieś daleko. Śnią, że znaleźli się znów w domu. Daleko stąd. W powietrzu unosi się woń mandarynek. I Elvira znów jest w domu. Zasluchana w dobiegającą z radia muzykę.

Oczy zielone, jak mięta zielone...

Elvira uwielbia Miguela de Molinę i Celię Gámez, i w ogóle zarzuelę, przepada też za Antoñitą Colomé i doñą Conchą Piquer. Chciałaby zostać piosenkarką i żeby tacy *maestros* jak Valverde, León czy Quiroga pisali specjalnie dla niej piosenki, równie piękne jak *Oczy zielone, błyszczące jak nóż*.

...i zielona, zielona cytryna.

Ale jej ojciec stanowczo przykazał matce, by nie pobbłażała fanaberiom córki. Więc matka, doña Martina, wyłącza radio, kiedy słyszy kroki nadchodzącego męża. Ona co prawda nie uważa, że te piosenki są nieprzyzwoite, ale i tak wyłącza radio, żeby go nie irytować.

– Mamo!

Doña Martina wyłączyła radio. A Reme wraca, mówiąc, że w szpitalu nie ma miejsc, że strażniczka powiedziała, że szpital jest przepelniony.

– Ta gwardzistka po prostu nie ma serca.

Estremadurka o oliwkowej cerze patrzy na nią tak, jakby chciała powiedzieć A nie mówiłam, ale nie mówi nic, spuszcza tylko wzrok i wykrzywia mocno zaciśnięte usta. Nie pozwala, by Hortensia zbliżała się do pryczy Elviry. Za nic nie chce dopuścić, by się zaraziła, przecież jest w ciąży.

– Nie podchodź, bo a nuż... I tak powyżej dziurek w nosie mamy tego, co mamy.

I kładzie zimny okład na czole, które płonie, a potem na szyi i na karku.

– Mamo!

Gorączka jednak nie spada. Elvira w malignie śni z otwartymi oczyma i w tajemnicy przed ojcem śpiewa mamie i bratu kuplet. Biją jej brawo. Ona czuje się artystką. Nigdy nie zrozumie, skąd u ciebie ten dryg, mówi matka, ustawiając na stole salaterkę z mandarynkami. Nigdy tego nie zrozumie, powtarza.

– Pojęcia nie mam, córeczko.

Nie ma pojęcia doña Martina, bo przecież sama jest córką sztywnego wojskowego, urodzoną w Pampelunie, i żoną innego wojskowego, jeszcze sztywniejszego, o ile to w ogóle możliwe, która wzięła ślub w Burgos, i nikt z jej rodziny ani rodziny męża nigdy nie przejawiał żadnych artystycznych skłonności.

– To przez Walencję, mamo. Przez to słońce. Te kwiaty. I ten klimat. Wszystko to wina Walencji. No i twoja, bo tutaj ją urodziłaś, jak pomarańczę jakąś.

Paulino się uśmiecha. Paulino. Jej starszy brat. Chociaż nie poszedł jeszcze na wojnę, już jest dla siostry bohaterem. Elvira ubóstwia Paulina, który wyśmiewa się z niej, żartuje z matki, żartuje z nich obu. I Elvira skarży się załośnie:

– Mamo!

A Hortensia ciągle coś notuje w swoim niebieskim zeszycie. Pisze do Felipe. Pisze, że ich dziecko już bardzo mocno kopie i że jeśli urodzi się chłopiec, będzie się nazywał tak samo jak on. Pisze, że boi się, że Elvira umrze, tak jak umarli Amparo i Celita, kaszląc przeraźliwie, tak jak umarli dzieci Josefy i Amalii, tych z pawilonu matek. Pisze, że rudowłosa dziewczyna ma

bardzo złośliwą gorączkę. I że nie mogą nic dla niej zrobić. Że wyciskają sok z połówek pomarańczy, które każda z nich dostaje do posiłku. Pisz, że nie udaje im się dużo z nich wycisnąć, bo są strasznie suche.

– Mamo!

Reme i Tomasa spoglądają po sobie, a potem patrzą na Hortensję. Reme wspomina matkę. Tyle już razy miała ochotę zawołać ją w ten sam sposób, jak Elvira woła teraz swoją, chociaż matka Reme nie żyje od ponad dwudziestu lat, tyle już razy, ale nigdy się nie odważyła. Tomasa sadza Elvirę i łyżka po łyżce poi ją sokiem wyciśniętym z połówek pomarańczy z ich deseru. Elvira z trudem przełyka. I między jedną łyżką a drugą żali się:

– Mamo!

Tomasa też tęskni za matką, podobnie jak Hortensja, która unosi wzrok znad niebieskiego zeszytu.

– Mamo!

I skarga Elviry jest skargą ich wszystkich.

Przy bramie więzienia dziadek Elviry czeka na kobietę, którą poznał podczas ostatniej wizyty. Nie pozwolili mu na widzenie z wnuczką. Jest chora, tak powiedzieli. Ale wzięli od niego blaszaną puszkę, w której zawsze przynosi jej jedzenie, i oddali pustą, dobry znak. A teraz dziadek Elviry czeka na Pepe, siostrę kobiety, która pisze swój dziennik w niebieskim zeszyte.

– Proszę pani!

Jest niewysoka i szczuplutka, jasnowłosa. Idzie drobnym krokiem, szybko, bo zaczęło padać.

– Proszę pani!

Ma na sobie za duże palto. Spod chustki, którą zawiązała na głowie, czarnej i znoszonej, wyślizgnął się jasny kosmyk.

– Proszę pani!

Staruszek podchodzi do niej i lekko uchyla kapelusza w geście powitania.

– Do mnie pan mówi?

– Przepraszam panią...

Żadne z nich nie ma parasola. Oboje mają intensywnie niebieskie, prawie lazuruowe oczy.

– Wie pani coś o mojej wnuczce?

– O kim?

– O mojej wnuczce. Nazywa się Elvira Gonzáles Tolosa.

– To ta ruda dziewczyna?

– Tak, właśnie ona.

– Jest w tym samym bloku co moja siostra, ale dziś nie widziałam jej w rozmównicy.

– Właśnie.

– Teraz sobie pana przypomniałam.

– Ach tak? Przypomniała pani sobie?

Staruszek podnosi klapy marynarki, widać, że mu zimno. Ma na sobie czarny garnitur i czarny krawat, ale nie ma palta, co dziwi Pepe, bo przecież wygląda na bogatego, starannie ubrany, nawet ten pilśniowy kapelusz taki elegancki.

– Tak, wyrzucili pana ostatnim razem, pamiętam. Schowajmy się gdzieś, bo przemokniemy do suchej nitki.

Staruszek drepcze za nią posłusznie. Chowają się przed deszczem, a on jeszcze raz uchyla kapelusza.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Nazywam się Javier Tolosa Ibarmengoindia.

– Jezusie!

– Miło mi panią poznać.

– Josefa Rodríguez García, do usług.

Pepe robi się go żal, taki szarmancki, a taki przemarznięty. Ich niebieskie spojrzenia spotykają się po raz pierwszy. Ona ma na sobie palto ojca i nie wie, nie może wiedzieć, że dziadek Elviry sprzedał swoje ostatnie zaledwie tydzień temu.

Teraz dziewczyna czeka, aż on się odezwie. Przygląda mu się, jaki jest chudy, jaką ma cienką i bladą, niemal przezroczystą skórę, jakie eleganckie, długie palce, które ciągle przytrzymują klapy marynarki, by osłonić szyję.

– Chciał pan o coś zapytać?

Dziadek Elviry zaczyna mówić, a Pepa rozpoznaje ten łamiący się ton głosu. Zna ten ton aż za dobrze. Te przemilczenia. Te słowa, najpierw powoli i starannie dobierane, a potem dławione, zanim jeszcze dotrą do ust.

– Tak. Bo powiedzieli mi, że jest chora.

Słowa, które nie chcą zostać wypowiedziane.

– Może pani siostra? Może wspomniała coś o mojej wnuczce?

Chce zapytać o coś więcej.

– Wie pani, czy...?

Błaszana puszką drży w dłoniach don Javiera Tolosa Ibarmengoinii. Czy ona żyje, chce zapytać. Pepa wie, że właśnie o to chce zapytać dziadek Elviry. I wie, że nie ma odwagi.

– Wzięli od pana jedzenie, prawda?

Staruszek przytakuje, pokazując pustą puszkę.

– Wzięli.

– Więc nie ma się czym martwić.

I Pepa opowiada mu o tym, jak ostatni raz odwiedziła swojego ojca w więzieniu Porlier i przyniosła pełną puszkę z powrotem do domu.

– Wie pan, mój ojciec był tokarzem w Kordowie.

Mówi, że przyjechali tu z Kordowy po wojnie. Bo ojciec był za Republiką, a u nas w mieście wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli.

– Ale i tutaj też musieli wiedzieć, bo jak tylko znaleźliśmy się w Madrycie, od razu go zamknęli.

Już mu więcej nie przynosi jedzenia, już go nie potrzebuje, tak jej powiedzieli w więzieniu Porlier. I chociaż wciąż wyciągała rękę, nie wzięli puszkę. Twojego ojca już tutaj nie ma. A gdzie jest? Już go nie ma. Idź stąd, dość tych pytań, idź stąd, już nie masz po co tu wracać. Tylko bez żadnych scen i hysterii.

– Tak się dowiedziałam.

Mówi, wskazując swoją puszkę.

Tak się dowiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy ojca.

– Ale pan może być pewien, że pańska wnuczka nadal jest w środku.

Tym razem Pepa wskazuje puszkę dziadka Elviry.

Staruszek powstrzymuje łzy. I Pepa też.

Pepa nadal się zastanawia, jak znalazła w sobie tyle odwagi, by przekazać Hortensii wiadomość. I chociaż wróciła z więzienia kilka godzin temu, wciąż jest zdenerwowana. Kilka godzin temu pożegnała się z dziadkiem Elviry. Potem spoglądała za don Javierem, który oddał się w deszczu, ściskając z czułością pustą puszkę. Kilka godzin temu wróciła do domu państwa. A zupa dla don Fernanda jest już gotowa.

Drży.

Musi uważać.

Bo wcale nie jest odważna, w przeciwieństwie do siostry, która nie wahała się ani chwili, by wstąpić do milicji. A potem do partyzantki; przyłączyła się do partyzantów zaraz po śmierci ojca, nie zważając na to, że jest w piątym miesiącu ciąży.

Okłamała dziadka rudowłosej dziewczyny.

Okłamała tego sympatycznego starszego pana o przedziwnych nazwiskach, bo w dzisiejszych czasach niektóre prawdy lepiej zachować dla siebie. Ojca nie zabrali dlatego, że był za Republiką, zabrali go, bo wiedzieli, że mąż Hortensii przyłączył się do partyzantów; a zabili go, bo nie chciał powiedzieć, gdzie jest zięć. Jej ojciec był odważny. Równie odważny jak Hortensia. Ją też zabierali na przesłuchania, kiedy już nie mogli przesłuchiwać ojca. Prawie codziennie ją zabierali, mieli nadzieję, że któregoś dnia powie im, że jej mąż jest w oddziale Czarnej Kurtki, i że powie im gdzie. Że któregoś dnia Hortensia zmęczy się tymi codziennymi zatrzymaniami, codzienną drogą na komisariat, codziennym strachem ściskającym za gardło. Ale Hortensia się nie zmęczyła. Dzielnie zniosła wszystko. I poszła za swoim mężem dopiero wtedy, gdy pochodzący z Barcelony oficer śledczy podczas przesłuchania kopnął ją w brzuch. Przestraszyła się tylko tego, że straci dziecko. Hortensia była odważna.

Pepa nie wytrzymałaby ani jednego kopniaka. Nie dałaby rady. Gdyby ją złapali, złapaliby wszystkich. Jest zupełnie jak matka, która nie przeżyła zimy po przedwczesnym porodzie, kiedy wydała ją na świat. Drobna, słaba, wątła i jasnowłosa, jakby czegoś jej zabrakło, jak matka.

Musi bardzo uważać.

Myśli.

I mocno ściska tacę, bo jeszcze trochę trzęsą jej się ręce, a przecież niesie zupę dla don Fernanda i nie chce jej wylać. Idzie powolutku, spoglądając przed siebie, potem na talerz z zupą, a potem na podłogę, potem znów przed siebie, na talerz, na podłogę.

Stara się nie patrzeć na chleb.

Idzie bardzo powoli, jeszcze nigdy pokonanie drogi z kuchni do jadalni nie zajęło jej tyle czasu. Sztućce dźwięczą, gdy stawia tacę na stole. Ale nie wylała ani kropli zupy. Ani kropelki.

– Pepa.

Głos don Fernanda dobiega z salonu. Pepa idzie tam, odgarniając z czoła niesforny kosmyk, staje jak najbliżej kominka, żeby przy okazji trochę się ogrzać, i mówi:

– Słucham pana?

Don Fernando odkłada gazetę na kolana i zdejmuje okulary, by na nią spojrzeć.

– Zimno dzisiaj. Zjem tutaj.

Pepa zostawia za sobą ciepło płomieni i wraca do tacy i do talerza, zdecydowana opanować rozdygotanie.

Nie chce patrzeć na chleb. Ale patrzy. Patrzy na niego, podnosząc tacę ze stołu, i mimowolnie się uśmiecha. Patrzy jeszcze raz.

I jeszcze raz się uśmiecha.

I znów drży.

I myśli o Hortensii. Wyobraża sobie, jak siostra ugryzie przyniesiony przez nią chleb, wyobraża sobie ten moment, kiedy jej usta natrafią na wiadomość od Felipe. Na list, który Felipe zostawił dla niej przy drodze na wzgórzu Cerro Umbría, pod trzecim kamieniem za słupem z nacięciem pośrodku, całkiem dużym i płaskim kamieniem, osłoniętym od drogi krzakami. Tym samym, który szwagier pokazał jej, kiedy zabrali Hortensię.

– Przyjrzyj mu się dobrze i zapamiętaj. Tutaj, w blaszanej skrzynce ukrytej pod tym właśnie kamieniem, coś ci zostawię. Weź to, tylko bardzo uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył, i zanieś Tensi.

Zawsze mówił o niej Tensi. Weź to, tylko uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył. Pepa spojrzęła mu w oczy i nie przeszło jej przez gardło, że zaraz umrze ze strachu. Powiedziała, że przyszła tylko przekazać mu wiadomość. Że Gwardia Obywatelska liczy wieczorem zwierzęta we wszystkich gospodarstwach El Altollano i odbiera wieśniakom klucze do stodół i kurników, a rano oddaje te klucze i znów liczy zwierzęta, żeby się dowiedzieć, kto sprzedaje żywność partyzantom. I tak wpadła Hortensia, kiedy próbowała kupić kurę. Przyszła tylko po to, żeby mu to powiedzieć i żeby na nią nie czekał. Powinna była dodać, że przyszła cała struchlała z przerażenia i że kiedy czekała na niego skulona za krzakami, i usłyszała hasło – trzy uderzenia kamieniem – ze strachu o mały włos nie zapomniała, że w odpowiedzi też musi trzy razy zastukać. I że nie ma zamiaru nigdy tu wracać, powinna była mu powiedzieć. Ale nie powiedziała. Spojrzęła mu w oczy i zobaczyła w nich spojrzenie siostry, to samo spojrzenie, którym patrzyła na nią Hortensia, prosząc, by przyjechała tu ostrzec Felipe. Tym samym spojrzeniem patrzył na nią Felipe, więc Pepa musiała mu obiecać, że zanieś Hortensii wszystko, co będzie chciał jej przesłać.

Ale za pierwszym razem wszystko okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Tamtego poranka uniosła kamień ukryty za krzakami, otworzyła blaszaną skrzynkę i nogi przestały jej drżeć. Bo to, co zostawił dla Tensi Felipe, wcale nie było zakazane. Bez obaw mogła to zanieść. I wręczyć zakonnicy, która odbierała od krewnych paczki przy wejściu do więzienia Ventas. Był to tylko czysty zeszyt.

Czysty niebieski zeszyt.

Hortensia powoli przeżuwa papier, zanim wreszcie zdobędzie się na to, by go przełknąć. Zna już na pamięć każde słowo, teraz musi zastosować się do wskazówek Felipe. Nie drzyj tego listu, mogą znaleźć strzępki. Nie chce go przelykać, chce jak najdłużej zatrzymać w ustach przesłane przez Felipe pocałunki. Nie pal go, mogą Cię przyłapać, zanim spłonie do końca. Chce jak najdłużej smakować swoje imię napisane ręką Felipe. Zjedz go, Tensi, wcale nie jest taki niesmaczny, i pomyśl o mnie. Papier powoli się rozpuszcza, ale Hortensia ciągle nie chce przełknąć. Pomyśl, że będę w Twoich ustach, Tensi. To, co było najpierw suchą kulą, zmieniło się teraz w gorzką pastę z posmakiem atramentu. Nie chce jej jeszcze przełknąć, ale kroki strażniczki są coraz bliżej. Przesyłam Ci mnóstwo pocałunków, Tensi, za te wszystkie razy, kiedy nie mogłem Cię pocałować. Kroki strażniczki dudnią już w ich bloku, pora na warsztaty. Wytrzymaj, kochanie.

Słysząc coraz głośniejszy szcęk otwieranych zamków, a potem ostre skrzypięcie drzwi. Hortensia próbuje przełknąć. Kocham Cię, Tensi. Gorzka papierowa masa staje jej w gardle. U nas nic nowego, raz bywa lepiej, raz gorzej. Ale Hortensia opanowuje mdłości i przelyka. W nocy, kiedy przenosimy się do nowego obozu i niebo jest rozgwieżdżone, zawsze wyglądam naszej gwiazdy. Już niedługo będziemy patrzeć na nią razem, już niedługo. Mdłości i wysiłek sprawiają, że po policzku cieknie jej łza.

Strażniczka weszła już do celi.

To Mercedes.

– Na warsztaty!

Woła jeszcze głośniejszym swoim śpiewnym głosem i energicznie klaszcze.

– Na warsztaty!

Kobiety uczęszczające na warsztaty szycia w więziennej piwnicy posłusznie stają gęsiego, żeby bez słowa pójść za Mercedes. Hortensia zwija swoje posłanie wypchane zgrzebną wełną, ociera szybko łzę i sięga po niebieski zeszyt. Nie może chodzić na warsztaty, bo nie zna jeszcze swojej kary. Tomasa niewzruszenie siedzi przy łóżku Elviry. Ona też nie pójdzie na warsztaty. Ale Tomasa nie chodzi dla zasady. Nie będzie szyła mundurów dla nieprzyjaciela. Tomasa uważa, że wojna wcale się nie skończyła, a pokój na warunkach przyjętych przez Negrina jest zniewagą dla tych, którzy jeszcze nie złożyli broni. Nie chce przyjąć do wiadomości, że trzy lata wojny powoli przechodzą do Historii. Nie. Jej najbliżsi, którzy polegli, nie są Historią. Ani ona nie została skazana na śmierć, ani jej kara złagodzona dla jakiegś tam Historii. Ani myśli poświęcać trzydziestu lat swojego życia dla Historii. Ani jednego dnia, ani jednego życia więcej dla Historii. Wojna jeszcze się nie skończyła. Ale skończy się, i to prędko. A ona nie ma zamiaru choćby nawlec igły. Żeby nie było, że współpracowała z tymi, którzy chcą napisać Historię, by złagodzono jej karę. Nawet nie nawlecze igły. Dlatego ze wzgardą patrzy na Reme, która potulnie ustawia się w rzędzie za towarzyszkami z celi. Bo Reme się poddała. Uległa. Reme nie umie docenić poświęcenia tych, którzy dalej giną. Potrafi tylko rozpamiętywać klęskę, liczyć straty. I opłakiwać swoich bliskich. I opowiadać w kółko swoją historię, swoją nic nieznaczącą historię, jakby jej historia rzeczywiście już dobiegła końca. Ale to nieprawda. Oczywiście, że nieprawda. Tomasa ani myśli opowiadać swojej, dopóki to wszystko się nie skończy, a ona nie znajdzie się daleko stąd. Bardzo daleko. Spogląda na Reme. A Reme, nie bacząc na jej pogardę, potulnie ustawia się w rzędzie za towarzyszkami.

Hortensia unika wzroku Mercedes, odwraca się do ściany i próbuje odkleić językiem resztkę papierowej pasty, która przykleiła się jej do podniebienia.

Resztko. Małeńka resztko.

Już niedługo wszystko się skończy, może jeszcze zanim zdążą postawić cię przed sądem, i będę przy tobie, kiedy urodzi się nasze dziecko. Jeśli to dziewczynka, będzie się nazywać Hortensia, tak jak ty, Tensi.

Zaledwie dwa tygodnie temu Mercedes dostała pierwszą pracę. W więzieniu, na stanowisku strażniczki. Zatrudniono ją, gdyż była wdową po żołnierzu poległym podczas wojny, ale nie narzeka. Swoje tapirowane włosy zaczesuje wysoko w kok o kształcie banana, z którego wystaje cała masa szpilek, powpinanych gęsto od potylicy aż po czubek głowy. Woli nie wsuwać ich do końca, woli, żeby było widać główki, i liczy je skrupulatnie, jedną po drugiej, za każdym razem, gdy się czesze. Ma wrażenie, że korzystnie wygląda w tej fryzurze, a i mundur dodaje jej urody. Zapina pas, ściskając go jak najmocniej, by podkreślić talię, i za każdym razem, gdy narzuci granatową pelerynę, obraca się kilka razy przed lustrem.

Zanim wyjdzie z celi, by zaprowadzić więźniarki na warsztaty szycia, podchodzi do wezgłowia Elviry i pyta Tomasę, jak się czuje chora.

– Jak ona się czuje?

– A jak ma się czuć? Fatalnie!

Rysy twarzy Tomasy tężeją. Kiedy unosi brwi, jej zmarszczki w skórze koloru oliwki zmieniają się w głębokie bruzdy. W dodatku mruży i tak już skośne oczy, jakby chciała przydać swojej twarzy wyrazu jeszcze większej pogardy. Siedząca na zwiniętym posłaniu Hortensia posyła jej spojrzenie z gatunku Postaraj się być miła. Mercedes ukradkiem podaje Tomasię przyniesione przez siebie pigułki i dotyka czoła chorej.

– Proszę dać jedną rano i jedną wieczorem.

Choćby nie wiem jak Hortensia na nią patrzyła, Tomasię nie zmięknie serce. Oczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że Mercedes ryzykuje, bo donosicielka wychyla się już ze swojego pierwszego miejsca w rzędku, chciwie wypatrując każdej drobnostki, która mogłaby się okazać do czegoś przydatna, i może ją przecież wsypać. Nie zmięknie jej serce, ta nowa tylko udaje, że jest taka dobra, ale ona nie da się na to nabrać. Bierze od Mercedes pigułki i chowa je w dłoni pod chustą bez słowa podziękowania. W tej samej chwili Elvira otwiera oczy i po raz pierwszy od początku choroby patrzy przytomnym, uważnym wzrokiem.

– Jesteśmy w Walencji?

– Nie, córeńko.

– Wydawało mi się, że jestem w Walencji.

Mercedes cieszy się, widząc, że Elvira się obudziła. Przykrywa ją i jeszcze raz kładzie dłoń na czole dziewczyny.

– Gorączka spadła. Ale tak czy siak niech weźmie lekarstwo.

Mówi do Tomasy ściszone głosem, już zdążyła się nauczyć, że z osadzonymi rozmawia się tylko ściszone głosem. A potem, stając na czele gotowych do wymarszu kobiet, rzuca jeszcze:

– Pilnujcie, żeby było jej ciepło.

Estremadurka o oliwkowej cerze przytakuje bez słowa.

– Zimno ci, Elvirito?

– Czy ja umrę?

Tomasa szuka wzrokiem Reme i Hortensii i uśmiecha się do nich szeroko. A Reme i Hortensia, znające powód tego uśmiechu, też się uśmiechają.

Więźniarki ruszają za Mercedes równo, gęsiego, pogrążone w całkowitym milczeniu. I Reme rusza za nimi, ale jeszcze obejrzy się za siebie, popatrzy na Tomasę. I na Hortensię,

która, wciąż z uśmiechem na ustach, znów sięga po ołówek.

Elvira nie umrze, mówią te porozumiewawcze uśmiechy.

Nie. Elvira nie umrze.

Równo, gęsiego, pogrążone w całkowitym milczeniu, idą osadzone do piwnic więzienia Ventas. A Elvira mówi Tomasiemu, że nie jest jej zimno.

– Za to jestem głodna.

Za to jest głodna. Równie głodna jak w porcie w Alicante, kiedy czekała na statek, który nigdy nie przyplłynął. Jej matce skończyła się biżuteria i nie miała już nic, co mogłaby zaoferować pilnującym ich włoskim gwardzistom w zamian za tabliczkę czekolady. Republikańskie pieniądze zostały wycofane z obiegu i wszystkie banknoty zaoszczędzone przez doñę Martinę i skrupulatnie przechowywane w mahoniowej szkatułce stały się plikiem nic niewartych papierów. Tę szkatułkę kupił ojciec Elviry jeszcze w Gwinei Równikowej. Bo ojciec Elviry mieszkał kiedyś w Gwinei Równikowej, było to, zanim poznał jej matkę i zanim przenieśli go do Pampeluny, a stamtąd do Burgos, gdzie się ożenił i gdzie potem przyszedł na świat Paulino. Ojciec Elviry mieszkał w wielu miejscach. Ona tylko w dwóch: urodziła się w Walencji i nie wyjechała z niej, dopóki nie przywieźli jej tutaj, do tego miasta, którego wcale nie zna, poza areną walki byków, bardzo ładną, którą zdołała dojrzeć przez okratowane tylne okno więźniarki. Nie zna też Alicante, widziała tam tylko jedną ulicę, wysadzaną palmami aleję prowadzącą do portu.

Jej ojciec natomiast znał dobrze wszystkie miasta, w których mieszkał, i z każdego z nich przechowywał jakąś pamiątkę. Z Malabo przywiózł nie tylko mahoniową szkatułkę, w której matka trzymała oszczędności, przywiózł też chorobę żołądka, która zmusiła go do odejścia z wojska, gdy wszedł w życie dekret Azañi. Przechodząc w stan spoczynku, był porucznikiem. I Elvira pamięta, że matka bardzo się ucieszyła. Nie ucieszyła się natomiast, kiedy wrócił do wojska, mimo że awansowali go na kapitana. Nie ucieszyła się wcale a wcale. Było to na samym początku wojny, a batalion, którego został kapitanem, nazywał się Czerwone Alicante. I tak pisał ojciec w listach: Batalion Czerwone Alicante, a przed datą: Niech żyje Republika!

Dwa dni po pierwszym Niech żyje Republika!, które nadeszło z Segorbe, miejscowości położonej w prowincji Castellón, Paulino wpadł do domu, wymachując jakąś kartką.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, chociaż zagryzał wargi.

– Mamo, zaciągnąłem się na ochotnika.

Matka zostawiła na chwilę szczotkę i rude włosy Elviry.

– Jesteś za młody.

– Nie.

Nie, odparł stanowczo Paulino, pokazując jej kartkę, którą trzymał w ręku. Matka znów sięgnęła po szczotkę i wróciła do czesania córki.

– Jesteś za młody, Paulino.

I nie powiedziała nic więcej, przyzwyczajona, że z decyzjami mężczyźni nie warto dyskutować. Paulino jest już mężczyzną, napisał jej mąż w pierwszym liście, i Republika go potrzebuje.

Doña Martina skończyła wiązać kokardę na kocyku Elviry, a ona pobiegła do pokoju brata.

– Ty też idziesz na wojnę?

– Pomachaj kocykiem tak, jak lubię, dziecinko.

Rude włosy Elviry smagają powietrze, dziewczyna macha głową raz w lewo, raz

w prawo, a brat, widząc, że zamknęła oczy, podstępem rozwiązuje jej kokardę.

– Mamo, mamo, Paulino popsuł mi fryzurę!

Paulino wyruszył na front jeszcze tego samego popołudnia. Dopiero co skończył dziewiętnaście lat.

Listy od ojca Elviry przychodziły do Walencji prawie codziennie. Matka czytała jej te listy melodyjnym głosem, intonując słowa tak, jakby siedziała u wezglowia łóżka i czytała dziecku bajkę na dobranoc. Takim samym głosem, jakim Tomasa tłumaczy jej teraz, że przez ostatnie pięć dni majaczyła w gorączce.

Z początku doña Martina oczekiwała tych listów z radosnym podnieceniem i czytała je wzruszona. Z biegiem czasu radość ustąpiła miejsca przygnębieniu. A przy najmniejszym opóźnieniu zniechęcenie zmieniało się w niepokój.

Przez ponad siedem miesięcy dostawała listy prawie codziennie. Niektóre z nich były raczej krótkimi notkami, skreślonymi naprędce na przypadkowym skrawku papieru, czymkolwiek, po to by wiedziała, że wszystko w porządku, że o niej pamięta.

Pamiętam o Tobie.

Dlatego kiedy upłynęły dwa tygodnie od nadejścia ostatniego listu, doña Martina zrozumiała, że nie powinna już spodziewać się następnego.

Ale była zaskoczona, gdy przysłało walizkę.

Przyniósł ją do domu nieznajomy wojskowy w stopniu starszego sierżanta.

Jego walizkę.

Doña Martina otworzyła drzwi, a sierżant wskazał na walizkę, mówiąc, że przysłało ją z Trijueque.

– W Guadalajarze ponieśliśmy straszną klęskę, proszę pani, przez Włochów.

Elvira zobaczyła, że jej matka robi się biała jak chusta, a potem zakrywa dłońmi twarz.

– Niech pani pójdzie do Sztabu Generalnego. Właśnie wywiesili listy, jest mnóstwo nazwisk.

Elvira wzięła walizkę z rąk sierżanta. Podziękowała mu i zamknęła drzwi. Doña Martina nie odrywała wzroku od walizki męża.

Może są w niej te wszystkie listy, które nie przyszły, wszystkie razem, te z ostatnich piętnastu dni, a może jej mąż przysłał jej z Trijueque prezent. Tak, doña Martina otworzy walizkę, trzymając się kurczowo tej nadziei. Trzymając się jej kurczowo choćby jeszcze tylko przez chwilę, otworzy walizkę, jakby usiłowała zaprzeczyć prawdzie, z którą przecież próbowała się pogodzić, od kiedy przestała otrzymywać listy od męża. I właśnie teraz, kiedy prawda stała się oczywista, doña Martina nie chce jej przyjąć do wiadomości. Bo wciąż jeszcze możliwe, że jednak nie. To wciąż jeszcze możliwe. I kiedy Elvira taszczy walizkę do salonu, doña Martina nie ma już tej pewności, której nabierała powoli przez ostatnie piętnaście dni.

Nie, możliwe jeszcze, że to nieprawda.

Nie.

Możliwe jeszcze, że w walizce znajdzie piętnaście listów.

Jej palce dotkną miękkiej skóry, przebiegną po śladach wielu podróży. Zatrzymają się na sprzączkach, powoli odepną paski.

Bo jeszcze wszystko możliwe.

Pamiętam o Tobie.

Możliwe jeszcze, że mąż przysłał jej z Trijueque prezent.

Jest dziewiąty marca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

Dziewiątego marca doña Martina otworzyła walizkę. Elvira od razu poszła z matką do

siedziby Sztabu Generalnego, ale nie znalazły nazwiska ojca na listach.

Dziwiątego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku matka powiedziała Elvirze, że trzeba zawiadomić Paulina, a potem zamknęła walizkę, w której znalazły tylko dwa mundury, czapkę garnizonową, dwie pary sztylp i bieliznę; ani jednej rzeczy osobistej i całe milczenie ojca.

Dziesiątki razy Elvira z matką przebyły drogę do siedziby Sztabu Generalnego, by odszukać nazwisko ojca na listach. Nigdy go nie znalazły. A Elvira wciąż wyobraża sobie, że ojciec żyje. Fantazjuje o jego powrocie. Ona zanuci *Zielone oczy*, a on wróci i ją zrugą jak zawsze. Potem ona pomoże mu włożyć sztylpy, które przysłano w walizce. Zapnie je ostrożnie, by ich nie ubrudzić pastą ze świeżo wypucowanych butów, które będą lśnić jak nigdy na nogach ojca.

Chociaż minęły już trzy lata, nadal o tym fantazjuje.

Kiedy wstawał świt, opuściłeś me ramiona...

Koleżanki z celi potulnie wracają z warsztatów szycia, idą równo, gęsiego i w całkowitym milczeniu. Reme i Mercedes podchodzą do posłania Elviry.

...a w mych ustach ciągle smak goździków i mięty...

Tomasa przerywa melodię nuconą dla rudowłosej dziewczyny, która nie umrze.

– Znowu zasnęła. Już od dawna śpi, pewnie zaraz się obudzi.

– Chwała Bogu Wszchemogącemu.

Wyrwało się Reme to Chwała Bogu Wszchemogącemu. Wyrwało się jej na widok spokojnego snu Elviry. Stara się nigdy tak nie mówić przy Tomasie, która jak ognia unika podobnych wyrażań.

– Na wieki wieków amen.

Odpowiada Mercedes, a Tomasa wstaje i nie patrząc na nie, odchodzi w kąt, gdzie rozwiesiła płócienne podpaski uprane wczoraj po południu. Upewnia się, że są jeszcze wilgotne, a na dodatek się nie doprały.

– Niech to diabli.

Przeklina, bo jest w złym humorze. Bo jest już za stara, by miesiączkować; przez ostatni rok okres jej się wciąż spóźnia. Ale go ma, miesiąc w miesiąc. Co miesiąc coraz to większy krwotok, a ma tylko trzy podpaski, które zimą zbyt długo się suszą.

– Do dupy z tym wszystkim, kurwa mać.

Mruknęła tylko pod nosem. Ale Mercedes usłyszała. Bo Tomasa mówiła, patrząc na zbliżającą się do niej Mercedes.

– Coś ty powiedziała?

– Powiedziałam, niech to diabli.

– I co jeszcze?

– Nic więcej.

– A ja słyszałam coś więcej.

Kobieta, która tapiruje włosy i zaczesuje je w kok o kształcie banana, nie potrafi ukryć wzburzenia. Zaledwie dwa tygodnie temu zaczęła pracować jako więzienna funkcjonariuszka i pierwszy raz musi się zmierzyć z podobną sytuacją. Słyszałam coś więcej, mówi podniesionym głosem.

Tomasa milczy. Krzyżuje ramiona pod wełnianą chustą, nie ruszając się z miejsca, przenosi ciężar ciała na prawe biodro i odchyła się lekko do tyłu. Doskonale wie, że Mercedes brakuje doświadczenia. Niby stara się być taka milutka, ale tylko udaje dobrą. Tylko udaje. Teraz, kiedy ma strażniczkę przed sobą, widzi, jak buzuje w niej złość. Jest prawie pewna, że mała żyłka na jej skroni pulsuje. Mercedes jest słaba, to dlatego musi rozmawiać z nimi

ściszym głosem, w sekrecie przed innymi strażniczkami. Chce się do nich zbliżyć, udaje dobrą tylko dlatego, że nie ma dość silnego charakteru. Ale Tomasa nie da się na to nabrać, o nie. Tomasa wie dokładnie, kto jest po której stronie.

– Słyszałam coś więcej! Powtórz to, co powiedziałaś!

Mercedes z uporem nalega. A Tomasa z uporem milczy. Nie chce jej prowokować. Ale prowokuje. Nie chce toczyć żadnych pojedynków. Ale ją wyzywa. Patrzy na nią uważnie i unosi brodę.

Z bezpiecznej odległości donosicielka obserwuje scenę z uśmiechem zadowolenia. Mercedes dostrzega ten uśmiech, wstrzymuje oddech i przełyka ślinę. Przełyka raz jeszcze. I krzyczy:

– Powtórz!

Teraz z korytarza patrzą na nią już wszystkie osadzone. Mercedes jest coraz bardziej bezsilna, coraz bardziej wściekła. Tak, żyłka na skroni bez wątpienia pulsuje. Teraz ryczy na całe gardło:

– Powtórz!

Tomasa z wielką przyjemnością powiedziałaaby Do dupy z tym wszystkim, kurwa mać. Ale zamiast tego tylko zaciska usta. Bo milczenie boli ich o wiele bardziej, dlatego uparcie milczy i stoi w tej samej pozycji, niewzruszona, lekko odchylona do tyłu, ze skrzyżowanymi ramionami.

Nie można się nauczyć zawodu w dwa tygodnie, ale Mercedes wie, że musi zareagować, w przeciwnym wypadku donosicielka opowie przełożonym, że brakuje jej autorytetu, a więźniarki zorientują się, że sobie nie radzi. Musi koniecznie zareagować, jest tego pewna. Tomasa też o tym wie. Mruży więc oczy. I czeka.

Odgłos uderzenia w twarz rozchodzi się w całym bloku.

Przyglądające się Mercedes kobiety spuszczaają wzrok.

Elvira się budzi. Ale jeszcze przez chwilę nie otwiera oczu.

Łatwiej nosić żałobę, kiedy mogło się czuć przy zmarłym. Łatwiej, gdy mogło się chociaż objąć jego głowę, jak Tomasa, zanim przywdziała czarny strój. Doña Martina nie miała tego szczęścia. Doña Martina nie znalazła nawet nazwiska męża na listach wywieszanych w Sztapie Generalnym. I dlatego jej córka Elvira, najmłodsza więźniarka bloku numer dwa, może jeszcze fantazjować. Chociaż Paulino, odwożąc je do Alicante, opowiedział, że batalion ojca został wybity do nogi na szosie wiodącej do Guadalajary. Nikt nie przeżył bombardowania.

– Samoloty leciały tak nisko, że sprzątnęli wszystkich. A ojca pierwszego, on nie był z tych, co uciekają.

Doña Martina słucha, patrząc nieobecny wzrokiem na Paulina, który wrócił tylko po to, by się upewnić, że matka i siostra opuszczą Walencję. Wrócił z towarzyszem broni, by odwieźć je do Alicante. Zostawia je w porcie, w którym mają wsiąść na statek płynący do Oranu.

– Musicie wyjechać z Elvirą, matko.

Matko. Jej syn mówi do niej matko. Już nigdy nie powie do niej mamó. W sztruksowych spodniach i kurtce, w kaszkiecie, z karabinem maszynowym przewieszonym przez ramię. Tłumaczy jej, że sytuacja jest naprawdę poważna, że Segismundo Casado próbuje prowadzić z Franco negocjacje pokojowe, by uniknąć represji. Wysłał już swoich emisariuszy do Burgos. To zamach stanu.

– Matko, słyszysz, co mówię?

Matko. Doña Martina zrozumiała tylko, że syn mówi do niej matko, i jeszcze słowo pokój.

– Więc będzie wreszcie pokój!

Paulino traci cierpliwość. Do rozmowy wtrąca się jego towarzysz, który obejmuje doñę Martinę i zaczyna spokojnie tłumaczyć, że wręcz przeciwnie, że teraz poleje się jeszcze więcej krwi. Nadchodzi czas odwetu.

– Musisz zabrać stąd dziecinę – mówi Paulino.

Ona bez słowa potakuje. Chowa do torebki szkatułkę z oszczędnościami. I wzdycha.

– Idziemy!

Mówiąc Idziemy! Paulino poprawił karabin na ramieniu. I spojrzął na Felipe, towarzysza, z którym polubili się od samego początku. Milicjanta, który nie odstępował go na krok, od kiedy obaj się zaciągnęli i wysłano ich do Benimàmet na partyzanckie szkolenie. Szkolenie trwało osiem tygodni. Potem obaj dostali przydział do XIV Korpusu Wojsk Partyzanckich i zostali skierowani do Estremadury. Razem brali udział w akcji wysadzania pociągu jadącego z Méridy do Cáceres. I następnego dnia Felipe ocalił mu życie podczas potyczki z regularnymi oddziałami. Od tamtej chwili stali się nierozłączni.

– Proszę się nie martwić, niedługo pani wróci do domu.

Paulino wziął walizkę, przyniesioną kiedyś przez starszego sierżanta, z ubraniami doñi Martiny, które ufarbowała na czarno dziewiątego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, gdy wróciła po raz pierwszy z siedziby Sztapu Generalnego. Żałoba. Żałoba wdowy, która nigdy nie obejmie głowy zmarłego męża. Żałoba i tęsknota rudowłosej dziewczyny, która ciągle jeszcze upiera się przy tym, by fantazjować.

Fantazjować. Zawieszona między jawą a snem.

Wyklęty powstań, ludu ziemi.

Elvira zrywa się półprzytomna, słysząc Reme, która intonuje cicho pierwszy wers. Elvira słucha rozespana. Reme fałszuje.

Powstańcie, których dręczy głód.

Reme próbuje odwrócić uwagę Mercedes, która znów zamierzyła się na Tomasę. Ale przeraźliwie fałszuje. Więc Elvira pomaga jej śpiewać piosenkę tyle razy słyszaną od Paulina. Wtóruje im Hortensia, prawie niesłyszalnym szeptem, który wystarcza jednak, by Mercedes spojrziała w ich stronę.

Myśl nowa blaski promiennymi.

Śpiewają wszystkie trzy niepewnym, przyciszonym głosem. Przyłącza się też Tomasa.

Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata.

Pozostałe więźniarki z bloku nieśmiało podchwytyją słowa pieśni. To niemal szmer, trochę więcej niż szept, ale wzmaga się, mimo że ani Tomasa, Hortensia, Elvira, ani Reme nie śpiewają głośniej. Wzmaga się, w miarę jak, jedna po drugiej, współwięźniarki przyłączają się do pieśni. Szmer, który ciągle narasta. Narasta coraz bardziej.

Ruszymy z posad bryłę świata.

Mercedes już więcej nie uderzy, opuszcza wymierzoną w Tomasę dłoń i z furią w oczach odwraca się w stronę grupki stojącej przy posłaniu Elviry.

Bój to jest nasz ostatni.

– Cisza!

Krwawy skończy się trud.

– Powiedziałam cisza!

Elvira dyryguje ze swojej pryczy, jej drżące dłonie unoszą kolejne fale wzburzonego morza, które nagle wystąpiło z brzegów. Nie zauważa nawet, że znów krwawią jej kolana. Hortensia też zapomina na chwilę o swoich i śpiewa. Obejmuje brzuch, patrzy na niego, pełne czułości palce delikatnie wystukują rytm.

Teraz śpiew dudni nie tylko w celi, to już nie szmer, lecz groźny ryk wdzierający się w każdy kąt bloku. A donosicielka jest coraz bardziej przerażona. Zatyka uszy i szuka miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Szuka. I szuka. I znajduje plecy Mercedes.

Czując za sobą nagły ruch, strażniczka podskakuje jak oparzona. Odwraca się i wrzeszczy na donosicielkę, która chciała tylko się schować.

– Wynocha!

Gdy związek nasz bratni.

– Cisza! Cisza!

Niektóre kobiety, śpiewając, unoszą zaciśniętą pięść.

Płacz zawsze oznacza utratę kontroli. A Tomasa tego nie lubi. Ale teraz, w ciemności karceru, do którego wysłała ją Mercedes, na myśl o Reme oczy same zachodzą jej łzami. I przez te piętnaście dni, które potrwa jej kara, uwięzi niejedną łzę między powiekami i otrze koniuszkiem palca wskazującego, nie pozwalając, by spłynęła po policzku.

Będzie myśleć o Reme. I o pozostałych towarzyszkach, które zaczęły śpiewać, kiedy Mercedes chciała ją uderzyć. Wytrzyma zimno i głód. Wytrzyma ciszę i ciemność tej klitki, którą zna tak dobrze, bo to nie pierwsza jej kara. Wytrzyma wszystkie noce i kiedy strażniczka otworzy drzwi i postawi jej miskę zupy, suchy chleb i miotłę, będzie wiedziała, że to już dzień. Wytrzyma, pozamiata celę, myśląc o Reme. Przypominając sobie jej spojrzenie w chwili, kiedy zaczęła śpiewać. I uśmiechnie się, bo Reme nie umie śpiewać. Choćby nie wiadomo jak starała się osłodzić różne rzeczy śpiewem, przeraźliwie fałszuje. Po prostu nie umie, choćby nie wiadomo ile razy powtarzała, że matka nauczyła ją śpiewać i szyć, i to właśnie od niej dowiedziała się, że gorzkie rzeczy trzeba przełykać jak najszybciej i że słodycz piosenki łagodzi ich smak. Taka właśnie jest Reme. Chodząca naiwność. Dojrzała kobieta, a taka naiwna. Właśnie dlatego się tu znalazła. Przez tę swoją naiwność. Dlatego przywieźli ją tu z małej miejscowości w Murcji, której nazwy nie chce zdradzić i do której nie zamierza wracać. Reme uważa, że to wina jej sąsiadek. Ale jak można być tak lekkomyślną? Jak można najspokojniej w świecie szyć republikańską flagę na stoliku przy oknie? Choćbyś nawet i opuszczała rolety, i zakrywała tę flagę białym prześcieradłem; choćbyś nawet myślała, że ta wojna nie potrwa długo, bo wtedy trwała już ponad rok. Nie można, toż to jasne jak słońce. Co z tego, że flaga była naprawdę przepiękna? A skoro już się zostało wojenną matką chrzestną, jakżeż można nazajutrz po zdobyciu Teruelu tryskać radością i obnosić się z fotografią usynowionego żołnierza, jakżeż można pokazywać ją na ulicy matce swojego zięcia? No komu przy zdrowych zmysłach przyszyłoby to do głowy? W dodatku w takim miejscu jak miasteczko Reme, gdzie faszyści nie musieli oddać ani jednego strzału, ani jednego, chyba wszyscy należeli tam do CEDA albo w magiczny sposób nagle wstąpili do Falangi. I Reme musiała o tym wiedzieć, bo jak coś widać gołym okiem, to po co komu lupa? A okna nie powinna otwierać, wiadomo, ani pokazywać zdjęcia pod kioskiem, w dodatku matce swojego zięcia. Bo kioskarka zaczęła się drzeć na całe gardło, że te dwie są czerwone i świętują zdobycie Teruelu. No i nie było rady, stało się to, co się stało.

Człowiek powinien zasypiać, gdy tylko zamknie oczy. Zamykać oczy i już, tak właśnie powinno być. W jednej chwili, a nie przewracać się z boku na bok, godzinami szukając pozycji, w której biodra nie bolałyby tak okrutnie. Jakie to cholernie twarde. A czego się spodziewałaś po barłogu z końskiego włosia, pozbijanego w kupki od ciągłego używania, strofuje samą siebie. A oczy ma jak spodki.

Pomyśli o Reme.

A mówią, że od zimna chce się spać, ale pewnie przez ten głód, to on nie daje zasnąć.

Pomyśli o Reme, o jej głosie jak skorupka jajka, kiedy je rozbijasz o brzeg miski, żeby zrobić porządną tortillę z ziemniakami, z mnóstwa ziemniaków i mnóstwa jajek. I z surową oliwą z oliwek. Koniecznie z surową oliwą. Na myśl o tortilli ślina napływa jej do ust. Nie, głos Reme nie jest jak rozbite jajko. Wcale nie. Już chyba świta. Głos Reme jest jak czarny kogut piejący w czarną noc. Otóż to. Za to Elvirita śpiewa słodko jak słowik. Lepiej nie liczyć godzin, nie

liczyć dni. Nie zrobi ani jednego nacięcia w ścianie. Ani jednego. Każda noc kiedyś się kończy. Gdybyśmy mieli więcej takich jak Líster, inaczej byśmy dziś wyglądali. Tysiące Listerów, gdyby było ich całe tysiące, w kilka miesięcy zmiażdżylibyśmy faszystów. Líster to dopiero miał na swoim miejscu to, co trzeba mieć, i pokazał to w Brunete, jeszcze przed bitwą o Teruel, zawsze pierwszy do walki, zawsze tam, gdzie należy. Ale nie miał szczęścia i czasem musisz salwować się ucieczką. Tak jak Reme.

Chociaż na miejscu Reme każdy uciekałby jak najdalej, by się schować. A ona pobiegła do domu. Bo Reme to chodząca naiwność, myślała, że skończy się na wrzaskach kioskarki i kilku sąsiadkach, które za nią ruszyły. Była pewna, że szybko dadzą spokój. I kiedy dobiegła już bez tchu do swojej ulicy i zatrzymała się na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, zobaczyła, że falangiści na nią czekają i że wywlekli z domu jej męża i trzy córki, te, które nie wyszły jeszcze za mąż.

Dobrze, że ta nowa udaje dobrą i pozwoliła jej przynieść podpaski. Pewnie myśli, że do twarzy jej z tymi wszystkimi szpilkami, w które tak się stroi, pewnie chce pokazać, że ma ich na pęczki, a one muszą się zadowolić byle kawałkiem drutu. Wcale nie jest dobra. Gdzie tam dobra. Zakonnice też wcale nie są dobre, chociaż przecież taki mają obowiązek. A są opryskliwie i zimne, zachowują się jak podstarzałe gwardzistki. Pozwoliła jej przynieść podpaski, bo nie potrafiła powiedzieć nie. Nie potrafi. Ale się nauczy, zmija jedna. Trutka by jej nie pozwoliła, o nie. Ani Bucior, ta dopiero jest gorsza niż dżuma. Nie wyschły do końca i już pewnie nie wyschną. Cholerna wilgoć.

I w tej chwili zjawił się jej najmłodszy chłopak, który przybiegł, słysząc krzyki na placu. Uczępił się spódnicy matki. Reme pewnie nie miała nastroju na słodkie piosneczki, ale opowiada, że wzięła syna za rękę i zaśpiewała mu w duchu, nie otwierając ust.

Lepiej, żeby przebrała się teraz, jeśli nie, popłami się halka. Zostały jej dwie podpaski i przy odrobinie szczęścia półtora dnia miesiączki. Wystarczy. Tak. Jeśli rozsądnie wszystko rozplanuje, wystarczy.

O rety, rety. I tego nieboraka, który urodził się późno i nie całkiem zdrów, wysłał jeden z falangistów po olej rycynowy. Ojciec musiał dać mu pieniądze. Z własnej kieszeni zapłacić za poníženie Reme. Daj dzieciakowi forszę, niech kupi cały litr, to sobie żoneczka golnie. Tak opowiada Reme. Cały litr wlałi jej do gardła przez lejek i to na oczach córek. I śmieje się. Zawsze się śmieje, kiedy to opowiada, jakby było się z czego śmiać.

I Tomasa znów dotyka rżęs koniuszkiem palca wskazującego.

Szlag by tę wilgoć trafił, nawet do oczu się wciska. Reme się śmieje, bo pomocnik aptekarza bardzo ją lubił. I kiedy głupiutki chłopczyk poprosił go o olej rycynowy dla matki, przygotował na zapleczu litr zupełnie nieszkodliwej mikstury. Gorzki łyk do przełknięcia. Oj, gorzki. Chociaż Reme ani przez chwilę nie zabolę brzuch. A potem ogolili ją na zero. Zostawili jej tylko kosmyk na samym czubku głowy, do którego przywiązali wstążkę w kolorach republikańskiej flagi. I napisali jej na czole UHP. Na co przyszło UHP, teraz robotniczy sojusz służy do tego, żeby poniżyć kobiety. Reme mówi, że miała takie długie włosy jak Hortensia. Takie długie i takie czarne jak ona. Teraz jej włosy są siwe jak popiół, twierdzi, że odrosły takie ze strachu, którego się wtedy najadła. Niesamowite, że to właśnie Reme, zwykle potulna, zaczęła śpiewać. Zaintonowała pierwsze takty i słodycz pieśni zatrzymała w powietrzu wymierzoną w Tomasa dłoń nowicjuszeki. Pozostałe jej zawtórowały. Głos Reme ma taką barwę jak jej włosy, barwę niezabrudzonego jeszcze popiołu w chwili kiedy bierzesz całą garść, by oczyścić dno rondelka z sadzy. Elvirita natomiast ma prawdziwy talent.

Tak, w głosie Reme pobrzmiwa popiół.

Kobieta, której było pisane zginąć, ciągle notuje w swoim niebieskim zeszytcie. Piszze, że przywieźli dwanaście dziewczyn ze Zjednoczonych Młodzieżówek Socjalistycznych i że osądzą ją razem z nimi. Proces ma się odbyć niedługo. Będzie ich trzynaście, tak jak trzynaście dziewczyn rozstrzelanych piątego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, jak Trzynaście Róż. Piszze, że Tomasz zamknęli w karczerze na dwa tygodnie. Reme zapłata jej warkocz. Piszze, że Estremadurce musiało się przydarzyć coś bardzo złego, bo za nic nie chce zdradzić, dlaczego ją tu przywieźli. Podobno spędziła dwa lata w Olivenzie, skazana na śmierć. Piszze, że Tomasa ciągle wspomina o morzu.

– Widziałas morze?

– Opowiedz mi o morzu.

Piszze, że Elvira wyzdrowiała i że cały blok, łącznie z donosicielką, został ukarany. Piszze, że dali im najgorszą z kar. Piszze i pisze, podczas gdy Reme czesze jej włosy.

Wszystkie myślą o Tomasie.

Żadna nie napomknie o niej ani słowem.

Jeśli będą rozmawiać o Tomasie, czas odosobnienia będzie płynął jej wolniej.

– Nie ruszaj się!

Prosi Reme, a potem pochyla głowę Hortensii i unosi jej włosy, by spojrzeć na szyję.

– Aż czarno.

Hortensia zaczyna się drapać. Elvira też.

– Spójrz na mnie!

Reme odgarnia grzywkę z rudej skroni.

– Też masz ich pełno. Zaraz przygotuję grzebień. Ścisnę go tak mocno, że ani jedna wesz się nie prześlizgnie. Ani jedna.

I potem ścisną grzebień tak, jak to tylko ona potrafi, mocno, i przeczesa, kosmyk po kosmyku, włosy Hortensii. Nie śpieszy się. Kosmyk po kosmyku. I przeczesa, uważnie każde pasmo, mówi, że też miała takie długie i takie czarne włosy.

– Takie samiusieńkie włosy miałam, długie i czarne.

Elvira i Hortensia udają, że pierwszy raz słyszą ten lament. I znów opowiada im, że ogolili jej włosy, kiedy znaleźli niedokończoną republikańską flagę na stoliku w jadalni.

I opowiada im, że przesiadziła prawie dwa lata w więzieniu w swojej miejscowości i że kiedy włosy zdążyły już odrosnąć, zgolili je znowu i przewieźli ją do Murcji, gdzie została postawiona przed sądem polowym.

– Dwanaście lat mi dali.

Dwanaście lat.

I jeszcze raz opowiada im, że stała przed tym sądem i nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nie mogła nawet zaśpiewać w duchu.

Dwanaście lat.

Za udzielanie pomocy wojskowej rebelii.

– A ja myślałam, że to oni są rebeliantami. Kompletnie zgłupiałam.

Czuła tylko wielki wstyd, kiedy przesuwała dłoń po zupełnie łysej głowie.

Do tej pory na wspomnienie procesu mimowolnie dotyka potylicy.

– Teraz to mam już włosy do szyi.

I do tej pory ogarnia ją przerażenie.

– Kto włosy obcina, nowe życie zaczyna.

Żartuje Reme. Żartuje, by móc mówić dalej. Bo teraz opowie o swoich córkach, a opowieść o nich przynosi jej ulgę. Elvira i Hortensia wiedzą o tym i słuchają uważnie, by jej tej ulgi nie odbierać.

– Chodź, córeńko, teraz twoja kolej.

Zawsze gdy przypomni sobie o swoich dzieciach, nazywa Elvirę córeńką.

– Chodź, połóż mi głowę na kolanach.

Mówi do niej córeńko, delikatnie kładąc jej głowę na swoich kolanach. I opowiada, że jej córkom nic się nie stało. Za to matce jej zięcia tak. Matkę jej zięcia wsadzili razem z nią na trzy miesiące do kostnicy, bo więzienie było przepelnione.

– Kiedy powiedzieli nam, że wiozą nas do kostnicy, zapytała, czy będą nas kroić na żywca.

Napoili ją prawdziwym olejem rycynowym i ogolili. Biedaczka. Tylko dlatego, że niby świętowała zdobycie Teruelu.

– I chociaż wsadzała sobie palce do gardła, żeby zwymiotować, i chociaż wymiotowała i wymiotowała, myślałam, że własne wnętrzności zwymiotuje, szybko przeniosła się na tamten świat.

Ale jej córkom nic się nie stało, dzięki Bogu, i synowi też nie. Dzięki Bogu i dzięki jednemu z falangistów, którzy przyszli przeszukać dom.

– Dobry był z niego człowiek w gruncie rzeczy, chociaż falangista, i nie pozwolił, by moje córki piły jakieś świństwa, nie pozwolił też, by ogolono im głowy.

Nie pozwolił. Za to kazano im myć podłogę na plebanii i na to nic już nie mógł poradzić. Ale o plebanii Reme nie opowiada, tę część historii woli pominąć.

Przez cały czas, kiedy Reme siedziała w więzieniu w swojej rodzinnej miejscowości, jej córki dzień w dzień przechodziły przez rynek, niosąc własne wiadra i własne szmaty, a sąsiadki, które przystawały, by na nie popatrzeć, rzucały oskarżycielskie spojrzenia i złośliwe komentarze:

– Każdy głupi wie, że musiały się domyślać, co szyje ich matka.

– Mają za swoje. Dobrze im tak.

A one, ze wzrokiem wbitym w ziemię, przyśpieszały kroku.

Reme woli nie pamiętać o tym, że kiedy córki przynosiły jej jedzenie do kostnicy, z trudem powstrzymywały się od płaczu. A czasem nie mogły się powstrzymać.

– Nie ruszaj się, córeńko.

I rozczesuje rude włosy Elviry, gładzi ją po głowie i przyciska ukradkiem do siebie.

Jej córkom nic złego się nie stało. Nic. I synowi też nie.

– Ale mojemu biednemu Benjaminowi zdrowo dopiekli. Poniżali go codziennie, codziennie od nowa. Ale on jest silny. Biedny Benjamín.

Benjamín jest silny. Kazali mu zamiatać ulice miasteczka za to, że pozwolił żonie na podobny wybryk. Kazali mu zamiatać je codziennie, dopóki nie skończyła się wojna. Zamiatał je, kiedy przeniesiono Reme do Murcji, gdzie została skazana na dwanaście lat więzienia. Zamiatał je, kiedy się dowiedział, że żona odbędzie karę w więzieniu Ventas. Wtedy postanowił wyjechać z miasteczka i wynająć maleńkie mieszkanie w Madrycie, żeby być bliżej Reme. Biedny Benjamín.

Zostały ukarane. Wszystkie więźniarki bloku numer dwa mają zakaz odwiedzin do końca miesiąca. I mówią Tomasiemu, że spotkała je najgorsza z kar. I opowiadają, że kiedy Mercedes obwieściła im karę, prawie się rozplakała. Wszystkie te wieści przekazują Tomasiemu, która wróciła właśnie z obolałymi kośćmi i w spódnicy poplamionej krwią.

– Zdejmij spódnicę, szybciotko ci ją przepiorę.

– Sama sobie przepiorę.

– Daj spokój, jesteś ledwo żywa.

Reme stoi przed Tomasiem i stanowczo wyciąga rękę.

– No, zdejmij ją wreszcie, bo zaraz nam wodę wyłączy.

Tomasz zsuwa spódnicę i wykorzystując ten ruch, schyla się trochę bardziej, niż to konieczne, i dyskretnie chowa pod posłanie podpaski, które przyniosła ukryte pod wełnianą chustą. Potem oddaje Reme spódnicę.

– Masz. I dzięki.

– Tutaj jesteśmy jak siostry, Tomaso.

– Co to ma do rzeczy?

– Nie musisz niczego chować.

– Niczego nie schowałam.

– Schowałaś.

– Nie brzydzisz się? Nie będziesz prać cudzych podpasek. Dałam ci już spódnicę i podziękowałam. A to, co powinnam uprać sama, upiorę sama.

– Aj, kobieto, z tobą zawsze to samo. Nie potrafisz być miłą. Daj mi chociaż halkę.

– Nie mam drugiej.

Kobieta, która nie wiedziała, że ma zginąć, jak zwykle wkracza między Reme a Tomasiem.

– Znowu drzecie koty?

– To ona, chce mnie rozebrać do rosołu.

– Bo ma poplamioną halkę...

– To prawda, Tomaso, masz ogromną plamę.

– Trudno, zakryję ją chustą. Nie chcecie chyba, żebym poszła na zebranie w samych majtkach.

– Nie idź dziś na zebranie, odpocznij, a do jutra wszystko ci wyschnie.

– Jak to mam nie iść? Jest tyle spraw. Musimy napisać podanie, żeby pozwolili nam na robótki ręczne.

– Już napisane i wręczone.

– A szkoła?

– Szkoła już działa.

Opowiadają jej, że te, które umieją czytać i pisać, uczą te, które nie umieją, i że na warsztatach szycia robią świetną robotę.

– Szyjemy ubrania dla partyzantów.

– Do licha, jak to robicie?

Do grupy podchodzi Elvira i rozmowy natychmiast milkną. Przyniosła sukienkę i halkę. Bez słowa podaje je Tomasiemu. Wyjęła je z walizki, z tej samej skórzanej walizki, na której widnieją ślady wielu podróży. Wręcza Tomasiemu ubrania swojej matki jak ktoś, kto składa ofiarę,

kto pozbywa się najcenniejszego skarbu. Tomasa nie wie, co ma powiedzieć. Hortensia i Reme nie wiedzą, co zrobić. Wszystkie trzy spoglądają na Elvirę. A ona się uśmiecha. Uśmiecha. I ze wzrokiem utkwionym w sukience wyciąga do Tomasy rękę.

Matka miała na sobie tę właśnie sukienkę, kiedy Elvira po raz ostatni pomyślała o niej, że ślicznie wygląda. Było to w porcie w Alicante, gdzie czekały na statek, który nigdy nie przypląnął. Zawiózł je tam Paulino. Paulino i jego towarzysz, który miał duże dłonie, przywieźli je nocą z Walencji i spokojnie odjechali, myśląc, że zostawiają je w bezpiecznym miejscu. Doña Martina robiła na drutach wełniane rękawiczki, by skrócić sobie czas oczekiwania, a Elvira patrzyła na nią zauroczona, bo już dawno matka nie wyglądała tak pięknie. Wystroiła się na tę podróż w najlepszą, starannie wyprasowaną sukienkę, palto z czarnego flauszu i kapelusz w kształcie półksiężyca, małe kaszkiecik, który zakrywał tylko przednią część głowy i podkreślał kolor oczu. Elvira zdążyła już zapomnieć o tym kapeluszu, a przecież przymierzała go tyle razy, kiedy przed lustrem w garderobie przebierała się za dorosłą, z trudem utrzymując równowagę w pantoflach matki, tych na najwyższych obcasach. Elvira nie ma pojęcia, ile dni spędziły w porcie, siedząc na walizce. Nie wie, ile spędziły tam nocy. Sukienka matki pachniała lawendą, kiedy Elvira zasypiała na jej podolku. Aromat lawendy przenikał jej sny, pachniał nim też tamten poranek pierwszych wrzasków i rozpacz. Do tej pory czekali spokojnie. Tysiące ludzi zgromadzonych w porcie z wytęsknieniem wyglądało statków, które miały ich ewakuować, i chociaż było im niewygodnie, chociaż siedzieli stłoczeni i zaczynało brakować jedzenia, nie podupadali na duchu. Przemowy francuskiego konsula emitowane z głośnika zainstalowanego na skleconej z byle czego trybunie pełne były uspokajających, przynoszących nadzieję słów na temat rychłej interwencji Ligii Narodów i jej znakomitego planu ewakuacji.

– Zobacz, Elvirito, już skończyłam rękawiczki. Chodź tu, przymierz.

Dziewczyna przełknęła zachłannie kawałek czekolady, na którą matka przed chwilą wymieniła swój kapelusz. Wytarła dłonie, jedną i drugą. I wzięła od matki rękawiczki. I właśnie w tym momencie, kiedy przymierzała rękawiczki, głos konsula zabrzmiał jakoś inaczej niż zwykle i niektórzy zaczęli krzyżeć. Franco odrzuca mediację obcych mocarstw. Generalissimus potraktuje wielkodusznie wszystkich tych, którym krew nie splamiła rąk. I wtedy zaczęły się krzyki. Wtedy niektórzy mężczyźni zaczęli podchodzić do wody i wrzucać broń do kanału. Zaczęły się też samobójstwa. Jakiś milicjant powiesił się na słupie elektrycznym, inny zawiązał sobie u szyi kamień i skoczył do wody, jakiś leciwy mężczyzna strzelił sobie w usta zaledwie dwa kroki od Elviry. Matka przytuliła ją mocno, by ustrzec przed tym straszliwym widokiem. A ona zanurzyła głowę w lawendowym zapachu sukienki.

– Dziękuję ci bardzo, Elvirito, ale będzie na mnie za mała.

– Reme ci ją przerobi.

Żalodne skargi obwieszczające zakaz widzeń dla więźniarek z bloku numer dwa rozprzestrzeniały się szybciej niż pożar pośród ich bliskich, którzy czekali w kolejce do więzienia pierwszego dnia kary.

- Osadzone z bloku numer dwa mają karę.
- Zakaz widzeń do końca miesiąca.
- Kto ma karę?
- Te z dwójki.
- Wszystkie?
- Wszystkie.

To siostra Maria od Serafinów poinformowała oczekujących, że osadzone z dwójki nie pojawią się dziś w rozmównicy. Krzyknęła, żeby ci, którzy przynieśli jedzenie, zostali w kolejce, a reszta może iść do domu.

- A możemy zostawić listy?

Jako że kolejka była długa, tylko ci stojący blisko zakonnicy usłyszeli jej słowa.

- Kogo ukarano?
- Te z dwójki?
- Wszystkie?
- Wszystkie.
- Wszystkie internowane mają karę.
- Wszystkie internowane mają zakaz widzeń.
- Tylko te z dwójki, mówili, że tylko te z dwójki.
- Moja jest w jedynce.
- W takim razie twoja nie.
- A moja?
- A gdzie jest twoja?
- Ja mam dwie, jedną w dwójce, drugą w kaplicy.

Zanim wiadomość dotarła do ostatnich oczekujących, wszczął się nieznośny tumult.

Krewni tłoczyli się i przepychali, próbując dostać się do drzwi. W tym zamieszaniu Pepa wpadła na dziadka Elviry, który starał się podejść jak najbliżej zakonnicy.

- Proszę trochę uważać, ten pan jest w podeszłym wieku.

Ale szturchańce nie ustawały i Pepa musiała wziąć don Javiera pod rękę, żeby się nie przewrócił. Ci, którzy napierali na siostrę Marię od Serafinów, wykrzykiwali jeden przez drugiego imiona i nazwiska internowanych, pytając, czy zjawia się na widzeniu.

– Jeśli nie ustawią się państwo z powrotem w kolejce, nikt nie wejdzie do środka. Ma być cisza! I wszyscy na swoje miejsca!

Krzyknęła zakonnica. Krzyknęła tylko raz. Jej krzyk nie był głośniejszy niż głosy pozostałych. Ale natychmiast zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

- Mówiłam: gęsiego albo nikt nie wejdzie. I nie będę sobie gardła zdzierać.

Nie musiała zdzierać sobie gardła siostra Maria od Serafinów, nie musiała powtarzać dwa razy. Pepa, nie puszczając ramienia don Javiera Tolosy, powoli wróciła z nim na swoje miejsce. Pozostali zrobili to samo. Bo wszyscy dobrze wiedzieli, że zakonnica jest zdolna spełnić groźbę. Już raz to zrobiła. I na zawsze zapamiętali to popołudnie, kiedy, ukarani przez siostrę Marię od

Serafinów, wrócili do domu; nie mogli przekroczyć progu więzienia, nie mogli nawet przekazać paczek z żywnością, z takim trudem gromadzoną przez cały tydzień.

- Stałam za tą panią.
- My dwie jesteśmy razem.
- Wie pan, kogo ukarali?
- Te dwie panie stały za mną.
- Te z dwójki.
- Ja za tym panem w kapeluszu.

Pośród szeptów i pomruków tych, którzy wcześniej krzyczeli, kolejka ustawiała się od nowa. Niektóre kobiety nie przestawały szlochać od chwili, gdy dowiedziały się, że nie zobaczą dziś swoich bliskich. Płakali też niektórzy mężczyźni. Na przykład Benjamín, chociaż wiedział, że łyż innych są znacznie bardziej gorzkie. Przed nim stała kobieta, która przyjechała aż z Huelvy i skarżyła się innej, która przyjechała z Vitorii.

– Będę mogła wrócić tu dopiero za rok. Cały rok oszczędzałam na tę podróż, a teraz nie pozwolą mi jej zobaczyć. Mojej biednej córeńki.

Ci, którzy przynieśli paczki, ustawiali się przygnębieni w kolejce. Najbliżsi krewni więźniarek, bo też nikomu innemu nie pozwalano na odwiedziny, wrócą do domu, nie zobaczywszy swoich żon, córek, matek, babć, wnuczek i siostr.

- Muszę wracać do Cuenki. I nie zobaczę mamy.
- A wiadomo, czy można zostawić dla nich listy?
- Przyjechałem z El Torno.
- A ja z Santa Cruz de Moya.
- A paczki?
- Ja z Noblejas.

Większość wracała potulnie na swoje miejsca, chociaż byli i tacy, którzy próbowali się wypychać, wykorzystując ogólny zamęt.

- Chyba za bardzo się panu śpieszy, proszę pana.
- Mnie?
- Nie, tamtemu panu. Cwaniaczek, myśli, żeśmy tu wszyscy oślepli?
- Byłem za tym panem w kapeluszu.
- Nie, był pan za tamtym panem w kapeluszu.
- Ach, prawda.
- No, to jazda stąd.

Kolejka oczekująca przed wejściem do więzienia Ventas szybko ustawiła się na nowo.

- Wie pani, czy tej nocy była *pepa*?
- Tak, nad ranem zabrali trzy.

Siostra Hortensii podeszła do stojących przed nią kobiet.

- Co to jest *pepa*?
- Wyprowadzka, kochanie.
- Jaka wyprowadzka?
- Kiedy wyprowadzają skazane na śmierć.
- Kogo?
- Skazane na śmierć. Zabierają skazane na śmierć.
- Dokąd?
- A dokąd mogą je zabierać?

Nie pytała już o nic więcej. Od tamtej chwili Pepa upierała się, żeby nazywać ją Pepitą. Kolejka zaczęła się posuwać w milczeniu.

Smutna szła Pepa do drzwi więzienia. Smutny szedł dziadek Elviry. Smutny szedł mąż Reme, biedny Benjamín. I smutne szły jego córki.

Na widok prania rozwieszonego na balkonie sąsiadki Pepita niemal dostała zawału. Zawsze spoglądała na ten balkon, na rogu ulic Relatores i Atocha, żeby upewnić się, czy Felipe jej nie wzywa. Spoglądała na niego kątem oka, ilekroć wracała do pensjonatu albo z niego wychodziła.

Było już prawie ciemno, ale latarnie jeszcze nie świeciły. Pepita wracała z dworca, na który chodziła codziennie, żeby zbierać z peronów żużel wyrzucany przez odjeżdżające parowozy. Zwykle robiła to wcześniej rano przed pójściem do domu państwa. Tym razem jednak powtórzyła wyprawę po południu, bo nie mogła zobaczyć się z Hortensią i wyszła z więzienia znacznie wcześniej niż zwykle. Spojrzała na balkon i natychmiast zobaczyła obrus w kratkę, dwie serwetki i skarpetkę przypiętą na jednej z nich. Felipe ją wzywa. Przyśpieszyła kroku. A potem zaczęła biec, żeby nie czuć ściskania w dołku. Felipe ją wzywa. Mogłaby udać, że jest chora. Mogłaby przewrócić się w tej chwili i paść trupem na miejscu. Biegła, jakby chciała uciec, jakby mogła wymazać z pamięci pranie wywieszane na balkonie sąsiadki. Biegła, a grudki żużlu wysypywały się jedna po drugiej z ocynkowanego wiaderka.

Na ulicy Magdaleny prawie zderzyła się z don Fernandem.

– Co się stało? Dokąd tak pędzisz?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Uspokój się, dziewczyno. Oddychaj powoli.

Pepita nabrała powietrza i, dysząc, wymamrotała, że wraca do siebie.

– Czy coś się stało? Czemu biegłaś jak szalona?

Pokręciła przecząco głową i odpowiedziała, że biegła, bo chciała sprzedać żużel, zanim handlarz starzyzną zamknie swój kram. I wtedy zauważyła, że po drodze wysypała połowę zawartości wiaderka, i roześmiała się.

– Teraz muszę wszystko pozbierać. A w dodatku minęłam stoisko handlarza.

Don Fernando słuchał, zdumiony tymi nieskładnymi wyjaśnieniami i nagłym wybuchem śmiechu, bez cienia wątpliwości nerwowym. Ale nie dopytywał się dłużej.

– Pomogę ci.

– Nie, na Boga, w żadnym wypadku, proszę pana.

Don Fernando schylił się i głuchy na sprzeciwy Pepity pomógł jej z powrotem napełnić wiaderko.

– Bardzo panu dziękuję.

Tej nocy Pepita bez apetytu zjadła kolację przygotowaną przez gospodynię. Zupę i tortillę z ogórkowych obierek. I wierciła się w łóżku, przewracała to na prawy, to na lewy bok, zasypiała na krótko, po czym budziła się gwałtownie, aż w końcu spadła na podłogę. Pranie rozwieszone na balkonie sąsiadki falowało na wietrze w jej snach i nie przestawało falować po przebudzeniu. Wzywał ją Felipe. A ona nie padła trupem na miejscu. Miała już nastawiony budzik, dwie godziny wcześniej niż zwykle, żeby przybyć na spotkanie w umówionym miejscu. Nie padła trupem na miejscu. Pojedzie pierwszym pociągiem. Nie zaszkodziła jej też tortilla gospodyni. Oby nie wzywał jej już nigdy więcej. Ten cud, tortilla bez jajek. Gospodyni to dopiero robi prawdziwe cuda. Pepita wstaje z podłogi, śmiejąc się z własnej niezdarności. Żeby spaść z łóżka w jej wieku. I wsuwa się pod kołdrę, ciągle jeszcze nagrzaną. Ogórkowe obierki w tortilli smakują trochę jak cukinia. I ta zupa, zupa na kościach obgryzionych nawet ze wspomnienia po

mięsie; jak gospodyni to robi, że zupa jest aromatyczna, chociaż kości błyszczą jaśniej niż kryształowy wazon, który trzyma w kredensie. Powie Felipe, żeby jej więcej nie wzywał. Że umiera ze strachu za każdym razem, kiedy widzi skarpetkę przypiętą do serwetki w kratkę. Powie mu, że wystarczy jej, że zanim sąsiadka przywita się z nią na ulicy, zawsze rozgląda się najpierw w lewo, w prawo i jeszcze za siebie, bardzo dyskretnie, trzeba przyznać, że robi to bardzo dyskretnie. A Pepita wie na pewno, że rozgląda się, żeby sprawdzić, czy nikt za nią nie idzie. Ma już tego dosyć. Myślała, że strach zostanie w Kordowie. Strach powinien być skończony, kiedy skończyła się wojna. Ale się nie skończył. Wcale a wcale. Bo Felipe wpadł na genialny pomysł, żeby złapać karabin i pójść do lasu, i napytać wszystkim biedy. Polityka to włochata, czarna jak smoła pajęczycza. I Pepita zwija się w kłębek na lewym boku. Potem na prawym. I przytula się do poduszki. Dobrze wie, że pajęczycza zaczęła ją oplatać swoją siecią i że nie zdoła się już uwolnić. Za niecałe pół godziny zadzwoni ten przeklęty budzik. Felipe ją wzywa. A ona wstanie, oczywiście, że wstanie. Bo nie chce sprawić zawodu Hortensii. To by dopiero było, gdyby się Hortensia dowiedziała, że Felipe ją wezwał, a ona stchórzyła. Dwadzieścia minut i akurat teraz zachciało się jej siku. Pójdzie. Ale powie mu wyraźnie, żeby już więcej jej nie wzywał. Nie wiadomo, po co się ruszali z Kordowy. Kiedy skończyła się wojna, przyjechali tutaj za Felipe, no i ze strachu przed powszechnym dochodzeniem wszczętym w celu wytropienia republikańskich zbrodni. Kto wymyślił takie dochodzenie, kto wymyślił, żeby sąsiedzi donosili na sąsiadów? Ile kłamstw w imię nowego porządku, ile donosów, czasem fałszywych. Jaki zamęt. I Felipe natchnęło, żeby pójść z karabinem do lasu, i w dodatku tutaj, jakby nie mógł w Kordowie, ale on przecież nie chciał się rozstawać z Czarną Kurtką, a Czarna Kurtka musiał akurat tutaj bawić się w partyzantkę, akurat tutaj. Przeklęty Czarna Kurtka. Mówią, że jest bardzo przystojny. Gdyby nie wyjechali z Kordowy, może Hortensia nie znalazłaby się w więzieniu, a ona, Pepita, nie umierałaby teraz ze strachu, że Felipe ją wzywa. Powinna była wrócić do Kordowy, przecież ma tam jeszcze dom, dom ojca. Ma do niego klucz, pieczołowicie przechowywany w metalowym pudełku pod łóżkiem. Powinna wrócić. I tam zostać. Samiutka jak palec. Tu też jest samiutka jak palec. I w dodatku musi harować jak wół. Nie chce się skarżyć. Ale czasem ma dość. Czasem brzydzi się brać kości od pani Celi, chociaż są tak białe, że aż lśnią. Handlarz starzyzną daje jej za nie tylko ciut więcej, niż ona płaci swojej gospodyni, ale grosz do grosza... To, co uzbiera ze sprzedaży żużlu i dniówek, które płacą jej państwo, wydaje na jedzenie dla Hortensii, przecież nie pozwoli, żeby jej siostra jadła tylko mały talerz soczewicy z wkładką i połówkę pomarańczy. Swoją drogą co za dowcipniś wymyślił, żeby nazywać wkładką robaki, które załęgły się w soczewicy. Niecałe dwadzieścia minut i chce jej się coraz bardziej siku, ale jeśli skorzysta z nocnika, będzie musiała potem go wylać, a wstydzi się iść przez korytarz z pełnym nocnikiem. W dodatku jeśli wstanie z łóżka, ucieknie resztką ciepła spod kołdry. Wytrzyma. Zwinie się w kłębek, zaciśnie uda. Na pewno szmaciarz gotuje kości raz jeszcze i obgryza, zanim sprzeda na mączkę. Teraz taki głód. Ona przynajmniej głodna nie chodzi. Gospodyni to przyzwoita kobieta. Daje jej śniadanie, obiad i kolację i nie bierze nic za pokój, który należał kiedyś do jej córki, rozstrzelanej w trzydziestym dziewiątym, zaraz po wejściu narodowców do Madrytu. Jej jedynej córki Almudeny. Mąż gospodyni, don Gerardo, siedzi w więzieniu w Burgos. Raz do roku gospodyni jeździ go odwiedzić, na częstsze podróże jej nie stać. Ale codziennie chodzi na cmentarz. Pozwala jej zbierać resztki chleba z obrusów. Niejedna by się z nią zamieniła. Niejedna uważałaby się za szczęściarę, mając stancję za darmo, w zamian za pomaganie gospodyni, zmywanie naczyń, sprzątanie kuchni, korytarza, ubikacji i prasowanie. No i generalne sprzątanie w niedziele. To jedyne, na co trochę narzeka. Bo w niedziele ma wolne u państwa. Dziwni są don Fernando i jego żona, nie odzywają się do siebie słowem, mieszkają w różnych częściach domu i jeszcze myślą, że tego nie widzą. A pani, doña Amparo, całe dni spędza

zamknięta w okrągłej wieżyczce domu jak gołębica w gołębniku. No ale całe szczęście, że znalazła dom, w którym potrzebowali gosposi, i stancję, kiedy aresztowali Hortensję. Siostra powiedziała jej, że to samiusieńki Czarna Kurtka im pomógł, że zna don Fernanda i doñę Celię. A ona chciałaby w niedzielę pójść do parku. Ale stacja za darmo to stacja za darmo, w dodatku naprzeciwko domu państwa, musi tylko przejść przez ulicę. Niejedna by się z nią zamieniła. Felisa, dziewczyna, która pracowała wcześniej u don Fernanda, też знаła Czarną Kurtkę i któregoś dnia powiedziała jej, że to dobry chłopak, teraz sobie przypomina. Hortensia też tak mówiła. Wszyscy znają Czarną Kurtkę. Chociaż teraz sobie myśli, że pewnie niejedna wstydziłaby się zbierać ze stołu resztki czarnego chleba. Grabarz zostawił wczoraj całkiem sporą skibkę. A ona posmarowała ją oliwą z puszkii po sardynkach i sprzedała na Puerta del Sol. Kanapka o smaku sardynek, zawołała i nie musiała długo czekać na chętnych. Oby dziś też nie miał apetytu. Mniej niż kwadrans, chyba zaraz pęknie. Zaraz się rozpuknie. Ale uszyła sobie torebkę z czerwonego aksamitu, ze skrawków, które zostały gospodyni, kiedy szyła poduszki, i gdy już napełni ją kawałkami chleba, zanosz do piekarza, a tam patrzą na nią z zazdrością. Niejeden aż zółknie z zazdrości, nie tylko z powodu tych drobniaków, które zarabia, ale z powodu czerwonej torebki, która wyszła jej cudna, z podszewką tego samego koloru. Wstanie. Nie wytrzyma dłużej. Ale pójdz do łazienki, a potem jeszcze na pięć minut wróci do łózka. Kaptcie, kiedy się nie ma pończoch na nogach, są jeszcze zimniejsze, niż kiedy się włoży pończochy. Oj, matulu, jakie zimne.

Pepita wzuwa kaptcie, jakby wchodziła do lodowatego potoku. Wsuwa stopy bardzo powoli, nie do końca, by nie dotknąć palcami ich czubków. Krzyżuje nogi i przyciska dłonią pęcherz. Z całej siły próbuje się powstrzymać. Nie dojdzie do łazienki. Nie. Nie da rady. Z kącika lewego oka spływa jej łza. Zaciska usta. Jeszcze mocniej zaciska uda. I przyciska dłoń. Nie wytrzyma. Nie ma mowy. Na czole perlą się kropelki potu. Musi wyjąć nocnik. Otwiera drzwiczki szafki nocnej. Rozchyła uda. Dopiero teraz oddycha z ulgą. Uśmiecha się. A po policzkach płyną jej nieśpiesznie dwie małe łzy.

Pod prawie płaskim kamieniem przy drodze na wzgórzu Pepita nie znalazła żadnej wiadomości. Skulona w zaroślach, przyglądała się słupowi. Tak, to na pewno ten, z nacięciem pośrodku. Widocznie jest jeszcze za wcześnie. Siada na kamieniu i czeka. Rozglądając się wokół, chwyta za dwa rogi chustki, którą ma na głowie, i naciąga je, by zakryć usta. Sowa. Ten odgłos to musi być sowa. Od jej przyjścia nie upłynęło nawet pięć minut, kiedy słyszy trzy uderzenia kamieniem o kamień; podnosi dwa okrągłe kamyki i odpowiada na umówione hasło, stukając nimi trzy razy. Widzi zbliżającego się mężczyznę. To nie Felipe. Jest od niego młodszy. Ma na sobie sztruksowe spodnie i kurtkę, kaszkiet i karabin maszynowy przerzucony przez ramię. Na jego widok Pepita usiłuje jeszcze szczelniej zasłonić twarz, tak że ledwo widać jej oczy, jakby w ten sposób rzeczywiście mogła się ukryć.

– Nie bój się, dziecinko.

Na dźwięk jego głosu aż podskakuje. Opiera się rękoma o prawie płaski kamień. Wstaje. Chustka spada jej z głowy. Dziewczyna ucieka w zarośla.

– Chodź tutaj, nie bój się.

Mężczyzna podąża za nią wolnym krokiem. Podnosi z ziemi chustkę. Pepita zaczyna iść tyłem, omijając chaszczę.

Wolnym krokiem mężczyzna idzie w jej stronę, a ona się cofa, patrząc sobie w oczy.

– Jesteś Pepa, prawda?

– Pepita.

– Nie bój się. Przysyła mnie Felipe.

Nie zatrzymując się, Pepita wyciąga rękę po chustkę, ale jej nie dosięga.

– A skąd mam wiedzieć, że nie jesteś z Gwardii Obywatelskiej, tyle że w cywilu?

Podobno jest ich wielu.

– Podobno. Gdzie drwa rąbią...

– ...tam wióry lecą.

– A czy ja wyglądam na drwala? Mam na imię Paulino. Jestem przyjacielem Felipe. To on mnie przysyła.

– A czemu sam nie przyszedł, jeśli wolno spytać?

– Wolno.

To Paulino. Od dawna nie rozmawiał z tak piękną kobietą. Tak naprawdę Paulino od dawna nie rozmawiał z żadną kobietą.

– Oddaj mi chustkę.

– Weź ją sobie.

Cały czas patrząc na siebie, młodzi idą powoli wokół zagajnika.

– Zaraz się przewrócisz. Przypominasz raka.

– Muszę już iść.

– Zaczekaj, mam wiadomość od Felipe.

– Nie znam żadnego Felipe.

Paulino wybuchając śmiechem i patrzy jej w oczy, tak cudownie niebieskie. Pepita wyrwa mu chustkę z ręki.

– Po co ta dziecinada?

– Nie bądź taka bojaźliwa, żaden ze mnie gwardzista. Już za późno, żeby powiedzieć, że

nie znasz Felipe, dziecinko, sama przed chwilą o niego zapytałaś.

- O nikogo cię nie zapytałam.
- Zapytałaś, dlaczego Felipe sam nie przyszedł.
- Muszę już iść.

– Też mógłbym sądzić, że nie jesteś tą, za którą się podajesz, jak żyję, nie widziałem kordowianki o tak jasnych włosach. Jak to się stało, że ty wyszłaś taka jasna, a twoja siostra taka ciemna?

- Ktoś na górze musiał się pomylić.
- Błogosławiona niech będzie ta pomyłka, chociaż Hortensia też jest bardzo ładna.

W ogóle nie przypominasz siostry, skąd mam wiedzieć, że jesteś Pepa?

- Pepita.
- W porządku, Pepito, wierzę ci, bo sama tak powiedziałaś.
- To już twoja sprawa. Muszę iść.

Pepita się boi, ale nie może się powstrzymać i patrzy mu w oczy. Zaintrygowana spojrzeniem, którym on jej szuka, a któremu ona nie umie się oprzeć, zarzuca chustkę na głowę i powtarza, że musi już iść.

- Muszę już iść.

– Słuchaj, gdybym był gwardzistą, nie mógłbym wiedzieć, że pod tym kamieniem Felipe zostawił ci pewnego dnia list do Hortensii. A innego dnia niebieski zeszyt. Daj już spokój, dziecinko.

- Jak mówi Felipe do Hortensii?
- Tensi, zawsze nazywa ją Tensi. I bardzo ją kocha.
- To dlaczego sam nie przyszedł?

Paulino podchodzi do Pepity, a ona znowu pyta:

- Dlaczego Felipe sam nie przyszedł?

On odgarnia kosmyk, który spada jej na czoło.

Ona odtrąca jego rękę.

Jeszcze nie świta.

Spójrz na mnie. Spójrz, prosiła zawsze Hortensia, gdy kończyli się kochać, a ona szukała jego nagiego ramienia, żeby oprzeć na nim głowę. Spójrz na mnie, zaklinała, szukając jego wzroku, choćbym ja na ciebie nie patrzyła, i zamykała oczy. Tensi. Przeciągał się wycieńczony, zbyt zmęczony, żeby nawet na nią spojrzeć. Leżąc na wznak, smakował swoje zmęczenie i kłamał:

– Patrzę na ciebie.

Teraz Felipe żałuje, że nie może skłamać Hortensii. Żałuje, że nie może jej objąć, i zastanawia się, czy będzie mu dane jeszcze raz ją przytulić, choćby jeden raz, zanim umrze. I żałuje, że gniewał się na Tensi, kiedy przyszła się z nim zobaczyć.

– Kompletnie zwariowałaś? Mogli cię śledzić. Poza tym to nie jest miejsce dla kobiety, a już na pewno nie dla ciężarnej.

Odkrzyknęła mu w odpowiedzi, że pochodzący z Barcelony oficer śledczy kopnął ją w brzuch. A teraz Felipe żałuje, że na nią krzyczał, i wspomina ostatni pocałunek, który dała mu na pożegnanie, zanim zeszła do El Llano kupić kurę. Odsunął się od niej i powiedział, że las to nie miejsce na pocałunki. A teraz tego żałuje. I żałuje, że nie kochali się ani razu, od kiedy przybył na wzgórze, ani razu. Spójrz na mnie, poprosiłaby go Tensi. Żałuje tego. Bo boi się, że umrze, i choć niestraszna mu śmierć, boi się, że umrze, nie mogąc zobaczyć jej po raz ostatni. Tensi. I dotyka swojego boku, i uciska opatrunek, żeby zmniejszyć ból. Rana przestała krwawić. Opatrunek ze świeżej żywicy, który założył mu Paulino zaraz po strzelaninie, zatrzymał krwawienie, ale ból zatapia w jego ciele swoje szpony i rozsadza mu czaszkę. Felipe stara się nad nim zapanować, myśląc o Hortensii. Tensi. Wyciąga z kieszeni fotografię, którą podarowała mu w Don Benito, kiedy nauczyła się pisać. Na znak mojej miłości, dla Ciebie na pamiątkę. Twoja na zawsze, Hortensia. Twoja na zawsze. I dotyka jej twarzy na zdjęciu. Gładzi po policzku. Opuszkami palców, z czułością. Gładzi po ramieniu. Uśmiecha się, widząc, że ona też się uśmiecha. Całuje jej powieki, rozchylone usta i białe zęby. Tensi w mundurze milicjantki, z karabinem na bandolierze i z czerwoną gwiazdą pięcioramienną wyszytą na piersi uśmiecha się do niego, trzymając na rękach dziecko, które nie jest jej. To był gorący dzień lipca, włożyła kolczyki, które kupił jej w Azuadze, upięła warkocze i ukryła je pod czapką.

– Kiedy skończy się wojna, będziemy mieli dziecko takie jak to, zobacz, jakie śliczne. Wzięła chłopca na rękę i zaczęła się śmiać.

– Oj, matulu!

Brzęknęły kolczyki i poruszył się chwost czapki. Było gorąco. I Tensi rozpięła suwak niebieskiego kombinezonu, odsłaniając nagą szyję.

– Chciałbyś, Felipe? Takiego jak ten, popatrz, chciałbyś?

– Z zaciśniętą piąstką.

– Ale z pięcioma paluszkami.

– Z paluszkami albo i bez, ale z zaciśniętą piąstką.

– Nie bądź głupi, Felipe.

Pocałuje ją w szyję. Zdejmie jej czapkę i pogłaszcze dwa warkocze. Tensi. Rozepnie suwak jej kombinezonu aż poniżej pasa. I będzie się cieszyć słodyczą jej ciała. Dopasuje oddech do jej oddechu i będzie się z nią kochał. Bez pośpiechu. Po czym ona poprosi go, żeby na nią spojrział. Felipe przygryza wargi i dusi w sobie westchnienie. Dlatego że Tensi spodziewa się

dziecka i on nie będzie mógł jej zobaczyć z ich dzieckiem w ramionach.

Powraca ból. Felipe stara się podnieść i dojrzeć ścieżkę, po której ma wrócić Paulino.

Wszyscy pozostali nie żyją.

I teraz on także umrze, samotnie, porzucony w lesie, całując portret Tensi. Tensi. Tensi.

Powinien się teraz zastrzelić.

Jeden strzał. Teraz. Paulino powinien go zastrzelić, kiedy o to poprosił. Ale tego nie zrobił.

– Nie chcę, żeby złapali mnie żywego.

Ale jego współtowarzysz nie przystał na to żądanie.

– Nie złapią cię.

Przytrzymał go w pasie, otoczył ramieniem i powlókł w bezpieczne miejsce, zanim sam udał się po pomoc. Ukrywali się przez wiele godzin pod mostem, który przemierzyli gwardziści, odchodząc triumfalnie z ciałami ich współtowarzyszy przewieszonymi na mulicach. I tam, w ich kryjówce, opatrzył mu ranę, zakładając opatrunek ze świeżej żywicy z sosny, i wysłuchał, jak opowiadał o swojej kobiecie i o tym, jak bardzo ją kochał, i jak bardzo ją kocha.

– Zaprowadź mnie do niej.

Nakazał mu, żeby go do niej zaprowadził. Bez przerwy go błagał, nie skarżąc się na kulę tkwiącą w boku, a jedynie ubolewając nad tym, że nie ma przy nim Tensi.

– Zaprowadź mnie do niej.

– Przedtem trzeba wyciągnąć kulę.

Paulino pomyślał o don Fernandzie. Dlatego że don Fernando był lekarzem i w dalszym ciągu był im coś winien. Za to, co stało się w Paracuellos. Tak, przypomniał sobie o don Fernandzie, doktorze Ortedze, i o Paracuellos del Jarama. Felipe i Paulino poznali go na pierwszym zebraniu Rady Obrony Madrytu, w Ministerstwie Wojny, a parę dni później zobaczyli niedaleko lotniska Barajas, razem z Kolcowem, kiedy przynosili ponad tysiąc więźniów z więzienia Modelo. Powiedzieli, że zabierają ich do innego więzienia. W dalszym ciągu jest im coś winien. Zatrudnienie siostry Hortensii u siebie w domu to przysługa, ale nie spłata długu.

Nie słuchając Felipe, który cały czas po cichu opowiadał o Tensi, Paulino zdecydował, że uda się do don Fernanda. Tak postanowił, kiedy czekał na odpowiedni moment, żeby iść na spotkanie z ich łączniczką w gospodarstwie w El Altollano. Nie pozwoli umrzeć swojemu kompanowi. Nie pozwoli na to. Nie mógł nie dopuścić do śmierci pozostałych. Nie udało mu się ich namówić, żeby zmienili miejsce obozu jeszcze tego samego ranka, kiedy podszedł do nich ten mężczyzna, który zbierał drewno i wrzucał je na wóz zaprzęgnięty w woły. Pies, który szedł razem z nim, zaczął szczekać, a osiłek zsiadł z wozu, żeby zobaczyć, dlaczego szczeka. Pies i jego właściciel zatrzymali się sto metrów od grupy, która zdążyła już wycelować broń, słysząc ujadanie. Mężczyzna szykował się do ucieczki.

– Nie ruszać się.

Nie ruszył się. Nie mógł się ruszyć.

– Wiesz pewnie, kim jesteśmy. Jesteśmy wojownikami, obrońcami Republiki.

– Coś tam słyszałem.

– Co teraz zrobisz?

– Nie wiem, co mam zrobić.

– Trzymaj gębę na kłódkę i nie mów nikomu, że nas widziałeś.

– Nikomu nic nie powiem.

– Jeżeli powiesz, że nas widziałeś, sam siebie wystawiasz na niebezpieczeństwo, może nie dzisiaj ani nie jutro, ale przypłacisz to życiem.

– Nie, nie. Możecie być spokojni.

Ten mężczyzna miał strach w oczach. Krzyknął Niech żyje Republika! i uśmiechnął się. Ale po gęszej skórcie na jego rękach i zjezonych włosach widać było, że się boi. Trząsał się cały i odchodząc, kilkakrotnie odwrócił się w ich kierunku.

- Wcale nie ucieszył go nasz widok, możesz być pewien. Widziałeś jego ręce?
- A ty znowu swoje.
- Ten typ na nas doniesie.
- Daj spokój.
- Jeżeli tu zostaniemy, sprzątną nas. Będziemy tu mieli krwawą jatkę.
- Tylko coś przekąsimy i idziemy.

Wszystkim dawało się we znaki zmęczenie po całonocnej wędrówce. Padało i byli przemoknięci. Paulino nie nalegał. Rozpalili ognisko, żeby się wysuszyć, i postanowili odpocząć. Gwardzistom nie zajęło dużo czasu, żeby ich okrążyć. Była trzecia po południu i jedli obiad. Gwardziści wyszli z ukrycia i wzięli ich w krzyżowy ogień. Niektórzy towarzysze nie zdążyli nawet przełknąć kawałka sera. Nie wytrzymali nawet pierwszego ataku. Nawet jednego ataku. Felipe i Paulinowi udało się znaleźć lukę we fłance, rozerwali szyk granatem, ale Felipe został postrzelony i nie mogli uciec dalej niż kilka metrów. Ukryli się wśród zasiewów osłoniętych niewielkimi chaszczami. Właśnie wtedy Felipe poprosił swojego towarzysza, żeby go zastrzelił.

- Nie pozwól, żeby pojмали mnie żywcem. A sam nie mam odwagi.

Paulino też nie miał odwagi. Pomógł mu przeczołgać się w zarośla i tam, skuleni z bronią przy twarzy, my albo oni, słuchali głosów, które się zbliżały.

Dwunastu partyzantów było martwych. I przynajmniej pięciu gwardzistów poległo w wyniku eksplozji. Felipe chciał rzucić kolejny granat, ale Paulino go powstrzymał.

- Poczekaj, wydaje mi się, że nas nie zauważyli.
 - Zabiję pierwszego, który nas zobaczy.
- Pojawił się gwardzista, a za nim sierżant.
- Panie sierżancie, tutaj jest krew, jeden z nich jest ranny.
- Felipe i Paulino poczuli, że są zgubieni.
- Dziś rano włożyłem nowy mundur i ani myślę go tutaj upaprać.
 - Dadzą panu następny.

Prawdopodobnie sierżant zdawał sobie sprawę z tego, że w zaroślach czyha na niego śmierć. Prawdopodobnie dlatego nie dał się przekonać, mimo że tamten nalegał. I odeszli. Prawdopodobnie uciekli przed Felipe i Paulinem. Prawdopodobnie ci obaj zawdzięczali życie nowemu mundurowi sierżanta. Obaj wpatrywali się, jak tamci wraz z pozostałymi gwardzistami odchodzą w stronę mostu.

Intuicja podpowiedziała Paulinowi, że najlepszym miejscem na ukrycie Felipe, kiedy pójdzie poszukać pomocy, będzie droga, którą gwardziści się wycofali. Most.

Ze swojej kryjówki widzieli zmasakrowane ciała współtowarzyszy przytroczone do mulic, kołysały się im głowy i ręce. Dwunastu. Ernesto. Maczuga. Galisyjczyk. Patrzyli na nich, nie mogąc odróżnić jednego od drugiego. Sebas. Carlos. Ich pokiereszowane twarze. Victoriano. Toreador. Mały. Tomás. Paco. Sztamajza. Murillo. Ale Paulino nie pozwoli umrzeć Kordowiańczykowi. Pójdzie poszukać Carminy, żeby sprowadziła Pepitę, a Pepita przyprowadzi lekarza, który wyjmie kulę. A później Paulino dotrzyma obietnicy. Dlatego że Felipe chce zobaczyć Hortensję.

- Przysięgnij, że mnie do niej zaprowadzisz, przysięgnij.
- Przysięgam.

Pełne strachu oczy dziewczyny kazały Paulinowi zapomnieć o własnym strachu i o pośpiechu, żeby jak najszybciej wrócić do Felipe. Jej błękitne spojrzenie nie pozwalało mu odejść. Paulino wiedział, że zdradził ich mężczyzna z gęsią skórą na dłoniach. Był tego pewien. I nie miał najmniejszych wątpliwości, że gwardziści wrócą na wzgórze. Łączniczka go uprzedziła:

– Położyli waszych na peronie na stacji, żeby wszyscy mogli ich zobaczyć, zanim wrzucą ciała do zbiorowej mogiły. Ale wiedzą, że dwóch brakuje. Wiedzą, że dwóch uciekło w czasie obławy, i domyślają się, że jednym z nich jest Czarna Kurtka. Wrócą.

Wrócą. Wrócą, tak mu powiedziała. A on poprosił, żeby zawiadomić Pepitę. A następnie pobiegł do Felipe, nie tracąc ani minuty.

Nie tracąc ani minuty, powinien teraz wrócić do Felipe.

Ale te błękitne oczy nie przestają się w niego wpatrywać.

– Muszę już iść, spóźnię się na pociąg.

– Felipe jest ranny.

– Ranny?

I w niemożliwie niebieskie oczy zagląda jeszcze większy strach niż przedtem.

– Ranny?

– Potrzebuje lekarza.

Lekarz. Felipe potrzebuje lekarza, a Pepita jeszcze nie wie, o co Paulino ją poprosi.

– Ciężko ranny?

– Potrzebuje lekarza.

– Już mówiłeś. Jest w ciężkim stanie?

– Ma kulę, trzeba ją wyjąć.

– I co kazał mi przekazać?

– Pracujesz w domu lekarza.

– Don Fernando nie jest lekarzem.

– Był nim.

– Don Fernando?

Pepita zaczyna się już domyślać, o co Paulino ją poprosi, ale nie ma jeszcze pewności.

– Don Fernando nie jest lekarzem. Nigdy nic o tym nie słyszałam. Pracuje u jubilera na ulicy Moratín.

– Był lekarzem. A jeśli ktoś był lekarzem, na zawsze nim pozostanie.

– Mówię ci, że nie!

– Jest, dziecinko, nie spieraj się. Ktoś musi wyciągnąć kulę Felipe, bo jeżeli mu jej nie wyciągną, umrze.

– Oj, matulu, matuleńko!

Tak, teraz już Pepita wie, o co ją poproszą.

– I chcesz, żebym przyprowadziła tutaj don Fernanda. Mój Boże. Teraz wreszcie rozumiem, chcesz, żebym go tutaj przyprowadziła.

– Nie, nie tutaj. Po południu dowiesz się, gdzie go przyprowadzić. Wzgórze nie jest już bezpieczną kryjówką.

Nie jest już bezpieczną kryjówką. Pepita rozgląda się w prawo, w lewo, tak samo, jak

widziała, że robi to jej sąsiadka, patrzy przed i za siebie.

– Don Fernando może na mnie donieść, jeżeli go o to poproszę.

– Powiedz mu, że przychodzisz ode mnie. Powiedz mu, że przychodzisz z polecenia

Paulina Gonzaleza.

– Na ciebie też może donieść.

– Nie zrobi tego.

– Sporo wiesz, nie ma co!

Paulino znowu zaczyna się śmiać. A Pepita znowu go pyta, dlaczego się śmieje.

– A teraz dlaczego się śmiejesz?

– Moja łączniczka powie ci, dokąd zaprowadzić lekarza. Idź punktualnie o drugiej na targ Cebada, znajdź stanowisko dwadzieścia sześć i zapytaj o Carminę. Ona zapyta, czy chcesz kupić pomidory. Odpowiesz jej, że chcesz pomidory, pietruszkę i pory. Zapamiętasz? To bardzo proste, pomidory, pietruszka i pory. Wszystko na pe.

– Jak Paulino.

– I jak Pepita.

Chciałaby go poprosić, żeby tak na nią nie patrzył. Ale go nie prosi.

– Chcę zobaczyć Felipe.

– Nie.

Nie, odpowiedział Paulino. I dodaje:

– Nie teraz. Zobaczysz go tej nocy. Do zobaczenia, dziecinko.

I Pepita się odwraca, żeby odejść.

– Do zobaczenia.

Żegnając się, Paulino przytrzymuje jej ramię.

– Pamiętaj: pomidory, pietruszka i pory. I nie mów o tym nikomu. A już na pewno nie żonie don Fernanda.

Pepita zapewnia Nie powiem, nie martw się. Chociaż wolałaby zapytać, dlaczego doña Amparo ma nic nie wiedzieć. Chciałaby wyznać, że nie ma odwagi z nikim rozmawiać, z don Fernandem też nie. Chciałaby zapytać, dlaczego jego łączniczka nie może tego załatwić. Dlaczego? Ale nie pyta. Dlaczego ona? I zostawiając Paulina, kurczowo trzyma oba rogi chustki i wbija oczy w ziemię.

Dlaczego ona?

Dlaczego?

Uciec to nie znaczy wsiąść do pociągu. To nawet nie znaczy się oddalić. Uciec to nie znaczy być daleko. Pepita opiera głowę o szybę, starając się nie patrzeć na wzgórze. Przymyka oczy, żeby oddalić się od Paulina. Bo Paulino pogłaskał ją po włosach. I powiedział Hortensia też jest bardzo ładna. Też, powiedział. Chwytał ją za ramię i rzekł Do zobaczenia. I spojrzął jej w oczy. A Pepita zabrania sobie teraz patrzeć na wzgórze, bo chce oddalić się od Paulina i od tego, o co ją poprosił. Zamyka oczy, choć doskonale wie, że pociąg jedzie dokładnie tam, skąd chciałyby uciec. Im bardziej oddala się od Paulina, tym bardziej zbliża się do don Fernanda i wraca do Paulina.

– Jeszcze wszędzie jest krew, widzieliście?

– Nie pozwolili, żeby ktokolwiek ją zmył.

Szepty współpasażerów sprawiają, że Pepita aż podskakuje.

– Jaka krew?

Prawie krzyczy.

– Dziewczyno, nie widziałaś peronu?

Nie, ona nie widziała peronu. Patrzyła na peron, ale go nie widziała.

– Wczoraj zabili dwunastu.

– Dziesięciu.

– Mnie powiedzieli, że dwunastu.

Szepty. Szepty z ust do ust. Kobiety pochylają się ku sobie, żeby Pepita nie mogła ich słyszeć. Ale Pepita je słyszy.

– Ja ich widziałam i było ich dwunastu.

– Cały oddział Czarnej Kurtki.

– Nie mów mi, że zabili Czarną Kurtkę.

– Nie, Czarnej Kurtki nie było wśród zabitych, on i jeszcze jeden uciekli.

– I zanim to zrobili, zabili pięciu albo sześciu gwardzistów.

– Co ty możesz wiedzieć, tego nigdy nie mówią.

– Nie mówią, pary z ust nie puszcza, ale w gospodarstwie w El Altollano powiedzieli, że Czarna Kurtka zabił pięciu czy sześciu gwardzistów i że uciekł z jednym ze swoich, który jest ranny.

– To znaczy, że Paulino jest Czarną Kurtką.

Pepita wypowiedziała to na głos, ale żadna ze współpasażerek jej nie usłyszała.

Tak, Paulino jest Czarną Kurtką.

Paulino jest Czarną Kurtką. I patrzył jej w oczy. Jest Czarną Kurtką i dlatego zna don Fernanda. Pepita patrzy w stronę wzgórze i zastanawia się, dlaczego Paulino nie powiedział jej, że jest Czarną Kurtką. Ona ma wiadomość od Czarnej Kurtki.

Dojeżdża na dworzec Delicias, myśli w dalszym ciągu o Paulinie. Wsiada z pociągu nieśpiesznie. Po drodze przygląda się parom, które wstały wcześniej, żeby móc się poprzytulać. Zakochani, którzy umawiają się na peronie i udają żegnających się podróżników. Bo gdyby obejmowali się na ulicy, mogłaby spotkać ich kara za sianie publicznego zgorzenia.

I nieśpiesznie idzie w stronę metra, rozglądając się na boki, z głową schowaną w ramionach. Ma wiadomość od Czarnej Kurtki. Jedzie metrem, spoglądając podejrzliwie na współpasażerów. Ma wiadomość od Czarnej Kurtki. I wyjdzie na zewnątrz, obserwując tych, którzy wchodzą po

schodach razem z nią. Będzie przyglądać się przechodniom. Przemierzy ulice. Powoli. La Puerta del Sol, Montera, plac Jacinta Benavente. Atocha. I stanie na progu pensjonatu, rozejrzy się w prawo i w lewo, zanim wejdzie. Dlatego że ma wiadomość od Czarnej Kurtki. Dzwony kościoła Świętego Judy Tadeusza wybiją pół godziny. Wpół do dziewiątej. Będzie miała jeszcze czas, żeby sprzątnąć łazienkę i pomóc pani Celi w kuchni, zanim pójdzie do domu don Fernanda.

Kiedy Pepita otworzy drzwi wejściowe, natknie się na gospodynię w korytarzu.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, że wychodzisz?

Zaintrygowana doña Celia zapyta, dlaczego jej nie zawiadomiła. Bo Pepita budzi ją codziennie rano, żeby powiedzieć, że wychodzi, zanim pójdzie na stację po żużel.

Pepita usłyszy w głosie doñi Celi bardziej ciekawość niż irytację. I odkryje równocześnie, że trzęsą się jej kolana i z trudem łapie oddech. Odkryje, że ledwo trzyma się na nogach i nie potrafi spojrzeć gospodyni w oczy. Dlatego że ma wiadomość od Czarnej Kurtki. I zdziwi się, że stoi w korytarzu pensjonatu, bo nie będzie pamiętać, jak szła ulicami ani jak jechała metrem, ani jak szła po peronie, ani jak dotarła pociągiem do dworca Delicias. Pamięta tylko, że musi przekazać wiadomość don Fernandowi. Musi iść do jego domu.

– Jesteś biała jak śmierć, moje dziecko, co ci się stało?

I Pepita nie będzie chciała odpowiedzieć, dlatego że w głowie będzie miała pustkę, kompletną pustkę, i będzie wsłuchiwać się w daleki gwizd odjeżdżającego pociągu. Musi iść do domu don Fernanda. Ma wiadomość od Czarnej Kurtki. Ciężko jej słuchać gospodyni, ciężko jej na nią patrzeć, ciężko jej skupić wzrok, ciężko jej słuchać i chciałaby się oprzeć.

– Gdzie twoje wiaderko? Nie przychodzisz ze stacji, prawda?

Nie będzie chciała odpowiedzieć. Czuje, jak gwizd pociągu dudni w jej pustej głowie.

A ona jedzie tym pociągiem.

Robi jej się słabo.

I żeby nie upaść na podłogę, opiera się o ścianę.

Nie będzie chciała odpowiedzieć, choć, upadając, szepnie:

– Mam wiadomość od Czarnej Kurtki.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Doña Amparo zostawiła mężowi, don Fernandowi, wiadomość na stole w jadalni. Chce, żeby przyniósł jej mech, bo będzie ustawiać szopkę. I prosi go przy okazji, żeby zostawił trochę pieniędzy, bo wydała już te, które dał jej na ten tydzień, i nie starczy jej, żeby kupić bożonarodzeniowego indyka i dać Pepicie świąteczną premię.

Don Fernando czyta pośpiesznie, szukając śladów jakiegokolwiek uczucia w zapisanych na kartce słowach. Ale ich nie znajdzie, nie, ani śladu miłości żony. Ona żegna się z nim, przypominając, że pojutrze, w niedzielę, nie wysłuchają mszy w Świętym Franciszku, tylko pójdą do Świętego Sebastiana. Żeby pamiętał, że Święty Franciszek jest w renowacji, że w końcu będą restaurować ołtarz, który został zniszczony w czasie bombardowania.

Prawie dwa lata don Fernando nie rozmawia z żoną. Już od prawie dwóch lat widzą się jedynie w niedzielę. On bierze ją pod rękę na progu domu i idą do kościoła, patrząc przed siebie, kłaniając się tym, którzy ich pozdrawiają, jak nakazuje dobre wychowanie. Taka była umowa. Don Fernando będzie towarzyszył doñi Amparo na niedzielnej mszy, żeby nie dawać powodu do plotek. A ona będzie mieszkać w mieszkaniu na piętrze. Odeślą Felisę do domu i znajdą pomoc na przychodne.

– Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek tu spał. Nie życzę sobie żadnego świadka, który będzie opowiadał, co robimy i czego nie robimy.

Nie życzę sobie, nauczyła się mówić doña Amparo.

– Nie życzę sobie widzieć cię na piętrze. I nie życzę sobie schodzić na dół, kiedy ty jesteś na dole. Nie życzę sobie mijać się z tobą w korytarzach.

Nie życzę sobie, nauczyła się powtarzać.

– Nie życzę sobie, żebyś cokolwiek mi opowiadał. Cokolwiek, rozumiemy się? Nie życzę sobie nigdy więcej z tobą rozmawiać.

Taka była umowa, którą zawarli, kiedy doktor Ortega powiadomił żonę, że zaproponowano mu posadę księgowego u jubilera na Moratín i że porzuca medycynę.

– Widziałem za dużo krwi, Amparo.

– Wojna to wojna, a na wojnie jest dużo krwi, to właśnie powiedziałam twojemu ojcu, kiedy chciał na ciebie donieść. Co mu powiesz teraz, że nagle zacząłeś się jej bać?

Przypomniała, że ocaliła mu życie, że to ona przekonała jego ojca, żeby nie wspomniał o nim w prokuraturze.

– Przyniosłeś mi już wystarczająco dużo wstydu.

I doña Amparo powtarza, że don Fernando przyniósł wstyd swojemu ojcu:

– Wydaje mi się, że już wystarczająco dużo wstydu mi przyniosłeś.

I wypowiada te słowa, wiedząc, że ma rację. Dlatego że ojciec don Fernanda też jest lekarzem. I bliskim przyjacielem Francisca Franco. W czasie wojny pojechał za nim do Burgos, żeby być blisko kwatery głównej narodowców, co wystarczyło, żeby sama głowa państwa zdecydowała mianować go doradcą medycznym w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, kiedy skończyła się wojna. Ojciec nigdy nie wybaczył synowi, że pozostał wierny Republice i udzielał się w szpitalu Chamartín. Najadł się wstydu jeszcze w czasie walk, po czym zawstydził się jeszcze bardziej, kiedy Generalissimus stanął na czele Zwycięskiego Przemarszu Wojsk po Paseo de la Castellana w Madrycie, a jego syn odmówił wzięcia udziału w uroczystości. Cała

rodzina została zaproszona do łoża honorowej, gdzie siedzieli wszyscy dyplomaci. Straż przyboczna głowy państwa strzegła trybun, generał Varela odznaczył Generalissimusa Wielkim Krzyżem Orderu św. Ferdynanda, a jego syn nie chciał tego zobaczyć.

– Idź sama, ja nie zamierzam brać udziału w podobnej farsie, wiesz tak samo dobrze jak ja, czym zasłużył sobie na to wyróżnienie.

– Nie mów mi nic o farsach, Fernando, nic mi o nich nie mów. Ty, uosobienie szczerości, kapitan medyk Ortega, bohater z Paracuellos.

– Mówiłem ci wielokrotnie, że nie byłem w Paracuellos.

Doña Amparo przypomina mężowi tę kłótnię i dodaje, że to jej udało się przekonać teścia, że nie był w Paracuellos del Jarama.

– Mój ojciec nigdy nie dał się przekonać.

– Ale na ciebie nie doniósł. Ani ja. Nie było dla mnie ważne to, co zrobiłeś.

– Amparo, musisz zrozumieć. Krew budzi mój wstręt, brzydzę się nią.

– Zrozumieć? Wysłałam za męża za chirurga, i tyle rozumiem, za chirurga, i jeśli przestaniesz być chirurgiem, możesz jechać do Rosji ze swoimi przyjaciółmi komunistami, ale będziesz jeszcze tego żałował. Nie będziesz mi robił wstydu przed wszystkimi i nie będę nikomu tłumaczyć, że przestałeś być lekarzem, bo brzydzisz się krwi. I nie zamierzam nikomu opowiadać, że teraz postanowiłeś zająć się buchalterią. Nie ma mowy, nie zamierzam robić z siebie pośmiewiska. Czy ty naprawdę nie widzisz, co robisz? Ja nie pozwolę się ośmieszać.

Przez kolejne miesiące don Fernando starał się złagodzić złość małżonki. Znowu pracował jako lekarz i przysiągł żonie, że nie powrócą do tego tematu. Udało mu się wskórać tyle, że kiedy wracał do domu, witała go pocałunkiem. Don Fernando ją kochał. Udało mu się też wskórać, że oddawała mu się w sypialni. Kochał ją, ale czuł, że jej oddanie wymagało od niego całkowitego podporządkowania, a to było dla niego męczące. Ta kapitulacja go gnębiła i sprawiała, że popadał w melancholię, z której nie mógł się otrząsnąć.

– Nie wytrzymam już dłużej, Amparo, musimy porozmawiać.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Nie chcę o niczym rozmawiać.

– Będę pracował u jubilera.

Dużo go kosztowało wypowiedzenie tego zdania, ale je wypowiedział. A jego żona nie zaakceptowała tego, jak można się było spodziewać. Przeniosła na górę wszystkie swoje rzeczy i krzyknęła, że nie życzy sobie już nigdy więcej z nim rozmawiać.

– Nigdy, słyszysz? Nigdy więcej.

Dodała, żeby nie przyszło mu do głowy wejść na górę, nigdy.

– Nigdy, chyba że przyjdiesz mi powiedzieć, że znowu jesteś lekarzem. A ja stąd nie zejdem, dopóki będziesz księgowym u jubilera.

Tego samego popołudnia Felisa przyszła się pożegnać z dołą Celią. A doña Celia udała się do don Fernanda w imieniu Czarnej Kurtki.

– Siostra jednej z uwięzionych towarzyszek szuka pracy.

Zgodnie ze zwyczajem to pani domu najmuje służbę, jednak don Fernando podjął decyzję, nawet nie konsultując jej z żoną.

Następnego dnia, punktualnie o dziesiątej, don Fernando otworzył drzwi wejściowe dziewczynie o niemożliwie niebieskich oczach.

Zaczął padać pierwszy śnieg tej zimy, kiedy Pepita dochodziła do domu don Fernanda. Nieśmiało zadzwoniła do drzwi, nacisnęła delikatnie dzwonek, raz, tylko raz. On czekał na Pepitę, gotowy do wyjścia, w pelerynie narzuconej na ramiona i z kapeluszem w dłoni. Zdziwił go brak energii w tym dzwonku. Zdziwił go, ponieważ była dziesiąta rano, godzina, o której zjawiała się Pepita. A Pepita nigdy nie dzwoniła w ten sposób. Zanim don Fernando otworzył drzwi, spojrział przez okno, żeby zdecydować, czy brać parasol, czy nie. Po czym podszedł do drzwi i spojrział przez judasza. Tak, to była Pepita. Schował liścik od żony do kieszeni. I otworzył.

Padął śnieg.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry panu.

– Widziałaś? Pada śnieg.

Pepita nie odpowiedziała mu uśmiechem. Nie zamknęła drzwi. Nie zdjęła palta ani nie skierowała się do kuchni. Zatrzymała się w progu, wpatrując się uważnie w don Fernanda. On włożył kapelusz, stojąc przed lustrem przy wieszaku na okrycia, zdziwiony brakiem entuzjazmu u dziewczyny. Dlatego że padał śnieg, a ona nie podbiegła do okna, żeby popatrzeć.

– Pani jest w domu?

– Jest na mszy.

Wówczas zamknęła drzwi i podeszła do don Fernanda. On zauważył w lustrze jej odbicie, sińce pod oczyma, blade usta, zaczerwienione oczy. Odwrócił się do niej i zapytał, czy płakała.

– Płakałaś?

– Muszę panu coś powiedzieć.

Don Fernando nachylił się nad nią.

– Dobrze się czujesz?

Zauważył jej bladość. Złapał ją za przegub i zmierzył puls.

– Jesteś na skraju omdlenia.

– Muszę panu powiedzieć coś niezwykle ważnego.

Bojąc się, że znowu zemdleje, zanim powie to, co ma do powiedzenia, Pepita bierze oddech i powtarza:

– Muszę panu coś powiedzieć.

Don Fernando prowadzi ją do najbliższego krzesła i pomaga jej usiąść.

– Przyniosę ci szklankę wody z cukrem.

Kiedy wraca z kuchni, mieszając szybko łyżką wodę z cukrem, widzi Pepitę z łokciami na kolanach, ze spuszczoną głową i z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Masz, wypij to.

– Mam wiadomość od Paulina Gonzaleza.

Teraz to don Fernando blednie. Z wyciągniętą w stronę Pepity szklanką nalega:

– Wypij to.

I siada obok niej.

– Powoli.

Pepita pije. Powoli.

– Do dna.

Ostatni łyk jest najślodszy.

– Pan jest lekarzem.

On milczy.

Ostatnie słowa będą najtrudniejsze, słowa, które muszą zostać wypowiedziane, ale równocześnie zakończą jej udękę. Powie płynnie, że Paulino González potrzebuje lekarza, bo Felipe jest ranny i trzeba wyciągnąć mu kulę, żeby nie umarł. Powie, płynnie, że don Fernando jest lekarzem, którego Felipe potrzebuje, że Felipe jest mężem jej siostry Hortensii i że Hortensia jest więźniarką, i jest w ciąży, i umrze, jeśli Felipe nie przeżyje, i że łączniczka przekaże jej kolejne wskazówki na targu, żeby mogła zabrać don Fernanda i żeby ten z kolei wyjął kulę Felipe. I żeby nie dowiedziała się doña Amparo.

– Nie wiem, dlaczego pani nie może się o tym dowiedzieć, ale ma się nie dowiedzieć. Tak mi powiedział Czarna Kurtka. Tak właśnie mi powiedział. I że pan na mnie nie doniesie, to też mi powiedział, że pan na mnie nie doniesie.

Ave María, numer szesnaście. Ave María, powiedziała Carmina Pepicie na targu Cebada, kiedy ta poprosiła o pomidory, pietruszkę i pory. Ave María. A Pepita rozpoznała w niej kobietę, która rozwieszała pranie na balkonie. Carmina mówiła przez minutę, nawet na nią nie patrząc. Podała jej miejsce i godzinę spotkania: ulica Ave María, numer szesnaście, trzecie piętro, drzwi po prawej, dziś w nocy o dziewiątej trzydzieści. I poszła na tyły stoiska z warzywami.

Pepita wróciła do pensjonatu. Zjadła obiad, mało i w milczeniu. Pomogła gospodyni podać do stołu i pozbierała okruszki ciemnego chleba do aksamitnego woreczka. W milczeniu zebrała talerze i sztućce ze stołu i w milczeniu pozbierała okruszyny, nie odpowiadając na pytania doña Celi, wypierając się tego, co wyszeptowała rano, zanim upadła jak długa na podłogę.

– Nie mówiłaś, że przynosisz mi wiadomość od Czarnej Kurtki?

– Nie, proszę pani.

Wobec niedomówień dziewczyny doña Celia zdecydowała się więcej nie pytać. Ale kiedy przygotowywała dla siebie napar z cykorii w kuchni, Pepita podeszła do niej, pociągając nosem, usiadła na krześle, wybuchnęła płaczem i wszystko jej opowiedziała. Wszyściusieńko. I opowiedziała jej tak sama z siebie, mimo że ona wcale ją o to nie prosiła.

Kiedy Pepita zmywa naczynia, a łzy spływają jej po policzkach, doña Celia, popijając napar z cykorii, stara się uspokoić dziewczynę.

– Nie denerwuj się, moje dziecko, wszystko będzie dobrze. Czarna Kurtka wie, co robi. A ty się przyzwyczaisz znosić to ze spokojem.

– Nie mam zamiaru do niczego się przyzwyczajać. Po dzisiejszej nocy niech o mnie zapomni i niech na mnie więcej nie liczy, z tego może wyniknąć tylko jakieś nieszczęście, tylko nieszczęście, a ja już miałam ich wystarczająco. Nie wiem jak pani, ale mnie partia przyniosła same nieszczęścia, nic więcej. Tej nocy przyprowadzę doktora i przewycięzę strach, dlatego że nie mam już innego wyjścia, jak tylko go przewyciężyć. Ale nigdy więcej. Wydarzą się nieszczęścia, które sprawią, że będziemy płakać, a to jest ostatni raz, kiedy płaczę, już odpokutowałam za swoje winy i już wypłakałam wszystko, co miałam wypłakać, i nie mam zamiaru więcej.

– To samo i ja mówiłam, kiedy pierwszy raz poszłam na cmentarz.

– To nie to samo.

– Owszem, to nie to samo.

I to nie było to samo, dlatego że doña Celia nie płakała. I dlatego że doña Celia nie chodziła codziennie na cmentarz do córki, jak sądziła Pepita. Ona nawet nie wiedziała, czy Almudena jest tam pochowana. Była jedynie pewna, że córka nie żyje. Owszem, to nie było to samo. Mimo że doña Celia odczuwała identyczny lęk jak ten, który ledwo znosi teraz Pepita, kiedy jej siostrzenica Isabel podeszła do niej na placu Antona Martina i powiedziała jej na ucho:

– Muszę ciocię poprosić o przysługę.

Chciała poprosić ją o przysługę. Isabel miała jej powiedzieć, że grabarz codziennie jadał u niej w pensjonacie. I opowiedziała jej, że codziennie rano przy bramie Cmentarza Wschodniego ustawia się rząd kobiet.

– Czekają, ale nigdy nie wolno im wejść.

Kobiety, które stawały w kolejce, wiedziały, że zastrzelą kogoś z ich rodziny, i miały nadzieję, że pozwolą im zobaczyć zmarłych.

– Zanim wrzucą ich do zbiorowej mogiły.

Musi tylko poprosić grabarza, powiedziała siostrzenica, kiedy dochodziły do zaułku Doré, przed wejściem na targ, musi tylko go poprosić, żeby pozwolił nam się schować za panteonem, mnie i jeszcze jednej.

– Nie musi ciocia robić nic więcej, tylko go poprosić.

– Nic więcej. Nic więcej, tylko go poprosić. Jakby to było takie proste. Jakby poprosić grabarza, żeby pozwolił ukryć się dwóm kobietom za panteonem, było tym samym, co zapytać go o godzinę. Jesteś szalona, Isabelito.

A jednak poprosiła go jeszcze tego samego dnia. I w zamian obiecała serwować mu większe porcje i więcej ciemnego chleba niż komukolwiek. Poprosiła go i nazajutrz rano, o świcie, poszła na cmentarz ze swoją siostrzenicą, dławiąc strach. Ale teraz już się nie boi. Wyzbyła się strachu tak samo jak łez. I razem ze strachem i ze łzami wyzbyła się złości, gniewu, które musiała dusić w sobie, schowana za grobowcem na Cmentarzu Wschodnim, kiedy wsłuchiwała się w wystrzały z karabinów i kiedy ich dobijali. Teraz czuła jedynie gorycz, którą przełykała wolno wraz ze smutkiem, kiedy podchodziła do ciał z nożyczkami w dłoni. I doña Celia słucha przeplatanych przekleństwami skarg Pepity, która z furią zmywa naczynia, pociągając nosem.

– Żeby to szlag trafił. Robię to dla mojej siostry, wie pani? Tylko dla mojej siostry, której bardzo mi szkoda. Bóg mi świadkiem. Ale przeklinam partię i Czarną Kurtkę, i matkę, która ich urodziła. To ta cholerna partia jest wszystkiemu winna. Niech mi pani wybaczy, jeśli ją obrażam, ale jeśli ta partia do czegokolwiek by się nadawała, nie byłibyśmy teraz w takiej sytuacji, w jakiej jesteśmy, pani Celio, proszę nie mówić, że nie, bo naprawdę sprawa jest poważna. Przyprawdzą mu lekarza dziś wieczorem, ale nigdy więcej.

Pierwszy raz, kiedy doña Celia udała się na Cmentarz Wschodni, powtarzała sobie, że już nigdy więcej tego nie zrobi. I odeszła, płacząc. Zrobiła to dla Almudeny, bo doña Celia nie miała tego szczęścia i nie wiedziała, kiedy rozstrzelali jej córkę. Nie mogła oddać jej ostatniej posługi, zamknąć jej oczu ani zetrzeć krwi z twarzy, zanim przysypali ją ziemią. Almudena. Dlatego codziennie rano idzie na cmentarz i chowa się razem z siostrzenicą Isabel za panteonem, dopóki słyhać strzały. Dlatego podbiega potem do ciał zabitych i nożyczkami odcina kawałki ubrań, które mają na sobie, i pokazuje je kobietom czekającym przy wejściu na cmentarz. Tym, które wiedziały, że rozstrzelają kogoś z ich rodziny; ażeby niektóre z nich mogły po tych skrawkach rozpoznać swoich bliskich, wejść na cmentarz. I żeby mogły zamknąć im oczy. I obmyć zakrwawione twarze.

– Pani Celio, myśli pani, że mogłabym już zdjąć żałobę?

Żeby nie czuć zimna, Pepita przymyka oczy. Idzie po śniegu, wysoko podnosząc nogi i uginając kolana rytmicznie niby brodzący ptak. Jej buty nie są odpowiednie na ten śnieżny wieczór, ale to jedyne, jakie ma. Doña Celia widziała, jak je poleruje, glancuje i wymienia w nich kartonowe wkładki, które nosi, od kiedy jedna z dziur przechodzi już prawie na wylot, do podeszwy. Widziała, jak wkłada buty, poprawia pończochy i przygląda się swoim nogom w lustrze garderoby, z przodu i z boku, wygładzając kolejne falbanki rękoma, tak jak robiła to Almudena, zanim wychodziła z pokoju, żeby iść na spotkanie z jednym z chłopców.

Odkąd wróciła z domu don Fernanda, Pepita była coraz bardziej zdenerwowana.

– Pani Celio, nie będzie się pani gniewać, jeśli nie pomogę jej dzisiaj przy kolacji? Muszę skrócić sukienkę.

– Nie, moje dziecko, poradzę sobie sama.

To była sukienka, którą odkładała na koniec żałoby. Sukienka z drukowanej tkaniny, w wielkie fioletowe kwiaty i w pęczki szarych i czarnych liści, ze spódnicą rozszerzaną do dołu, którą dostała od doñi Celi.

– Proszę spojrzeć, dobrze na mnie leży?

– Bardzo ładnie.

– Ale jest na mnie za długa, prawda?

– Troszeczkę.

– Podłożę jej rąbek.

Pod czułym spojrzeniem swojej gospodyni Pepita biegnie do pokoju, trzepocząc kwiatami na spódnicy. Ale niemal natychmiast wraca do kuchni.

– Może mi pani zrobić przysługę i wziąć miarę?

Doña Celia uśmiecha się i bierze od niej szpilki. Pepita łapie sukienkę w tali.

– Dobrze leży w biuście?

– Dobrze.

– Nie jest na mnie za ciasna?

– Nie.

– A pachy?

– Wyglądają dobrze.

– Sama nie wiem, wydaje mi się, że są za duże.

– Nie wyglądają na za duże.

Wróciła jeszcze trzy razy do kuchni. Trzy, żeby zapytać doñi Celi, czy nie sądzi, że trzy lata to za krótko, żeby nosić żałobę po ojcu.

– Nie chciałabym go zlekceważyć.

– A jeśli Hortensia się pogniewa?

– Nie byłoby lepiej powiedzieć o tym najpierw Hortensii, żeby ona też mogła zdjąć żałobę?

Odpowiedzi, które usłyszała, skróciły jej katusze:

– Połowa Hiszpanii chodzi w żałobie, jestem pewna, że twojemu ojcu spodobałoby się, że ty ją zrzucisz.

– Moje dziecko, a jakże twoja siostra mogłaby się na ciebie za to pogniewać?

– Kup dla niej kawałek materiału na placu Pontejos i następnym razem, gdy pójdziesz się

z nią zobaczyć, zaniesiesz go jej.

Punktualnie o dziewiątej Pepita opuściła pensjonat wystrojona jak na tańce w sukienkę w kwiaty, która należała wcześniej do Almudeny, i okryta paltem po ojcu. W drzwiach oczekiwał na nią don Fernando z torbą w dłoni. Pepita oblała się rumieńcem, widząc torbę, przypomniała sobie o ranie Felipe i natychmiast zaczęła żałować, że włożyła tę sukienkę.

I teraz idzie chodnikiem po ulicy Ave María, podnosząc nogi, wpatrując się w śnieg, nie mogąc ukryć podniecenia na myśl o ponownym spotkaniu z Paulinem i nie mogąc zapomnieć o swoim strachu, swojej trwodze i o swojej panice przed zaplanowanym spotkaniem. Boi się, że wielka, czarna jak smoła, włochata pajęczycza uwięzi ją w swojej sieci. Wpatruje się w śnieg, żeby nie widzieć niczego poza samym śniegiem, żeby nie widzieć, że zbliżają się do numeru szesnastcie, żeby nie widzieć świata. Chciałaby cofnąć się w czasie, znaleźć się w Kordowie. Chciałaby przenieść się do lata roku trzydziestego szóstego, do początku lata, kiedy Hortensia nie przywdziała jeszcze munduru, a Felipe zalecał się do niej, albo do czasu karnawału, na bal maskowy, kiedy ich ojciec mógł jeszcze je nauczyć, jak się śmiać. I czuje się winna, że pragnie zobaczyć Paulina, że chce mu się podobać w sukience Almudeny, że nie jest więźniarką jak jej siostra, że nie jest ranna jak Felipe albo że nie jest martwa jak jej ojciec. Czuje się winna, że włożyła tę sukienkę. Podnosi nogi wysoko i ugina kolana. I żeby uciec przed wielką pajęczyną, którą sobie wyobraża, lepka, rozpiętą między jej krokami, stara się nawiązać rozmowę z don Fernandem:

– Spadł śnieg.

On się uśmiecha.

– Tak.

– Napadało tyle śniegu, że nie widać świata.

– Potrzebuję więcej światła.

Wyciągnięty na stole w kuchni Felipe zdusił w sobie jęk, kiedy don Fernando dotknął rany.

– Nie ruszaj się.

Rana jest mniej poważna, niż obawiał się don Fernando. Wstrzyknął pacjentowi miejscowe znieczulenie i podsunął mu pod nos gazę namoczoną w eterze.

– Więcej światła, nie ma więcej światła?

Nie, nie ma więcej światła. Jest tylko jedna żarówka, która zwisa z sufitu. Mimo to udało mu się zręcznie wyciągnąć kulę. Wręczył ją pani domu, która już kilkakrotnie asystowała podczas drobnych zabiegów chirurgicznych. Wrzuciła ją do kubka z wodą, żeby ją umyć, wytarła w kuchenną szmatkę i podała rannemu, kiedy się obudził.

– Chcesz ją?

Nie, odpowiedział, jeszcze oszołomiony narkotykiem, i poprosił, żeby przyprowadziła jego szwagierkę.

– Powiedz mojej szwagierce, żeby przyszła.

– Jutro przyjdę zmienić mu opatrunek.

– Nie ma potrzeby, doktorze Ortega, pan już zrobił, co do pana należało.

– Przyjdę jutro o tej samej porze.

Pepita i Paulino czekali razem w maleńkiej sali bez okien przylegającej do jadalni. Przez cały czas operacji unikali patrzenia sobie w oczy. Pepita mówiła o Hortensii, o tym, jak bardzo kochali się z Felipe, i o tym, jak żałowała siostry, widząc ją za kratami. Po paru sekundach milczenia skrzyżowała ramiona, spojrzała Paulinowi prosto w oczy i zapytała go o to, o co nie miała odwagi zapytać go na wzgórzu. Pytanie chodziło jej po głowie, od kiedy powiedzieli sobie do widzenia.

– Dlaczego ja?

– Dlaczego co?

– Dlaczego to ja musiałam przyprowadzić don Fernanda? Dlaczego nie mogła przyprowadzić go Carmina?

– Dlatego że Carmina zna mnie i zna ciebie, nie ma żadnego powodu, żeby poznała jeszcze don Fernanda.

– A to dlaczego?

– Normalnie, dziecinko. To niebezpieczne, żeby jedna osoba znała wielu ludzi.

– Ale to ja teraz znam wielu ludzi, nie rozumiem, dlaczego musiałeś mnie w to wpakować.

– Ależ ty już dawno jesteś wpakowana po uszy.

Pepita skrzywiła się. Spojrzała na ceratę, którą przykryty był stół, i podrapała paznokciem jej kraniec. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, pomyślała, że Paulino ma rację. I poczuła, jak pajęczka się owija się wokół niej. Była wpakowana, i to wpakowana po uszy, w całą tę historię. Nie patrząc na Paulina i nie zastanawiając się nad tym, co mówi, rzuciła, że nie wygląda jak Czarna Kurtka.

– Dzisiaj nie wyglądasz jak Czarna Kurtka.

I nie przypominał Czarnej Kurtki, bo Paulino nie miał przy sobie karabinu ani kaszkietu,

ani wojskowej kurtki; miał na sobie dwuczęściowy garnitur, kamizelkę, wykrochmalony kołnierzyk i krawat.

– Czarna Kurtka?

– Jesteś Czarna Kurtka, chyba nie zaprzeczysz.

– Chyba nie chcesz tyle wiedzieć.

– Ojej, mój Boże, a można wiedzieć czemu nie?

Nie odpowiedział, ograniczył się do uśmiechu.

Spędzili w pokoju bez okien ponad godzinę, kiedy wreszcie kobieta, która pomogła don Fernandowi, otworzyła drzwi.

– Gotowe. Maleńka, twój szwagier cię prosi.

Oboje wstali i skierowali się do kuchni. Pepita szła przodem, za nią Paulino. Nim się zorientowała, zaczęła kołysać biodrami. Paulino nie przestawał wpatrywać się w nią po kryjomu, dopóki nie stanęli przed Felipe.

– Nie umrę, Pepo.

– Nie mów do mnie Pepa, mów Pepita.

– Tak jak wtedy, kiedy byłaś mała.

– Tak.

– Wcześniej ci nie podziękowałem.

– Do usług, po to jesteśmy.

– Dziękuję, Pepito, z całego serca.

Ona odgarnęła kosmyk z czoła i powtórzyła:

– Po to jesteśmy.

Uśmiechnęła się, oboje się uśmiechnęli. Felipe wyciągnął do niej rękę, a Pepita wzięła jego dłoń w swoje.

– Ślicznie wyglądasz.

Wtedy Paulino spojrział na nią otwarcie i powiedział:

– Tak. I ma oczy w niemożliwym kolorze.

I też się uśmiechnął. Pepita oblała się rumieńcem, przełknęła ślinę i ścisnęła rękę Felipe.

– Jak to dobrze, że nie umrzesz.

– Pójdę zobaczyć się z Tensi.

Ciemne oczy Felipe poszukały potwierdzenia w oczach Paulina, potwierdzenia złożonej na wzgórzu obietnicy.

– Paulino mnie do niej zaprowadzi.

Paulino potwierdził skinieniem głowy, a Pepita zarzuciła im obu, że kompletnie powariowali.

– Doszczętnie powariowaliście?

– Możesz być spokojna, wszystko mamy dobrze obmyślane.

– Ależ wy dwaj za grosz nie macie oleju w głowie. Nie jesteście przy zdrowych zmysłach, to oczywiste. Jeśli was złapią, zabiją was obu.

– Nie złapią nas.

– Nawet niech wam przez myśl nie przejdzie, że dam się wpakować w ten pasztet! Już widzę, co się święci.

– Uspokój się, słońce.

– Uspokoić się? Słuchaj, kochany, ja się stąd zmywam, i to szybko, o niczym nie chcę wiedzieć.

Puściła rękę Felipe i wyszła z kuchni.

– Zaczekaj.

Pepita nie zaczekała. Skierowała się do pokoju bez okien, w którym czekał na nią don Fernando gotowy do wyjścia, ale zanim zdążyła otworzyć drzwi, dłonie Paulina zatrzymały ją, łapiąc za ramiona.

– Przysięgam ci to i dotrzymam obietnicy.

– Sam wiesz najlepiej, co komu przysięgasz, ale na mnie nie licz.

– Felipe przyjdzie do więzienia razem z dzieciną z Peñaranda de Bracamonte, której matka siedzi w Ventas, wejdzie jako jej mąż w dzień Bożego Narodzenia, tego dnia panuje zawsze harmider, nawet nie poproszą o dokumenty, nie zorientują się.

– Zawsze kręcicie, ale możesz być pewien, że mnie już w nic nie wkręcicie. Nigdy.

Rozumiemy się?

– Nie musisz nic robić.

– To mi niczego nie tłumacz, nie chcę nic wiedzieć. Wy kręcicie i kręcicie, ale przyjdzie taki dzień, że to oni wykręcą wam kota ogonem, a skąd możesz wiedzieć, że właśnie nie przez tę z Peñaranda de Bracamonte.

– To zaufana dziewczyna, działaczka Solidarności Robotniczej.

– Nie chcę tego wiedzieć! Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Nie denerwuj się. Jeżeli sądziłbym, że przez tę informację możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie, nie opowiadałbym ci o tym.

– Nie wiem, czy jestem w niebezpieczeństwie, czy nie jestem. Wiem tylko, że mój ojciec nie żyje, że moja siostra siedzi w więzieniu i że was dwóch zabiją. I nie chcę słyszeć ani pół słowa więcej. Zabijają was wszystkich, wszystkich.

Krzyknęła. Pepita krzyknęła, a gospodyni wyszła na korytarz, niosąc palto Pepity, za nią kroczył don Fernando.

– Co to za wrzaski, na Boga? Ściągniecie mi na kark policję.

– Proszę wybaczyć, nie chciałam, już miałam wychodzić. A pan idzie czy zostaje, don Fernando?

– Ja też wychodzę, czekałem na ciebie.

– No to w drogę! Gotowe, dobranoc państwu i ani pół słowa więcej, koniec kropka.

I lepiej, żebyśmy już wyszli, don Fernando, możemy iść.

Pepita włożyła palto i otworzyła drzwi; don Fernando przepuścił ją przodem i stanęli oboje w przedpokoju.

– Dobranoc.

Dobranoc, powiedziała gospodyni.

– Dobranoc.

Dobranoc, powiedział Paulino, przytrzymując drzwi. Ale ich nie zamknął. Kiedy Pepita i don Fernando schodzili po schodach, zawołał po cichu dziewczynę:

– Pepita.

– Słucham.

– Zaczekaj.

– Czego teraz chcesz?

Paulino zszedł po dzielących ich schodkach, nachylił się nad nią i szepnął jej do ucha:

– Masz narzeczonego?

Na górze pali się światło. Don Fernando, piętro niżej, słucha stukotu obcasów żony. Z rytmu kroków domyśla się, że czekała niecierpliwie na jego powrót. Wie, że chodzi od jednego krańca pokoju do drugiego i że będzie tak jeszcze tupać głośno przez jakiś czas, dopóki nie nabierze przekonania, że on zdaje sobie sprawę, jak jest późno. Jest późno. A ona jeszcze nie śpi. Jest późno jak na powrót do domu. Stukot jej obcasów będzie coraz cichszy. W końcu umilknie zupełnie. A don Fernando będzie słyszał jej płacz, jak wiele razy wcześniej. Podejdzie do schodów, nakręci zegar wahadłowy w korytarzu, robiąc przy tym dokładnie tyle hałasu, ile potrzeba, żeby doña Amparo zdała sobie sprawę, że on słyszy jej płacz. Chciałby wejść na górę, powiedzieć, że nadal ją kocha. A ona chciałaby zejść na dół. Ale żadne z nich nie ustąpi. Będą spali oddzielnie, wiedząc, że z każdym dniem dzielący ich dystans się pogłębia, i poczekają do niedzieli, żeby wziąć się pod rękę. Oboje wyczekują niedzieli już prawie od dwóch lat.

Ona napisze tej samej nocy wiadomość Nie wiem, z kim byłeś, ani mnie to nie interesuje. A on przeczyta ją rano. I ponownie zacznie się zastanawiać nad swoją pracą u jubilera. I ponownie przejdzie mu przez myśl, że może się pomylił. Lubił medycynę. I poczuje ucisk w klatce piersiowej, i będzie musiał zaczerpnąć głęboko powietrza. Trwoga zaprze mu dech w piersiach. Dlatego że przypomni sobie natychmiast Kolcowa, korespondenta „Prawdy”, który kazał się nazywać Miguel Martínez i był, jak mówiono, osobistym szpiegiem Stalina w Hiszpanii. W dniu, kiedy się poznali, śmiali się razem. Don Fernando nie wie, czy to Kolcow wydał rozkaz. Mówią, że to on, tak mówią. I mówią, że to on był odpowiedzialny za ewakuację więźniów politycznych z więzienia Modelo. Ponad tysiąc osób. Rząd uciekł do Walencji. Uciekli, choć nie chcieli się przyznać do ucieczki. Madryt był obleżony. A kapitan medyk Ortega dusi się w Paracuellos del Jarama. Dusi się. Dlatego że nie powstrzymał masakry. Kapitan medyk Ortega wyszedł natychmiast i na szosie prowadzącej na lotnisko Barajas pozdrowił Kolcowa, i nie mógł spojrzeć mu prosto w oczy. Dusi się. Patrzył, jak umierają więźniowie. Nie oddalił się od strażników, którzy strzelali. Nie oddalił się, dopóki nie skończyła się jatka. Patrzył. I jest winny. Patrzył. I nie powiedział Basta! ani razu. Basta! Patrzył, jak padają ciała. I dusi się. Patrzył, jak leje się krew. Krew. Tętnice. Żyły. Żyła szyjna wewnętrzna, tętnica szyjna wspólna, tętnica udowa, aorta, żyła biodrowa zewnętrzna, żyła odstrzałkowa. Krew z żył jest ciemniejsza. Oczywiście ta kula przebiła odstrzałkową. Patrzył. I rzucił się do ucieczki dopiero wtedy, kiedy zdał sobie sprawę, że przygląda się rozlewowi krwi tak, jakby diagnozował przyczynę krwotoku. Patrzył. Ani razu nie mrugnął. A teraz czuje wstręt. Możliwe, że zginęło tam ponad tysiąc osób, a on nie widział żadnej twarzy.

Nie wiem, gdzie ani z kim byłeś wczorajszej nocy. I w ogóle mnie to nie interesuje.

Przeczyta jutro. I będzie jak zawsze. Bo był chirurgiem. I nie chce do tego wracać. Nie chce więcej krwi. I dusi się, chociaż dzisiaj udało mu się wyciągnąć kulę. I nie zadrżała mu ręka. Dzisiaj trzymał lancet i nie pamiętał o krwi w Paracuellos del Jarama.

Przeczyta rano wiadomość, którą doña Amparo zostawi na kredensie, zanim pójdzie na mszę.

Będzie chciał poczekać, aż jego żona wróci z kościoła, żeby powiedzieć jej, że wrócił do zawodu. I że tej nocy też wróci późno, ale żeby się nie martwiła, że odwiedzi pacjenta, którego zoperował wczoraj. Ale tego nie robi. Pójdzie do jubilera owinięty szczelnie swoją peleryną i zostawi na talerzyku na kredensie pieniądze, których zażądała doña Amparo w wiadomości:

Nie zostawiłeś mi nic dla Pepity ani na indyka, a twoi rodzice przychodzą na obiad w Boże Narodzenie.

Za świąteczny dodatek do pensji, który otrzymała od doñi Amparo, Pepita chciałaby kupić Hortensii kawałek materiału. Uszyje luźną sukienkę, która będzie jej służyć przez całą ciążę i która ochroni ją przed zimnem. Poszuka szarej flaneli w białe kwiatki. Ma czas; jeżeli się pośpieszy, zdąży do magazynu z konfekcją damską przy placu Pontejos, zanim pójdzie na Puerta del Sol po indyka, którego kazała jej kupić doña Amparo.

Przyśpiesza kroku. Nie lubi załatwiać prywatnych spraw, kiedy wychodzi po sprawunki, ale jeśli nie kupi teraz materiału, nie będzie mogła zabrać się do szycia wieczorem. Zostały tylko trzy dni do następnego widzenia. Zostały jej tylko trzy noce, żeby uszyć sukienkę. Pobiegnie, żeby tylko doña Amparo nie zapytała po powrocie, dlaczego zabrało jej to tyle czasu.

Przechodzi przez plac Jacinta Benavente, przytrzymując chustkę na głowie i wpatrując się w ziemię, żeby nie poślizgnąć się na śniegu. Zanim przejdzie na drugą stronę placu, dostrzega, że ktoś za nią idzie. Jakiś mężczyzna. Idzie za nią krok w krok.

Ale nie, mężczyzna, który szedł za nią krok w krok, wymija ją. Pepita oddycha głęboko i podnosi wzrok. To był moment. Spojrzała z powrotem na śnieg i wstrzymała oddech. Przystanęła błyskawicznie. Na rogu ulicy Bolsa czekał mężczyzna, który ją wyprzedził. Pozdrowił ją, uchylając kapelusza, i przygniótł obcasem niedopałek papierosa. Pepita zamknęła oczy. Odwróciła głowę i zasłoniła się szczelnie chustką, po czym znowu spojrzała tam, gdzie stał mężczyzna oparty o ścianę budynku. Nie było wątpliwości, pozdrowił ją znowu, uchylając runda kapelusza. Pepita zwolniła kroku. A on zaczął iść w jej kierunku.

– Weź mnie pod rękę, dziecko, i się nie bój.

To był Paulino, to był on. I nie powiedział nic więcej. Zaprowadził ją do kościoła Świętego Judy Tadeusza i kiedy znaleźli się w środku, zapalił świeczkę, podał ją Pepicie i zaraz zapalił następną.

– Wyjeżdżamy do Tuluzy.

Trzymając świeczkę w jednej dłoni, a kapelusz w drugiej, powtórzył, że wyjeżdżają do Tuluzy, podszedł do figury świętego Judy Tadeusza i zapytał, czy to ten święty pomaga paniom znaleźć narzeczonego. Odpowiedziała mu, że nie.

– Nie, ten który pomaga znaleźć narzeczonego, to święty Antoni Padewski.

– Gdzie można postawić te świece?

– Tutaj, zostaw je tutaj.

Pepita umieściła dwie świece w miejscu, gdzie zostawia się na ofiarę.

– A ten święty co robi?

– Jest patronem spraw niemożliwych.

– Pójdiesz do świętego Antoniego Padewskiego?

– To nie twoja sprawa.

– Nie idź do świętego Antoniego, nie będzie ci to potrzebne.

Nie byli sami w kościele i niektórzy wierni zaczęli im się przyglądać. Ale nagle Pepita zapomniała o strachu. Już nie bała się, że zobaczą ją razem z Paulinem. Zapomniała o strachu, który sparaliżował ją na placu, kiedy dostrzegła Czarną Kurtkę stojącego na rogu; o strachu, że ludzie mogliby ją zobaczyć, jak idzie z nim pod rękę; o strachu, że Paulino ją dotknie. Nachyliła się do niego i zapytała, gdzie jest Tuluza.

– We Francji, ale szybko wróć i cię odnajdę, jeśli chcesz być moją narzeczoną.

– Jestem już po słowie z takim jednym z Kordowy.
– To kłamstwo.
– No pięknie, czyli wiesz lepiej ode mnie?!
– Felipe mi powiedział.
– Jak się czuje?
– Lepiej.
– Kiedy wyjeżdżacie?
– Odpowiesz na moje pytanie?
– Jakie pytanie?
– O to, o co przyszedłem cię zapytać.
– W Kordowie tych spraw nie załatwia się w ten sposób.
– W takim razie jak?
– Wszystko w swoim czasie. Chłopak zaleca się do dziewczyny i jeśli ona jest nim też zainteresowana i jeśli on jej się podoba, pozwala mu na zaloty. I to trwa bardzo długo, jeżeli jest na poważnie.

Nie ma czasu. Paulino nie ma czasu na zaloty, jakie podobałyby się Pepicie. Dlatego wyznacza jej termin:

– Przyjdź tej nocy. Przyjdź na Ave María i daj mi odpowiedź.

Za ich plecami jakaś kobieta syknęła, żeby byli ciszej. Paulino zapalił kolejną świeczkę, podał ją Pepicie i szepnął jej na ucho, żeby w jego imieniu postawiła ją patronowi spraw niemożliwych. Pepita spojrzała z ukosa na kobietę, która syknęła, i szepnęła do Paulina, prawie nie poruszając ustami:

– O co mam go poprosić?

Trzymała zapaloną świeczkę obiema dłońmi, on objął je swoimi i odpowiedział:

– Już ty dobrze wiesz, dziecinko.

I odszedł. Widziała, jak idzie w stronę drzwi. Widziała, jak zanurza dłoń w wodzie święconej i żegna się koślawo, wpatrując się w nią.

Kiedy Paulino miał pocałować swój kciuk, Pepita przeżegnała się i też zbliżyła swój kciuk do ust. Nie spuszczał z niego wzroku.

Kiedy jeden z towarzyszy zostaje zdemaskowany, należy przedsięwziąć środki ostrożności. Carmina została zdemaskowana. Felipe i Paulino muszą wynieść się z domu numer szesnaście na ulicy Ave María. Wyjadą jeszcze tego ranka, kiedy tylko wróci Paulino; rodzina z Peñaranda de Bracamonte zakwateruje ich u siebie, na ulicy Ayala, aż do Bożego Narodzenia. A stamtąd pójdą razem do więzienia Ventas. Potem wyruszą w drogę do Tuluzy. Felipe czeka niecierpliwie na Paulina, który popełnił głupotę, wychodząc na ulicę. Ale nie udało mu się go zatrzymać, Czarna Kurtka jest uparty, odmówił wyjaśnień i nic go nie obchodziło, że może zostać rozpoznany. Wyszedł na ulicę po kłótni z Felipe, który stracił cierpliwość.

- Dokąd idziesz?!
- Muszę na chwilę wyjść, zaraz wrócę.
- Zwariowałeś? Wydaje ci się, że skoro zrzuciłeś wojskową kurtkę, nie jesteś już poszukiwany?
- Mam dobre przebranie, wyglądam jak panisko.
- Nic ci nie pomoże, jeśli będziesz się tak idiotycznie narażać. Można wiedzieć, co się z tobą dzieje?
- Za niecałą godzinę jestem z powrotem, przysięgam.
- Ale dokąd się wybierasz?
- Muszę wyjść.
- Nigdzie nie pójdziesz.
- Felipe, wychodzę.
- Nawet mi nie powiesz dokąd?
- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć...
- Chcę wiedzieć jak jasna cholera.
- Zobaczyć się z Pepitą.
- Co powiedziałaś?
- Idę zobaczyć się z Pepitą.
- Ale czego od niej chcesz?
- Niczego. Mam jak najlepsze intencje. Za godzinę jestem z powrotem, towarzyszu, przysięgam.
- Nie nazywaj mnie towarzyszem, łajdaku, kiedy wychodzisz zalecać się do dziewczyny, o której wiesz, że nie ma ani matki, ani ojca, że jest sama, a ty narażasz ją na niebezpieczeństwo. Ją, siebie, mnie, wszystkich nas narażasz na niebezpieczeństwo, wychodząc na ulicę.

– Bardziej niebezpieczne jest iść zobaczyć Tensi, prawda?

– Nawet nie wypowiadaj jej imienia, skurwysynu, bo zabiję.

Kłótnia na nic się zdała, Paulino wyszedł na ulicę, zostawiając Felipe, który obrzucał go przekleństwami z półpietra.

Kiedy Paulino wrócił, Felipe powiedział mu, że Carmina została zdemaskowana i że natychmiast muszą opuścić dom. Znowu zaczęli się kłócić, ale potem uściśli się i wyszli na ulicę przebrani za burżujów.

W stroju, który ma na sobie Paulino, jest mu niewygodnie. Co raz luzuje palcami sztywny kołnierzyk koszuli, żeby się nie udusić. W tramwaju, który wiezie ich w kierunku placu Manuela Becerry, nie przestaje myśleć o Pepicie. Siedząc obok Felipe, odpowiada półsłówkami na pytania

przyjaciela. Wie, że ten stara się nawiązać z nim rozmowę, bo jest mu głupio za wyzwiska, którymi obrzucił go przed godziną, ale on nie ma ochoty rozmawiać.

– Mnie nie oszukasz, nie podoba ci się nasze przebranie, dlatego że wyglądamy w nich jak prawdziwe paniska.

– No.

– No co, widać, że nie.

– Co?

– Widać, że ci się nie podoba, przed chwilą wyglądałeś, jakbyś miał sobie wyrwać ten kołnierzyk.

– No.

– No, no, przestań wreszcie z tym no, bo mnie denerwujesz.

Zostawił ją. Porzucił Pepitę tak samo, jak porzucił Elvirę i swoją matkę w porcie w Alicante. Możliwe, że jej już więcej nie zobaczy, że ona zniknie w cieniu tego zamieszania tak samo, jak zniknęły jego matka i siostra, o których od tamtej pory nie miał żadnych wiadomości. Paulino wie tylko, że wszystkich, którzy byli wtedy w porcie, uznano za więźniów politycznych. Że oddzielili kobiety od mężczyzn i wszystkich aresztowali, nawet kina w mieście zamieniły się w więzienia tymczasowe. Także niektóre klasztory posłużyły za więzienia. A gdy kina i klasztory wypełniły się po brzegi, kobiety przetransportowano do obozu de los Almendros, a mężczyzn do Albateru. Towarzysz z partii powiedział mu, że potem przenieśli dużą grupę kobiet do Madrytu. Przetrasportowali je pociągiem. W czasie podróży zmarło pięcioro dzieci. Pięć dni zajęła im podróż w bydłowych wagonach, a było bardzo gorąco. Pierwszego dnia dostały po pomarańczy i po sardynce z puszki. Trzeciego po pół kromki czarnego chleba. To było wszystko, co jadły przez pięć dni.

– Piękny jest Madryt.

Nie mógł ostrzec Pepity, nie zdążył jej nawet powiedzieć, że opuszczają Ave María. Nie mógł. A właścicielka domu nie chciała zanieść wiadomości, powiedziała, że nie, że nie chce mieć tego przy sobie, jeśli ją złapią. Felipe znowu się na niego zezłościł, kiedy usłyszał, o co Paulino ją prosił.

– Rozum to już ci chyba doszczętnie odjęło, chłopie, w jednej chwili cały rozum ci odjęło.

– Chciałem tylko przekazać jej wiadomość.

– Wiadomość i wiadomość, żadnych wiadomości, do cholery! Nie zdajesz sobie sprawy, że ta kobieta nie powinna nawet znać jej imienia? A ty idziesz i chcesz jej dać adres i nazwisko, kompletny idiota z ciebie!

– Poprosiłem ją, żeby przyszła dzisiejszej nocy.

– Tutaj? Pepita?

– Tak.

– No to ją wpakowałeś.

Felipe dostrzegł w zasmuconej twarzy Paulina przerażenie, którego nie widział u niego nigdy, nawet w najgorszych momentach, jakie przeżyli razem. Spojrzał mu w oczy i powiedział, żeby się nie martwił, że zawiadomią Pepitę, że nie powinna wracać na Ave María.

– Zobacz, tutaj kładliśmy worki, widać, że nie wykonaliśmy dobrze roboty.

Tramwaj okrąży Puerta de Alcalá.

– Tak.

Poszuka jej przy wejściu do więzienia. Postara się do niej zbliżyć i przekaże jej list. Jeszcze dzisiaj go napisze.

– Ładne rzeczy, podziurawili barykadę jak sito.

Dziwny ten Felipe, uściskał go mocno, zanim otworzył drzwi na Ave María, i powiedział, żeby nie martwił się o Pepitę.

– Nie martw się o Pepitę i chodź tutaj, łajdaku. Uściskaj mnie, skurczybyku, twoja rana, jak widzę, jest dużo głębsza niż moja.

Wydaje się brutalem, ale jest sentymentalny, widać to, kiedy mówi o Tensi. Nazwał go skurwysynem jedynie za wypowiedzenie jej imienia i kocha bardzo Pepitę, to też po nim widać, bo kiedy schodzili po schodach i opowiedział mu o tym, co zdarzyło się u Świętego Judy Tadeusza, zatrzymał się i znowu go uściskał. I przeszła mu złość. Skąd wytrzasnął tę walizkę z podwójnym dnem, żeby schować broń? Musiał ją zdobyć tego ranka, bo wczoraj jej jeszcze nie miał. Nie pozwolił mu jej nieść, uparty, owszem, jest. Jeśli mnie zatrzymają, powiedział, nie znasz mnie. Pójdę przodem, a ty parę kroków za mną, i jeśli mnie zatrzymają, zrób obojętną minę i idź dalej, jak gdyby nigdy nic, ostrożności nigdy dosyć. A teraz, zapominając o ostrożności, usiadł obok niego w tramwaju i nie przestaje gadać, bo jest sentymentalny i nie potrafi długo się złościć.

– Dojeżdżamy.

Nie pozwoli, żeby Felipe znowu dźwigał walizkę. Kiedy wyjdą z tramwaju, wyrwie mu ją z ręki, jeśli nie będzie miał innego wyjścia. Co takiego wyczytał z jego twarzy, kiedy go uściskał; rana głębsza od mojej, powiedział. I Paulino znowu luzuje kołnierzyk koszuli, i zamyka oczy. Pepita. I widzi ją, jak siedzi na kamieniu na wzgórzu, usiłując zasłonić twarz chustką. I widzi ją, jak przerażona idzie w stronę zarośli, odgarniając kosmyk z czoła. I widzi ją w sukience w kwiaty i przemoczonych butach, jak porusza biodrami. I widzi ją, jak się złości. I widzi ją, jak krzyczy. I widzi ją ze świeczką w dłoniach w kościele Świętego Judy Tadeusza. I widzi ją, jak się żegna, patrząc na niego, i jak przytyka swój kciuk do ust.

I czuje ją na swoich ustach.

Sukienka dla Hortensii będzie gotowa na Boże Narodzenie. Kobieta, której pisane jest umrzeć, będzie miała tę sukienkę na sobie, kiedy pójdzie na spotkanie ze śmiercią. Szara flanela w malutkie bukietki białych kwiatów. Pepita uklęła się, robiąc ostatni szew. Rozkojarzona ssie kroplę krwi, która płynie z jej kciuka, i patrzy na ulicę przez okno balkonowe. Jest niedziela i dzień chyli się ku zachodowi. Śnieg, który padał przez ostatnie dni, zamienił się w brązowe pagórki różnych rozmiarów, które rozpuszczają się na brzegach ulic. Pepita odchodzi od okna i kieruje się do kuchni. Pogrążona w myślach, z sukienką dla siostry w dłoni, poprosi doń Celię, by mogła skorzystać z żelazka:

– Pozwoli mi pani użyć żelazka, żebym mogła uprasować sukienkę dla siostry?

– Oczywiście, moje dziecko. Mogę zobaczyć? Bardzo ładnie ci wyszła.

I doña Celia będzie obserwować Pepitę napełniającą żelazko węglem; wsłuchując się w powieść czytaną w radiu, będzie obserwować, jak Pepita sprawdza, czy jest wystarczająco gorące, poślinioną opuszką palca i jak będzie nim przesuwając po materiale krótkimi, ale starannymi ruchami. I nie odezwie się słowem, nie zakłóci ciszy, z jaką Pepita obchodzi się z sukienką, przewracając ją, żeby uprasować także spódnice, zraszając wodą kwiaty na zagnieceniach, które nie chcą się poddać, i delikatnie potrząsając żelazkiem, gdy znowu palcem sprawdzi, czy jest wystarczająco gorące. I doña Celia nie odezwie się do niej nie dlatego, że interesuje ją historia, której słucha, nie, nie dlatego zachowa milczenie ani nie dlatego, że sądzi, że Pepita jest pochłonięta prasowaniem, a jedynie dlatego, że doña Celia wie, że Pepita nie ma ochoty na rozmowę. I wie dlaczego.

I doña Celia czeka.

Obserwuje ją, jak składa sukienkę i jak nagle oblewa się rumieńcem.

– Wszyscy mężczyźni są w gorącej wodzie kąpani. Na początku tacy odważni, szybko załatwiają sprawę, a potem odchodzą.

Pepita szybko nabierze ochoty do rozmowy. Ale jeszcze nie czas. I gospodyni dobrze o tym wie. Wie, że musi poczekać, bo słowa Pepity w dalszym ciągu są częścią westchnienia. Doña Celia słucha, jak Pepita wzdycha. I czeka.

– Oj, matulu!

Pepita milknie.

Chociaż nie potrzeba dużo czasu, aby ułała jej się zółć. A zdarzy się to chwilę później, po kolacji, kiedy nagle obleje się znowu rumieńcem w kuchni podczas wycierania patelni ścierką.

– Biorą nogi za pas bez żadnych wyjaśnień. Odsuwają cię na bok jak stary kapeć, koniec kropka. I proszę go nie usprawiedliwiać, pani Celio, bo sprawa jest poważna. Proszę nie usprawiedliwiać tego łajdaka, przebrał się za paniczyka, wygląda jak stróż w Boże Ciało, ale już od razu myśli, że mu wszystko wolno. Jeśli mógł przyjść i prosić mnie, żebym została jego dziewczyną, tak samo dobrze może przyjść i powiedzieć, że zmienił zdanie i żebym dała sobie z nim spokój. Już on się dowie, co ja o nim myślę. Niech ja go tylko dorwę, już on się dowie.

Tak, teraz nabrała ochoty, żeby mówić. A doña Celia będzie się starała pocieszyć i uspokoić Pepitę, która od dwóch dni nie może znaleźć sobie miejsca, od dwóch dni, od kiedy po wyjściu z domu don Fernanda została zaczepiona przez mężczyznę w brązowym kapeluszu, który zapytał ją o godzinę.

– Nie mam zegarka. Ale jeśli pan poczeka chwileczkę, sam usłyszysz, że wybije dziewiąta.

Wybiła rzeczywiście dziewiąta. A Pepita nie słyszała dzwonów. Słyszała, jak głos, który zapytał ją o godzinę, zamienił się w szept:

– Jeżeli poprosiłbym panienkę o pomidory, co by mi panienka odpowiedziała?

I usłyszała samą siebie, jak bez zastanowienia odpowiada szeptem:

– Pomidory, pietruszka i pory.

– Przynoszę pani wiadomość z Ave María. Powiedziano mi, żeby nie szła tam pani dzisiaj, że musieli opuścić dom i żeby powiedziała to pani lekarzowi.

Nie dając jej czasu na odpowiedź, pan w brązowym kapeluszu podniósł na powrót głos:

– Dziewiąta, tak. Bardzo paniące dziękuję.

I zostawił ją na progu domu don Fernanda.

– Proszę go przede mną nie usprawiedliwiać, pani Celio, proszę go przede mną nie usprawiedliwiać, bo nie ma żadnego usprawiedliwienia, ten łajdak wziął nogi za pas i pojechał do Francji, nie oglądając się za siebie.

– Kochana, to sprawa siły wyższej.

– Ani wyższej, ani niższej, ani średniej, ani żadnej innej, nic go nie usprawiedliwia, lekkoduch i tyle, a ja musiałam doszczętnie zwariować, żeby mu zaufać, tam, skąd pochodzę, tak się nie załatwia spraw, proszę pani.

Tej nocy Pepita będzie zasypiała z myślą, że jest głupia, i obudzi się wcześniej rano, żeby iść na stację i zbierać żużel, myśląc to samo. Powie swojej gospodyni, że pora, że pora pójść na cmentarz. A doña Celia ucałuje ją, zanim schowa nożyczki do torebki.

W Wigilię Pepita włoży czarną garsonkę, którą kupiła jej doña Amparo, wykrochmalony fartuszek i koronkowe mankiety, siatkę na włosy i białe rękawiczki. Będzie myśleć o Paulinie, kiedy przejrzy się w lustrze i kiedy zobaczy, jak pięknie wygląda doña Amparo i jak patrzy na żonę don Fernando. I będzie podawać do stołu tak, jak ją nauczono, podchodząc z tacą od lewej strony, najpierw paniom, delikatnie ją przechylając, nie wpatrując się w żadnego ze stołowników, i nie zadrży jej ręka tak, jak drży doña Amparo, kiedy podnosi do ust kryształowy kieliszek.

A doña Amparo drży dlatego, że czuje wpatrzony w siebie wzrok męża.

Pepita chciałaby, żeby Paulino tak na nią patrzył.

Poda kawę w salonie i bożonarodzeniowe przysmaki, *polvorones*, *alfajores*, *turrones* i *peladillas*, na srebrnej tacy, nie spojrzy nawet na błyszczący medal, który skrzy się w klapie ojca don Fernanda, ani na kolczyki jego matki, tylko pójdzie prosto do kuchni i schowa resztki indyka do puszki. I uśmiecha się, delikatnie, dlatego że doña Amparo powiedziała, że może zabrać indyka, i jeszcze tego samego popołudnia zanieś go Hortensii. A Hortensia podzieli się nim ze swoją „rodziną”, jak nazywa w listach współwięźniarki z celi; te, które dzielą się głodem i jedzeniem. Tomasa, Estremadurka, której nigdy nikt nie odwiedza, Reme, matka trzech córek i synka, który przyszedł na świat późno i nie całkiem zdrów, i Elvira, rudowłosa dziewczyna, którą odwiedza dziadek. Uśmiechnie się, delikatnie, dlatego że jej siostra będzie miała dzisiaj niespodziankę, kiedy odkryje indyka na dnie puszki. Zostało sporo, wystarczająco, żeby oszukały głód do jutra. Uśmiechnie się, dlatego że kupiła największego indyka, jakiego znalazła na Puerta del Sol, i ciągnęła go na sznurku, bo ptak nie chciał iść, a ważył za dużo, żeby go nieść na rękach. To był ogromny indyk, uśmiecha się Pepita, a ona wiedziała, że państwo nie będą w stanie go zjeść w całości, mimo że pomagali im rodzice don Fernanda. Uśmiecha się, bo przypomina sobie, jak ciągnęła za sznurek, patrząc, jaki jest wielki, obliczając, ile mięsa zostanie, i myśląc, że doña Amparo jest bardzo hojna. Uśmiecha się, bo ludzie wpatrywali się w nią, kiedy przechodziła, i zatrzymywali, żeby obejrzeć to przedstawienie, widząc drobną kobietę usiłującą okiełznać to ogromne stworzenie. Ona ciągnęła za sznurek i śmiała się, myśląc o Hortensii, trzymając w jednej dłoni kawałek materiału na sukienkę dla niej, a drugą prowadząc indyka do miejsca jego

przeznaczenia.

Więźniarki prawego skrzydła bloku numer dwa obudziły się jak zwykle wcześniej, o siódmej. To był dzień Bożego Narodzenia i dzień odwiedzin. Wzięły udział w obowiązkowej mszy, jak codziennie, ale tylko niektóre przystąpiły do komunii. Reszta stała całą liturgię na znak protestu i wysłuchała z podniesionymi głowami złorzeczeń, które ksiądz skierował pod ich adresem w homilii:

– Szumowiny z was i dlatego jesteście tutaj. A jeśli nie znacie tego słowa, powiem wam, co ono znaczy. Gówno, znaczy gówno.

Tomasza, zgorszona, wychodząc, poprosiła o nadzwyczajną naradę i zaproponowała na niej strajk głodowy, dopóki ksiądz nie przeprosi ich za obelgi.

– Jeszcze więcej głodu?

To Reme spojrzała na Hortensję z desperacją w oczach, jakby prosząc ją o pomoc, jakby prosząc ją o chleb.

– Więcej głodu, nie, na Boga.

Niektóre kobiety poparły pomysł strajku i Hortensja zabrała głos:

– Musimy przetrwać, towarzyszeki. Mamy tylko ten jeden obowiązek. Przetrwać.

– Przetrwać, przetrwać. Po jaką cholere chcemy przetrwać?

– Żeby opowiedzieć historię, Tomaso.

– A godność? Ktoś opowie, jak straciliśmy godność?

– Nie straciliśmy godności.

– Nie, jedynie przegrałyśmy wojnę, prawda? To właśnie wszystkie myślicie, że przegrałyśmy wojnę.

– Póki żyjemy, nie przegrałyśmy. Nie będziemy im niczego ułatwiać. Wystarczy już tych szaleństw. Przetrwanie jest naszym zwycięstwem.

Kiedy jedne głosy dochodziły do drugich, za i przeciw możliwości strajku głodowego, a słowo godność rozlegało się jak żadne inne, za każdym razem, kiedy padało bzdura, Elvira przybiegła pędem do umywalni.

– Nadchodzi Trutka! Nadchodzi Trutka!

Kobiety, które miały ręczniki, zawinęły je sobie na głowie albo przewiesiły przez ramiona, a te, które ich nie miały, udawały, że wycierają ręce w spódnice. Zebranie dobiegło końca. Trutka, której towarzyszyła Mercedes, zbliżała się do kraty z Dzieciątkiem Jezus w ramionach. Mercedes przekręciła klucz i pchnęła kratę, przepuściła swoją zwierchniczkę i weszła za nią na blok. Znowu przekręciła klucz, przytwierdziła go do paska i poprawiła szpilkę, która wystawała z jej koka w kształcie banana.

– Zbiórka!

Nie była to pora przeliczenia. Ale nikt nie zapytał, dlaczego kazano im się ustawić w szeregu.

Mercedes klasnęła trzy razy, a więźniarki stanęły w rzędzie. Siostra Maria od Serafinów pokazała Dzieciątko Jezus w pozłacanej koronie z mosiądzu na głowie i wskazała na jego pulchną nóżkę, po czym podała figurę pierwszej z więźniarek.

– Kult religijny jest częścią waszej reedukacji. Nie chciałyście przyjąć komunii, a dzisiaj narodził się Chrystus. Wszystkie go ucałujecie, a ta, która tego nie zrobi, nie będzie miała dzisiaj odwiedzin.

Jedna po drugiej więźniarki całowały podtykaną im stopę. Jedna po drugiej nachylały głowę, żeby pocałować Dzieciątka. Trutka trzymała je na wysokości ich brzucha, tak żeby musiały się przed nim pokłonić. Po każdym pocałunku Mercedes przecierała stopę z papier-mâché wykrochmaloną chusteczką.

– Teraz ty, Tomaso.

Przyszła kolej na Tomasę, która nie może pohamować gniewu.

Kiedy Trutka zbliżyła się do niej, Estremadurka wytrzymała jej spojrzenie z zaciśniętymi ze złości ustami. Po chwili zakonnica postanowiła zmusić Tomasę do posłuszeństwa. Złapała internowaną i popchnęła ją w stronę Dzieciątka Jezus. Tomasa pochyliła głowę, przybliżyła usta do maleńkiej nogi, ale zamiast ją pocałować, otworzyła buzię i rozwarła szczęki.

Chrzęst odbił się echem po bloku.

Chrzęst.

I uśmiechnięta twarz podniosła się znad Dzieciątka z palcem figurki między zębami.

I słyhać wrzask:

– Komunistyczny potwór!

Wrzask siostry Marii od Serafinów.

Mercedes przykłada wykrochmaloną chusteczkę do stopy Dzieciątka Jezus i zakrywa ją, jakby starała się opatrzyć ranę. Zakonnica znowu wrzeszczy:

– Komunistyczny potwór!

I zaciśniętą pięścią uderza Tomasę w twarz.

Fruwają poły habitu i szerokie białe rękawy nad twarzą, z której nie schodzi uśmiech.

Siła uderzenia sprawia, że świętokradczyni wypluwa palec Bożego Dziecięcia, który szybuje w powietrzu jak zakonny welon.

Całowanie boskiej stópki dobiegło końca. Siostra Maria od Serafinów nakazuje poszukiwanie odgryzionego palca. Więźniarki wychodzą z szeregu, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Elvira roni dwie łezki, usiłując stłumić chichot, a Hortensia łapie się za brzuch i woła:

– Oj, matulu, oj, matulu, matuleńko!

Więźniarki szukają zagubionego palca, nie patrząc jedna na drugą, żeby się nie śmiać. Żeby się nie śmiać, nie patrzą na Tomasę.

– Jest tutaj!

To Reme znajduje boski paluszek i wręcza go zakonnicy.

Warga Tomasy zaczyna krwawić, siostra Maria od Serafinów popycha więźniarkę w stronę Mercedes, nakazując, żeby ją zabrała z jej oczu.

– Zabrać natychmiast tę świętokradczynię z moich oczu!

I przytyka paluszek do stopy, żeby sprawdzić, czy uda jej się wyleczyć ranę. Tak, uda się go przykleić. Patrzy w zachwycie. W kąciku jej oka pojawia się łza. Zdoła go przykleić, choć miejsce sklejenia będzie widoczne niczym niewielka blizna.

Dopiero przygotowując się do wyjścia do rozmównicy, więźniarki bloku numer dwa będą mogły się śmiać do woli. Dopiero wtedy podniecenie na myśl o spotkaniu z bliskimi sprawi, że zapomną o smutku, jaki odczuły, widząc Tomasę ledwo trzymającą się na nogach, popychaną przez strażniczki. Będą mogły się śmiać, kiedy zapomną o żalu, który poczuły, widząc, jak idzie i zapina sukienkę matki Elviry. Jedynie wtedy, kiedy będą przygotowywały się do odwiedzin, będą mogły się śmiać. I to Reme sprowokuje je do śmiechu. Szczypiąc, jak one wszystkie, policzki, żeby się choć trochę zaróżowiły, żeby wyglądały choć odrobinę zdrowiej, choć odrobinę mniej mizernie i żeby nie było widać, jak bardzo są zapadnięte, powie:

– No i co, teraz mają dowód na to, że my, komunistki, rzeczywiście zjadamy dzieci. Do

licha, twarda sztuka z tej Tomasy!

Reme roześmieje się pierwsza. Elvira pójdzie w jej ślady, ale najpierw zapyta Hortensii:

– Widziałas minę Trutki?

– Była wściekła! Wyglądała, jakby miało ją coś trafić.

Dobrze ukrywany strach znajduje ujście w wybuchach śmiechu, podczas gdy te, które mają odwiedziny, przygotowują się do nich, a te, które ich nie mają, pomagają tym pierwszym.

– Masz, Reme, weź ten czerwony szalik, dobrze w nim wyglądasz.

Reme śliną wyciera sobie ręce, bo odciepli wodę już jakiś czas temu. Stroi się, myśląc o Benjaminie. Nie powinna go była prosić o mydło podczas ostatnich odwiedzin. Mydło jest towarem deficytowym. Nie powinna go była o nie prosić, a już na pewno nie o wiklinowe krzeselko. Biedny Benjamín, nie powinna go była o nic prosić. On zawsze przynosi jej, co tylko może. I uśmiecha się na myśl o swoim wnuku, którego zobaczy tego popołudnia po raz pierwszy. Syn jej syna, urodzony niespełna sześć miesięcy temu w León.

Hortensia jest bardziej podekscytowana niż zwykle i nie wie dlaczego. Zaczęła zaplatać dwa warkocze, tak jak lubi Felipe, kiedy podeszła do niej kobieta, którą kilka dni temu przewieźli z Salamanki. Została oskarżona o kolaborację z bandytami, to wszystko, co wiedziały o tej drobnej energicznej kobiecie, która bez strachu w oczach weszła do prawego skrzydła bloku numer dwa. Niektóre sądziły, że należała do partyzantki, ale tak naprawdę należała do kierownictwa partii komunistycznej w Salamance.

– Jestem Sole.

Mówi, że nazywa się Sole, i dodaje, że jest akuszerką i że córka przesłała jej wiadomość.

– Powiedziała, żebyśmy trzymały się razem i żebyśmy na widzenie weszły razem, że to bardzo ważne, żebyśmy były razem.

– Dlaczego?

– Tego mi nie powiedziała.

A Elvira śpiewa, dużo weselej niż zwykle, kiedy związuje wstążką kucyk tak, jak lubi Paulino. Ma jeszcze trochę gorączki, która jej nie przechodzi, ale dzisiaj to powód do radości, bo dziadek zobaczy ją z rumieńcami na twarzy.

Elvira nie wie, że za parę minut zobaczy swojego brata Paulina. Paulino też tego nie wie.

Paulino kieruje się właśnie w stronę więzienia Ventas, towarzysząc Felipe.

Paulino przebiega wzrokiem długą kolejkę, która ustawiła się przed wejściem do więzienia. Szuka Pepity. Ani Paulino, ani Felipe, ani Amalia, młoda dziewczyna, która dopiero co przybyła z miasteczka w prowincji Salamanka i działa w Solidarności Robotniczej, nie wiedzieli, że trzeba zjawić się wystarczająco wcześnie, żeby wejść jako pierwsi i zająć krańce rozmównicy, najlepsze miejsca, gdzie więźniarki i ich bliscy mogą lepiej się słyszeć, choć i tak ledwo się słyszą.

Kolejka jest dużo dłuższa, niż przypuszczali. Każda osadzona może porozmawiać najwyżej z pięcioma członkami rodziny. Dzisiaj, ponieważ jest Boże Narodzenie, prawie do każdej przyszło pięcioro bliskich. I wszyscy chcą wejść jako pierwsi, żeby zająć miejsce w narożnikach.

Więźniarki będą wchodzić do rozmównicy w grupach po dziesięć na dziesięć minut. One też pobiegą do narożników.

Pepita była jedną z pierwszych, i don Javier, dziadek Elviry, i trzy córki Reme, jej najmłodszy syn i mąż, biedny Benjamín. Benjamín mówił, że nie wejdzie do rozmównicy, dlatego że jego starszy syn przyjechał z jego wnukiem z León, a Reme nie widziała jeszcze chłopca. Razem jest ich siedmioro, a w siódmkę nie mogą wejść.

– Ach, mój Boże, tak nie może być. Pan wejdzie ze mną, i dziecko też. W tym rozgardiaszu, jaki tu dzisiaj panuje, nikt się nie zorientuje.

– Myśli pani?

– Jestem więcej niż pewna.

Cała grupa ustawiła się w kółku i Pepita pokazuje córkom Reme sukienkę, którą uszyła siostrze. Nie zauważyła Paulina, który idzie w jej kierunku, przepychając się przez tłum, ściskając list, który ma w kieszeni. Nie zauważyła go, ale zaraz go zobaczy. Zobaczy go, kiedy don Javier odkryje, że młodzieniec, który idzie w ich stronę, bardzo przypomina z wyglądu jego wnuka.

– To niemożliwe!

To niemożliwe, powie. To niemożliwe. Dziadek będzie mu się przyglądać z niedowierzaniem. To nie jest jakieś nikłe podobieństwo. Tak, będzie się w niego wpatrywać i otwierać coraz szerzej zdumione oczy. Szerzej. Szerzej. To nie jest zwyczajne podobieństwo.

To nie jest podobieństwo.

Ten, który się zbliża, to jego wnuk Paulino. I krzyknie, nie mogąc się powstrzymać:

– Paulino, kochany!

I wyciągnie do niego ramiona. Paulino spojrzy na niego, tłumiąc zdumienie. Nachyli się, żeby dziadek mógł dotknąć jego twarzy. Obejmą się, nie dając sobie czasu na łzy. Dziadek, przyciskając mocno wnuka do piersi, powie mu, że zmężniał, a wnuk zapyta go, czy wie, co się stało z matką i siostrą.

– Elvira jest tutaj.

– Tutaj, czyli gdzie?

Paulino spojrzy w prawo i w lewo, szukając siostry niecierpliwie wśród tłumu w kolejce.

– Gdzie? Gdzie jest?

– W środku, synu. Elvira jest w środku.

Don Javier wskaże na wejście do więzienia.

Ból sprawi, że Paulino z trudem utrzyma się na nogach.

Pepita wpatruje się w nich zbity z tropu. Ale po chwili wraca do rzeczywistości i zdaje sobie sprawę, że obaj są w niebezpieczeństwie, jeśli ktoś jeszcze obserwuje to spotkanie, i nakazuje rodzinie Reme okrążyć dziadka i wnuka.

– A moja matka?

– Umarła w obozie de los Almendros.

Paulino patrzy, na kim by się oprzeć, i znajduje ramię Benjamina.

– Chcę zobaczyć Elvirite.

Pepita staje przed nim i patrzy mu w oczy.

– Gdzie jest Felipe?

– Tam z tyłu, z dziewczyną z Salamanki.

– Poczekaj na mnie chwilę, nie ruszaj się stąd, wejdziemy wszyscy razem.

Pepita poszła poszukać Felipe i Amalii i wepchnęła ich do kolejki mimo sprzeciwu innych stojących.

– A ta dwójka skąd tutaj?

– Ode mnie z domu, a jak się pani wydaje? To jest mój brat, rozumie pan? I źle się czuje, i nie może dwie godziny robić tu w wejściu za portiera. A to jego żona. Nie widzi pani, że źle z nim? I dlatego to ja zajmuję miejsce w kolejce, proszę pana, czekam już tutaj od południa, ale to moja sprawa, cierpię za oboje, wszystko mnie boli od tego zimna.

Włączyła ich do grupy i w sekundę przydzieliła do trzech różnych rodzin, żeby wszyscy mogli wejść.

– Ty jesteś moim mężem, Paulino, a z moim mężem i ze mną wchodzi to niewiniątko, które jest naszym synem. I nie martw się, Paulino, że nasz synek wydaje się głupiotki, wcale nie jest.

Pociągnęła młodszego syna Reme za ramię, wzięła pod rękę Paulina i wskazując na Benjamina, powiedziała do Felipe: on jest twoim teściem.

– A ten mężczyzna nazywa się Benjamín, i Benjamín wchodzi z tobą i z twoją małżonką, Felipe, dlatego, że jesteś jego zięciem.

Jej błękitne spojrzenie skrzyżowało się z błękitnym spojrzeniem dziadka Elviry, który oczekiwał, żeby Pepita rozporządziła, z kim i jako kto powinien wejść.

– Pan, don Javierze, wejdzie sam, jak zwykle, żeby ich zdezorientować. A trzy siostry wejdą razem z tym, który przyjechał z León, i z dzieckiem, i będzie ich pięcioro.

I otworzono drzwi.

Pepita wyjaśniła Trutce pokrewieństwo wszystkich razem i każdego z osobna tak szybko i z takim przekonaniem, że wszystkim pozwolono wejść.

Radość rozchodzi się po blokach więzienia na wieść o tym, co powiedziała im właśnie Trutka. Począwszy od jutra, osadzone będą mogły zajmować się robótkami i szyciem. Codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, każdej zostanie wręczona robótką, kiedy wyjdą na patio, a wieczorem odebrana. Dyrektorka zgodziła się na prośbę więźniarek, żeby ubrania, które uszyją, mogły podarować swoim bliskim.

Szczęście zamieni się w ekscytację, w miarę jak będzie się zbliżała godzina odwiedzin. Hortensia spróbuje bezskutecznie zapanować nad swoimi zwieraczami i mimo że toaleta budzi jej wstręt, będzie musiała udać się tam kilkakrotnie, zatykając nos palcami. Parę godzin temu wyłączono wodę, a ustępy znowu się zapchały.

Akuszerka Sole będzie jej wszędzie towarzyszyć.

– Zajmę się szydełkowaniem.

I kiedy na nią czeka, opowiada, że Victoria Kent kazała wybudować więzienie Ventas na pięćset osób. Narzeka na brak miejsca. Narzeka, że dwanaście sienników zaściela podłogę cel, gdzie wcześniej stało jedno łóżko, jedna mała szafa, stół i krzesło. Narzeka, że korytarze i schody zamieniły się w sypialnie i że trzeba przeskakiwać nad śpiącymi, żeby dojść do ubikacji.

– To jawne plugastwo. Dlatego tak to wygląda. Jedenaście tysięcy osób nie może załatwiać swoich potrzeb w raptem kilku ubikacjach.

Hortensii nie interesuje powód oplakanego stanu ubikacji. Nie, w tym momencie nie interesuje jej poznanie przyczyn panującego dookoła brudu ani chorób, na które zapadają z powodu braku higieny, a które Sole zaczyna wymieniać:

– Strupień, tyfus, wszy, pluskwy, biegunka, to jest niedopuszczalne.

Nie, nie obchodzi to Hortensii w tym momencie, dlatego że jest podekscytowana, myśli o Felipe i chce myśleć tylko o Felipe. Tylko o Felipe, a ekscytacja nie pozwala jej się skupić na niczym innym. Ona chce tylko pamiętać pocałunek. Pocałunek ukradkiem, ostatni, który udało jej się skraść Felipe na Cerro Umbría. Pocałunek, który jej wydał się za krótki, jemu natomiast za długi. Wzgórze to nie miejsce na pocałunki, zganił ją. To nie miejsce na pocałunki.

– Na wzgórze idzie się walczyć.

– Daj spokój, nie bądź osioł.

– Zostaw mnie, Tensi, nie mogą nas zobaczyć.

– Kto?

– Nikt.

Bez pośpiechu. Ona pragnęła długiego namiętnego pocałunku, a on raptownie odsunął od niej twarz, kiedy ledwo musnęli się wargami. Tak się pożegnali. Tak się pocałowali po raz ostatni, kiedy Hortensia poszła po prowiant. I zanim zaczęła schodzić ze wzgórza do El Llano, odwróciła głowę i powtórzyła parokrotnie, że jej mąż jest osłem.

– Osioł z ciebie.

– Daj już spokój, idź sobie. I wróć szybko, będę na ciebie czekać tutaj, w tym miejscu.

Ale Hortensia nie wróciła. Nie wróciła. A teraz znów zastanawia się, tak jak tyle razy, od czasu kiedy ją aresztowali, jak to możliwe, że nie zaalarmowało jej szczekanie psów, kiedy dotarła do gospodarstwa. Felipe na nią czekał, a ona nie wróciła. Psy czekały w dziwny sposób, ale ona się nie zorientowała. Zwróciła tylko uwagę, że tak jak ją poinformowali, żona ogrodnika miała na głowie zawiązaną chustkę, ale zdjęła ją, kiedy zobaczyła, że nadchodzi.

Psy szczekały.

– Sprzedaje pani kury?

Psy szczekały. Ogrodniczka wbiła wzrok w ziemię i odpowiedziała, przesuając w palcach chustkę:

– Tak.

Spojrzała na jej brzuch i ruszyła biegiem, podnosząc do oczu poskręcaną chustkę.

Psy szczekały.

Ona też powinna ruszyć biegiem. Ale tego nie zrobiła. Dojrzała niebezpieczeństwo w biegu kobiety, w chustce, którą podniosła do oczu, i w szczekaniu psów. Ale nie pobiegła. Wstrzymała oddech. Poczwała lufy karabinów Gwardii Obywatelskiej wymierzone w jej plecy. I pomyślała o Felipe. Tutaj, w tym miejscu, będą na ciebie czekał, powiedział jej. Jeden z gwardzistów związał jej ręce i popchnął ją do przodu.

– Idziemy. Już my ci damy kurzy rosołek. Dużo dobrych zup i dużo grochu.

Pozostali się roześmiali.

Trzydzieści dziewięć dni spędziła w delegaturze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Trzydzieści dziewięć dni, wiele uderzeń i wiele godzin na klęczkach spędziła w delegaturze. Ale Hortensia nie chce teraz o tym myśleć. Siada w ubikacji, obejmuje kolana i myśli o Felipe. Pamięta pierwszy pocałunek. To było w Kordowie. Pamięta Kordowę i usta Felipe szukające jej ust i dotyka swoich kolan. Już prawie się zagoiły, chociaż ma wrażenie, że jeden groch został w środku. Tak. Pod skórą czuje twardy bąbel, który ją boli. Lekarz powiedział, że to jej wymyśli. Ten lekarz nie widzi zbyt dobrze. Jest stary i ma zaćmę. Poza tym jest dentystą, więc jak ma się na tym znać. Ona sądzi, że pod skórą ma groch. Opatrzył jej ranę raz, jeden raz, kiedy przywieźli ją z delegatury. Nie zapytał, co ją boli, chciał tylko wiedzieć, dlaczego się tu znalazła. Powiedział, że nic jej nie jest, a ona nie była w stanie otworzyć oczu z powodu opuchlizny. Dotyka kolan i przypomina sobie. Alkohol. Dentysta wtarł jej w rany alkohol, gorszy jeszcze niż ocet, który wcierano jej w rany na drugim piętrze delegatury. Na ścianie w tamtym pokoju, na drugim piętrze delegatury, wisiał krucyfiks, a na ławie leżał groch z solą. O drugiej bądź o trzeciej nad ranem zabierali ją na górę, a potem we dwóch ją znosili, bo nie mogła nawet utrzymać się na nogach. Trzydzieści dziewięć dni. Trzydzieści dziewięć dni bez jakiegokolwiek rozmowy. W celi obok była jedna więźniarka, której godziny mijały na śpiewaniu. Nazywała się Manolita i śpiewała *Tomo y obligo* Gardela. Wie tylko, że nazywała się Manolita.

– Rusz się, Manolito, idziemy na górę, zobaczymy, co tam nam wyśpiewasz.

Nie wiedziała o niej nic więcej, tylko tyle, że nazywała się Manolita. Śpiewała bardzo dobrze, aż pewnego dnia śpiew ustał i nie usłyszała go więcej. Wściekłość. Czła jedynie wściekłość, kiedy wcierali jej w rany ocet. Wściekłość. Tylko dzięki niej milczała. Tylko wściekłość otworzyła jej usta, żeby wykrzyknąć ból brzucha.

– Nie bij jej w brzuch, jesteś bestią, nie widzisz, że jest w ciąży?

To dziecko będzie silne. Będzie bardzo silne. Wytrzymało, co przyszło mu wytrzymać. Teraz się porusza. Będzie tak silne jak jego ojciec. I będzie miało włosy czarne i kręcone, i silne dłonie, i usta mięsiste tak jak usta jego ojca. Hortensia wychodzi z ubikacji, przytykając dłoń do ust. Akuszerka idzie za nią, a ona dotyka swoich ust. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że pocałunki bywają z językiem.

To było w Kordowie, a ona miała dwa warkocze.

– Trzymaj się blisko mnie.

Hortensia stała przy drzwiach do rozmównicy za Reme i Elvirą, czekając, aż wyjdzie dziesięć więźniarek, które weszły w pierwszej turze. Akuszerka nachyliła się i szepnęła jej do ucha, żeby się trzymała blisko niej, po czym dodała:

– Tego popołudnia będziesz miała wyjątkową wizytę. Zwróć uwagę na męża mojej córki.

– Na męża twojej córki?

– Tak, na męża mojej córki.

Położyła nacisk na słowo mąż, mrugnęła do niej i znowu z naciskiem wymówiła to słowo.

– Na męża mojej córki, i nie krzycz, kiedy go zobaczysz. Nie mów do niego, tylko przypatrz mu się dobrze. Zapamiętaj, co ci mówię: nie mów do niego i nie wypowiadaj jego imienia.

Hortensia nie mogła wiedzieć, o kim mówiła Sole, ale się domyśliła.

– Mężem twojej córki jest...?

– Nie wypowiadaj jego imienia.

– Ale jest ten... ten, co myślę, że jest?

– Tak. Stoi w drzwiach rozmównicy. Nie chciał, żebym powiedziała ci o tym wcześniej, bo nie wiedział, czy uda mu się wejść do środka, ale już jest w drzwiach, strażniczka roznosząca paczki właśnie podała mi tę wiadomość, zobacz: Twoja córka weszła ze swoim mężem.

– Cisza, nie wiecie, że w kolejce się nie rozmawia?!

To Mercedes krzyczy Cisza! Mercedes chce nauczyć się krzyczeć. Funkcjonariuszka z kokiem w kształcie banana podchodzi do Hortensii i Sole.

– Wy dwie, wystąp!

Krzyczy, bo po wydarzeniu z palcem Dzieciątka Jezus dostała srogą reprimendę od siostry Marii od Serafinów. Usłyszała, że jest za łagodna w stosunku do więźniarek i że powinna nauczyć je moresu, jeżeli nie chce stracić posady.

– Wchodzą pani na głowę, Mercedes, a jeżeli wejdą pani na głowę, wejdą nam wszystkim. Mam swoich informatorów, niech pani nie sądzi, że nic nie wiem o pioseneczce, wiem o wszystkim, co dzieje się w tym więzieniu dzień i noc, a pani zaczynają wchodzić na głowę. Dzień i noc, proszę o tym nie zapominać.

Nie zapomniła. I Mercedes podchodzi do Hortensii, wskazując na nią palcem.

– Chcesz, żebym cię ukarała zakazem odwiedzin?

Hortensia chce powiedzieć Nie. Chce powiedzieć Nie, ale czuje, że głos uwiązł jej w gardle, co uniemożliwia jej mówienie.

– O co chodzi? Nie masz zamiaru odpowiedzieć?

– Chodzi o to, że Hortensia nie czuje się za dobrze.

To Sole odpowiada.

– I dlatego musi rozmawiać, stojąc w kolejce? Może w takim razie porozmawiała już wystarczająco i nie ma potrzeby, żeby szła do rozmównicy i mówiła więcej.

– Nie czuje się najlepiej, ma zawroty głowy, a ja jestem nowa i nie wiedziałam, że nie można rozmawiać w kolejce, zaczęło jej się kręcić w głowie i dlatego się do mnie zwróciła, jestem akuszerką, a ponieważ ona jest w ciąży, a ja jestem akuszerką, zapytałam, który to miesiąc.

Pierwsza tura więźniarek zaczęła opuszczać rozmównicę. Hortensia spojrzała na nie, na Mercedes, zacisnęła wargi i starała się powstrzymać łzy. Desperacja sprawiła, że udało jej się wydobyć z krtani głos:

– Dzisiaj jest Boże Narodzenie, na Boga, proszę panią. Proszę pozwolić mi wejść.

Mercedes nie miała serca jej odmówić. I zakomenderowała, żeby weszła druga tura, wcześniej wymierzając karę Hortensii i Sole.

– Wy dwie jutro wysprzątaacie blok. Wchodzić pojedynczo. Wy dwie wejdziecie na końcu.

Pierwsza weszła do rozmównicy Elvira. Pobiegła do prawego rogu i oparła się o oddzielającą ją od korytarza metalową siatkę.

– Tutaj, dziadku, tutaj.

Jej dziadek był też pierwszym, któremu pozwolono wejść. Podszedł najszybciej jak mógł i przywarł do metalowej siatki po swojej stronie.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Ale jego wnuczka nie może go już słyszeć, inne więźniarki krzyczą do swoich bliskich.

– Tutaj, tutaj.

– Tutaj, matko, tutaj, pośrodku.

Niespodzianka Elviry podeszła do metalowej siatki, wpatrując się zachłannie w dziewczynę. Elvira nie poznała Paulina od razu. Jej dziadek wskazał na mężczyznę, który stał obok, a ona na niego spojrzała. Spojrzała na niego przenikliwie. Patrzyli na siebie. Minęły niemalże dwa lata, odkąd widzieli się po raz ostatni. Paulino rozpoznał dziewczynkę, którą zostawił w porcie w Alicante, po rudym kucyku.

– Dziecinko.

A ona, nie zastanawiając się, ruszyła głową raz i drugi, aby mu się lepiej przypatrzeć.

– Paulino.

Przyłożył palec wskazujący do ust i zabronił jej wypowiedziania swojego imienia. Obok syn Reme podnosił jej wnuka, wyciągając ramiona jak najwyżej. Dziecko nie przestawało płakać. Reme także.

– Przynieś mi go na święto Matki Bożej Miłosierdzia.

Reme błagała, starając się powstrzymać szloch. Ale jej syn nie słyszał. Jej syn słyszał tylko krzyki Pepity, która wołała Hortensię:

– Tutaj, tutaj, Hortensio.

Hortensia weszła pod rękę z Sole. I weszły jako ostatnie. Sole starała się zrobić im miejsce obok Reme, popychając więźniarkę, która broniła swojego miejsca, rozdając kuksańce. Hortensia wzrokiem szukała Felipe. Puściła ramię Sole i oparła się na ramionach Reme.

– Tensi, dobrze się czujesz?

Ona przysunęła się o krok. On zawisł na oddzielającej ich siatce.

Akuszerce udało się wreszcie zdobyć miejsce. Rozepchnęła się jeszcze trochę.

Wyciągnęła do niej rękę, a Hortensia dała się poprowadzić, patrząc na Felipe.

Kobieta, która nie wie, że jest jej pisane zginąć, podchodzi do metalowej siatki. Nie stara się mówić. Smakuje spojrzenie Felipe.

– Tensi.

On wymawia jej imię po raz ostatni. Patrzy na nią w milczeniu. Smakuje jej spojrzenie. Ona głaszcze się po policzkach obiema dłońmi. On robi to samo.

Strażniczka, która idzie środkiem korytarza, kroczy powoli z założonymi na plecach rękoma. Patrzy w prawo i w lewo z uniesioną brwią. Obserwuje członków rodziny. Przypatruje się więźniarkom. To Bucior, i szepcze po cichu litanie, tę samą, którą mruczy zawsze, kiedy

trafia jej się dyżur w rozmównicy. Niektórzy sądzą, że się modli. Ale nie. Powtarza raz za razem ostatni wojenny meldunek. Komunikat, który podziwiany przez nią Generalissimus napisał własnoręcznie. Chory na gripę, z gorączką, własnoręcznie napisał. A ona nauczyła się go na pamięć: W dniu dzisiejszym ostatnie czerwone oddziały zostały rozbrojone i pojmane, a Wojska Narodowe osiągnęły swoje cele wojskowe. Wojna została zakończona. Patrzy na więźniarki, patrzy na ich bliskich. I powtarza z pogardą raz i drugi:

Ostatnie czerwone oddziały zostały rozbrojone i pojmane.

Raz i drugi: Rozbrojone i pojmane.

SIEDZIBA GŁÓWNA
SZTAB GENERALNY GENERALISSIMUSA
SEKCJA OPERACYJNA
OFICJALNY KOMUNIKAT WOJENNY

z dnia 1-ego kwietnia 1939 – III Rok Triumfu

W dniu dzisiejszym ostatnie czerwone oddziały zostały rozbrojone i pojmane, a Wojska Narodowe osiągnęły swoje cele wojskowe.

WOJNA ZOSTAŁA ZAKOŃCZONA.

BURGOS, 1-ego kwietnia 1939

Rok Zwycięstwa

GENERALISSIMUS

CZEŚĆ DRUGA

*Chcesz zapłakać.
Ale nadszedł czas suszy.
Chcesz zapłakać.
Ale oczy twoje są jak spalone słoneczniki.*

MARTÍN ROMERO MORENO

Równy, gęsiego i w milczeniu wracają na blok numer dwa osadzone, które mogły zobaczyć się z bliskimi. Równy, gęsiego i w milczeniu, z wyjątkiem Reme niosącej niskie wiklinowe krzesło, które podarował jej Benjamín, zmierzają do zwiniętych sienników opartych o ścianę głównego korytarza, leżących na schodach lub w celach. Siadają na nich i w milczeniu rozpamiętują zakończoną właśnie wizytę. Ze wzrokiem utkwionym w pustce próbują przeżyć na nowo ostatnie dziesięć minut, zatrzymać miniony czas, utrwalić go na zawsze w pamięci.

Reme ma przed oczyma płaczącego wnuka. Przysuwa krzesło do siennika Hortensii i zachęca ją, by usiadła. Reme nie powinna płakać. I nie płacze. Zobaczy chłopca znowu, we wrześniu, w święto Matki Boskiej Miłosierdzia, dwudziestego czwartego; licząc od dziś, dokładnie za osiem miesięcy. W święto patronki więźniów wpuszczają dzieci na więzienny dziedziniec. I wtedy Reme pierwszy raz będzie mogła wziąć wnuka na rękę.

Dziesięć minut. Wszystkie więźniarki, które spędziły te dziesięć minut naprzeciw swoich bliskich, zapatrzą się w pustkę jeszcze nie raz. Zapatrzą się, bo mają co wspominać. Dziesięć minut. Hortensia dziękuje za podsunięte krzesło, w jej oczach błyszczą oczy Felipe; na jej ustach pojawia się jego uśmiech; to wielkie dłonie Felipe gładzą policzki Hortensii, kiedy ta bezwiednie przykłada rękę do swojej twarzy. Dziesięć minut. Hortensia nie powinna płakać. Siada. I nie płacze. Obok Elvira z furią rozpuszcza włosy. Nie powinna płakać. A jednak płacze. Szlocha i targa włosy, bo nie wie, kiedy znów będzie mogła pomachać bratu swoim kucykiem.

– Elviro, uspokój się!

Trutka nie cierpi, kiedy więźniarki tracą panowanie nad sobą. A Elvira nie może się powstrzymać. Nie pozwoli jej na łzy. Nie pozwoli, by kogokolwiek podburzała. Nie pozwoli. Podchodzi do niej z rękoma skrzyżowanymi pod szkaplerzem i wrzaskiem nakazuje, by przestała histeryzować.

– Dosyć hysterii!

Żeby wprowadzić dyscyplinę, trzeba mieć posłuch. I wie o tym siostra Maria od Serafinów. Dlatego jest gotowa ukarać Elvirę. A ona wciąż szlocha i szarpie rękoma za włosy, w końcu rozwiązuje koński ogon i rzuca do stóp zakonnicy wstążkę, rzuca jej do stóp całą swoją rozpacz.

Wielki brzuch Hortensii nie pozwala jej wstać tak szybko, jak by chciała. Musi podnieść wstążkę. Musi uspokoić Elvirę, zanim siostra Maria od Serafinów ją ukarze.

Tak, ukarze ją.

– Nie raz już mówiłam, że nie życzę sobie tu łez. Nie życzę tu sobie żadnych scen. Mówiłam nie raz. Ale widzę, że niektórzy jeszcze tego nie zapamiętali.

Zakonnica chwyta ją za ramię i podnosi brutalnie z siennika.

– Proszę ze mną!

Zabiera ją.

Hortensii udaje się pokonać ociężałość, kładzie ręce na plecach, wstaje i, kiwając się na boki, podchodzi do zakonnicy.

– Siostrze, proszę się zlitować i jej nie zabierać, jest chora, ma gorączkę, kaszle.

Reme i Sole wtórują Hortensii.

– Ma bardzo brzydki kaszel, biedaczka.

– Kaszel jak z dna studni, nawet sobie siostra nie wyobraża.

Siostra Maria od Serafinów spogląda przez ramię. Zagryza wargi, marszy brwi, patrzy na każdą po kolei. Nie odpowiada ani słowem, tylko szarpie Elvirę za ramię i wyprowadza na korytarz.

Zabiera ją.

Tak, zabiera.

A Elvira nie przestaje szlochać.

Rude włosy Elviry przestały należeć do Elviry. Najpierw Trutka zaplotła jej warkocz. Przy samej skórze, obcięła go przy samej skórze w obecności wstrętnej Bucior, która stała naprzeciwko Elviry, z wysuniętą brodą, nogami w rozkroku, kciukami wetkniętymi za pasek, i rozkazała jej, by się nie ruszała.

– Nie ruszaj się!

Przy samej skórze go obcięła, wredna Trutka. Potem podała rudy warkocz strażniczce, a ona włożyła go do dużej torby, w której trzymały włosy przeznaczone na sprzedaż.

– Teraz zapamiętasz sobie raz na zawsze!

Tak, Elvira sobie zapamięta. Że nie powinna płakać. Wraca do prawego skrzydła bloku numer dwa bez swoich pięknych włosów. Nie powinna płakać. I nie płacze. Siada na sienniku, zakrywa głowę dłońmi i żali się, chociaż nie płacze.

– Ukradli mi włosy.

Reme próbuje ją pocieszyć i recytuje przysłowie, które tyle razy powtarzała:

– Kto włosy obcina...

Ale Elvira przerywa zniecierpliwiona i przytula się do niej.

– Wcale nie zaczyna nowego życia, Reme, wcale a wcale.

– Córeńko!

Nazywa ją córeńką, choć tym razem nie myśli o córkach, i głaszcze po głowie.

– Odrosną, raz-dwa odrosną, sama zobaczysz.

– Ukradli mi je.

Mówi, że je ukradli, bo więźniarki sprzedają swoje włosy zakonnicom, a zarobione pieniądze wydają w więziennym sklepiku. A zakonnice sprzedają je handlarzom starzyzną, zbierając z kolei na cele dobroczynne.

– A teraz jeszcze sprzedadzą.

Elvira ma przed oczyma warkocz ześlizgujący się do torby. Ma przed oczyma rybę wpadającą do podbieraka. Dlatego nie widzi zbliżającej się Mercedes, która poprawia szpilki w swoim koku w kształcie banana.

– Jakie ładne krzesło.

Hortensia, która gładzi Elvirę po plecach, odpowiada tylko, że to nie jej krzesło.

– A czyje?

– Proszę zostawić nas w spokoju.

– Słucham?

– Proszę nam zrobić tę uprzejmość, jesteśmy tu jak w rodzinie i chcemy pozostać w rodzinie. Jeśli naprawdę to panią interesuje, krzesło należy do Reme. A teraz, skoro już pani wszystko wie, mogę pani w czymś jeszcze pomóc?

Wszystkie spoglądają na Mercedes: patrzy na nią Sole i Elvira, Reme i Hortensia, a Mercedes odwraca się na pięcie i odchodzi, odprowadzana wzrokiem przez wszystkie więźniarki.

– Cholera, ale jej powiedziałaś.

Sole zaśmiała się z podziwem dla Hortensii.

– Nie ma co, nieźle jej wygarnęłaś.

Zaśmiała się Reme. I cała reszta, Elvira też.

– Zobaczmy, co nam przynieśli. Nieszczęścia przychodzą same, i to parami, ale o dobre chwile trzeba się postarać.

– Dobra to wieść, kiedy niosą jeść.

Hortensia rozpakowuje paczkę od Pepity. Najpierw widzi sukienkę. Sukienkę z szarej flaneli w drobne białe bukieciki.

– Chce, żebym zdjęła żałobę.

– Już czas Hortensio, Pepita ma rację.

Reme wyjmuje zawiniątko w szarym papierze. Mały kawałek szynki.

– Benjamín przyniósł mi szynkę, szynkę z kością.

– Szynkę? Powiedziałaś szynkę?

– Biedactwo, prosiłam go o mydło, o kostkę mydła. A on przyniósł mi szynkę z kością.

Pewnie nie dosłyszał.

– A ja mam indyka, daję słowo. Zobacz, Elvirito, przynieśli mi pieczonego indyka.

– Dziś urządzimy sobie uroczystą kolację.

– Prawdziwie królewską ucztę.

– Pójdę do sklepiku po wrzątek i zrobimy sobie kawy, chcesz, córeńko?

Wszystkie próbują pocieszyć Elvirę, która przestała już macać głowę i zaczęła rozpakowywać swoją paczkę. Kiedy odkrywa niespodziankę, którą przysłał jej dziadek, aż krzyczy z wrażenia:

– *Turrón!*

Tej nocy, kiedy mogą wspólnie pozwolić sobie na rzadką przyjemność zaspokojenia głodu, Hortensia, Reme i Sole nie raz pomyślą o Tomasie. Ale żadna nie napomknie o niej ani słowem.

Elvira będzie myśleć tylko o swoim bracie. Jedząc, ciągle będzie miała przed oczyma jego twarz, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo zrobił się podobny do ojca. Potem uśnie, obejmując Reme, wtulona w jej ciepło, i obudzi się wiele razy.

– Paulino.

Zobaczy go, jak podchodzi do metalowej siatki rozmównicy i unosi palec wskazujący do ust.

– Paulino.

I znów spróbuje zasnąć, zasłaniając dłonią twarz, by nie wymawiać głośno jego imienia. I zapadnie w sen. I znów wyrwie się z jej ust krzyk:

– Paulino.

A on jeszcze raz uniesie palec do ust.

Napisany przez Paulina list tkwi nadal w kieszeni jego kurtki. List do Pepity. Zapomniał o nim. Zapomniał o nim na śmierć, gdy przed bramą więzienia Ventas ujrzał swojego dziadka. Teraz gładzi go opuszkami palców. I się waha. Może lepiej zatrzymać go w kieszeni. Ścisła kartkę, którą zapisał, gdy tylko dotarł do domu Amalii, dziewczyny z Salamanki, która należy do Solidarności Robotniczej, do domu córki Sole. Muszę wyjechać i chcę, żebyś wiedziała, że chociaż bardzo pragnę z Tobą zostać, moja powinność jest ważniejsza niż osobiste pragnienia, jest i zawsze będzie. Może lepiej byłoby powiedzieć Pepicie, żeby zapomniała o tym, o co ją poprosił w kościele Świętego Judy Tadeusza.

Zaciska dłoń. Gniece kartkę.

Idzie obok Pepity.

Grupka, która stworzyła się naprędce przed wejściem do więzienia, znów się rozproszyła. Ci, którzy weszli razem do więzienia, razem z niego wyszli i pożegnali się już za bramą. Udali się każdy w swoją stronę, tak jak tu przybyli, oprócz Paulina, który powiedział Felipe, żeby wracał do domu sam, że on chce odprowadzić dziadka. I poprosił Pepitę, by im towarzyszyła.

– Jeśli masz ochotę...

Jeśli ty masz ochotę, odparła, patrząc mu w oczy i czerwieniąc się po uszy. A teraz, kiedy pożegnali się z don Javierem, idą tylko we dwoje. Sami. I kiedy on gniece kartkę w kieszeni, te oczy niemożliwie błękitne znów spoglądają na niego i błyszczą. Pepita odzywa się niepewnie:

– Zadałeś mi pytanie, na które ci nie odpowiedziałam. Interesuje cię jeszcze moja odpowiedź, czy już cię nie interesuje?

– Najpierw muszę ci o czymś powiedzieć.

– O czym?

– O czymś bardzo ważnym, co musisz dobrze zrozumieć.

– Słucham.

– Musisz to bardzo dobrze zrozumieć. Jeśli po tym, co ci powiem, nie będziesz chciała mnie znać, nie będę miał do ciebie o to pretensji.

Pepita wbija wzrok w ziemię. Zawód, którego doznała, sądząc, że Paulino ją porzucił, z każdym dniem stawał się coraz bardziej gorzki. Ale zniknął na chwilę, kiedy zobaczyła go przed wejściem do więzienia Ventas. Kiedy patrzyła, jak idzie w jej kierunku, poczucie, że została porzucona, rozplynęło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozplynął się lęk, że już nigdy go nie zobaczy. Teraz ten lęk ogarnął ją znowu. Co takiego powinna wiedzieć, zanim mu odpowie? Opuści ją. Co takiego powinna zrozumieć? Już nigdy go nie zobaczy.

Zapytał jeszcze raz:

– Rozumiesz?

Bała się jak nigdy, odpowiadając:

– Powiedz, o co chodzi.

– Jestem komunistą.

Pepita wybuchnęła śmiechem i długo, zasłaniając dłonią usta, nie mogła przestać się śmiać.

– Co cię tak rozbawiło?

– Wyobrażałam sobie, że zaraz mi powiesz, że jesteś żonaty albo że zostawiłeś gdzieś

dziecko.

– Co ty mówisz!

– No wiesz, myślałam, że tam, na wojnie...

– To dużo poważniejsze niż dziecko, dziecinko. Jestem komunistą i będę nim przez całe życie. Jadę do Tuluzy, żeby oddać się do dyspozycji Komitetu Centralnego. Mogą złapać mnie po drodze i wsadzić do więzienia, mogą mnie zabić, rozumiesz?

– Czy ty przypadkiem trochę nie przesadzasz? Co tu jest do rozumienia? Od razu wiedziałam, że jesteś komunistą. Felipe jest komunistą, moja siostra jest komunistką i don Fernando, ostatni, którego mogłam o to podejrzewać, też jest komunistą. Nawet doña Celia jest komunistką, jak ty mógłbyś nim nie być?

– Ale ja się ukrywam, dziecinko, ukrywam się i będę musiał dalej się ukrywać. Nie chcę cię okłamywać, nie wiem, jak długo to potrwa. Musisz wiedzieć, że jestem człowiekiem twardych politycznych przekonań, którymi nikt nie zachwieje. Nikt. To coś dużo poważniejszego, niż gdybym miał dziecko, tak pozostanie do dnia, kiedy umrę albo kiedy mnie zabiją, jeśli mają mnie zabić.

– A kobieta, która zechce dzielić twój los, musi się z tym pogodzić?

– Kobieta, która zechce dzielić mój los, musi wiedzieć, że jej los może być ponury. Mogą mnie złapać i zabić, może być tak, że weźmiemy ślub i zaraz zostaniesz wdową, mogą mnie zabić, zanim zdążymy wziąć ślub. Musisz się nad tym dobrze zastanowić. Nie wiem, czy mam prawo prosić cię o cokolwiek, może lepiej byłoby o wszystkim zapomnieć. Nie wiem, jak długo jeszcze będę musiał się ukrywać.

Ona uniosła wzrok. On wziął jej rękę i wsunął ją pod swoje ramię.

– Chcesz być moją narzeczoną?

Oboje się uśmiechnęli. Bardzo chcieli się przytulić. Chwyliła go mocniej pod ramię i przyspieszyła kroku.

– Dokąd idziemy?

– Tam, gdzie w Madrycie chodzą narzeczeni.

Zaprowadziła go na dworzec Delicias i kiedy na peron wjechał pierwszy pociąg i zaczęli z niego wysiadać pierwsi pasażerowie, mocno go przytuliła.

I rzucając się w jego objęcia, pogodziła się ze swoim losem.

Algi.

Jego pocałunki były jak algi falujące pod powierzchnią morza. Algi dwóch mórz, których wody się spotkały.

Algi.

Tak.

- Sześć tysięcy sześćset?
- Sześć tysięcy sześćset.
- Chyba na głowę upadli.
- Gdybyśmy byli socjalistami, nie wzięliby od nas grosza.
- Tak powiedzieli?
- Cytuję dosłownie. Najpierw ta blondynka zapytała mnie, czy jesteśmy socjalistami.

Felipe i Amalia czekali na Paulina w kuchni, a socjalistyczna działaczka, o której mówił Felipe, w salonie. Jasna blondynka o orlim nosie i wydatnej brodzie, Baskijka, z San Sebastián. Pochodząca z Salamanki dziewczyna z Solidarności Robotniczej przyprowadziła ją do domu, żeby zorganizować wyjazd Paulina i Felipe. Ale Paulino odprowadzał dziadka i jeszcze nie wrócił, więc Felipe nakłonił blondynkę, by usiadła na chwilę w salonie. I blondynka usiadła, po krótkiej rozmowie z Felipe, podczas której przekonywała go, że ucieczka przez Portugalię nie ma sensu. Ci, którym udało się przekroczyć portugalską granicę, byli natychmiast zwracani przez straż graniczną Salazara. Najrozsądniej było przerwyc ich przez granicę w Irún, jak robili z innymi towarzyszami, zaproponowała, nie dając mu właściwie wyboru.

- Decyzja należy do ciebie, ale my nie przetrucamy nikogo do Portugalii.
- Nie mogę decydować sam, muszę zaczekać, aż wróci mój towarzysz.
- A ja nie mogę dłużej czekać. Umówiliśmy się o ósmej i jest ósma.
- Skąd ten pośpiech?
- Słuchaj, twoi wpadają ostatnio jeden po drugim jak ćmy w ogień, pewnie o tym

słyszałeś?

- Słyszałem, i co z tego?
- A to, że niezbyt bezpiecznie tak tu z wami siedzieć, towarzyszu.
- Posiedź jeszcze chwilę. To jest wliczone w cenę.

Pewność siebie Felipe chyba spodobała się blondynce, bo uśmiechnęła się i powiedziała równie stanowczym tonem:

- Do ósmej piętnaście. Czekam kwadrans i ani minuty dłużej.
- Dobrze i to. Usiądź, zaraz wracam.

Felipe, wychodząc z salonu, trzasnął drzwiami i już w kuchni zapytał Amalię, czy blondynce można ufać.

- Przerzucili wielu ludzi, czemu pytasz?
- No bo mówi mi, że nasi wpadają jeden po drugim jak ćmy w ogień.
- Dziwisz się jej? W Madrycie nasi wpadają jak ćmy w ogień albo jak zające w sidła. Jak wolisz.

– Wolę, żeby mi o tym nie przypominali. Zwłaszcza oni.

– Można jej zaufać.

– Nie mówię, że nie, ale to socjalistka, a w dodatku wyjątkowo wredna. Nigdy nie spotkałem nikogo równie opryskliwego. A minę ma, jakby gównem wachała.

- Można jej zaufać.

Wtedy Felipe powiedział Amalii, że chcą od nich sześć tysięcy sześćset peset za wywiezienie z Hiszpanii. I wówczas ona stwierdziła, że chyba upadli na głowę.

- Macie te pieniądze?

- Mamy piętnaście tysięcy z ostatniej akcji w fabryce mąki.
- W takim razie na co czekasz? Powiedz jej, że tak.
- Na Czarną Kurtkę. To on decyduje.
- A ty?
- A ja zgadzam się z jego decyzjami.

W tym samym momencie do kuchni wszedł Paulino, gładząc się po ustach. Felipe podszedł do niego.

- Sześć tysięcy sześćset peset.
 - Co?
 - Socjaliści chcą od nas sześć tysięcy sześćset peset za przerzucenie nas do Francji.
- Paulino zapomniał o pocałunkach Pepity i wsunął dłonie do kieszeni, by wysłuchać

Felipe.

- Sześć tysięcy sześćset, bo nie jesteśmy socjalistami, skurczybyki jedno.
- Od każdego?
- Nie, za dwóch.

I opowiada mu o blondynce, która zarzeka się, że może im załatwić prawdziwe dowody tożsamości.

– Z Belchite, bo cała miejscowość zrujnowana, dokumenty w ratuszu i parafii spłonęły, tym z Belchite dają prawdziwe dokumenty, muszą odtworzyć cały rejestr stanu cywilnego. Jesteśmy teraz z Belchite, towarzyszu.

- I mogą zdobyć dla nas listy żelazne?
- Ważne przez sześć miesięcy.
- Przez sześć miesięcy!

Zdziwił się Paulino, bo zwykle listy żelazne wydawano tylko na miesiąc.

- Kiedy mielibyśmy jechać?
- Jeszcze dziś w nocy mogą nas wsadzić do pociągu do San Sebastián, a jutro rano na statek do Saint-Jean-de-Luz.

- Zaraz, zaraz, mówiliśmy o Portugalii.
- Niemożliwe, ostatnio nikomu się nie udało.

Kiedy Felipe zapoznał Paulina z planami ucieczki, weszli obaj do salonu, gdzie czekała jasnowłosa działaczka socjalistyczna. Powiedzieli, że zgadzają się na jej warunki.

– O dziesiątej ktoś po was przyjdzie, zastuka trzy razy do drzwi. Macie być gotowi punkt dziesiąta. Tym razem nikt nie będzie czekał. Jeden z naszych będzie miał wasze dokumenty i odprowadzi was na dworzec. Kiedy znajdziecie się w San Sebastián, wsiądziecie do tramwaju numer siedem, który jedzie do Pasajes. Wsiądziecie na ostatnim przystanku i tam zaczekacie pod płotem, naprzeciwko przystanku. Macie mieć każdy po małej walizce. Obaj macie trzymać w ręku kapelusz. Ktoś podejdzie do was i powie Madryt. Odpowiedzcie Madryt. Wszystko jasne?

- Jak słońce.
- Aha, i żadnej broni. Macie broń?
- Tak.

– Nie możecie podróżować uzbrojeni. Jak was złapią w pociągu, już po was.

Uzgodnili, że zapłacą sześć tysięcy sześćset peset w Saint-Jean-de-Luz. I blondynka pożegnała się, mówiąc, że jeszcze się zobaczą.

Felipe był pełen obaw. I nie ukrywał tego przed Paulinem.

– Nie mam za grosz zaufania do tej ślicznotki. Jest fałszywa po same końcówki tych swoich blond włosków. Zabiorę mojego *naranjero*, ot co. I bez mojej astry też nigdzie się nie ruszę.

– Ukrywamy się już prawie dwa lata, Kordowiańczyku.

Odpowiedź Paulina zaskoczyła Felipe.

– A co ma piernik do wiatraka?

Minęły już prawie dwa lata, odkąd znaleźli się na Cerro Umbría. Ukrywali się zbyt długo. Ale Czarna Kurtka nigdy wcześniej się nie skarżył. Zdradził go ton głosu; odpowiadając Felipe, Paulino wcale nie myślał o broni.

– Muszę napisać list.

Paulino myślał o liście, który wręczył Pepicie na dworcu Delicias. I znów dotknął dłonią warg. Chciał napisać drugi. Myślał, co w nim napisze. Wyjął kartkę i ołówek. Napisze. Czas, który spędziłem w lesie, wcale mnie nie boli. Boli mnie czas, którego nie będę mógł spędzić z Tobą. Boli mnie ta noc, boli mnie jutrzejszy dzień. I będzie mnie boleć każda minuta, aż do chwili, kiedy zobaczę Cię znowu, dziecinko. Muszę wyjechać. I napisze, że chce się z nią ożenić jeszcze tego samego dnia, kiedy wróci. Bo wrócę na pewno, napisze.

Rzeczywiście wróci.

Ale nie będzie mógł ożenić się z Pepitą w dniu swojego powrotu.

Dwa listy. Pepita trzyma w ręku dwa listy od Paulina. Pierwszy wręczył jej osobiście, po tym jak całowali się na dworcu Delicias. Pepita czytała go wiele razy, przez wiele dni i wiele nocy. Drugi list wcisnęła jej do kieszeni palta Amalia, w bramie więzienia, ten też czytała wiele razy, przez wiele dni i wiele nocy. Zawsze uśmiecha się, czytając listy, zawsze płacze, kiedy je chowa. Nie wie, że Paulino też się uśmiechał, pisząc drugi list. Nie wie, że z trudem powstrzymał łzy, kiedy wkładał go do koperty. Nie wie, że wyjął z kieszeni złożoną chusteczkę i za plecami Felipe wytarł nos. Potem dał kopertę Amalii.

– Kiedy będziesz odwiedzać mamę, daj ten list Pepicie. Uważaj, żeby nikt tego nie widział. Zrób mi tę przysługę, już ostatnią, o jaką proszę.

– Nie martw się, nikt mnie nie zobaczy.

Paulino chował chusteczkę z powrotem do kieszeni, gdy Felipe podszedł i zapytał:

– Pepita czuje do ciebie to samo co ty do niej?

– To samo.

– Toście się urządzili, chłopie. Świetny czas na amory, nie ma co.

Skrzywił się i podrapał po głowie. Potem i on poprosił Amalię o przysługę.

– Możesz wziąć ten zeszyt? To dla Tensi, bardzo lubi pisać i domyślam się, że potrzebny jej nowy.

Niebieski zeszyt. Felipe kupił Hortensii nowy niebieski zeszyt.

– Oczywiście.

– Ale nie dawaj go Pepicie. Ona boi się byle czego. Możesz przekazać go matce, niech ona da go Tensi, dobrze?

Była dziesiąta. Rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi.

– Otwórz ty, Amalio.

Kiedy otworzyła, stojący w progu ksiądz powiedział Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, i nie czekając na zaproszenie, czym prędzej wślizgnął się do środka. Miał dowody tożsamości dla Felipe i Paulina. I listy żelazne na sześć miesięcy. Uparł się, że mają powtórzyć głośno swoje imiona i nazwiska.

– Jeśli was zapytają, jak się nazywacie, a wy zawahacie się choć przez chwilę, na nic wam papiery. Bez namysłu, trzeba odpowiadać bez chwili namysłu. Jak się nazywasz?

– Mateo Bejarano.

– A ty?

– Jaime Alcántara.

Lekki ruch głowy duchownego i jego pytające spojrzenie wystarczyły, by powtórzyli jeszcze raz.

– Mateo Bejarano.

– Jaime Alcántara.

– Dobrze, zawsze odpowiadajcie równie szybko, nawet obudzeni w środku nocy. Byli już tacy, co przez to wpadli.

Amalia uścisnęła ich na pożegnanie i życzyła powodzenia.

– Powodzenia, Mateo. Powodzenia, Jaime.

Felipe wyszedł z domu Amalii jako Mateo.

Paulino od tej chwili nazywał się Jaime. I spodobało mu się to imię.

Kiedy szli na stację, Mateo narzekał, że nie pozwolili im zabrać broni.

– Bez pukawki człowiek jest kompletnie bezbronny.

Powtórzył to na dworcu, kiedy już pożegnali się z księdzem. I w Medinie del Campo, gdzie musieli czekać na pociąg z Salamanki, który miał opóźnienie. Powtórzył to w San Sebastián, wsiadając do tramwaju numer siedem i wysiadając na ostatnim przystanku. I zdążył powtórzyć wiele razy, kiedy przez trzy godziny czekali z kapeluszami w dłoniach, aż ktoś się pokaże.

– Najkompletniej bezbronny.

Trzy godziny.

I nikt nie nadchodził, nikt nie mówił Madryt.

Oparci o mur, ani na chwilę nie tracąc z oczu przystanku, Mateo Bejarano i Jaime Alcántara palili papierosa za papierosem. Rozdeptywali obcasami niedopałki. Raz po raz odstawiali walizki. Znow je podnosili. I znow odstawiali. I poczuli się zupełnie zagubieni w swoich nowych imionach, w szarych garniturach, gniecionych w dłoniach kapeluszy, w Pasajes. Ten, który wcześniej nazywał się Paulino, przyznał rację towarzyszowi, wdeptując w ziemię kolejny niedopałek:

– Trzeba było zabrać broń.

– Przecież mówiłem.

Kordowiańczyk też zgasił papierosa i spojrzał w kierunku przystanku. Przeszedł się chodnikiem, kilka kroków w jedną stronę, kilka kroków w drugą. Wrócił do towarzysza i, postukując kapeluszem o udo, jakby w rytmie flamenco, zapytał:

– A jak się nie zjawia?

Teraz to Jaime postukiwał kapeluszem o udo.

– Poczekajmy jeszcze trochę.

– Nie chcę nic mówić, ale coś mi się nie widzi, żeby ktoś miał tu po nas przyjść.

– Zobaczymy. W razie czego spróbujemy sami przekroczyć granicę.

Coraz bardziej nerwowe wyczekiwanie obu nieuzbrojonych mężczyzn zogniskowało się na trzecim, który wysiadał z tramwaju. Przeszedł przez ulicę. Zmierzał w ich kierunku. Spojrzał na nich. Potem rozejrzał się wokół. Stał obok, rzucił okiem na walizki, a potem zdjął kapelusz i powiedział Madryt.

Madryt, odpowiedzieli, uwalniając dręczący ich niepokój, Mateo i Jaime, zaintonowali słowo Madryt na dwa głosy, jak intonuje się hymn. Madryt, powtórzyli, wydychając resztkę powietrza, jaka pozostała im jeszcze w płucach. I tym razem słowo Madryt zabrzmiało jak westchnienie.

– Chodźcie ze mną.

Mateo włożył kapelusz, podniósł małą walizkę i wręczył ją mężczyźnie, który kazał na siebie czekać trzy godziny.

– Niech pan momencik zaczeka i to potrzyma, muszę się wysikać.

– Tylko proszę się pośpieszyć, czekają na nas.

Po chwili mężczyzna, który spóźnił się trzy godziny, miał już w drugim ręku walizkę Jaimego.

– Ja też nie wytrzymam.

Dwaj przyjaciele odwrócili się od mężczyzny dźwigającego ich walizki. Odeszli kilka kroków, przekrzywili kapelusze i wysikali się pod murkiem.

Tylko gest. Na znak protestu. Gest, który obaj uznali za drobny i nieznaczący. Powrócili do tego na niewielkiej łodzi motorowej, którą płynęli do Francji. Ostatnie światła wieczoru powoli gasły, a morze robiło się coraz ciemniejsze. Oparci łokciami o prawą burtę patrzyli na

oddalający się hiszpański brzeg. Wtedy, po raz pierwszy i ostatni podczas całej przeprawy, odezwał się do nich mężczyzna, któremu kazali trzymać swoje walizki:

– Jesteśmy już na francuskich wodach.

Mateo i Jaime patrzyli na sylwetkę wyłaniającą się po prawej stronie góry.

– Na pożegnanie obsikaliśmy hiszpańską ziemię, chłopie.

– A właściwie hiszpański murek.

Kiedy Pepita dostała list wysłany przez Jaimego Alcantarę, przestraszyła się, że jakiś nieznajomy przesyła jej złe wieści. Przyszedł z Tuluzy. Ale kiedy zaczęła go czytać, rozpoznała natychmiast pismo Paulina i zrozumiała, że nowe imię i nazwisko to część strategii, część wygnania.

– Od kogo to, że masz taką minę, kochanie?

Doña Celia pyta z końca korytarza, trzymając filiżankę ze śniadania.

– Z Francji.

Nagła radość Pepity zaintrygowała jej gospodynię. Doña Celia oparła się o framugę, uniosła filiżankę do ust, podmuchała kilka razy, nie odrywając wzroku od dziewczyny. Pepita czytała dalej. Uśmiechnęła się. Jaime zdradzał Paulina, wspominając w liście dworzec Delicias i kościół Świętego Judy Tadeusza. Zdradzał się, ale tylko dla niej, pomiędzy linijkami zmyślonego życiorysu maszynisty, który od pięciu lat mieszka we Francji i ma już tego dosyć. Pisał, że ostatnia podróż była długa i uciążliwa, że jest zmęczony, ale wszystko u niego w porządku. Jaime wymyślał od nowa swoje życie tylko po to, by Paulino mógł napisać list do Pepity. A ona odgadła, że cała historia jest tylko splotem kłamstw, za którymi kryła się jedna tylko prawda: kochał ją. I uśmiechnęła się ponownie. Nie odgadła jednak Pepita, że listonosz, po doręczeniu jej listu, uda się bezzwłocznie do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, żeby poinformować o liście, który zaniósł przed chwilą do pensjonatu przy ulicy Atocha. Jaime też nie mógł się tego domyślić. Napisał list, żeby uspokoić Pepitę. Wymyślił historię o maszyniście, żeby ją chronić, by jej los nie stał się ponury, jeżeli list wpadłby w niepowołane ręce. Jeszcze tego samego dnia, gdy dotarli do Tuluzy, napisał do niej, żeby wiedziała, że podróż szczęśliwie dobiegła końca. Że jest bezpieczny.

Jasnowłosa socjalistka, do której Mateo nie miał za grosz zaufania, kiedy jeszcze nazywał się Felipe, powitała ich w Saint-Jean-de-Luz. Ta sama blondynka. Mateo i Jaime zdziwili się na jej widok, nie spodziewali się jej tu spotkać. Uśmiechnęli się do niej, przywitali serdecznie. Ona nie uśmiechnęła się ani razu, przedstawiła im mężczyznę, który jej towarzyszył, członka partii komunistycznej, zapytała, czy mieli dobrą podróż. Potem powiedziała, że musi iść.

– Nasza rola tu się kończy, wasz towarzysz zawiezie was do Bajonny.

Zainkasowała umówioną kwotę i powiedziała, że już się więcej nie zobaczą.

W Bajonnie Komitet Baskijski zaopatrzył ich w niezbędne dokumenty, by mogli dotrzeć do Tuluzy bez przeszkód ze strony francuskiej policji. Na miejscu zamieszkali obaj w jednym pokoju w niewielkim hoteliku, a towarzysz, który ich tam przywiózł, przekonał ich, że powinni się kilka godzin zdrzemnąć, on tymczasem poszuka lekarza, by opatrzył ranę Matea, i dopiero wieczorem udadzą się do Komitetu Centralnego.

– Jak sytuacja w kraju?

– Kiedy wyjechałeś?

– Kiedy Casado zaczął negocjacje. Przyjechałem z Monóvaru razem z Pasionarią.

– No więc wiesz, że to było prawdziwe nieszczęście, zwolennicy Casada przekazali nasze kartoteki, nasi powpadali natychmiast. Niektórych nie musieli nawet szukać, bo sam Casado powsadzał ich do więzień.

– A partyzantka?

– Jeszcze się trzyma.

– Tutaj się mówi, że prawdziwą partyzantkę zorganizowali socjaliści.

Mateo odczuwający wobec socjalistów nieskrywaną awersję podniósł głos:

– To wierutne kłamstwo, prawdziwa partyzantka, ta dobrze zorganizowana, zawsze była partyzantką partii komunistycznej i większość walczących, których poznałem, to komuniści.

– Jasne, mówię wam to tylko dlatego, żebyście się nie zdziwili, gdy będą sobie przypisywać wszystkie zasługi.

– Niech sobie przypisują, co chcą, i nie pieprzą głupot.

– Idę po lekarza. Odpocznijcie trochę.

Pomimo zmęczenia Jaime nie mógł usnąć. Próbował, ale nie mógł. Postanowił więc wykorzystać tę chwilę odpoczynku, żeby napisać list, który Pepita właśnie kończy czytać. Wysłał go jeszcze tego samego popołudnia, w piątek. Zostawił śpiącego Matea i wyszedł na ulicę, by kupić znaczek i wrzucić do skrzynki list, nie mając pojęcia, że wysyłając go, przysporzy dziewczynie kłopotów. Nie podejrzewając, że chwilę potem jak rozanielona Pepita skończy czytać list i przycisnie go do piersi, dwaj mężczyźni zatrzymają się przed drzwiami pensjonatu przy ulicy Atocha. Dwaj funkcjonariusze służby bezpieczeństwa nacisną dzwonek, którego dźwięk wyrwie z zamyślenia gospodynię unoszącą filiżankę do ust i obserwującą z rozczuleniem Pepitę. Kiedy dziewczyna o niemożliwie błękitnych oczach skończy czytać i przycisnie list do piersi, dzwonek pensjonatu przy ulicy Atocha rozdzwoni się nieustępliwie i naraz rozlegnie się stanowcze stukanie do drzwi.

– Idę. Już idę.

Doña Celia boi się, słysząc łomot.

– Otwórz, córeńko, bo mi drzwi rozwałą.

I Pepita otworzy drzwi.

Dwaj mężczyźni.

Powiedzą dzień dobry i pokażą odznaki. Jeden zapyta o nią:

– Josefa Rodríguez Garcíę?

– To ja.

Drugi oznajmi:

– Jesteśmy z policji.

I zapyta, czy nie otrzymała przypadkiem listu z Francji.

Pepita, która przytula jeszcze list do piersi, stara się go ukryć za plecami.

– Proszę nam pokazać ten list.

Pepita nie czuje strachu. Nie czuje też rozpaczy. W jednej chwili pojmuje, że kości zostały rzucone, że ponury los, przepowiedziany jej kiedyś przez Paulina, właśnie stał się jej udziałem. Spogląda na doinę Celię, opuszcza ramiona i pokazuje list.

– Pozwoli pani z nami.

– Proszę zaczekać!

To doña Celia krzyczy, by poczekał. Upuszcza filiżankę na podłogę. Biegnie za mężczyznami, którzy prowadzą Pepitę pod ramiona.

– Dajcie jej włożyć palto!

Niemożliwie niebieskie oczy znów spoglądają na doinę Celię. Mężczyźni, którzy zabierają dziewczynę, nie zwalniają kroku.

– Niech się panowie zlitują, przecież jest zimno. Ona nie może tak wyjść na ulicę.

Doña Celia, owszem, czuje strach. I ogarnia ją rozpacz. I chwyta się myśli, by ochronić Pepitę. Ochronić ją, choćby tylko przed zimnem. Biegnie do pokoju dziewczyny. Otwiera szafę, szuka palta. W pośpiechu pokonuje schody w dół. Dogania Pepitę dopiero na ulicy. Okrywa jej plecy i gładzi po głowie.

– Dziękuję.

Dziękuję, mówi Pepita, zwracając ku niej twarz.

– Dziękuję, pani Celio.

Potem obraca głowę, przyciska do piersi list, czując na ramionach ciężar ojcowskiego palta. Idzie pewnym krokiem. Idzie, wiedząc, że Paulino, który teraz nazywa się Jaime, jest bezpieczny. I że nadal będzie bezpieczny tam, we Francji, chociaż ona nie wytrzyma ani jednego kopniaka.

Doña Celia patrzy na Pepitę idącą pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy ją zabierają. Myśli, że ta dziewczyna jest bardzo delikatna i że trzeba coś zrobić. Myśli. I podejmuje decyzję. Poprosi o pomoc doktora Ortegę. Pójdzie do niego natychmiast, don Fernando będzie wiedział, co zrobić. I doña Celia rusza w stronę domu lekarza. Zaczyna biec. Biegnie i przypomina sobie swoją córkę Almudenę. Chociaż bardzo się stara, nie może odpędzić tego obrazu, nie może przestać myśleć o chwili, kiedy widziała ją po raz ostatni. Szła pewnym krokiem pomiędzy dwoma mężczyznami.

Zatrzymanie Pepity okazało się decydujące dla don Fernanda, który od tygodnia dobiera słowa, by zakomunikować ojcu, że nie przyjmuje jego oferty, że nie chce pracować jako lekarz w więzieniu Ventas. Ojciec dał mu tydzień na odpowiedź.

– Słuchaj, Fernando, jesteś lekarzem, a nie jakimś buchalterem.

Tydzień, który właśnie upłynął. Ale po wizycie doñi Celi na nic się już zdadzą pieczołowicie dobierane słowa. Przyjmie proponowane stanowisko. Da ojcu tę satysfakcję, ale w zamian zażąda, by użył swojej pozycji doradcy medycznego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, żeby uwolnić Pepitę.

Pójdzie do niego natychmiast, nie ma ani chwili do stracenia. Wyjdzie na ulicę, zarzucając na ramiona swoją hiszpańską pelerynę, a jego żona doña Amparo zobaczy go ze skrzyżowania ulic Relatores i Magdaleny, gdzie zawsze czeka, aż wyjdzie z domu. Ona zawsze przyczaja się na tej samej ulicy, kiedy wraca z kościoła, podtrzymując jedną ręką koronkową woalkę, która przysłania jej twarz, drugą ściskając książeczkę do nabożeństwa. Czeka, dopóki on nie wyjdzie, dopiero wówczas opuszcza swoją kryjówkę, skręca w ulicę Relatores i idzie do domu. Jej mąż wie o tym. Zobaczył któregoś dnia, jak cofa się na jego widok. Zdradził ją właśnie ten gest, próba ucieczki. Tamtego ranka wybierał się z wizytą do ojca w jego prywatnym gabinecie przy placu Tirsa de Moliny, skręcił więc szybko, by nie wpaść na żonę. Ale tym razem nie ma na to czasu. Tym razem Pepitę zabrała policja, a on wybierze najkrótszą drogę, by jak najszybciej poprosić ojca o pomoc. Przejdzie obok żony i nawet się nie zatrzyma. Lekkie skinienie głowy zamiast powitania, na które doña Amparo odpowie w ten sam sposób. I pójdzie dalej w kierunku placu Tirsa de Moliny. I stanie przed drzwiami gabinetu ojca, pewny, że za wszelką cenę musi wymóc na nim, by wstawił się za nią, by wyciągnął z aresztu tę dziewczynę, która prawie dostała ataku serca, kiedy przyniosła mu wiadomość od Czarnej Kurtki. Musi wyciągnąć ją stamtąd, zanim będzie za późno, za późno dla niej i dla niego. Pepita nie wytrzyma, zacznie sypać, opowie wszystko. Wszystko. I jego też wsypie. Teraz musi jeszcze się zastanowić, co powiedzieć ojcu. Musi się zastanowić, chociaż nie ma czasu, Pepita jest już pewnie w sali przesłuchań. Musi dobrać słowa tak, żeby się nie zdradzić. Don Fernando przemówi, starannie ważąc słowa, których wypowiadać nie powinien. Powie tylko tyle, by jego prośba była przekonująca, by jego zainteresowanie uwolnieniem służącej nie wzbudziło podejrzeń. Musi podjąć konieczne ryzyko, nie ponadto, i musi działać szybko. Nie ma ani sekundy do stracenia. Za ledwie sekunda wystarczy, by podać czyjeś imię, wymówić nazwisko. Musi przekonać ojca jeszcze tego ranka, natychmiast, by słabość Pepity i jego nie pociągnęła na dno.

– Pamiętasz Pepitę, naszą służącą?

– Jasne, to ta, która podawała do stołu w Boże Narodzenie. Śliczniutka.

Don Fernando nie usiadł. Nie zdjął nawet peleryny. Tylko kapelusz położył na biurku w gabinecie ojca.

– Zabrali ją właśnie agenci służby bezpieczeństwa. Jeśli wyciągniesz ją stamtąd w tej chwili, przyjmę stanowisko w Ventas.

– Jest ładna, bardzo ładna. Co takiego przeszkrobała?

– Nic. Dostała list z Francji, tylko dlatego ją zabrali.

– W takim razie nie musisz się martwić, na pewno ją wypuszczą.

– Wyciągnij ją stamtąd. Jeśli zrobisz to zaraz, przyjmę tę pracę.

– Rozczarowujesz mnie, Fernando. Powinieneś zrobić to ze względu na siebie, ze względu na Amparo.

Don Fernando bębni palcami o blat biurka. Jego nerwowość i malujące się na twarzy przerażenie nie uchodzą uwagi ojca.

– Zdejmij pelerynę, chłopcze, i usiądź. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz dostać zawału.

– Nie ma czasu, tato.

– Usiądź i pogadamy spokojnie.

– Nie przyszedłem o niczym gadać. Przyszedłem przyjąć twoją propozycję i prosić cię o przysługę.

– Czy Amparo wie?

– Amparo nie ma z tym nic wspólnego.

– No tak, wyobrażam sobie. Ale jeśli wyciągnę stamtąd tę dziewczynę, natychmiast ją odprawisz. Jesteś winien szacunek swojej żonie.

– Ale...

– Nie ma żadnych ale. Dziś ją odprawisz. A jutro zaczynasz w więzieniu.

Don Fernando bierze kapelusz z biurka.

– Dobrze, chodźmy już.

– Nie musisz się o nic martwić. Sam zajmę się wszystkim, kiedy skończę przyjmować pacjentów.

– Chcę wyciągnąć ją stamtąd osobiście.

– Rozumiem.

– Mamy dwa kroki do Puerta del Sol, jeśli pójdziemy od razu, być może jeszcze zdążymy.

– Zdążymy przed czym?

– Tato!

Ton głosu Fernanda wystarcza za całą odpowiedź. Mówi tato, żeby nie powiedzieć sam doskonale wiesz przed czym. I ojciec rozumie.

– Idziemy.

Idziemy, powiedział lekarz, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak traktowano zatrzymanych i w jakim stanie opuszczali salę przesłuchań.

- Ta kobieta nie żyje.
- Też mi się tak zdaje.

Kobieta faktycznie nie żyje. Dwóch policjantów bierze ją pod rękę i zaczyna wlec po podłodze. Ta kobieta nie żyje i Pepita patrzy na jej twarz i rozpoznaje w niej Carminę, straganiarkę ze stoiska numer dwadzieścia sześć na targu Cebada. Łączniczkę Czarnej Kurtki. Ta, która wieszala pranie na balkonie, nie żyje. I dwóch mężczyzn ciągnie ją na oczach przerażonej Pepity, a dwóch innych popycha Pepitę do tej samej sali, z której Carmina nie wyszła o własnych siłach. Jeden z mężczyzn ciągnących ciało nie może oderwać wzroku od Pepity.

- Prześliczne masz oczy, serduszko.

Pozostali śmieją się z tego komplementu w tak niefortunnym momencie. Wpychają ją do pokoju kułakami, tak jak kułakami wepchnęli po schodach. I kułakami zmuszają, by usiadła. Ona wie, że zaraz zemdleje. Wie, bo głowa wypełniła się jej pianą. Dwóch mężczyzn sadza ją na krześle stojącym na samym środku pokoju, na którego ścianie wisi krzyż, i wychodzą na korytarz. Nie zamykają drzwi, jeden z nich krzyczy:

- Przekręciła się?

Ze swojego krzesła Pepita słyszy odpowiedź.

Odpowiada ten, który ciągnie Carminę za prawą rękę:

- Wszystko na to wskazuje.

Pepita słyszy wyraźnie każde słowo, głosy mężczyzn mieszają się z wypełniającą jej głowę pianą.

- A mówili, że taka twarda.
- Sam widzisz.

Słyszy wyraźnie, ale wiszący na ścianie krzyż zupełnie zniknął jej z oczu.

- Puściła parę z gęby?

Teraz to ten, który ciągnie Carminę za lewą rękę, odpowiada; zatrzymuje się na środku korytarza, ale nie wypuszcza ręki kobiety.

- Uparła się, że nic nie powie. I po cholere tak się upierała?
- O której dziś kończysz?

Krucyfik już się rozmył, powoli zaczynają się też rozmywać słowa. Pepita ześlizguje się z krzesła.

- O dwunastej. A ty?
- Ja też. Poczekaj na mnie, z tą szybko skończę i pójdziemy razem.
- Niezły cukiereczek. Masz ją tylko dla siebie?
- Nie, muszę się podzielić z tamtym.

Pepita już nic nie słyszy. Ma zamknięte oczy. I nieprzytomna leży na ziemi.

- O kurwa!
- Co się stało?
- Cukiereczek stracił przytomność. Zawsze mówiłem, że kobiet nie powinno się ani na chwilę zostawiać samych.

- Przynieś wody.

Kubel zimniej wody cuci Pepitę.

Wraca przytomność, a razem z nią przerażenie.

W pensjonacie przy ulicy Atocha doña Celia chodzi tam i z powrotem korytarzem, ściskając w rękach chustkę. Chodzi tak bez przerwy, odkąd wróciła z domu don Fernanda jakąś godzinę temu. Chodzi, miętosi chustkę, przemierzając ciągle tę samą drogę i spoglądając raz po raz na wskazówki zegara ściennego. Przykłada chustkę do czerwonych, suchych oczu. Dawno przestała płakać. Oczy ją pieką, nadal trze je chustką, kiedy dochodzi do końca korytarza. Zawraca, idzie dalej, przy drugim krańcu znów unosi chustkę do oczu. Spogląda na zegar. Wraca po własnych śladach, ściskając chustkę. Już nie umie płakać, chociaż tak bardzo pragnie poczuć łzy na suchych powiekach.

I zapłacze znów doña Celia. Łzy napłyną jej do oczu, kiedy przytuli Pepitę. I nie będzie musiała długo na to czekać.

I zapłacze też Pepita w objęciach doñi Celi. Płacząc, wytłumaczy, że krew, którą ma na sukience, to nie jej krew. Ubrudziła się, siadając na krześle, ubrudziła się, upadając na podłogę sali z krzyżem na ścianie. Płacząc, wyjaśni, że Carmina nie żyje.

– Słyszałam, jak mówili, że nikogo nie wyspała.

I przysięgnie, że ona też nikogo nie zdradziła, że zemdląca. Opowie, że zemdląca dwa razy. I że za pierwszym razem, kiedy się ocknęła, miała rozpiętą sukienkę i była cała mokra. Cała się trzęsła, chociaż nie było jej zimno. Kazali jej znów usiąść na krześle. Musiała być okropnie błada, bo jeden z przesłuchujących zapytał drugiego, czy lubi takie blade, a tamten odpowiedział, że nie, że bez przesady, że gdyby wsadzili jej w usta knot, wyglądałaby jak gromnica. Potem ktoś zastukał do drzwi, a ona nie pamięta nic więcej. Wie, że przestała się trząść. I że zamknęła oczy. I że z trudem trzymała prosto głowę. Kiedy znów się obudziła, była w zupełnie innym pomieszczeniu, na leżance. Ośluchiwał ją ojciec don Fernanda.

– Nic jej nie jest, zwykłe omdlenie. Jeśli chcecie być chwilę sami, możecie zostać tutaj. Zaczekam na was na zewnątrz.

– Nie trzeba, tato.

Don Fernando okrył Pepitę swoją peleryną i pomógł jej wstać.

– Chodźmy stąd.

– Wyciągnie mnie pan stąd?

– Po to przyszedłem. Chodźmy.

Już na ulicy don Fernando wytłumaczył Pepicie, że list, który dostała z Francji, został zarekwirowany. I że gdyby dostała następny, powinna niezwłocznie zawiadomić o tym Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, nie czekając, aż zrobi to listonosz. Pepita szła pomiędzy ojcem a synem i nie odzywała się ani słowem, nadal biała jak kreda, nie mogąc opanować paniki. Don Fernando uściskał ojca na pożegnanie, pytając, kiedy ma się stawić w nowej pracy. Ojciec przez chwilę trzymał go w objęciach, potem pogłaskał Pepitę po policzku.

– Jest naprawdę bardzo ładna. Jutro zaczynasz, tak się umówiliśmy, już od tygodnia nie mają lekarza. Zajrzyj do mojego gabinetu o wpół do piątej, powiem ci dokładnie, co masz robić. Naprawdę bardzo ładna, ale na Boga, synu, jeszcze dziś masz ją odprawić.

Don Fernando i Pepita ruszyli w stronę pensjonatu przy ulicy Atocha. Po kilku krokach on obejrzał się za siebie, a kiedy był pewien, że ojciec już ich nie usłyszy, postanowił wybadać, czy nie wspomniała czasem o nim podczas przesłuchania; na początek zapytał, czy zrobili jej krzywdę.

- Zrobili ci krzywdę?
- Nie, proszę pana.
- Co chcieli wiedzieć?
- Nie wiem, proszę pana.
- O co cię pytali?
- O nic.
- Nie zadawali ci pytań?
- Nie, proszę pana.
- Ale ty musiałaś im coś powiedzieć.
- Nic im nie mówiłam.

Naleganie don Fernanda zaniepokoiło Pepitę. A on nie przestawał drążyć.

- Wymieniłaś moje nazwisko?
- Nie, proszę pana, od razu zemdląłam.
- Na pewno nie wspominałaś im o mnie?
- Przysięgam panu, że zemdląłam i nic a nic nie powiedziałam. Przysięgam na moją matkę i na mojego ojca, niech spoczywają w pokoju, nie powiedziałam im ani słowa.

Zaczęła podejrzewać, że don Fernando wyciągnął ją stamtąd tylko dlatego, że bał się o własną skórę. I w jednej chwili przestała mu ufać.

- Od kogo był ten list? Napisał do ciebie Czarna Kurtka, prawda? To od niego?
- Nie, proszę pana, od mojego narzeczonego.
- Jakiego znów narzeczonego? To Paulino González nie jest twoim narzeczonym?

Zastanów się, Pepito, nie okłamuj mnie. Widziałem was razem, widziałem, jak na siebie patrzyliście, kiedy opatrywałem ranę twojemu szwagrowi. Nie ma powodu, żebyś mnie oszukiwała. Oni wyjechali do Francji, a ty dostałaś list właśnie z Francji. Twój narzeczony naraża nas wszystkich na niebezpieczeństwo, czy ty tego nie rozumiesz?

Słowa don Fernanda potwierdziły podejrzenia Pepity.

– Mówiłam już panu, że Paulino nie jest moim narzeczonym. Mój narzeczony nazywa się Jaime.

- A co to znowu za Jaime?
- Jaime Alcántara.
- A co pisał w tym liście?
- To, co się pisze w listach miłosnych.
- I nie wymieniał mojego nazwiska?
- Nie, proszę pana.

Czytając list, nikt nie zdołał się domyślić, że pod imieniem Jaime ukrywa się Paulino. Nikt z wyjątkiem Pepity. Teraz ona rozumie, dlaczego użył szyfru zrozumiałego tylko dla niej. I już wie, dlaczego wymyślił tę historię, wie to na pewno, kiedy zaczyna ją opowiadać, rozumie, że nie wymyślił jej po to, by chronić siebie, lecz po to, by ją ochronić.

- Na pewno nic o mnie nie wspominał?

– Na pewno, proszę pana. Mój narzeczony nawet pana nie zna. Mój narzeczony jest maszynistą i wyjechał do Francji pięć lat temu, jeszcze zanim wybuchła wojna. A teraz wojna jest tam, napisał, że chce wrócić. To właśnie pisał mi w liście, że niedługo wróci, a kiedy wróci, weźmiemy ślub.

Pamięć zadziałała jak odruch obronny, Pepita przypomniała sobie słowa, które napisał jej narzeczony, a don Fernando wreszcie przestał pytać.

Widok przepelnionego szpitala więzienia w Ventas zdjął doktora Ortegę grozą, poczuł on bezsilność, odrazę i współczucie. Na każdym łóżku leżały po dwie chore. Nie dość, że musiały dzielić łóżka, to brakowało pościeli, a ta, którą miały, nie była prana najwyraźniej od bardzo dawna. Pelagra, czerwonka, syfilis, niedożywienie, gruźlica, wydawało się, że wszystkie choroby świata, zakaźne i nie, nękały nieszczęsne kobiety, z trudem odpowiadające na pytania don Fernanda, który obchodził pierwszą z sal wskazanych mu przez Bucior. Kiedy przeszedł do następnej, przyległej do pierwszej, aż zatrzymał się w progu z przerażenia. Materace na podłodze albo same ramy łóżek, bez materaców, a na nich po dwie pacjentki.

– Ile chorych tu mamy?

Bucior nie potrafiła odpowiedzieć.

– Ich liczba zmienia się z dnia na dzień, doktorze.

– Jakim cudem?

– No, jedne umierają, inne nie.

Lekceważący ton Bucior nie pozostawiał cienia wątpliwości co do przyczyn rozpaczliwego stanu, w jakim znalazło się to miejsce, w którym uporczywe kasłanie mieszało się z jękami bólu.

– Kto opiekuje się tymi kobietami?

– Lekarz zmarł tydzień temu.

– Tyle wiem, ale przecież ktoś musi się nimi zajmować, prawda?

– Dwie funkcjonariuszki siedzą tam, w dyżurce.

Bucior wskazała na okratowane drzwi w głębi drugiej sali.

– Chcę z nimi natychmiast mówić.

Za kratami, w małym pokoiku mieszczącym tylko stół, dwa krzesła i leżankę do badań, funkcjonariuszki były tak pochłonięte grą w karty, że nie zauważyły nadejścia lekarza.

– Proszę otworzyć!

Słyszając krzyk don Fernanda, upuściły karty na stół. Nie schowały nawet talii, zerwały się z miejsc, a jedna chwyciła pęk kluczy i wykonała polecenie lekarza.

– Można wiedzieć, co panie robią?

Funkcjonariuszki spojrzały po sobie bezmiernie zdziwione.

– Nic.

Nic, odparła ta, która otworzyła drzwi, a druga dodała, że przecież już dały pacjentkom jeść.

– I nie macie nic więcej do roboty? I wy uważacie się za pielęgniarki?

– Nie jesteśmy pielęgniarkami.

Z dziedzińca dobiegały śmiechy, przez szyby w oknach dał się słyszeć głos intonujący falsetem:

Tarantula, diabelskie stworzenie.

Nie utłuczysz kijem ni kamieniem...

Świeciło słońce, chociaż dzień był zimny i wietrzny. Radość bijąca z tej piosenki zdumiała lekarza.

Tylko taniec ukoi ból taki.

A niech tego pająka szlag trafi!

Bucior zauważyła zaskoczenie doktora i podeszła do okna.

– Zabijają tak czas, jedne tańczą, inne śpiewają. Przeszkadza panu hałas, doktorze?

– Nie, na Boga, skądże znowu.

– Nie chce doktor, bym je uciszyła?

– Nie. Chcę więcej koców. I czystą pościel.

– Nie wiem, czy da się to zrobić.

Ale dało się zrobić. Doktor Ortega otrzymał czystą pościel i koce dla wszystkich chorych.

I zażądał jeszcze wykwalifikowanej pomocniczki, kiedy Bucior powiedziała mu, że dwie funkcjonariuszki, które przyłapał na graniu w karty, nie mają nic wspólnego z pielęgniarstwem i są tu tylko dlatego, że przydzielono im to stanowisko, w dodatku rotacyjne, gdyż wszystkie strażniczki zatrudnione w więzieniu były zobowiązane pełnić miesięczne dyżury w szpitalu. Miały rozdzielać posiłki chorym i więźniarkom odbywającym karę w izolatkach mieszczących się dwa piętra niżej, do których schodziło się po schodach znajdujących się w kącie dyżurki.

– Trzeba będzie chyba znaleźć ochotniczkę wśród osadzonych, doktorze.

– Proszę więc jej poszukać.

I Bucior, przekonana, że żadna z funkcjonariuszek nie zechce z własnej woli zmienić się w pielęgniarkę, poszła szukać ochotniczek wśród uwięzionych.

Jeszcze tego samego popołudnia u doktora Ortegi stawiała się chętna do pracy w szpitalu. Powiedziała, że ma na imię Sole.

– Do pańskich usług, doktorze.

Powiedziała, że nazywa się Sole, do pańskich usług, i że była akuszerką w swojej rodzinnej wsi Peñaranda de Bracamonte w Salamance, i pomagała tamtejszemu lekarzowi we wszystkim. Ale Sole, wbrew przypuszczeniom wstrętnej Bucior, nie przyszła sama.

Towarzyszyła jej jedna ze strażniczek, która wyraziła chęć do pracy z doktorem Ortega. Nie był to nikt inny jak Mercedes, która przed rozmową z don Fernandem starannie ułożyła szpilki w swoim koku.

– Nie mam doświadczenia, doktorze, ale mój mąż był pielęgniarzem i widziałam niejednego zastrzyk.

Do podjęcia tej decyzji zmusił Mercedes brak charakteru. Zrozumiała, że nigdy nie zdoła wzbudzić respektu więźniarek, kiedy zapytała, do kogo należy krzesło, na którym siedziała Hortensia. Stało się to dla niej jasne jak słońce, kiedy odwróciła się i poczuła na sobie spojrzenia uwięzionych wbijające się w nią jak strzały. Śmieszki za jej plecami zabolowały ją niczym rany i do oczu napłynęły jej łzy. Gdyby nadal tak się zachowywała, wkrótce by ją wyrzucili. Kiedy więc usłyszała, że potrzebują ochotniczek do pracy w szpitalu, pomyślała, że w ten sposób nie straci stanowiska.

Nie trzeba było dużo czasu, by don Fernando nabrał zaufania do ochotniczek. Energia obu kobiet sprawiła, że sale chorych przestały wyglądać rozpaczliwie. Postępując zgodnie z instrukcjami lekarza, udało im się zaprowadzić w szpitalu jaki taki porządek. W pierwszej sali umieściły pacjentki chore zakaźnie, w drugiej te niezakaźnie. Umyły je, uczesały, a kaszlącym rozdały chustki uszyte własnoręcznie ze starych prześcieradeł, które don Fernando kazał wyrzucić. Funkcjonariuszki, które grały w karty, przestały grać. Patrzyły z pogardą na ochotniczki, kiedy doktor podchodził do nich, by udzielać wskazówek, jakby bolało je zaufanie, którym je darzył. A potem odwracały się i zaczynały chodzić tam i z powrotem korytarzem, by pilnować więźniarek, nie spuszczały też z oka Sole i Mercedes. Przystawały je obserwować tylko raz dziennie, kiedy schodziły do izolatek. To nie było miłe zadanie znosić posiłek tym, które odbywały karę i jadły tylko raz dziennie talerz rzadkiej, obrzydliwej zupy, dlatego pewnego ranka, kiedy utyskiwały na swój niewdzięczny los, a Mercedes zaoferowała się, że je zastąpi,

scedowały na nowicjuszkę, ochoczo i na zawsze, ten przykry obowiązek. Na zawsze, a przynajmniej do chwili, kiedy zmęczy się zadaniem, którego nie lubiły pozostałe strażniczki. I Mercedes wzięła ze sobą Sole. Akuszerka zniosła po schodach kosz z pajdami czerstwego chleba i garnek z zupą, której osadzone nie chciały jeść, letnią, brunatną breją, w której pływało obrzydzenie. Sole, rozlewając tę zupę, rozdawała głód, a na pocieszenie wręczała pajdę chleba. Mercedes otwierała metalowe drzwi cel i dawała ukaranym miotłę. I wtedy właśnie przeraziły się, widząc Tomasę przycupniętą na swoim barłogu, z twarzą pokrytą pęcherzami. Tomasa nie miała sił, by wstać i zamieść celę, utkwiała tylko wzrok w koszu z chlebem.

Mercedes ciarki przechodzą po plecach. Pyta, od jak dawna tu jest.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Straciłam rachubę.

Ale akuszerka pamięta i przypomina Mercedes Boże Narodzenie i odgryziony palec Dzieciątka Jezus.

– Trzy miesiące ma tu siedzieć. A siedzi chyba z miesiąc.

– Sole, zamieć, proszę, jej celę.

Sole zamiata celę Tomasy. A potem wraca do szpitala zdecydowana, by porozmawiać z doktorem Ortegą. Zdecydowana, by nie pozwolić Tomasi umrzeć.

– Ma pęcherze na łydkach i na kolanach. Nawet twarz ma całą w pęcherzach. A nos wygląda zupełnie jak czerwona papryka.

– Co powiedziałaś lekarzowi?

– Żeby zszedł ją zbadać.

– I zszedł?

– Nie. Ale ją zbadał, kiedy mu opowiedziałam, w jakim stanie jest Tomasa. Zostały z niej skóra i kości, doktorze. Niech pan zejdzie, doktorze, zanim umrze i wniosą ją panu na górę, żeby stwierdził pan zgon. Ma taką żółtaczkę, że jej twarz przypomina flagę narodowców, wynędzniała, żółta po dwóch stronach, a w środku pasek czerwony jak papryka.

– Tak mu powiedziałaś?

– Słowo w słowo, oprócz tego o fladze narodowców.

– Z tą flagą to jest akurat odwrotnie, w środku ma żółty pasek, a czerwone po bokach.

– Wszystko jedno.

– A co on powiedział?

– Nic. Odwrócił się na pięcie i kazał gwardzistkom siedzącym w dyżurce, żeby przyprowadziły Tomasę. Gdy tylko ją zobaczył, posmarował pęcherze na twarzy, bliskie pęknięcia, tak jak te, które miała na rękach, otwarte jak krzyżące usta, i powiedział, że ta kobieta ma awitaminozę, żeby ją porządnie nakarmić i wyprowadzić na spacer. Gwardzistka popędziła poprosić o pozwolenie Trutkę, która zgodziła się wypuszczać Tomasę na spacer na dziesięć minut dziennie, ale jeśli chodzi o jedzenie, to zjadła już dosyć. Myślała pewnie o tym nieszczęsnym palcu.

Dziesięć minut słońca. Na dziesięć minut pozwoliła Tomasie wyjść na słońce siostra Maria od Serafinów. Zgodziła się, by wyprowadzano ją na dziedziniec co rano na dziesięć minut, pod warunkiem, że odbędzie się to zawsze przynajmniej godzinę przed spacerem pozostałych osadzonych.

– Więc rano będą ją wyprowadzać na spacer, a ja dam jej piure sondą przez dziurkę od klucza.

– Uważaj, żeby cię nie nakryli.

– Nie martw się, nikt nic nie zobaczy.

I rzeczywiście nikt nie zobaczył, jak Sole pakuje do słoika podwójną porcję piure, którym karmiono chorych. Nikt nie widział, jak bierze ze szpitala sondę. I kiedy powiedziała, że podłoga korytarza prowadzącego do karceru jest bardzo brudna, i zaoferowała się ją umyć, nikt się nie domyślił, że w wiadrze, które miała w ręku, zdążyła schować posiłek dla Tomasy. Trzy razy zastukała w metalowe drzwi celi. Pochyliła się nad zamkiem i zawołała Tomasę. Potem włożyła końcówkę sondy do słoika, a drugą wsunęła przez dziurkę od klucza. I uniosła słoik. Tomasa zobaczyła wynurzający się gumowy wężyk, zobaczyła spływającą kroplę. Uklękła, uniosła głowę. I zaczęła ssać jak cielę wymię swojej matki.

Jutro, tak samo jak dziś i jak przez wszystkie dni, które muszą upłynąć, by kara Tomasy dobiegła końca, Sole będzie myła podłogę korytarza. I Tomasa zacznie przybierać na wadze.

Zmiana wyglądu Tomasy nie ujdzie uwagi funkcjonariuszek eskortujących ją codziennie na poranny spacer. Zdziwione, zaczną komentować:

– Dziwne, zaokrągliła się.

– To prawda, jakby przytyła.

A Sole postara się zmylić je jeszcze bardziej.

– Nie przytyła, tylko spuchła. Typowy objaw awitaminozy.

Z okna prawego skrzydła bloku numer dwa Hortensia, Reme i Elvira będą ją obserwować, jak siada na ławce i wystawia twarz do słońca, na własne oczy będą mogły się przekonać, że wieści, które przekazuje im Sole na wieczornych zebraniach partii, są prawdziwe.

– Lekarz co dzień aplikuje jej różne medykamenty. Na tyle skuteczne, że już nie wygląda jak flaga narodowców.

– W takim razie rzeczywiście wraca do zdrowia.

Zza szyby obserwują swoją towarzyszkę, codziennie przez dziesięć minut odprowadzają ją wzrokiem na samotny spacer, zza szyby rozkoszują się razem z nią przynoszącym ulgę słonecznym ciepłem. Codziennie, aż do procesu Hortensii, podchodzą do okna wszystkie trzy jednocześnie.

– Wydaje się, że ma wszystko gdzieś, prawda?

– Takie sprawia wrażenie. Że ma w dupie wszystko, co się dzieje i co się nie dzieje, i wszystko, co się kiedyś działo.

– Chyba spotkało ją kiedyś coś bardzo złego.

I Elvira powtarza krążące wśród uwieczonych kobiet plotki. Ale Hortensia i Reme za nic nie chcą dać wiary obciążającym Tomaszę podejrzeniom.

– Nie byłaby zdolna nikogo zabić.

– Poza tym ona nie jest z Castilblanco, jest z Los Santos de Maimona, pod Zafra, sama mi powiedziała któregoś dnia, kiedy usłyszała, że w trzydziestym siódmym byłam w Don Benito.

Elvira też nie wierzy, że Tomasa uczestniczyła w masakrze. Mówi tylko, że inne więźniarki twierdzą, że Tomasa była w Castilblanco ostatniego dnia grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego, podczas strajku ogłoszonego przez Krajowy Związek Robotników Rolnych. I opowiadają, że strajkujący mieli przy sobie noże i siekiery i zmasakrowali czterech funkcjonariuszy Gwardii Obywatelskiej usiłujących rozproszyć zgromadzonych. Podobno ciała zostały okaleczone, a kobiety tańczyły na trupach gwardzistów.

Żadna nie chce uwierzyć w opowieść Elviry. Wszystkie trzy kręcą głowami z oburzeniem, spoglądając na Tomaszę przez okno.

– Może rzeczywiście to, co opowiadają o Castilblanco, to prawda, ale Tomasy na pewno tam nie było.

Potem, kiedy przyjdzie kolej na ich spacer, siadają razem na tej samej ławce, z której co dzień Tomasa spogląda w kierunku ich okna. Nie odzywając się słowem, wyciągają włóczki, druty i szydełka i dziergają robótki w tym samym miejscu, które ona właśnie opuściła, nie dając wiary plotkom łączącym Tomaszę z masakrą w Castilblanco.

Nie. Tomasy w Castilblanco nie było.

Kobieta, której pisane było zginąć, już poznała swój wyrok. Właśnie wróciła z trybunału numer osiem. W sali pierwszej przed sądem polowym zakończył się jej proces przeprowadzony w trybie doraźnym i uproszczonym. Hortensia pisze w swoim nowym niebieskim zeszytce. Zaczyna pierwszą stronę ogryzkiem ołówka, który ledwo wystaje jej spomiędzy kciuka i palca wskazującego. Najgorszy ból sprawia jej to, że nie może z nikim dzielić swojego bólu. Hortensia przyciska do kartki grafit obgryzionego ołówka i pisze, że nie cierpiałaby tak bardzo, gdyby mogła porozmawiać z Felipe, gdyby mogła mu opowiedzieć, że została skazana na śmierć razem z dwunastoma towarzyszkami sądzonymi w tym samym procesie. Pisze prawą ręką, lewą podtrzymuje zeszyt i od czasu do czasu wygładza kartkę. Cień jej kolczyków tańczy po zapisywanych liniijkach. Stara się nie wychodzić poza linię, ale to nie takie łatwe. I przypomina sobie lato tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, kiedy nauczyła się pisać. Nauczył ją Czarna Kurtka w majątku Casa Grande de Las Tres Cruces niedaleko Don Benito. Cała Estremadura była zajęta przez narodowców, prócz Bolsa de la Serena. A oni zdołali utrzymać Casa Grande i Czarna Kurtka właśnie wtedy nauczył ją pisać na ścianie. Mężczyźni spali na piętrze i co rano załatwiali swoje potrzeby ze schodów. Hortensia napisała więc na ścianie: OD DZIŚ KAŻDY, KTO SIKA ZE SCHODÓW, ZOSTANIE UZNANY ZA ŚWINIĘ. I to ona zanotowała skrzętnie na ścianie, że batalion piąty dotarł do Casa Grande osiemnastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego, wypisała też imiona i nazwiska milicjantów wchodzących w jego skład: Pedro Gómez, Aniceto Estévez, Carlos Peinado, Estrella López, Patricio Rovira, Eloy Menéndez. Dwanaście imion i nazwisk napisała na ścianie. Kiedy już nauczyła się pisać. Najpierw nauczyła się pisać swoje imię i nazwisko. Potem wszystkie pozostałe litery. A Felipe trochę się z niej podśmiewał.

- Tego trzeba się uczyć w dzieciństwie.
- Nigdy nie jest za późno na naukę. Jak będę miała zeszyt, to dopiero zobaczysz.
- Kupię ci tyle zeszytów, ile tylko będziesz chciała.

I wtedy poprosiła go, żeby kupił jej zeszyt w niebieskich okładkach, taki sam, jakiego używała Pepita w szkole.

Głodzi swoje kolczyki, a potem wraca do pisania. Pisze, że chciałaby być teraz z Felipe. I że najbardziej na świecie pragnie, żeby dziecko przyszło na świat przed uprawomocnieniem się wyroku, bo wie, że musi zginąć, ale nie chce, żeby maleństwo ginęło razem z nią. Wszystkie jej towarzyski już wiedzą, że Hortensia zginie. Sole przekazuje wiadomość Tomasie, wsuwając sondę przez dziurkę od klucza karnej celi.

- Skazali wszystkie.
 - Hortensię też?
 - Też. *Pepa* dla wszystkich, dzisiaj się nie patyczkowali.
 - Trzyście. Jak Trzyście Róż w trzydziestym dziewiątym.
- Tak samo jak Róże. Tak.

I Tomasa przypomina sobie Julitę Conesę, wesołą jak szczygiełek, Blanquitę Brissac grającą na fisharmonii w więziennej kaplicy i piegi Martiny Barroso. I głodzi w kieszeni czarną główkę od paska, którą przechowuje pieczołowicie od tamtej nocy czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Jedno z ogniw paska Joaquiny. Tomasa chciała podarować ją Reme, bo Reme nie miała ani jednej. Ale Reme się nie zgodziła.

- Ty ją przechowaj.
- Dobrze, przechowam, ale będzie nasza wspólna.
- Jedźżeż szybciej, Tomaso, piure wcale nie ubywa, jeszcze mnie przyłapią.
- Jakoś nie jestem głodna.

Sole zwiija sondę, a Tomasa wciska się w ką. Siada, obejmuje ramionami kolana i postanawia nie płakać. Postanawia, że jej nie złamią. Nie powinna płakać, chociaż obawia się, że już nigdy nie zobaczy Hortensii. Wie dobrze, tak samo jak pozostałe więźniarki prawego skrzydła bloku numer dwa, że od orzeczenia kary do jej wykonania może upłynąć kilka zaledwie dni. Znają dobrze procedurę. Audytor sądu polowego podtrzyma wyrok, który zostanie wykonany, gdy tylko nadejdzie zgoda, sławetne *enterado* Generalissimusa. Generalissimus, mamrocze Tomasa przez zęby, ściskając z wściekłości kolana. Generałek, przezywali go w Afryce, zanim został mianowany, pierwszego października tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, Szefem Rządu i Państwa, Głównodowodzącym Wojsk Lądowych, Marynarki Wojennej i Sił Powietrznych. Szybko pozbył się znieawidzonego przydomku. Szybko zapomnieliśmy o Generałku. Mówią, że nie drży mu ręka. Mówią też, że *enterado* w procesie Trzynastu Róż nadeszło dwunastego, kiedy od tygodnia wachały już kwiatki od spodu. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie. I Tomasa gładzi czarną główkę. Rozdaj je najlepszym, rozdaj je wszystkim, powiedziała Joaquina jednej z koleżanek, rozmontowując swój pasek na pojedyncze ogniwa. I koleżanka rozdała czarne główki. Joaquina była bardzo ładna, miała takie prościutkie włosy, czarne oczy i wydatne usta. I to właśnie koleżanka Joaquinę dała jej jedną z główek. Właśnie jej. Dwóch dni nawet nie pożyły, od razu je rozstrzelali. Chcieli dać im nauczkę, tak mówili. I obciążyli je winą za zamach na komendanta Isaaca Gabaldona, który był też inspektorem żandarmerii wojskowej Pierwszego Regionu i szefem Archiwum ds. Masonerii i Komunisty. Jechał w samochodzie z córką, siedemnastoletnią zaledwie. Dziewczyna, jej ojciec i szofer zginęli od kul na szosie z Estremadury, na wysokości Talavery. Jechali do Madrytu. Trzy ofiary. A oni chcieli dwadzieścia trupów za każdą z nich. Sześćdziesięcioro chłopców i dziewcząt ze Zjednoczonych Młodzieżówek Socjalistycznych zostało osądzonych i uznanych za winnych zamachu godzącego w Zwycięski Ruch Narodowy. Dać im nauczkę, i w dwa dni wszyscy poszli pod mur. A przecież byli i tacy, którzy czekali na egzekucję miesiącami. Albo nawet latami, jak ona. Siedziała dwa lata w więzieniu dla kobiet w Olivenzie, z *pepą* na karku, aż złagodzano jej wymiar kary i przewieziono tutaj. Może i Hortensię to spotka, a może nie, nigdy nie wiadomo. W ogóle nic nie wiadomo. Nikt nie wie na przykład, czemu Joaquina stanęła przed sądem, bo w chwili zamachu na Gabaldona Joaquina była już w więzieniu Ventas. Siedziała tutaj razem z dwiema siostrami, wszystkie trzy ze Zjednoczonych Młodzieżówek Socjalistycznych. Wszystkie trzy siedziały w Ventas, chociaż nigdy nie pozwolili im być w tej samej celi. Dwa razy sądzili Joaquinę. Dwa razy skazywali na śmierć. Pierwszej kary nie wykonali, sędzia złagodził ją na dwadzieścia lat. Z wykonaniem drugiej nie czekali nawet dwóch dni. Nawet dwóch dni.

Kilka lat, tygodni, kilka miesięcy, może dni.

Kilka dni, może dwa, może trzy.

Reme i Elvira nie opuszczą Hortensii, udając zupełny spokój. Elvira będzie udzielać lekcji pisania i czytania tylko wtedy, gdy przyjdzie na nie Hortensia. Reme opuści warsztaty szycia, żeby nie zostawiać przyjaciółki ani na chwilę samej, wszystkie trzy przestaną podchodzić do okna, by wypatrywać Tomasy.

A Tomasa zatęskni za ich przyklejonymi do szyby głowami.

– Zły znak, że jest nas trzynaście w tym procesie, to bardzo zły znak. Trzynastka zawsze przynosi nieszczęście. Tak jak tamtym dziewczynom.

Hortensia przestaje pisać i przygryza koniuszek ołówka.

– Nie myśl o tym, Hortensio.

I chociaż Reme prosi, by nie myślała o tamtych trzynastu dziewczynach, sama nie może odpędzić od siebie tego wspomnienia. Zabrali je do kaplicy następnej nocy po procesie, czwartego sierpnia. Czekają do dwunastej, potem Anita powiedziała, że już mogą się położyć. Anita nie zasnęła, ale Victorię i Martinę musieli obudzić, żeby je wyprowadzić. Reme myśli o tamtym czwartym sierpnia. Pamięta trupa bladość funkcjonariuszki, która po nie poszła, strach, który sprawiał, że drżały jej ręce przykryte granatową peleryną. Pamięta, że Victoria zaczęła płakać, kiedy ją obudzili. Przytuliła się do swojej towarzyszki i płakała nad swoją matką, jej starszy syn zginął niedawno na komisariacie, teraz ona i Gregorio, dwoje dzieci, które jej zostały, zginą o świcie. Najpierw Juan, a teraz Goyito i ja, powtarzała w kółko, szlochając.

Hortensia wsuwa zeszyt i ołówek pod siennik. Wyjmuje z torebki becik i kładzie na brzuchu, żeby współtowarzyszki z celi mogły mu się dobrze przyjrzeć.

– Prawie skończony!

– No niezupełnie, brakuje jeszcze kilku rzędów haftu krzyżykowego, by go ładnie obrębic. Sama zobacz.

Rudowłosa dziewczyna patrzy na becik, nie ma jednak odwagi spojrzeć na Hortensię. Nie patrzy jej w oczy, odkąd Hortensia wróciła z rozprawy. Nie ma odwagi spojrzeć. I sama nie rozumie dlaczego. Może się obawia, że Hortensia odkryje jej lęk przed śmiercią. A może boi się napotkać śmierć w oczach kobiety, której pisane jest zginąć. A może jest taktowna, może nie ma odwagi spojrzeć na nią dlatego, że jest taktowna. Odwraca wzrok od haftu i siada tyłem do Hortensii. Reme także wyjmuje robótkę i zaczyna szydełkować białą mantylkę.

– Elvirito, włóczka nam się kończy. Skocz, córeńko, do sklepiku i przynieś nam biały kłębek.

Po drodze do sklepiku Elvira dotyka swoich włosów. Wstyd. Tak, patrząc na Hortensię, czuje się zawstydzona. Nie ma prawa zobaczyć, co kryje się w jej oczach. Nie spojrzała też w oczy Julity Conesy. Ani Virtudes González. Nie odważyła się spojrzeć w oczy żadnej z trzynastu dziewczyn. Idzie ze wzrokiem wbitym w ziemię. Sądy w trybie przyspieszonym są najbardziej niebezpieczne, zawsze kończą się najgorszymi wyrokami. Dobrze, że jej rozprawa jeszcze się nie odbyła. Znowu przesuwając ręką po głowie, wspomina Virtudes González. Też ogolili jej włosy, na komisariacie przy ulicy Jorge Juana, zanim przewieźli ją do Ventas. Jej narzeczony miał na imię Vicente. Był sądzony w tym samym procesie i znalazł się wśród sześćdziesięciorga skazanych na śmierć, a Virtudes miała nadzieję, że go spotka, zanim staną przed plutonem egzekucyjnym, że zdąży się z nim pożegnać. Ale jej nie pozwolili. Nie pozwolili jej też pożegnać się z bratem.

Z kłębkiem w rękę Elvira wraca do koleżanek z celi i znowu siada tyłem do Hortensii, nadal myśląc o sześćdziesięciorgu młodych ludziach, którzy poprosili, by rozstrzelano ich razem. Chcieli się pożegnać. Chcieli tylko zobaczyć się ostatni raz. Chłopców zabrali o szóstej na Cmentarz Wschodni i o szóstej rozstrzelali pod cmentarnym murem. Dziewczyny zabrali o wpół do siódmej.

– Kiedy wypada pełnia?

– Pojutrze.

Pojutrze. Hortensia obejmuje rękoma swój napęczniały brzuch. Może zdąży. Pojutrze pełnia księżycyca.

– Temu dziecku nie śpieszy się na świat.

– Ile to już dni po terminie?

– Dziesięć dni temu powinno się urodzić. Obrońca prosił o litość.

Tak, litość, tylko o to prosił kapitan wojsk lądowych, któremu wyznaczono rolę obrońcy.

– Prosił o litość dla dziecka. Moja siostra wysłała list do samego Franco, prosząc o ułaskawienie, kochana moja. Mówiła, że czasem odpowiada w trzy dni, zobaczmy.

Trzy dni to dużo. Reme i Elvira wiedzą o tym. Wiedzą o tym dobrze. Były w Ventas trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, kiedy trzynaście dziewczyn wróciło z rozprawy przed trybunałem numer osiem. Pamiętają, że jedna z nich, zanim wyszła do kaplicy, poprawiła pończochy, a druga obcięła sobie warkocze. Dajcie je mojej matce, poprosiła. Ale matka nigdy ich nie dostała. Trzy dni to dużo.

– Nie wiem, czy to coś da, kochana dziewczyna, napisała do samego Franco.

Elvira i Reme boją się, że nic nie da. Tak samo jak na nic zdały się podpisy, które zbierały matki Trzynastu Róż, ani wysłane przez nie błagalne listy z prośbą o ułaskawienie.

Nie. Na nic zdał się podpis, który Dolores Conesa złożyła na liście właśnie pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, roku zwycięstwa, nie wiedząc, że jej córka już została rozstrzelana. Zaadresowała go do Jego Ekscelencji, Generała Francisca Franco, Szefa Państwa Hiszpańskiego, i załączyła plik podpisów zebranych wśród sąsiadów z ulicy Galería de Robles. Trzydzieści pięć podpisów i list napisany przez matkę. W nagłówku umieściła Wielce Szanowny Panie i po dwukropku kontynuowała Ja, niżej podpisana. Dodała swoje imię, nazwisko, adres oraz to, że jest wdową i matką osądzonej Julii Conesy, skazanej przez lokalny Trybunał na karę śmierci. Jako matka błagała, by kara nie została wykonana. Straszliwa kara, napisała. Zbyt surowa, jak mogą zaświadczyć zebrane podpisy sąsiadów i znajomych. Jako matka, prosiła. Liczę w tych chwilach gorczy na pomoc Waszej Ekscelencji, na Jego wielkoduszność, prosząc zarazem Boga, by w swej nieskończonej dobroci obdarzył Waszą Ekscelencję łaską długiego życia i by nasza Hiszpania pod Pańskim przewodem stała się wkrótce Wielkim Narodem świecącym przykładem całemu światu.

– Jeśli to prawda, że odpowiada w trzy dni, może jeszcze zdąży. Kiedy jest ta pełnia?

Trzy dni to dużo czasu. Elvira i Reme wymieniają spojrzenia, unikając wzroku Hortensii. Wiedzą, że trzy dni to dużo czasu. Elvira gładzi główkę z paska Joaquinę. Gładzi swój prezent. Wstaje z siennika. Otwiera walizkę i klęka przy niej, udając, że chowa coś w środku, żeby Hortensia nie widziała, że płacze na wspomnienie tamtego sierpniowego świtu. Pamięta go bardzo wyraźnie. Przez okno widziała Trzynaście Róż idących przez więzienny dziedziniec. Wychodziły z kaplicy po dwie z wysoko uniesionymi głowami. Każdą parę eskortowało trzech gwardzistów. Wepchnęli je do ciężarówek. Żadna nie opuściła głowy. Niektóre nawet śpiewały. Julita Conesa zawsze śpiewała.

Na nic zdały się błagania doñi Dolores. Jedyłą pociechą matki Julii były listy, które córka napisała do niej z więzienia dla kobiet Ventas, z prawego skrzydła bloku numer dwa. W dzień swojej śmierci Julia napisała list, który najbardziej zabołał matkę. Najsmutniejszy ze wszystkich. Ostatni. I najkrótszy:

Madryt, 5 sierpnia 1939

Matko, bracia, z całego serca jak najgoręcej proszę, nie płaczcie po mnie ani dnia. Idę na spotkanie ze śmiercią bez jednej łzy, zabiją mnie, choć jestem niewinna, ale zginę tak, jak gina

niewinni.

Mamo, Mamusiu, spotkam się na tamtym świecie z siostrą i tatą, ale zawsze pamiętaj o tym, że ginę, bo byłam przyzwoitym człowiekiem.

Żegnaj, ukochana Mamo, żegnaj na zawsze.

Twoja córka, która już nigdy nie będzie mogła Cię przytulić ani ucałować.

JULIA CONESA

Ucałuj wszystkich! I nie płaczcie ani Ty, ani moje towarzyszki.

Nie chcę, by moje imię zostało wymazane z historii.

Nie płaczcie po mnie. I Elvira ociera łzy. Za plecami Hortensii przerzuca rzeczy w swojej walizce, udając, że robi porządek, i wspomina Julitę. Wspomina jej imię, żeby nie zostało wymazane.

Imię Julity Conesy nie zostanie wymazane z historii.

Nie.

Dopóki wyrok się nie uprawomocni, więźniarki będą spędzać poranki na dziedzińcu, próbując oszukać smutek. Po południu już nie da się go oszukać, gdyż zbliża się noc, zbliża się pora wyprowadzek, zbliża się pora, kiedy może się pojawić strażniczka z listami w ręku. Poranna radość zamiera wieczorem w obawie przed głosem wyczytującym nazwiska. Dopóki ta obawa się nie spełni, wszystko w więzieniu będzie nosić tylko jedno imię: Oczekiwanie.

– Zobacz, jaki kok sobie strzeliła.

– Kok Powstań, Hiszpanio!

Hortensia podnosi wzrok znad robótki i przygląda się fryzurze Bucior, a Elvira i Reme nadal wymieniają się wzgardliwymi uwagami.

– Pewnie myśli, że ładnie wygląda.

– Tym gorzej dla niej.

– Uważa się za elegantkę, ale to zwykła wysztafirowana pluskwa.

Bucior przechadza się po dziedzińcu otulona niebieską peleryną. Uczesała się w wysoko upięty, utrefiony kok, a usta umalowała krzykliwie czerwoną szminką. Podchodzi do przyglądających się jej kobiet.

– Widziałas te usta?

– Znowu przyjdzie pokazać nam flagę, zobaczysz.

Strażniczka jest już przy ławce i wtedy otwiera usta, i spomiędzy warg wychyla się cytrynowożółty cukierek. Potem odwraca się na pięcie i idzie dalej przez dziedziniec, dumnie prezentując kok Powstań, Hiszpanio!, w poszukiwaniu kolejnych więźniarek, którym pokaże tę przedziwną flagę narodową. Tylko donosicielka odpowie uśmiechem na jej prowokację.

Trzeba koniecznie popsuć humor bezczelnej funkcjonariuszce. Trzeba koniecznie odpędzić strach i napięcie oczekiwania, które zawładnęło tym lutowym porankiem, słonecznym, chociaż chłodnym. Trzeba nabrać tchu, żeby się w tym wszystkim nie udusić. Koniecznie.

I Elvira zaczyna śpiewać:

A niech tego pająka szlag trafi...

Więźniarki, które słyszą jej śpiew, podchodzą z robótkami w dłoniach i pytają, czy będzie próba.

– Robimy próbę?

– Jasne.

I robią próbę, bo jej potrzebują.

Tak. Zrobią próbę, a potem wystawią zarzuelę maestra Gimeneza, ale dopiero wtedy, gdy dobrze przygotują swoje role. Wystawią *Tempranicę* na dziedzińcu dla reszty więźniarek i zaproszą Antoñitę Colomé. Elvira na szczęście ma libretto, oryginalne libretto Juliana Romei, trzecie wydanie, które rozdali wszystkim dziewczynom z jej szkoły, zanim zaczęła się wojna. Miała grać Marię, *Tempranicę*, *Cyganekę*, która zakochuje się w hrabim. Przydzieliła jej tę rolę nauczycielka muzyki. Teraz ona sama zdecydowała, że zagra główną rolę, a Reme rolę Gabriela. Hortensia będzie *Morondą*. Muszą się nauczyć na pamięć wszystkich dialogów, na wypadek gdyby trzeba było kogoś zastąpić. Muszą powtórzyć wiele razy wszystkie piosenki. Elvira kieruje próbą.

– Morondo, co masz dla nas na kolację?

– Właśnie nastawiłam ryżyk, od którego zaczniemy. Dodałam do niego małże, które dziś

mi przywieźli z Grenady, plastry szynki i paprykę słodsza niż miód. A na drugie będzie baranina z ziemniakami.

Obserwujące Hortensię kobiety odkładają robótkę i wyobrażają sobie to menu, przełykając ślinę. Elvira widzi w ich oczach głód, niektóre oblizują usta.

– Zostawmy to, do tej sceny wrócimy później. Teraz potrzebny nam Gabriel.

Muszą wspomóc Reme, której słuch muzyczny pozostawia wiele do życzenia, więc *Tarantulę* zaśpiewają chórem.

Tarantula, diabelskie stworzenie.

Nie utłuczesz kijem ni kamieniem.

Tylko taniec ból ukoi taki.

A niech tego pająka szlag trafi.

Elvira staje przy jej uchu, by Reme złapała tonację. Ale Reme fałszuje. I patrzy wyzywająco na Bucior.

Jadowita była wstrętna żmijka.

Teraz chudszy jestem niż sardynka.

Mimo wysiłków rudowłosej dziewczyny piskliwy głos Reme wybucha niczym krzyk, na którego dźwięk wszystkie zaczynają się śmiać. Tłumiony wcześniej krzyk, który Reme kieruje do strażniczek.

– Bo się zaraz zorientuje!

Niestraszne mi kule i pioruny,

Wcale się nie boję mojej zguby.

Chórek kobiet już zwija się ze śmiechu, a Reme kończy solo.

Jestem dzielny i śliczny jak z obrazka,

Ale bestię posłałbym do diaska.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

– Dzielny, śliczny jak z obrazka i w dodatku pięknie śpiewa.

– Oj, matulu, matuleńko, nie wytrzymam i jeszcze ta strasznie poważna mina, z jaką śpiewa.

– Wcale nie idzie jej tak źle.

– Z ciebie to urodzona cierpiętница, Elviro, ale nie wiem, czy ktokolwiek poza tobą zniesie ten śpiew.

W zakratowanej bramie ukazuje się Trutka. Wali w pręty zwisającym u paska krucyfiksem, a uderzenia niosą się po dziedzińcu niczym złowrogi dźwięk dzwonka. Przywołuje do siebie strażniczkę. I coś do niej mówi.

Z przeciwległego krańca dziedzińca Bucior zbliża się do śmiejącej się grupki. Na jej widok uśmiech znika z twarzy Hortensii. Strażniczka patrzy na nią.

– Hortensio, pójdziesz ze mną. Sędziowie mają ci coś do zakomunikowania.

Na dziedzińcu znów zapanuje cisza.

Więźniarki wrócą do swoich robótek.

I powróci strach i napięcie oczekiwania.

Przed wyjściem z dziedzińca Hortensia spogląda w górę. Chmury całkiem przykryły kawałek firmamentu wykrojony przez więzienne mury.

Kilka minut później wróci i ściszym głosem powie o wszystkim Reme i Elvirze. Powie im, że audytor sądu polowego podtrzymał wyroki. Wszystkie egzekucje zostaną wykonane, jak tylko nadejdzie *enterado* Szefa Państwa. Wszystkie, oprócz jej. Hortensii pozwolą poczekać, aż urodzi się dziecko, jej egzekucja zostanie do tego czasu odroczone.

– Do licha, teraz wiemy, dlaczego małństwu nie śpieszy się na świat, Hortensio.

Kiedy Reme kończy wymawiać imię kobiety, której pisane jest zginąć, Bucior zabiera ze sobą dwanaście jej towarzyszek sądzonych w tym samym procesie. Zdążyła ustawić je w szeregu w przeciwległym rogu dziedzińca, mówi, że są wzywane przez sąd, i znika z nimi na kilka minut.

Hortensia patrzy, jak gęsiego opuszczają dziedziniec. Widzi, jak każda z nich spogląda ukradkiem w niebo. Wie dobrze, że wszystkie mają tylko jedną nadzieję. Tę samą nadzieję. Za chwilę zobaczy, jak wracają ze wzrokiem wbitym w ziemię, bo nadzieja została im odebrana.

Jeszcze tej nocy znów ustawią się gęsiego. Tym razem w bloku. Bucior wyczyta ich nazwiska z listy, a Trutka każe im się ubrać i opuścić cele.

– Wycytane więźniarki, ubrać się i stanąć przed celą.

– Brakuje trzech.

– Jak to brakuje?

– No, wyszło tylko dziewięć.

Dziewięć skazanych stoi w szeregu, patrzy na koleżanki sądzone w tym samym procesie. Patrzą na nie także Hortensia, Elvira, Reme i Sole. Strach sparaliżował trzy kobiety, które powinny wyjść. Strażniczka wykrzykuje ich nazwiska. Trutka traci cierpliwość.

– Nie ma ich?

Bucior rozgląda się zaniepokojona.

– Muszą gdzieś być.

I jeszcze raz wyczytuje nazwiska.

Na dźwięk głosu wykrzykującego ich nazwiska skazane truchleją ze strachu. Nie są w stanie zrobić najmniejszego ruchu.

– Na Boga, nie wie pani nawet, kogo ma zabrać?

– Te, które są na liście, siostró, ale nie mogę przecież znać wszystkich więźniarek z nazwiska. Muszą wyjść same.

– To już szczyt wszystkiego!

Teraz siostra Maria od Serafinów drze się wniebogłosy. Każe skazanym natychmiast opuścić cele.

– Wychodzić!

Panika narasta.

I znów trzy nazwiska przecinają powietrze jak strzały z karabinów. Ale żadna z wzywanych kobiet nie może przezwyciężyć paraliżu, który zawładnął ich ciałami.

– Starczy już tego. Proszę zabrać te dziewięć, a potem wrócić z posiłkami.

I przyjdą posiłki. I zmuszą do ustawienia się w korytarzu wszystkie osadzone z prawego skrzydła bloku numer dwa. Hortensia, Reme, Elvira i Sole staną obok trzech skazanych, którym udało się opuścić celę tylko dzięki pomocy koleżanek.

Ktoś znów wykrzyczy ich nazwiska.

I znów cisza, znów paraliż i panika.

Strażniczki liczą do trzydziestu. Potem wybierają z szeregu cztery przypadkowe kobiety.

Trzy razy liczą do trzydziestu.

Wybierają z szeregu dwanaście osadzonych. Wśród nich Elvirę.

– Idziemy!

I na rozkaz Idziemy! dwanaście kobiet ruszyło bez słowa.

Żadna nie zapytała wyczytywanych, dlaczego nie wychodzą.

Żadna nie wskazała ich, nawet spojrzeniem.

A one patrzą, jak zabierają ich towarzyszek. Zabierają je. Naprawdę je zabierają.

I przezwyciężają strach.

Zrobią dwa kroki do przodu.

I wystąpią.

Trutka zatrzymuje dwanaście wybranych przypadkowo kobiet, wszystkie obejmują
skazane, by im podziękować.

Elvira wpada w objęcia Reme.

– Córeńko!

A Hortensia gładzi się po brzuchu.

I czuje pierwsze bóle porodowe.

– Rodzi już całą noc, doktorze. I cały ranek. Dziecko pokazuje tylko czubek głowy, a potem z powrotem się chowa.

– I co mam na to poradzić? Nie jestem specjalistą, Sole.

– Niech pan uratuje to dziecko. To pan jest lekarzem i to pan może je ocalić. Przez całe swoje życie nie widziałam tak przedziwnego porodu. Dziecko jest prawidłowo ułożone i kiedy już się wydaje, że zaraz przyjdzie na świat, nagle się cofa.

Hortensia, śmiertelnie zmęczona, łka na szpitalnej leżance. Mercedes trzyma ją za rękę i ociera pot z czoła.

– Przyjź mocniej, jeszcze tylko chwilka, musisz przeć mocniej.

– Oddajcie dziecko mojej siostrze, błagam, oddajcie je siostrze. Niech pani to dla mnie zrobi, błagam, nie chcę, by trafiło do sierocińca.

Poród Hortensii trwał jeszcze siedem godzin. Siedem godzin bólu i skurczów, jęków i krzyków. Akuszerka była bezradna. Lekarz też, chociaż usilnie odtwarzał w pamięci i wykłady z położnictwa, na które uczęszczał na studiach, i praktyki odbyte na oddziale położnictwa w szpitalu Santa Cristina, i czytane dawno temu podręczniki. Kiedy kobieta, której pisane było zginąć, wreszcie urodziła, don Fernando przeciął pępowinę, podniósł noworodka za stopy i krzyknął, nie kryjąc ulgi i radości:

– Dziewczynka!

– Zdrowa?

– Zdrowa. I śliczna jak mama.

– Niech mi ją pan poda, doktorze, chcę policzyć paluszki.

I doktor układa córeczkę w szeroko otwartych ramionach matki.

A Hortensia liczy palce na każdej ręczce.

– Pięć paluszków na każdej ręczce.

– I tyle samo na każdej stópce, Hortensio. Jest cała i zdrowa. Jak ją nazwiesz?

– Tensi. Będzie się nazywać Tensi.

– Tensi?

– Hortensia. Ale któregoś dnia pozna swojego tatę, a on będzie mówił do niej Tensi, tak jak do mnie.

Idąc umyć ręce, doktor pomyślał o swojej żonie, o tym, jaka byłaby szczęśliwa z dzieckiem w ramionach, z dzieckiem, którego oboje tak bardzo pragnęli, ale którego nigdy nie mieli. Już czas, żeby się pogodzić. Najwyższy czas. Jeszcze jej nie powiedział, że znowu jest lekarzem. Nie chciał jej nic mówić, bo wrócił do medycyny z powodów zupełnie z nią niezwiązanych, co więcej, z powodów, które nie napawały go dumą. I dlatego, że nie był pewien, czy podjął słuszną decyzję. Ale dziś pomógł przyjść na świat dziecku i pragnie podzielić się z Amparo swoją radością.

– Panie doktorze, chciałabym prosić pana o przysługę.

Sole podeszła do niego i podała ręcznik.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Akuszerka opowiada mu o sytuacji Hortensii, o tym, że niedługo zostanie rozstrzelana.

– Hortensia ma wyrok śmierci. Wkrótce ją rozstrzelają.

– Co też pani mówi?

– Czekali tylko, aż dziecko przyjdzie na świat.

Don Fernando osusza mokre palce powoli, jeden po drugim, jakby chciał zmasać przerażenie.

– Jak to?

– Dziecko już się urodziło. Więc teraz rozstrzelają matkę. A dziewczynkę zabiorą do ochronki. Albo oddadzą byle komu.

– A co ja mam z tym wspólnego? Nie mogę nic zrobić.

– Może doktor poprosić gwardzistkę, żeby przekazała wiadomość siostrze Hortensii. Jeśli pan o to poprosi, na pewno to zrobi. Dziś jest dzień odwiedzin, jej siostra przyjdzie na pewno. Trzeba tylko poprosić gwardzistkę o przekazanie, że dziewczynka już jest na świecie i żeby po nią przyszła.

Ręce doktora Ortegi są już zupełnie suche. Sole zabiera ręcznik. I nie daje za wygraną.

– Jest pan dobrym człowiekiem, doktorze, ma pan to wypisane na twarzy. Zrobi pan to, prawda?

Sole odkłada ręcznik na umywalkę i delikatnie ciągnie doktora za mankiet. Patrzy mu w oczy jak ktoś, kto zagląda do studni, by się przekonać, czy jest w niej woda. Zrobi to pan? pyta jeszcze raz. A potem zdaje sobie sprawę, że ciągnie go za mankiet, i prosi o wybaczenie.

– Proszę się nie martwić, Sole, zrobię to.

Zrobi to. Poprosi Mercedes, by odnalazła siostrę Hortensii wśród krewnych oczekujących przy bramie więzienia, nie mając pojęcia o tym, że siostra Hortensii ma na imię Pepita. Nie mając pojęcia, że siostra kobiety, która właśnie została matką, to dziewczyna o niemożliwie niebieskich oczach, mimowolna sprawczyni jego powrotu do praktyki lekarskiej. Wiedział, że siostra Pepity jest w więzieniu Ventas. Wiedział. Ale zdążył zupełnie o tym zapomnieć. Powiedziała mu o tym doña Celia, kiedy poprosiła go, w imieniu Czarnej Kurtki, żeby przyjął na służbę siostrę uwięzionej towarzyszkii. Zapomniał o tym. Hortensia jest siostrą dziewczyny o niemożliwie niebieskich oczach, którą przysłała mu doña Celia. Pepity. A mąż Hortensii to ten mężczyzna, któremu wyjmował kulę. Don Fernando uświadomił to sobie dopiero wtedy, gdy przekazał wiadomość Mercedes, wymawiając imię Hortensii, mówiąc, że jej siostra musi się dowiedzieć o narodzinach dziecka. Dopiero wtedy połączył fragmenty w całość, skojarzył obie kobiety. I przypomniał sobie słowa Pepity, wypowiedziane ciurkiem, bez ładu i składu, kiedy przekazywała mu wiadomość od Czarnej Kurtki:

– ...bo Felipe jest ranny i trzeba wyciągnąć mu kulę, żeby nie umarł. A pan jest lekarzem, którego Felipe potrzebuje, bo Felipe jest mężem mojej siostry Hortensii i Hortensia jest więźniarką, i jest w ciąży, i umrze, jeśli Felipe nie przeżyje.

I wyjdzie z więzienia, rozmyślając o Pepicie. O Hortensii. O Felipe, o kuli, którą wyjął mu spod między żeber. O dziewczynce, której pomógł przyjść na świat. I o tym, że definitywnie powrócił do zawodu.

Uśmiechnie się, otwierając drzwi. Uśmiechnie się, bo nadszedł czas, by o decyzji powiadomić żonę. Zadowolony zdejmie pelerynę, powiesi na wieszaku. Będzie się starał, by jego kroki brzmiały donośnie. Podejdzie do wiszącego w korytarzu zegara ściennego i go nakręci, i nie przestanie się uśmiechać.

I powoli zacznie wchodzić po schodach.

Będzie stapał stanowczo, żeby żona usłyszała, że wchodzi.

W końcu do niej wchodzi.

I doña Amparo usłyszy ciężkie kroki na schodach. Więc wchodzi. Jej mąż wchodzi po schodach na pięterko.

W końcu do niej idzie.

A ona wyjdzie mu naprzeciw.

Codziennie rano przed pójściem na stację, gdzie zbiera żużel, Pepita wypytuje w więzieniu o Hortensję. I stosuje się skrupulatnie do wskazówek przekazanych jej przez Mercedes tego dnia, kiedy jej siostra urodziła dziewczynkę. I codziennie słyszy tę samą odpowiedź:

– Twoja siostra czuje się dobrze, przenieśli ją do pawilonu matek. Przyjdź w dzień odwiedzin.

– A wiadomo kiedy?

– Kiedy co?

– Kiedy ją wyprowadzą?

– Dosyć tego! Mówiłam, że o takie rzeczy się nie pyta i żebyś przyszła w dzień odwiedzin. Nigdy się nie zmęczysz tym wypytywaniem?

Nie było sposobu, by się dowiedzieć, jak długo pozwolą Hortensii karmić córkę. I choć nie było sposobu, Pepita ciągle próbowała.

– To ze względu na dziewczynkę, wie pani? Jestem jej ciocią i to właśnie ja po nią przyjdę, kiedy zabiorą moją siostrę. Nie chcę, żebyście myśleli, że mała nie ma nikogo, bo przecież ma mnie. To dlatego, tylko dlatego muszę wiedzieć, kiedy...

– Wiem, wiem, mówiłaś mi to już tysiąc razy, a ja tysiąc razy mówiłam ci, że o takie rzeczy tu się nie pyta. Dotarło wreszcie?

– Tak, proszę pani.

– No to jazda, zmykaj teraz i wróć w dzień odwiedzin.

Tak, proszę pani, powtarzała Pepita i odchodziła uspokojona. Jej siostrze darowano jeszcze jeden dzień życia.

Całkiem możliwe, że zlitowali się nad Hortensją. I chociaż nie zgodzili się na ułaskawienie, pozwolą jej żyć. Całkiem możliwe. Niewykluczone, że w końcu zapomną o wykonaniu wyroku. Może nawet już zapomnieli.

Ale sobie przypomną.

Przez półtora miesiąca Pepita co rano będzie się zjawiać przed bramą więzienia. W dni odwiedzin będzie widywać Hortensję przez kraty rozmównicy, zawsze z córeczką w ramionach, zawsze dopytującą się o męża.

– Są jakieś wieści o nim?

– Co?

Podniesie wysoko dziewczynkę owiniętą w biały becik, wydziergany dla niej przez koleżanki z celi, Elvirę, Reme i Sole.

– Powiedz mu, że ma jasne włosy i błękitne oczy, jak ty i mama.

Ale Pepita nie słyszy, co mówi Hortensja, ani nie może zobaczyć dziewczynki.

W półmroku widzi tylko niewyraźny kształt owinięty becikiem za metalową pajęczyną. Krzyczy, żeby siostra usłyszała, że ma śliczną córeczkę.

– Jest śliczna, prześliczna!

Chociaż wcale nie wie, czy jest śliczna.

Kiedy minie półtora miesiąca od narodzin dziewczynki, Pepita jak co dzień stawi się raniutko w więzieniu, ale strażniczka nie powie jej, by wróciła w dzień odwiedzin.

– Zaczekaj tu chwilę.

– Co się stało?

– Nic, po prostu zaczekaj.

Po kilku minutach zjawi się funkcjonariuszka z kokiem w kształcie banana. Poda Pepicie torbę z robótkami i owinięte w becik niemowlę. I w tym momencie Pepita zrozumie, że znów musi przywdziać żalobę.

Kiedy wróci do pensjonatu ze łzami w oczach, będzie na nią czekać doña Celia. Na jej twarzy będzie się malować niepokój obecny zawsze, kiedy trzeba nazwać po imieniu śmierć. Ale widząc dziewczynkę w ramionach Pepity, zrozumie, że wcale nie musi tego robić.

– Umyłam jej twarz.

Powie, że umyła jej twarz.

– I zamknęłam jej oczy.

I zamknęła oczy.

I wręczy Pepicie kawałek materiału obcięty z sukienki siostry.

Skrawek szarej flaneli w bukieciki białych kwiatków.

Tomasa nie mogła pożegnać się z Hortensią. Skulona z bólu w kącie swojej celi, w zupełnej ciszy i ciemności, walczy, by się nie poddać. Mamy tylko jeden obowiązek, przetrwać, powiedziała Hortensia na ostatnim zebraniu, w którym uczestniczyła Tomasa. Przetrwać. Tomasa się nie da, nie pozwoli, by ból wcisnął ją w podłogę. Przetrwać. Bez szaleństw, mówiła Hortensia. Szaleństwo. Cisza zatacza kręgi wokół karceru. Zatacza kręgi szaleństwo. Przetrwać. Coraz mniejsze i mniejsze kręgi. Nie ułatwiamy im zadania. Nie. Tomasa nie mogła pożegnać się z Hortensią. Kuli się w swoim bólu. Przetrwać. I opowiedzieć swoją historię, by przez tę ciszę nie odejść od zmysłów. Wstaje z podłogi. Opowiedzieć historię. Wstaje i krzyczy. Przetrwać. Krzyczy z całych sił, by odegnąć ból. Przetrwać znaczy zwyciężyć. Krzyczy, by wypełnić ciszę historią, swoją historią, najbardziej osobistą. Historią dawnego bólu, który dławi świeżą rozpacz, że nie mogła pożegnać się z Hortensią. Tomasa idzie dwa kroki do przodu, odwraca się, przemierza celę, kolejne dwa kroki.

Wraca do wspomnień.

Płacze.

I krzycząc, opowiada swoją historię, żeby nie umrzeć z żalu.

Chodzi tam i z powrotem i opowiada:

– Miałam czworo dzieci i wnuczkę.

Opowiada, że miała czworo dzieci i wnuczkę, która umarła z głodu w Los Santos de Maimona.

– Umarła nam, bidulka. Miała na imię Carmen, Carmencita, moja ptaszyna.

Krzyczy, że matka jej wnuczki była mamką.

– Karmiła bliźniaki w Zafrze, ale dla całej trójki nie starczyło mleka. A jej matka ukradkiem zjadała mleko w proszku, które synowa kupowała dla dziewczynki. Taki straszny głód cierpieliśmy, nie mogła się powstrzymać. Nie wiedziała, jak to powiedzieć córce, kiedy mała umarła.

Idzie w jedną stronę, wraca po własnych śladach. I opowiada, że jej czworo dzieci, synową i męża złapali w lesie. Zostali uznani za czerwonych, bo zajęli gospodarstwo, i musieli uciekać do lasu.

– Mieli rację. Pewnie, że byliśmy czerwoni, pewnie, że zajęliśmy gospodarstwo.

Mieliśmy już dosyć takiego życia. Kiedy kończyły się oliwkowe żniwa, szliśmy zbierać z ziemi resztki. To, co udawało nam się zebrać, wymienialiśmy na oliwę, z tego musieliśmy żywić się wszyscy, z tych oliwek, które znaleźliśmy na ziemi, bo dniówki, które dostawaliśmy za pracę w polu, nie wystarczały nawet na jedzenie.

Już czas, by Tomasa opowiedziała swoją historię. W nagłym wybuchu wściekłości i bólu wymiotuje wreszcie słowa, które do tej pory uparcie w sobie dławiła. Przemilczany, plugawy czas, który wyrывa się wreszcie z jej ust i rozdziera powietrze, i rozdziera ją samą od środka.

Opowie swoją historię. Opowie ją, by nie odejść od zmysłów. Żeby przetrwać.

Żeby przetrwać.

I opowiada, i krzyczy, że jej czworo dzieci i synową zrzucili z mostu w Almaraz, na jej oczach.

– Pięćdziesiąt trzy metry wysokości ma ten pieprzony most!

Na jej oczach strzelali do nich, kiedy już znaleźli się w wodzie i usiłowali dopłynąć do

brzegu. Strzelcy wyborowi. Wszyscy „zwodowani” utonęli. Bo ten proceder czyszczenia z politycznych wrogów, stosowany przez siły Benemerity odpowiedzialne za poszukiwanie czerwonych w Drugim Sektorze, to znaczy w Cáceres i Badajoz, nazywali wodowaniem. Potem przyszła kolej na nią i na jej męża. On zdołał utrzymać ją na powierzchni i dopłynąć z nią do brzegu, osłaniając własnym ciałem przed gradem kul. Kiedy znaleźli się na prawym brzegu Tagu, mąż już nie żył. Objęła jego głowę. Zamknęła mu oczy i siedziała tak, tuląc zwłoki męża, dopóki jeden z falangistów dowodzonych przez Rzeźnika Estremadury nie wyrwał jej z żałoby, wpychając ciało z powrotem do wody. Patrzyła za nim, jak płynie z prądem rzeki, podczas gdy jej skuwali ręce kajdankami.

Krzyczy. Żeby zbudzić swój głos, ten sam, który wzbraniał się opowiedzieć o ciałach spadających do wody. Bo opowiedzieć historię znaczy przywołać przed oczy śmierć najbliższych. Patrzeć jeszcze raz, jak umierają.

– Moje dzieci też spłynęły z prądem rzeki.

Słowa, które zawsze były tam, czekały z boku, gotowe. Uśpiony głos drzemiący tuż obok ust. Głos, który nie chciał opowiedzieć, że wszyscy zginęli.

Płacze.

Opowiada.

– I moja synowa, w białej sukni mamki, też popłynęła z nurtem.

A ona nie. Ona nie.

Ją poderwali z ziemi i powiedzieli, że zostawią ją przy życiu, by mogła opowiedzieć, jaki los spotyka damy Negrina. I zabrali ją do Olivenzy, do więzienia dla kobiet. Przez dwa lata, które tam spędziła, nie chciała opowiadać swojej historii, nie chciała oplakiwać swoich zmarłych. Dopiero teraz ją opowiada, teraz po nich płacze. Opowiada i krzyczy, szlochając, bo nie mogła pożegnać się z Hortensią. I krzyczy, nie bojąc się wcale, że wróci Mercedes, funkcjonariuszka z kokiem w kształcie banana, która tylko udaje dobrą i już dwa razy podchodziła do drzwi:

– Proszę się uciszyć, na Boga, słyhać te wrzaski aż na górze. W końcu nie będę miała wyboru i będę zmuszona przedłużyć ci karę.

Niech przedłuży jej karę, jeśli ma ochotę. A jeśli nie ma, niech nie przedłuży.

– Na Boga, Tomaso, mam teraz dyżur w kaplicy, muszę zaraz wyjść. A koleżanki już zaczynają narzekać na te wrzaski, już sama nie wiem, co im powiedzieć. Proszę mnie nie zmuszać, bym robiła coś, czego wcale nie chcę robić. Proszę się uciszyć, Tomaso, bo w końcu się doigrasz.

Czego ona może się jeszcze doigrać? Co jeszcze może jej zrobić nowa, wzdychając, że wcale nie chciała. Pewnie myśli, że jest taka dobra. Ale jej nie oszuka. Nowa urodziła się klawiszką i klawiszką pozostanie. I choćby nie wiem jak się starała, nikogo nie nabierze. Ona jest z tych, co czekają na rogu ulicy, jedną rękę wyciągają w geście powitania, a drugą wbijają nóż w plecy. Ale jej nie nabierze. I nie zdoła jej uciszyć.

Tomasa nie przestanie krzyczeć. Nie przestanie, bo nie mogła pożegnać się z Hortensią. Nie mogła. Brakowało jej dziewiętnastu dni do końca kary, kiedy Sole powiedziała jej:

– Tej nocy ją wyprowadzą.

Tej nocy. I Tomasa się nie uciszy, chce wreszcie wykrzyczeć swój ból. Swoimi krzykami przemierzy całą noc. Dama Negrina podniesie wreszcie głos, bo jej obowiązkiem jest przetrwać. Przeżyjesz, żeby móc o tym opowiedzieć, drwili z niej falangiści, spychając ciało męża z powrotem w nurt rzeki. Przeżyjesz, żeby o tym powiedzieć. Ale stanie się zupełnie na odwrót. Opowie o tym, żeby przeżyć.

Żeby przetrwać. Opowie, że zawieźli ją do więzienia dla kobiet w Olivenzie, że spędziła tam dwa lata z *pepa* na karku, w jednej celi z kobietą, która straciła dwóch synów w obozie

koncentracyjnym w Castuerze. Przywiązali ich do siebie i popychając kolbami karabinów, wrzucili do szybu kopalni. Ich jęki dochodziły spod ziemi. Ich lamenty słyhać było przez całą noc, dopóki nie roztrzaskały się o nich inne ciała, i następne, i jeszcze następne. I na koniec zrzucony z góry granat.

– W Castuerze rozstrzelali co drugi dzień, pomiędzy wpół do pierwszej a pierwszą w nocy. W niedziele odpoczywali. Do kopalni wrzucali o dowolnej godzinie. Codziennie.

Tomasa płacze. I krzyczy, że tamta matka powiesiła się pewnego listopadowego popołudnia w ubikacji więzienia w Olivenzie. Zdążyła jej wcześniej opowiedzieć, że w Castuerze został rozstrzelany burmistrz Zafry, don José González Barrero. Rozstrzelali go miesiąc po zakończeniu wojny. I pochowali głową w dół, żeby już nigdy nie wylazł. Opowiedzieć swoją historię. Żeby nie dać się szaleństwu. Wspomnieć don José, przechadzającego się z żoną ulicą Sevilla. Było lato. Było późne popołudnie. I była Republika. Jej synowa miała na sobie białą sukienkę, taką, jakie noszą mamki. W Zafrze. I był to pierwszy raz, kiedy Tomasa i jej synowa widziały burmistrza.

– Proszę spojrzeć, burmistrz. To pan burmistrz.

Don José. Nazywał się don José. Prowadził pod rękę żonę, na głowie miał kapelusz panama. Zapadał zmierzch. Don José szedł w Inianym garniturze, z żoną pod rękę. Mieli córkę o imieniu Libertad.

- Tej nocy ją wyprowadzą.
- Jest pani pewna? Skąd pani o tym wie?

Sole i Mercedes poprawiały pościel jednej z chorych. Strażniczka, wykorzystując moment, kiedy znalazły się blisko, bo nawlekały poszewkę, nachyliła się do ucha więźniarki. I tak Sole dowiedziała się, że Hortensii został tylko jeden dzień.

A Mercedes dowiedziała się przypadkiem. Poszła do gabinetu dyrekcji prosić o zamianę dyżuru i wtedy usłyszała polecenie z ust siostry Marii od Serafinów. Usłyszała też, jak siostra przełożona proponuje wstrętnej Bucior, by uczestniczyła w egzekucji jako świadek. Bucior się zgodziła, a Mercedes zemdląła i osunęła się na podłogę.

- Dobrze się pani odżywia?
- Tak, siostrze.
- No już, niech pani idzie do szpitala, może zbada panią lekarz.

Siostra jeszcze kilka razy poklepała Mercedes po policzkach. Funkcjonariuszka wstała i, błada jak ściana, wyszła z gabinetu, zapominając zupełnie poprosić o zmianę dyżuru. I wieść rozniosła się lotem błyskawicy.

- Tej nocy ją wyprowadzą.
- Tej nocy ją wyprowadzą.

Kiedy Reme i Elvira to usłyszały, schowały twarze w dłoniach i chociaż wstęp do pawilonu matek był surowo wzbroniony, Sole pomogła im się tam prześlizgnąć, by pożegnały się z Hortensią. Wszystkie trzy mogły ją objąć.

Reme wzięła na chwilę dziewczynkę na ręce. Sole objęła Hortensię ramionami i długo, bardzo długo przytulała. A Elvira pogładziła jej policzki.

- Nie boli.

Elvira nie pomyślała tych słów, pojawiły się same na jej ustach, bo ogarnął ją najbardziej skrywany z lęków, kiedy poczuła pod palcami kruchość Hortensii.

- Mówią, że nic nie boli.

Następnego dnia wszystkie rozmowy toczyły się wokół dziewczynki i jej matki.

– Podobno nowa odprowadziła ją do kaplicy i została na zewnątrz z małą przez całą noc. I mała przez całą noc płakała z głodu, biedna dziecina.

– A ksiądz próbował ją przekonać, by się wyświadła i przyjęła komunię. Mówił, że jego obowiązkiem jest ocalić jej duszę i że jeśli pogodzi się z Bogiem, pozwoli jej nakarmić córkę. Ale ona ani się nie wyświadła, ani nie przyjęła komunii, ta kobieta miała żelazne zasady i pod sam koniec nie zamierzała ich łamać.

– Podobno Bucior popędzała ją, żeby szybciej się ubierała. A ona, nic sobie z tych ponaglań nie robiąc, odpowiedziała strażniczce, żeby zostawiła ją w spokoju. Nie widzi pani, że ubieram się do grobu? powiedziała podobno i włożyła spokojnie sukienkę, którą dostała od siostry na Gwiazdkę.

Mówiono też, i to była prawda, że kiedy kapelan opuścił kaplicę, Hortensia napisała list. I w chwili, gdy stawiała pod nim podpis, do kaplicy weszła Mercedes i pozwoliła jej nakarmić córkę.

- Dziękuję.

Dziękuję, powiedziała jej kobieta, której pisane było zginąć. Nakarmiła córeczkę,

ucałowała i poprosiła Mercedes, by dała ją Pepicie.

– Słyszałam, że przychodzi po nią co rano.

Zaczęło już świtać, kiedy na zewnątrz rozległ się ryk silnika. Hortensia zdjęła kolczyki i dała je Mercedes, ukryła w beciku dwa niebieskie zeszyty i dokument wyroku, poprosiła jeszcze strażniczkę, by rano odebrała jej worek z robótkami i dała wszystko jej siostrze. To dla córki, wyjaśniła.

Był szósty marca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. W rejestrze zgonów Cmentarza Wschodniego zanotowano imiona i nazwiska siedemnaścioro straconych. Szesnastu mężczyzn i jednej kobiety. Tylko jednej: Isabel Gómez Sánchez. Hortensii nie ma na tej liście. Nazwisko Hortensii Rodríguez Garcii nie znalazło się na liście rozstrzelanych szóstego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Ale mówią, że tego poranka Hortensia spojrziała bez lęku na pluton egzekucyjny, podobnie jak reszta towarzyszy.

– Niech żyje Republika!

I mówią, i to też jest prawdą, że jakaś kobieta podeszła do straconych i uklękła przy Hortensii.

Miała w ręku nożyczki. I odcięła skrawek materiału z sukienki, którą Hortensia włożyła, by umrzeć.

I zamknęła jej oczy.

I obmyła twarz.

PRZYJMUJE SIĘ ZA UDOWODNIONE, że oskarżona, Hortensia Rodríguez García, notowana wcześniej za złe prowadzenie się i przynależność do Zjednoczonych Młodzieżówek Socjalistycznych, wstąpiła dobrowolnie do czerwonych formacji zbrojnych i została wcielona do Milicji Ludu Kordowy, a potem brała udział w nadużyciach i zbrodniach popełnianych w wyżej wymienionej prowincji na ludności o przekonaniach prawicowych. Za udowodnione przyjmuje się również, że oskarżona została pojmana w gospodarstwie El Altollano podczas zakupu prowiantu przeznaczonego dla oddziału partyzantów stacjonującego na Cerro Umbría.

MAJĄC NA UWADZE, iż wyżej wymienione czyny oskarżonej, uznane za udowodnione, noszą znamiona czynu przestępczego PRZYSTĄPIENIA DO REBELII, przewidzianego w ust. 2 art. 258 wojskowego kodeksu postępowania karnego, oskarżona jest winna zarzucanego jej czynu w zamiarze bezpośrednim z racji swojego bezpośredniego i dobrowolnego w nim uczestnictwa;

MAJĄC NA UWADZE, że niniejszy sąd, korzystając z uprawnień przysługujących mu na mocy art. 172 i 173 wojskowego kodeksu postępowania karnego i uwzględniając, że zachodzą przesłanki nakazujące zastosować podpunkt Y ust. 11 – mający zastosowanie do przestępstw szczególnie niebezpiecznych – aneksu do rozporządzenia z dnia 15 stycznia 1940 roku, skazujemy oskarżoną na karę śmierci;

MAJĄC NA UWADZE, że każdy ponoszący odpowiedzialność karną za dane przestępstwo lub wykroczenie ponosi też za nie odpowiedzialność cywilną;

UWZGLĘDNIAJĄC wyżej wymienione przepisy oraz przepisy ogólne,

ORZEKAMY, że oskarżona jest winna zarzucanego jej czynu PRZYSTĄPIENIA DO REBELII, i uwzględniając zachodzące przesłanki pozwalające zastosować kary przewidziane dla czynów przestępczych uznawanych za szczególnie niebezpieczne, skazujemy niniejszym oskarżoną na karę ŚMIERCI, a w wypadku niepowodzenia postępowania odwoławczego mającego na celu złagodzenie kary oskarżona zostanie stracona przez ROZSTRZELANIE. W zakresie odpowiedzialności cywilnej zastosowanie mają przepisy ustawy z dnia 9 lutego 1939 roku.

Niniejsze orzeczenie zostało odczytane, przyjęte i podpisane.

CZEŚĆ TRZECIA

*...jeśli nie widzicie już nikogo, jeśli budzą w was strach
niezatemperowane ołówki, jeśli matka
Hiszpania legnie – jeśli naprawdę legnie –
idźcie, dziecieczki świata, idźcie jej poszukać!*

CÉSAR VALLEJO

Niebieski zeszyt, który Pepita zaniósła do więzienia już tak dawno temu, ten sam, który znalazła pod prawie płaskim kamieniem przy drodze na wzgórze, pełen jest słów, od pierwszej strony do ostatniej. Słów skreślonych niezdarnie, skierowanych do Felipe. Dla Felipe, napisała Hortensia na okładce, kiedy skończyły się jej strony, a pod spodem umieściła swój podpis. Drugi zeszyt ma zapisanych tylko osiem stron i też jest niebieski. Pepita wpatruje się w oba zeszyty, tuląc w ramionach siostrzenicę. Na okładce drugiego czyta po cichu: Dla Tensi, i kołysze niemowlę, poklepując je łagodnie po plecach. W lewej dłoni trzyma kurczowo skrawek materiału.

– Mamusia napisała dla ciebie książkę.

Mała usnęła już jakiś czas temu, ale dziewczyna o niemożliwie niebieskich oczach nie chce położyć jej w koszu, który doña Celia przerobiła na kołyskę, więc nadal tuli siostrzenicę. Obejmuje maleństwo tak, jak gdyby bała się, że kiedy je puści, sama utonie, jakby niemowlę było tą jedną, jedyną rzeczą, która pozwala jej utrzymać się na powierzchni.

– Rozpieścisz ją, odłóż małą do kołyski, bo będzie chciała ciągle na ręce.

Pepita nie odpowiada. Przygląda się zeszytom leżącym na kuchennym stole, nie mając odwagi ich dotknąć, nie mając śmiałości otworzyć, z tym samym zażenowaniem, z jakim wyjęła je z worka z robótkami, przekazanego jej przez strażniczkę, w którym znalazła też wyrok, kolczyki siostry, niezatemperowany ołówek i niedokończony becik. Chciałaby je przeczytać, ale tego nie robi.

Jeszcze nie.

Nie robi tego. Nie chce zawieść zaufania Hortensii, urazić Felipe, odbierać ich córce pierwszeństwa przeczytania słów matki.

Pepita nie wie jeszcze, że pozbędzie się tych oporów. I że doña Celia pomoże jej się ich pozbyć.

– No chodź tu, daj mi maleństwo, położę je.

Ramiona Pepity jeszcze przez chwilę trwają w pustym uścisku, a ciało nadal kołysze niemowlę, które leży już w swojej kołysce.

– Kochanie, skończ becik dla Tensi, w tym wieku dzieci rosną bardzo szybko. Musisz go skończyć, zanim będzie za mały.

Doña Celia zatrzymuje kołyszącą się Pepitę i mocno ściska jej ramiona. Patrzy jej prosto w oczy.

– Masz siostrzenicę. I masz mnie.

– I smutek, który przenika mnie do szpiku kości, pani Celio. I jestem taka zmęczona, że nie mogę ruszyć się z miejsca. I wcale mi nie przechodzi, wcale a wcale.

– Przejdzie ci, moje dziecko, w końcu ci przejdzie.

Doña Celia powtarza, że to przejdzie. I bierze ją za rękę.

– Co tam chowasz?

To maleńki kawałek materiału obcięty nożyczkami.

– Chcesz go zachować, córeńko?

– Tak, na zawsze.

– Dobrze, ale nie musisz go cały czas przy sobie nosić.

Doña Celia otwiera zeszyt zatytułowany Dla Tensi.

– Możesz go schować tutaj.

Kiedy go otwiera, na podłogę spada list.

Kochana siostró, najdroższa moja.

– To do mnie! Hortensia napisała też do mnie!

Tak, w kaplicy więzienia Ventas w ostatnią noc swojego życia Hortensia napisała list, który pozwoli przezwyciężyć Pepicie opory. Prosi w nim siostrę, by zajęła się Tensi i by czytała jej na głos ten zeszyt, by dziewczynka zawsze czuła, że mama jest przy niej. Prosi ją też, by czytała jej zeszyt Felipe. W ten sposób mała pozna swojego ojca. I żeby Pepita dała jej kolczyki, kiedy dorośnie. I tłumaczy, jak powinna skończyć becik, bo jej samej zabrakło czasu: ...trzeba jeszcze zrobić dwa rządki haftu krzyżykowego, żeby go ładnie obrębic.

To długi list. Pepita przeczyta zachłannie dwie kartki zapisane po obu stronach. Dwie kartki, które są jednocześnie jej smutkiem i jej pocieszeniem.

– O pani też nie zapomniła, pani Celio. Mówi, żebym trzymała się pani, że drugiej tak dobrej osoby ze świecą szukać. Że jest pani najukochańsza na świecie, pani Celio, najukochańsza na świecie.

– Tak mówi?

– Słowo w słowo. I ma świętą rację

Pepita wstała z krzesła. Pokazuje gospodyni kartkę, kładąc palec na odpowiedniej linijce.

– Proszę spojrzeć tutaj: najukochańsza na świecie.

Doña Celia czyta słowa powtórzone przez Pepitę i próbuje je zbagatelizować.

– Robię, co mogę.

– Robi pani dużo więcej, niż może, i proszę nie zaprzeczać, bo nigdy nie zdołam odwdziżyć się za wszystko, co pani dla mnie zrobiła. Kiedy don Fernando wyrzucił mnie, przygarnęła mnie pani jak córkę i zdobyła pani dla mnie zlecenia najlepiej płatne w całym magazynie na placu Pontejos. Gdyby nie pani, musiałabym wrócić do Kordowy i żyć tam samiutka jak palec. Wie pani o tym równie dobrze jak ja. I wie ten, który mieszka tam na górze, o ile tam na górze w ogóle ktoś jest.

Pepita zbiera ze stołu list i zeszyty i idzie do swojego pokoju, mamrocząc pod nosem:

– Gdyby tam na górze rzeczywiście ktoś mieszkał, nie mógłby chyba pozwolić na to, co dzieje się tu u nas na dole.

I złorzeczy dalej, wyciągając pudełko po herbatnikach ukryte pod łóżkiem.

– Do czego to wszystko podobne? Jak możesz zabierać do siebie kwiat młodzieży? No, jak możesz? Najlepsi padają od kul plutonów egzekucyjnych, najlepszych posłałeś na śmierć.

Chowa pamiętniki, wyrok, worek na robótki swojej siostry i jej kolczyki i wsuwa pudełko z powrotem pod łóżko.

Później, kiedy dziewczynka się obudzi, poczyta jej. Teraz skończy wyszywać becik zaczęty przez matkę.

Jak co dzień Pepita usiądzie w kuchni i zabierze się do szycia. Skończy becik dla Tensi, by móc owinać ją w niego w Niedzielę Palmową.

– Bo kto w Niedzielę Palmową nic nowego nie włoży, temu nijak się życie nie ułoży.

A potem będzie szyc wyprawy ślubne dla magazynu na placu Pontejos, bo tam płacą najlepiej. Lubi szyc, woli szyc niż zbierać na stacji żużel albo służyć u obcych ludzi. Don Fernando wyświadczył jej przysługę, prosząc, by nigdy już nie wracała do jego domu. Nie wyjaśnił dlaczego, ale ona dobrze wie, że nie chce jej widzieć. Wie o tym. Bo don Fernando się boi. Boi się i ma to wypisane na twarzy. I choćby nie wiem jak się starał, nie zdoła tego ukryć. Pepita domyśla się, że nie chce jej mieć w zasięgu wzroku, bo kiedy na nią patrzy, w jej osobie widzi cały swój strach. Łatwo to po nim poznać, o, jak bardzo łatwo, nawet w tej krótkiej chwili,

kiedy mijają się na ulicy, a on uchyla kapelusza. Patrzy na nią, jakby nie chciał jej widzieć, i nie zwalniając nawet kroku, idzie dalej. Patrzy na nią i mruga, by ukryć czający się w oczach strach. Ale im częściej mruga, tym bardziej widać, że się boi. Dzień dobry, dobry wieczór, nic więcej nie przechodzi mu przez gardło. A ona odpowiada dzień dobry albo dobry wieczór swojemu byłemu chlebodawcy, który wyświadczył jej przysługę, wyrzucając z pracy. Teraz nie musi już służyć u nikogo, tysiąc razy woli zarabiać na życie szyciem. I zbieraniem resztek chleba do swojej aksamitnej torebki, to też całkiem przyjemne zajęcie. I może teraz chodzić w niedziele na spacer do parku Retiro z małą i dołą Celią. Prawie żal jej don Fernanda, kiedy patrzy, jak on czym prędzej odchodzi, jakby naprawdę mógł uciec przed strachem. A nie może, bo ma go głęboko w oczach. Prawie jej go żal, tak, prawie, bo nie może powiedzieć z ręką na sercu, że to prawdziwy żal, sama ma już dosyć własnych trosk i zgryzot, bo życie potraktowało ją okrutnie i po macoszemu. I jest w stanie znieść jeszcze jedno tylko zmartwienie, tylko jedno, bo i tak ma ich zbyt wiele. Tylko to, że Jaime nic więcej nie napisał, a miesiące mijają.

Tak, mijają miesiące. I miną kolejne. I Pepita co rano będzie sprzątać z dołą Celią pensjonat, a popołudniami szyć, zawsze nasłuchując dzwonka do drzwi, może przyjdzie listonosz, może przyniesie list z Francji.

Nieustanne wyczekiwanie i nieustanny niepokój, może wreszcie rozlegnie się dzwonek, ciągle liczenie kolejnych miesięcy, które miną, a listonosz ani razu nie powie Mam dla pani list.

Być może upływający czas mierzy się w słowach. Tych, które się wymawia, i tych niewypowiedzianych. Pepita czyta ciągle od nowa pamiętniki Hortensii. Ciągle od nowa. Przez kolejne dni. I miesiąc. I następny miesiąc. Pepita liczy strony niebieskich zeszytów, liczy, ile razy przeczytała je Tensi. A Tensi rośnie jak na drożdżach.

I liczy dni, i miesiące, które mijają bez żadnej wiadomości z Francji, w tej ciszy bliźniaczo do siebie podobne. Tak, być może upływający czas mierzy się również milczeniem.

Trzeba się nauczyć żyć w ciągłym oczekiwaniu. Trzeba się nauczyć oddychać spokojnie, kiedy do drzwi dzwoni listonosz, i czeka się na list z Francji, i jednocześnie go obawia. Trzeba nauczyć się odróżniać uczucie ulgi od smutku, kiedy listonosz odchodzi, a z ust wymyka się westchnienie. I stoi się z pustymi rękoma.

Ile czasu upłynęło, odkąd Jaime Alcántara napisał do niej list z Francji? Jeden jedyny list. Czemu nie napisał nic więcej? Ile czasu upłynęło, odkąd wróciła z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego? Trzeba się nauczyć odróżniać jeden strach od drugiego. Paulino na pewno żyje. Jaime Alcántara musi napisać, żeby powiedzieć Pepicie, że Paulino żyje. Trzeba zrozumieć, że pragnienie, by dostać list, jest większe od strachu wiążącego się z koniecznością pójścia z nim do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. I trzeba się nauczyć żyć w ciszy, w milczeniu.

Pepita zbiera resztki papki z kącików ust Tensi. Zgarnia je łyżeczką, którą potem wkłada z powrotem do buzi, zamykając i otwierając usta równocześnie z dziewczynką.

– To za mamusię!

Odwraca głowę. Z niepokojem spogląda w stronę kuchennych drzwi. Zatrzymuje w powietrzu pustą łyżeczkę. I czeka.

Czeka, gdyż rozległ się dzwonek.

Czeka i słyszy, jak gospodyni mówi:

– Dzień dobry.

A inny głos odpowiada machinalnie:

– Dzień dobry.

To głos listonosza. Pepita jednym susem podnosi się z krzesła i dopada do drzwi. Zostawiła na stole łyżeczkę, teraz kurczowo obejmuje siostrzenicę.

– To do mnie. Od Gerarda.

Pepita wzdycha i spogląda na doinę Celię. Spogląda na kopertę. Doña Celia pokazuje jej list od męża, który trzyma w ręku. I w niemożliwie niebieskie oczy zagląda niepokój.

– Proszę tylko nic nie mówić o cierpliwości, proszę mi o niej nie wspominać, zaklinam panią na to, co kocha pani najbardziej na świecie. Jutro pójde do Ventas czegoś się dowiedzieć i żadna siła mnie nie powstrzyma.

– Córeńko, jeszcze nie dosyć przeżyłaś?

– O tak, przeżyłam już swoje, pani Celio, przeżyłam już swoje i jeszcze więcej. Ale ta dziewczyna może wiedzieć, co się z nim dzieje, dlatego nie dalej jak jutro zamierzam się z nią spotkać.

– To niebezpieczne, Pepito. Nasi wpadają jeden po drugim, mogą ją śledzić.

– Nasi! Nasi! A ja to niby czyja jestem?

– Nie denerwuj się!

– No, czyja jestem, jeśli można wiedzieć?

- Czemu tak się wściekasz? Przecież nigdy nie chciałaś się zapisać.
- Nie chciałam, nie chcę i nigdy nie zechcę. Żeby mnie siłą ciągnęli i tak się nie zapiszę.
- W takim razie o co chodzi?
- Chodzi o to, że jestem niczyja, i dlatego mogę robić to, co mi się żywnie podoba.

I jutro, tak, właśnie jutro wybiorę się do Ventas, bo któregoś dnia ta dziewczyna dała mi od niego list. I może ma dla mnie następny. A ja tu jak głupia czekam całe miesiące, bo cholerna partia mówi pani, że mam siedzieć jak mysz pod miotłą i być cierpliwa. No więc cierpliwość mi się już skończyła. I proszę mnie uważnie posłuchać, pani Celio, niech sama pani też nie wierzy we wszystko, co mówi ta cholerna partia, bo gdyby było prawdą, że alianci wejdą tu, żeby wyrzucić Franco, toby się wszyscy tak nie pochowali, jak się chowają.

Nie pierwszy raz się kłóca. Pepita nie potrafi zrozumieć partyjnej dyscypliny. Nie może pojąć, dlaczego doña Celia akceptuje decyzje, które inni podejmują za nią. Nie może pojąć, jak to możliwe, że nigdy nie kwestionuje otrzymywanych rozkazów i przyjmuje za swoje wytyczne, które przychodzą nie wiadomo skąd, tak samo jak Hortensia, tak samo jak jej ojciec i pewnie tak samo jak córka gospodyni, Almudena, tak samo jak Carmina, kobieta, która rozwieszała pranie na balkonie. Wszyscy już nie żyją.

– A wie pani, czemu się pochowali? Wie pani dlaczego? Bo jeśli pani nie wie, to ja zaraz pani wytłumaczę. Bo wojna się skończyła, ot co, i choćbyście nie wiem jak się upierali, że to nieprawda, nikt już nie ma ochoty na to, by wojna trwała. Jesteśmy bardziej martwi niż żywi. Wszyscy jesteśmy martwi. I sami. Zostaliśmy sami. Jest już po wszystkim. Klamka zapadła. Nikt nas nie uratuje. Nikt. A wy dalej mówicie nasi, nasi, jak byście żyli w całkiem innym świecie. A co z całą resztą? Nie chcę, żeby kiedykolwiek mówiła mi pani o naszych. I nie chcę, żeby ci, którzy sądzą, że schwytali całą prawdę w zaciśniętą pięść, mówili mi, co mam robić. Nie będą rozporządzać moją osobą i to, co mówią i czego nie mówią, ani mnie ziębi, ani grzeje. Nie będę żyć pod niczyje dyktando. Bo ja należę do reszty. I my, reszta, jesteśmy zmęczeni. Bardzo zmęczeni. Mamy tego wszystkiego serdecznie dosyć. Rozumie pani?

Doña Celia milczy. Wie, że Pepita musiała wykrzyczeć swoją złość i że zaraz jej zniecierpliwienie przerodzi się w płacz. Wie, że musi jej pozwolić, by się wypłakała.

– Proszę mi już więcej nie mówić o naszych, nie chcę o nich więcej słyszeć, pani Celio. Nie chcę więcej słyszeć o naszych. Kocham tylko jednego i nie wiem nawet, czy żyje, czy nie. To jedyna rzecz, jakiej chcę się dowiedzieć, i ta dziewczyna, u której kiedyś mieszkał, na pewno mi to powie. Powie mi to, bo jutro mam zamiar pójść i ją o to zapytać. I powie mi to, powie mi, powie.

I zaczyna płakać. Doña Celia, która zna ją bardzo dobrze, wie, że za chwilę będzie potrzebowała jej uścisku.

- Jutro z samego rana tam pójde. Jutro z samego rana.
- Niewykluczone, że ona nie ma o niczym pojęcia.

Pepita wpada w objęcia doñi Celii i szepcze, zanosząc się od płaczu tak, że jej gospodyni nie słyszy, co mówi.

- Jego dziadek na pewno coś wie.

Pepita z siostrzenicą na rękach idzie wzdłuż kolejki, wypatrując Amalii. W napięciu obserwuje zgromadzony tłum, który z powodu święta Matki Boskiej Miłosierdzia jest jeszcze większy niż zazwyczaj. Ale córka Sole nie zjawiała się jeszcze w więzieniu Ventas. Nie ma jej między dorosłymi, którzy usiłują jakoś zapanować nad biegającymi wkoło dziećmi. Upomnienia Uspokój się wreszcie mieszają się z dziecięcymi śmiechami, a Pepita, która idzie wolniej, niżby chciała, bo jej siostrzenica jest już ciężka, w jednym z dziecięcych śmiechów odkrywa niespodziewanie najmłodszego syna Reme. Chłopiec, który urodził się późno i nie całkiem zdrowy, puścił rękę ojca i biegnie do Pepity. Dziś zjawiała się cała rodzina. Nawet wnuk, który mieszka w León. Po rundzie nieodzownych uścisków, pocałunków i okrzyków radości towarzyszących nieoczekiwanemu spotkaniu Pepita z dumą pokazuje Tensi. Radość Benjamina, kiedy bierze dziewczynkę na ręce, kiedy mówi, że dziś jest święto patronki uwięzionych, biedny Benjamín. I radość Pepity, kiedy dowie się, że dziś Reme będzie mogła wreszcie objąć wnuka, który mieszka w León.

Pepita żegna się z rodziną Reme, wymieniwszy się adresami i obietnicami rychłych odwiedzin, i rusza znów wzdłuż kolejki w poszukiwaniu Amalii. Kiedy znajduje się już na początku ogonka, zatrzymuje ją znajomy głos.

– Pani Pepito!

Don Javier Tolosa wyciąga do niej rękę.

– Co pani tu robi? Tak dawno pani nie widziałem. Jak się pani miewa?

– Dziękuję, nie narzekam.

Dziewczyna unosi czarną woalkę, a staruszek, wskazując na jej żalobę, mówi:

– Słyszałem o pani siostrze. Miałem zamiar wysłać pani pocztą moje najszczerze wyrazy współczucia, ale nie znałem adresu. I chociaż poniewczasie chciałbym złożyć kondolencje. Jak już mówiłem, żywię dla pani najszczerzy podziw i dzielę z panią ten niewiarygodny ból.

– Bardzo dziękuję.

Pepitę niepokoi mizerny wygląd dziadka Elviry.

– Dobrze się pan czuje?

Ciężar dziewczynki zmusza Pepitę do przełożenia jej na drugie ramię, tymczasem don Javier odpowiada pytaniem na pytanie:

– A kim jest ta urocza istota?

– To moja siostrzenica. Tensi, daj buziaka temu sympatycznemu panu.

Pepita pochyla się i zbliża twarzyczkę dziewczynki do twarzy staruszka. Ale dziewczynka nie umie jeszcze całować i tylko nastawia policzek.

– Źle się pan czuje, panie Javierze?

– Miałem grypę i jeszcze nie wydobrzałem. Nic poważnego.

– Bardzo źle pan wygląda.

– Póki człowiek chory, póty żyw, więc na razie nie ma się pani czym martwić. Niech pani nie robi takiej miny, jakby ducha zobaczyła.

– Ducha, zaraz ducha, niechże pan nie przesadza.

Pepita nie ma odwagi spytać otwarcie o wnuka. Don Javier Tolosa też chciałby zapytać, ale tego nie robi. Spoglądają sobie pytająco w oczy, czekają na odpowiedź, chociaż nie mają odwagi postawić pytania. Oboje poszukują porozumiewawczego spojrzenia, które odeгна strach

przed tym, by zapytać. I strach przed tym, by się dowiedzieć.

Po kilku chwilach tych pytających spojrzeń Pepita wreszcie decyduje się przemówić. Najpierw rozgląda się wokół. Potem bierze staruszka pod ramię i mówi tym, którzy stoją za nim, że ten pan będzie tu stał.

– Proszę popilnować mu miejsca, ten pan będzie tu stał.

I odciąga go parę kroków w bok.

Don Javier oddycha głęboko. Stara się myśleć o najlepszej z możliwości, liczy, że Pepita rozwieje jego niepokój. Może wnuk żyje. Przez chwilę, jedną krótką chwilę, pomyśli, że Pepita ma dla niego dobre wiadomości. Ale ona zbliży twarz do jego ucha i zapyta szeptem.

A jej słowa nie są tymi, które staruszek tak bardzo pragnął usłyszeć.

– Ma pan jakieś wieści od wnuka?

Don Javier zgarbi się i opuści głowę. Jest tak rozczarowany, że zamiast odpowiedzieć, milczy, więc Pepita powtarza pytanie:

– Wie pan coś o nim?

Ze wzrokiem wbitym w ziemię odpowie:

– Widziałem go po raz ostatni, kiedy odprowadzał mnie z panią do domu. Powiedział wtedy, że długo nie będzie mógł się ze mną skontaktować i żebym czekał cierpliwie.

– I od tamtej pory nic pan nie wie?

Don Javier uniesie wzrok i odpowie jeszcze ciszej:

– Powiedział mi, że grozi mu niebezpieczeństwo i że musi wyjechać daleko stąd. I prosił mnie, bym o nic nie pytał.

By o nic nie pytał, poprosił. Don Javier obiecał nie pytać. I nigdy nie pytał. Chociaż na widok Pepity serce biło mu szybciej, nigdy nie zadawał jej pytań. Chociaż wiedział, że się kochają, domyślił się po tym, jak patrzyli na siebie, odprowadzając go do domu. Nigdy nie pytał, bo o wiele lepiej nie zadawać pytań, chociaż podejrzewał, że ona przynajmniej wie, dokąd wyjechał. Ale teraz złamie obietnicę daną wnukowi. Bo minęło bardzo dużo czasu i być może wnuk nie żyje. Zapyta, mimo że lepiej nie zadawać pytań:

– Pani coś wie, prawda?

Pepita zaprzecza bez słowa najsmutniejszym na świecie gestem.

Staruszek szuka spojrzenia Pepity i widząc, jak ona odwraca wzrok, pojmując, że nie powiedziała mu całej prawdy.

– Z pewnością wie pani więcej niż ja.

– Dlaczego pan tak mówi?

– Bo nie chce mi pani spojrzeć w oczy.

– Nic nie wiem. A gdybym nawet wiedziała, nie mogłabym panu powiedzieć. To niebezpieczne, panie Javierze, a kto szuka niebezpieczeństwa, na pewno je znajdzie.

– A czego mam się bać? Co takiego może mi grozić? Jeśli straciłem wnuka, jeśli on nie żyje, kiedy stracę wnuczkę, stracę już wszystko.

I ściszył głos jeszcze bardziej, żeby dodać, że Elvira ma stanąć przed sądem. Nie chciał wymówić słowa śmierć. Przełknął ślinę i powiedział, że wnioskuje dla niej o najwyższy wymiar kary. Potem wyciągnął chusteczkę z kieszeni i otarł łzy.

– Pójdzie pod mur. Jak pani siostra, pani Pepito, tak samo jak pani siostra.

Pepita obejmuje siostrzenicę jeszcze mocniej i wybucha płaczem. Tensi ciągnie ją za chustkę i wtóruje jej we łzach, małą rączką szuka ust cioci, przesuwając paluszki po jej wargach.

Kolejka wreszcie się ruszyła.

– Chodźmy, panie Javierze, bo panu miejsce przepadnie.

Rodziny uwięzionych, które pierwsze zajęły miejsca w kolejce, zaczęły wchodzić do

więzienia. Don Javier szlochał, powtarzając, że jego wnuczka ma dopiero szesnaście lat.

– Niech pan już wejdzie i niech pańska wnuczka nie zobaczy tych łez. Zaczekam tu na pana.

Pepita opanowuje płacz i szuka dalej Amalii. Posuwa się w kierunku przeciwnym niż kolejka i kiedy mija już wszystkich bez nadziei, że ją znajdzie, jakaś kobieta wita się z nią skinieniem głowy. Ma ciemne okulary, idąc, wspiera się na lasce. Wygląda na staruszkę. Ale wcale nie jest stara. Przechyla się to w jedną, to w drugą stronę, niezdarnie podpierając się laską, jakby dopiero przed chwilą nauczyła się chodzić. Pepita podchodzi do niej i stając naprzeciwko, rozpoznaje dziewczynę, której szukała.

Tak, to Amalia, córka Sole, dziewczyna z Peñaranda de Bracamonte, członkini Czerwonego Pogotowia.

Pepita patrzy na jej ciemne okulary.

– Co ci się stało w oczy?

– Mam za sobą wizytę w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego.

Mówiąc, że ma za sobą wizytę w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, Amalia zdejmuje okulary, a Pepita widzi, że nie ma lewego oka.

Tylko pusty oczodół.

Pepicie robi się słabo, zasłania twarz siostrzenicy.

– Nie zasłaniaj tej ślicznej buzi, daj mi chwilę popatrzeć. Ale czemu płaczesz? Nie płacz, maleńka, nie do twarzy ci z tymi łezkami.

Pepita, pokazując siostrzenicę, ociera jej łzy i niby mimochodem pochyla się do ucha Amalii.

– Wiesz coś o Czarnej Kurtce?

– Nie znam nikogo, kto się tak nazywa. I ty też nie. Rozumiesz?

Pepita nie odpowiada, więc Amalia powtarza jeszcze dobitniej:

– Rozumiesz?!

– Jeśli nie znasz tego, kogo nie znasz, powiedz mi przynajmniej, czy wiesz coś o jego towarzyszu.

– Prześliczna dziewczynka.

– Powiedz mi przez wzgląd na nią. Zabili jej mamę i być może ojca też jej zabili.

– Jej ojciec żyje.

– A ten drugi?

– Też. I przestań wreszcie wypytywać, wracaj do domu. Niedobrze, żeby cię ktoś ze mną zobaczył.

Zanim Pepita zdąży zapytać o cokolwiek więcej, do Amalii podchodzi jakaś kobieta. Wyszła właśnie z rozmównicy i uśmiecha się, wskazując na niesiony pakunek:

– Mam.

Córka Sole odwzajemnia uśmiech i odpowiada cicho, nie patrząc na kobietę:

– Dobrze. Bardzo dobrze. Idź dalej, nie zatrzymuj się.

Kobieta, która niesie paczkę, rozgląda się na prawo i lewo, a potem rusza przed siebie.

Pepita też rozgląda się na prawo i lewo, zanim spróbuje wyciągnąć z Amalii coś więcej.

– Powiedz mi, jak mogę się z nimi skontaktować, jednemu muszę powiedzieć, że jest wdowcem i że ma córeczkę. A drugiemu, że jego siostrze grozi kara śmierci.

– Wiedzą o tym wszystkim. A teraz idź już sobie.

– Wiedzą? A skąd niby to wszystko wiedzą? Ty im powiedziałaś? To znaczy, że wrócili. To ty im powiedziałaś?

– Słuchaj, oni wiedzą, co mają wiedzieć, lecz kto im o tym powiedział, to nie twoja

sprawa. A teraz wracaj do domu. I cierpliwie czekaj.

– Widziałś ich, prawda? Wrócili.

Amalia marszczy brwi. Jeszcze raz unosi okulary. Jeszcze raz pokazuje swój pusty oczodół i twardo odpowiada Pepicie:

– Nikomu nie powiedziałam, kogo widziałam, a kogo nie. Nikomu nie powiedziałam ani słowa i teraz też nie zamierzam nic mówić. Wracaj do domu!

Nikomu nic nie powiedziała i Pepicie też nic nie powie. Ale już i tak powiedziała dosyć. Pepita może iść do domu. Pożegna się z Amalią. Odejdzie z uśmiechem. I stanie przy więziennej bramie, by zaczekać na dziadka Elviry. Pański wnuk żyje, powie mu.

Żyje.

Matki, które spodziewały się wizyty swoich dzieci, niecierpliwie kręciły się po dziedzińcu, wpatrzone w wejście. Także babki, jak Reme, obserwowały je z niepokojem. Niektóre zastanawiały się, czy zdołają poznać własne dzieci, inne były pewne, że im się nie uda. Stojąca obok Reme matka zaciskała dłonie z taką siłą, że wbiła sobie paznokcie w skórę. Krata w końcu się otworzyła. Pierwsze weszły do środka dwie dziewczynki w żałobie. Starsza, mniej więcej sześćioletnia, prowadziła za rękę młodszą.

– To one?

– Nie wiem, cztery lata ich nie widziałam. Nie wiem, nie wiem.

Kobieta, która wbijała sobie paznokcie, miała wątpliwości. Została aresztowana razem z mężem na samym początku wojny, tydzień po urodzeniu młodszej córki. Dziewczynki przygarnęła babcia ze strony ojca. Ją przenosili z jednego więzienia do drugiego, niedawno przyjechała do Ventas z Saturrarán. Tam właśnie, w klasztorze zaadaptowanym na więzienie na granicy Guipuzcoi z Vizcayą, dostała list od teściowej; pisała, że syn nie żyje, i przesyłała zdjęcie dziewczynek. Udało mi się zaoszczędzić parę groszy na fotografię twoich córek, żebyś mogła na nie popatrzeć. Ale nie mogła na nie popatrzeć. Podarli zdjęcie na jej oczach, bo nie chciała odmawiać różańca, a potem, bardzo powoli, podarli też list. Dopiero kiedy przywieźli ją do Ventas, dowiedziała się, że jej męża rozstrzelali ponad dwa lata temu.

– Noszą żałobę, to muszą być moje córeczki.

Dziewczynki szły przestraszone w głąb dziedzińca, mocno ściskając się za ręce. Matka podeszła bliżej i nachyliła się nad nimi. Obrzuciła je spojrzeniem od stóp do głów, a potem zapytała, jak mają na imię. Kiedy usłyszała odpowiedź, odetchnęła z ulgą.

– Jestem waszą mamą.

I chciała otoczyć je ramionami, ale dziewczynki nadal kurczowo trzymały się za ręce. Nie zrobiły ani kroku w stronę matki.

– To ja, mamusia.

Nie czekała dłużej, wzięła obie w ramiona, a one wybuchnęły płaczem. I nieutulony szloch matki jeszcze długo rozlegał się w prawym skrzydle bloku numer dwa.

– Moje córki wcale mnie nie znają, przestraszyły się mnie. Własnej mamy się przestraszyły.

A jej współtowarzyszki na próżno szukały słów pocieszenia, bo słowa nie mogły przynieść ulgi.

– Nie, są po prostu bardzo małe, a więzienie to nie miejsce dla dzieci.

Reme nie chce słuchać tych lamentów, siada na krzeselku podarowanym jej przez Benjamina i smakuje pocałunki swojego wnuka, uściski swojego synka, jego promienny śmiech, kiedy biegł do niej, ciągnąc za rękę chłopczyka, który urodził się w León i ledwo mógł za nim nadążyć. Smakuje pocałunki, które dostała, i te, które im dała ze spojrzeniem utkwionym w pustce, tak samo jak Elvira, dziewczyna, która nie zginie. Elvira gubi się na chwilę w błękitnych oczach dziadka, oczach koloru morza, które zawsze przypominają jej oczy matki i ją uspokajają. Chociaż dziś zdawało się jej, że dziadek płacze. Tak, na pewno płakał, przyłapała go na tym, jak chciał osuszyć morze skrajem chustki.

– Dosyć już tego bujania w obłokach. Trzeba się brać do roboty.

To Tomasa, która podchodzi do Sole i klaszcze w dłonie, wrywając ją z zadumy. I Sole,

siedząca na zwiniętym sienniku opartym o ścianę, mruga kilkakrotnie, jakby starała się wyryć jak najgłębiej w pamięci minuty spędzone z córką. Jedną po drugiej. Dziesięć minut.

– Do roboty, mówię. Chodź, Sole, zobaczymy, co tam mamy.

Amalia włożyła ciemne okulary, takie, jak noszą niewidomi. I ani razu ich nie zdjęła. Ale widzi. Sole jest pewna, że widzi, bo reagowała na jej gesty. Tylko kiedy nieopatrznie uniosła rękę, Sole odkryła, że Amalia ma laskę. Jej córka chodzi o lasce.

– Sole, czy ty mnie w ogóle słyszysz?

Sole zostawia córkę w rozmównicy, wyrwana stamtąd przez pokrzykiwania i klaskanie nieustępliwej Tomasy.

– Wydierasz się tak, że trudno cię nie usłyszeć.

– Jakoś zupełnie tego po tobie nie widać. Zobacz wreszcie, co nam przysłała twoja córka.

Nie tak łatwo znaleźć wiadomości, które przychodzą z zewnątrz. Paczki są bardzo dokładnie sprawdzane przez funkcjonariuszkę, która natychmiast rekwiruje wszystko, co wzbudza jakiegokolwiek podejrzenia. I od kiedy, już dawno temu, Bucior odkryła puszkę z podwójnym dnem, trzeba się chwycić innych sposobów.

– Miejmy nadzieję, że twojej paczki nie rewidowała Bucior, bo możemy się doigrać.

Sole uważnie przygląda się przedmiotom przysłanym przez córkę. Tym razem muszą się bardzo starać, by nie zniszczyć ani jednego słowa. To ważne, bo przygotowują ucieczkę.

Tak, ucieczkę Sole. Trzeba zrobić wszystko, by nie odkryli, jak ważną pełniła funkcję. Od czasu, jak jej córka została zatrzymana, partia uważa za zbyt niebezpieczne, by pozostawała w rękach nieprzyjaciela.

– Uważaj na te papryki.

Tomasa upomina Sole, która miesiąc temu zatopiła zęby w papryce i odgryzła pół „Mundo Obrero” wydrukowanego na bibule. Wszystkie się zastanawiały, jak zdołali wydrukować gazetkę tak małym drukiem, i wszystkie podziwiała jej niewiarygodnie mały rozmiar: niewiele większy niż paczka papierosów.

Ale tym razem w papryce nie ma nic.

Tym razem to w pudełku ze słuszną porcją paelli, pod apetycznymi ziarnami ryżu, Sole znajdzie zwitek wepchnięty we flak od kielbasy.

– Jest!

Sole rozkłada karteczkę i czyta głośno:

Potwierdzamy umówiony dzień. Zaproszona wyraża zgodę.

„Kurtyna w górę” pozostaje bez zmian.

Powodzenia, dzieciuki!

Na dźwięk czytanych przez Sole słów Elvira aż podskakuje. Dziecinko. Jest tylko jedna osoba, która ciągle tak mówi. Ale Elvira nie powie nikomu o swoim podejrzeniu, że to Paulino jest autorem wiadomości. Nie zająknie się nikomu ani słowem, ale z wielką uwagą będzie śledzić każdy szczegół operacji. Nie zdradzi nikomu swoich podejrzeń, bo Tomasa jest bardzo zasadnicza, i Sole też, i mogłyby pomyśleć, że skoro podejrzewa, że to jej brat wysłał wiadomość, ona zdenerwuje się i nie wypełni zadania. Ale Elvira wcale się nie zdenerwuje. Będzie tylko bardzo uważna. I kiedy zaproszona specjalnie na tę okazję Antoñita Colomé uda, że zemdląca, przerwie przedstawienie *Tempraniki* i zejdzie ze sceny razem z pozostałymi. Reszta będzie jednym wielkim zamieszaniem. Zamieszaniem, które pozwoli dwóm towarzyszom przebranych w mundury uszyte przez Reme wezwać do siebie Sole. Nie powie nikomu, że podejrzewa, że jeden z nich to jej brat. Nie powie, ale będzie bardzo czujna. I skorzysta z zamieszania, żeby zbliżyć się do wyjścia.

W dniu Wszystkich Świętych w zakładzie karnym Ventas przed spłoszonymi oczyma więźniarek wystąpiła Antoñita Colomé. Elvirę rozpieiała duma. Nie mogła powstrzymać się od niemego śpiewania piosenki, którą wykonywała na scenie artystka.

*Oparta o futrynę w lupanarze
chłonęłam majową noc...*

Nikt nie uwierzył rudowłosej dziewczynie, kiedy powiedziała, że Antoñita zgodziła się na ich prośbę. Nikt nie liczył na to, że artystka odpowie na wysłany przez Elvirę, za zgodą Trutki, list, w którym prosiła w imieniu wszystkich więźniarek, i z całego serca, i przez wzgląd na uwielbienie, jakim sama ją darzyła, żeby objęła honorowy patronat nad przygotowywaną przez nie zarzuelą *Tempranica* oraz żeby zaśpiewała jedną piosenkę.

Nigdy wcześniej w zakładzie karnym nie słyszano takich braw, jakie zabrzmiały na dziedzińcu. Niech żyje, Bravo i Jak pięknie śpiewa dobiegało z widowni, która wstała, kiedy Elvira wręczała Antoñicie bukiet kwiatów na zakończenie występu. Trutka uśmiechała się wyniośle z pierwszego rzędu, także stojąc. Ją też rozpieiała duma. Była przecież gospodynią tego spotkania, a artystka najważniejszą osobą, jaka do tej pory zawitała do Ventas. Biła brawo z entuzjazmem, rzucając ukradkowe spojrzenie na puste krzesło obok. To na nim usiadzie doña Antoñita, żeby obejrzyć przedstawienie. Trutka widziała, jak artystka ucałowała Elvirę, przyjmując od niej bukiet, i jak zeszła ze sceny, biorąc ją pod rękę. Podeszła do pustego krzesła, które na nią czekało, pogłaskała rude włosy dziewczyny, znów ucałowała ją w policzek i uśmiechnęła się do niej. Następnie złożyła pocałunek na przedniej części szkaplerza Trutki i zajęła wolne miejsce. Wszystkie zazdrościły Elvirze, nawet Trutka, którą wprawdzie doña Antoñita pocałowała w szkaplerz, ale się do niej nie uśmiechnęła. Nie spojrzała na nią, tylko wzięła podany jej szkaplerz, przysunęła go do ust, ale nawet go nie dotknęła, po czym usiadła po jej prawej stronie i spojrzała przed siebie.

Zakład karny zamienił się w ogromny amfiteatr. Na dziedzińcu nie było wystarczająco dużo miejsca dla wszystkich osadzonych, tym, które się nie zmieściły, pozwolono podejść do okien i stanąć wraz ze strażniczkami na zaimprovizowanych na parterze balkonach. Nikt nie chciał stracić okazji do podziwiania Antoñity Colomé. W ostatnim rzędzie, tuż przy wyjściu, siedział don Fernando, który poprosił, aby jemu i jego żonie, doñi Amparo, pozwolono przyjść na koncert. Oboje siedzieliby w pierwszym rzędzie, obok Bucior, gdyby doña Amparo nie odrzuciła zaproszenia, tłumacząc się, że ze strachu przed tłumem wołałaby siedzieć bliżej drzwi. W rzeczywistości doña Amparo obawiała się więźniarek. Wygląd tych wychudzonych kobiet przeraził ją, wołała nie mieszać się z nimi.

– Kurtyna w górę!

Tomasa krzyknęła zza kulis, a reszta dziewcząt, które brały udział w przedstawieniu, zawtórowała:

– W górę!

Rozpoczęła się pierwsza scena. Tomasa doskonale odegrała rolę Morondy, przydzieloną Hortensii. Elvira w roli Marii nie odrywała wzroku od Antoñity Colomé. W drugiej scenie Reme w roli Gabriela bardziej niż zwykle krzyczała, śpiewając *Tarantulę*:

*Tarantula, diabelskie stworzenie.
Nie utłuczesz kijem ni kamieniem.*

Umówiony sygnał. *Tarantula*. Kiedy biorące udział w przedstawieniu więźniarki, a nie jedna, jak w librecie Juliana Romei, miały wtargnąć na scenę i dołączyć do Gabriela, żeby razem zaśpiewać, doña Antoñita miała udać, że mdleje.

Wszystkie aktorki dołączyły do Reme. I razem odśpiewały *Tarantulę*.

Sygnał.

Artystka udała.

Zemdlała.

Chór dalej śpiewał *Tarantulę*. Brzmiała coraz głośniejsze. Piosenka przebiła się przez mury więzienia na zewnątrz. Po drugiej stronie dziedzińca dwóch umundurowanych mężczyzn czekało na sygnał.

Tarantula, diabelskie stworzenie.

Reszta była wielkim zamieszaniem.

Dwóch falangistów pokazuje przy drzwiach rozkaz przeniesienia Soledad Pimentel, urodzonej w Peñaranda de Bracamonte, przedstawienie zostaje przerwane, wszystkie kobiety zbiegają ze sceny i próbują zbliżyć się do Antoñity. Trutka wachluje niedawno omdlałą. Bucior krzyczy, żeby wezwano lekarza. Tomasa wrzeszczy, że zobaczyła szczura. Więźniarki stojące na dziedzińcu zaczynają krzyczeć i biegną to w jedną, to w drugą stronę. Te, które obserwowały przedstawienie przez okna, chcą zejść na dół. I schodzą. Lekarzowi zajęło sporo czasu dotarcie do pierwszego rzędu. Żona lekarza została z tyłu. Donosicielka starała się ją uspokoić. Sole przesunęła się do drzwi, które wychodziły na galerię prowadzącą do wyjścia. Reme i Tomasa stanęły obok. Podbiegła do nich Elvira. Na dziedzińcu pojawiła się dozorczyńni. Za nią strażniczki, które trzymały wartę na zewnątrz, i dwóch falangistów z rozkazem przeniesienia. Elvira zobaczyła wchodzących. Przyjrzała się ich twarzom. Sole odłączyła się od Reme i Tomasy i wystąpiła naprzód.

– Jestem Soledad Pimentel.

Falangisci złapali ją za ramiona.

– Pójdiesz z nami!

Jeden z nich spojrzał Elvirze prosto w oczy i rozkazał:

– Ty, chodź tutaj!

Elvira złapała za czarną główkę od paska Joaquina, którą zawsze nosiła w kieszeni, i zbliżyła się do nich. Falangista złapał ją za ramię, tak jak wcześniej Sole. I w czwórkę skierowali się do wyjścia.

Czasami nie trzeba prosić Boga o pozwolenie, żeby robić plany. Czasami nie trzeba bać się jego śmiechu ani jego furii. Ale zanim falangisci dotrą do drzwi wejściowych, Bucior krzyknie im za plecami:

– Stać!

Młodszy odwróci się w jej stronę rozwścieczony.

– Od kiedy to zatrzymuje się obrońców ojczyzny?

– Przepraszam, ale odchodzicie tak bez... i zabieracie ze sobą dwie więźniarki, i...

Falangista pokazuje jej nakaz przeniesienia, rozkazując równocześnie innej funkcjonariuszce otwarcie drzwi. Bucior czyta pismo i zaczyna mamrotać:

– Tutaj jest mowa tylko o jednej. A wy... Chodzi o tę drugą, dlaczego ją też zabieracie?

– Tę biorę dla siebie, jutro dostarczę ją z powrotem.

– Ostatnią, którą tak zabrano, oddano w strasznym stanie.

– I co?

– I dyrektorka powiedziała, że nie pozwoli zabrać już żadnej bez odpowiednich papierów.

– Proszę zawołać dyrektorkę i wreszcie to zakończmy.

Z głębi korytarza zbliżała się w ich kierunku liczna grupa. W środku idzie don Fernando razem z siostrą Marią od Serafinów. Lekarz niesie na rękach doñę Antoñitę Colomé. Jego żona, doña Amparo, idzie za nimi rozgorączkowana, nie tracąc z oczu pięknego bladego profilu Colomé. Mercedes dotrzymuje jej kroku, tak samo rozgorączkowana. Reme i Tomasa pilnują donosicielki. Bucior podbiega do Trutki i pokazuje jej rozkaz przeniesienia Soledad Pimentel.

– W porządku, niech ją zabierają, nie widzisz, że jestem zajęta?

– Ale chodzi o to, że chcą zabrać drugą.

– Na miłość boską, daj mi spokój.

Bucior zaczyna znowu nalegać. A doña Antoñita próbuje wyswobodzić się z ramion don Fernanda.

– Zaraz panu wypadnie, wypadnie! Na miłość boską! Nie widzi pan, że wypada?

Bez dodatkowych przeszkód falangiści dotarli do wyjścia, zabierając obie więźniarki.

Reme i Tomasa uśmiechnęły się, widząc, jak ich towarzyszki odchodzą wolnym krokiem.

Donosicielka widziała, jak się do siebie uśmiechają.

Już na zewnątrz, gdy znajdowali się na rogu ulicy Alcalá, daleko od więzienia, młodszy z mężczyzn pogłaskał po głowie rudowłosą.

– Co ci zrobili z włosami, dziecinko?

Artystka nadal nie odzyskiwała przytomności.

Oba mundury uszyte przez Reme, żeby umożliwić Sole ucieczkę, nie były jedynymi, które zostały wyniesione po kryjomu z więziennych piwnic. Nie były też ani pierwszymi, ani ostatnimi. Już od dawna warsztat krawiecki w Ventas zaopatrywał partyzantkę w ciepłą odzież. Reme znalazła sposób na oszukiwanie funkcjonariuszki, która wydzielala materiał, nici i odmierzała czas na uszycie ubrania. Funkcjonariuszka nadzorowała pierwsze cięcie i była obecna, gdy więźniarki szyły pierwsze ubranie. Potem zostawiała im materiał na resztę i ograniczała się do chodzenia po warsztacie z jednego końca do drugiego, nie zwracając szczególnej uwagi na pracę robotnic. Trik polegał na tym, żeby przesunąć szpilki na uciętym kawałku sukna. Te, które cięły tkaninę, wręczały tym, które szyły na maszynie, trzy kawałki zamiast dwóch przeliczonych przez funkcjonariuszkę. Musiały szyć szybciej, ścibolić nici i zawsze ukrywać trzeci kawałek pod pozostałymi, licząc na roztargnienie funkcjonariuszki, ale wszystko było kwestią wprawy. A wprawę uzyskuje się dzięki praktyce. Koce, koszule, spodnie, najrozmaitszą konfekcję więźniarki opuszczające warsztat wynosiły pod halkami spódnic. Swoboda, z jaką poruszała się Reme, świadczyła o tym, że dużo udało jej się już wynieść pod spódnicą. Tomasa przeciwnie, nie radziła sobie. Estremadurka o oliwkowej cerze zapisała się na warsztaty, gdy tylko dowiedziała się, że piwnice w Ventas zamieniły się w miejsce pomocy dla partyzantki. Nauczyła się błyskawicznie, oszczędzała nici na mundurach dla wojska i szyła starannie ubrania dla kobiet i mężczyzn z lasu, upewniając się, że ochronią przed zimnem, ale w dalszym ciągu nie umiała ich ukryć tak, żeby jej nie zdemaskowano. Tak więc gdy kończyła jakieś ubranie, podawała je Reme.

– Reme, Reme.

– Co?

– Trzymaj.

Były Zaduszki. Tego dnia Reme i Tomasa poczuły się bardziej samotne niż kiedykolwiek, kiedy równo, gęsiego, w całkowitym milczeniu wróciły do prawego skrzydła bloku numer dwa z warsztatów szycia. Dwa pędy wydymały halkę Reme.

– Dobrze nam dzisiaj poszło.

– Tak, poszło nam nie najgorzej.

W ich głosach słyhać było smutek, który kobiety starały się ukryć. Do tęsknoty za towarzyszkami dochodził coraz większy niepokój o przyszłość, z którego zaczęły zdawać sobie sprawę, widząc, jak tamte idą do wyjścia.

– Popatrz, Reme, otworzyli już klatkę.

– I wychodzą, Tomaso, wychodzą!

Reme i Tomasa rozpały się i poczuły wolne, one też, przez chwilę. Wolne, kiedy zobaczyły, jak tamte wychodzą na wolność. Ale później wolność koleżanek zwiększyła jeszcze poczucie zniewolenia, które odczuły, kiedy odwróciły się i samotnie ruszyły na dziedziniec.

Samotność.

– Jesteś głodna?

– Oczywiście, że jestem głodna, co to za pytanie, do licha?

Smutek.

Tomasa myśli o swoich dzieciach. Zawsze, kiedy jest smutna, myśli o swoich dzieciach porwanych przez prąd rzeki.

- Reme.
- Co?
- Wiesz, czy wszystko, co rzeka zabiera ze sobą, trafia do morza?
- Wszystko, co nurt zabiera ze sobą, leży na dnie morza.

Tej samej nocy, na zebraniu partii w umywalni, Tomasa i Reme miały przyłączyć się do nowej rodziny. Ponieważ Reme dostawała paczki, a Tomasa nie, szukały takiej rodziny, w której byłaby równowaga. Dołączyły do czterech więźniarek, spośród których dwie dostawały paczki żywnościowe. To była rodzina kobiety, która płakała w święto Matki Boskiej Miłosierdzia, dlatego że nie poznała swoich córek. Reme zapytała ją, jak się nazywa.

- Josefina.
- Skąd jesteś?
- Z Gijón.

I Tomasa zapytała ją o morze.

Reme i Tomasa przeniosły się z głównego korytarza, który zajmowały do tej pory, do celi zajmowanej przez ich nową rodzinę i grupę sześciu innych więźniarek. Kiedy Josefina wskazała im nowe miejsce, rozległ się głos Bucior wzywający je na zbiórkę. Funkcjonariuszka cały dzień czekała na powrót Elviry. Co chwilę sprawdzała rejestr wejść, chodziła w kółko, licząc raz po raz wszystkie więźniarki, tak jakby samym liczeniem mogła sprawić, że rudowłosa dziewczyna pojawi się z powrotem między nimi.

Ale Elvira nigdy nie pojawi się z powrotem w Ventas.

Nigdy.

Bucior nie wie, że Elvira nie wróci. Nie wie też, że rozkaz przeniesienia Sole był sfalszowany. Ani że doña Antoñita Colomé nigdy naprawdę nie zemdląca. Zaczyna znowu liczyć osadzone i wykrzywia się, gdy dochodzi do Tomasy.

– Kiedy przywiozą Elvirite?

Bucior nie odpowiada, a ona powtarza pytanie:

– Kiedy przywiozą Elvirite?

Upór Estremadurki o oliwkowej cerze wzmaga jeszcze niepokój funkcjonariuszki. Tomasa świetnie o tym wie. Zagląda jej w oczy i czeka w skupieniu z perfidnym zamiarem zapytania raz jeszcze, jeśli nie uzyska odpowiedzi. Bucior wytrzymuje jej spojrzenie, ale zanim się od niej odwróci, słyszy za plecami głos:

– Siostra Maria od Serafinów prosi do siebie.

To Mercedes. Jej słowa nie wyrażają prośby, rozkazują.

Bucior wzdyga się, słysząc rozkaz Trutki. Tomasa delektuje się strachem widocznym w grymasie twarzy Bucior. Kok Powstań, Hiszpanio! przekreśla się razem z nią, kiedy odwraca się w stronę Mercedes.

– Co takiego?

– Siostra Maria od Serafinów prosi do dyrekcji.

Więźniarki z prawego skrzydła bloku numer dwa zobaczą, jak Bucior odchodzi, patrząc przed siebie. Zobaczą ją po raz ostatni.

Bucior nie zadzwoni już kluczami, zamykając metalowe drzwi bloku. Z jej ust nie wychyli się żółty cukierek, kiedy będzie pilnować więźniarek na dziedzińcu. Ani nie wypowie już po cichu litanii, którą przeżuwała w ustach podczas dyżuru w rozmównicy, ostatniego wojennego meldunku. Nie powtórzy z pogardą, raz i drugi, patrząc na bliskich i na więźniarki. Ostatnie czerwone oddziały zostały rozbrojone i pojmane.

Nikt nie zobaczy więcej Bucior w więzieniu Ventas.

I nikt za nią nie zatęskni.

Pierwsze dni na wzgórzu Cerro Umbría były dla Elviry największym i najcięższym jak do tej pory wyzwaniem. Ona i tylko ona mogła udowodnić Mateowi, że jej brat nie dopuścił się szaleństwa. Pierwszy dzień, mimo powściągliwości Matea, upłynął jej radośnie.

– Naraziłeś całą operację, sprawy osobiste nigdy nie powinny być ważniejsze, do kurwy nędzy, to nieprawdopodobne, że jeszcze tego nie wiesz.

– Na moim miejscu zrobiłbyś to samo, Mateo, nie pieprz. Zrobiłbyś dokładnie to samo i dobrze o tym wiesz.

– Może tak, a może nie. Ale jestem pewien, że dziewczyna sporo za to zapłaci. Powinieneś pozwolić, żeby Amalia zabrała ją ze sobą.

– Nie ma mowy, zostaje ze mną.

Siedząc na kamieniu, z karabinem między nogami, dwaj mężczyźni palili papierosa i czekali na Sole i Elvirę, które się przebierały. Oni już zmienili swoje ubrania, mundury falangistów spoczywały na dnie żołnierskich plecaków. Amalia w dalszym ciągu stała w odległości kilku metrów. Odwrócona do nich tyłem, opierała się o laskę i pogrążona w myślach wpatrywała się w horyzont. Właśnie przed chwilą powiedziała Jaimemu, że Pepita szukała jej przed wejściem do Ventas.

– Przyszła zapytać o ciebie.

– Jak się czuje?

– Martwi się.

– Wie, że wróciłem?

– Domyśla się. Chcesz, żeby jej powiedzieli?

– Nie.

Trzymać ją z dala. Jaime chce trzymać ją z dala. Od kiedy się dowiedział, że z powodu listu, który wysłał do niej z Francji, trafiła na przesłuchanie do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, nie napisał do niej ani słowa. Nigdy więcej nie narazi jej na niebezpieczeństwo.

– Kiedy wszystko się skończy, odnajdę ją.

Mateo słucha ich rozmowy, myśląc o córce.

– A ja odnajdę swoją córkę.

– Miała ją na rękach.

– Jak wygląda?

– Jest śliczna.

Kobietom nie zajęło dużo czasu, żeby do nich dołączyć. Miały na sobie o wiele za duże spodnie i kurtki. Uśmiech, który nie schodził Elvirze z twarzy, kontrastował z zatroskaną miną Sole. Amalia odwróciła się, słysząc ich kroki, matka podeszła do niej i jeszcze raz ją uściskała z tym samym bólem serca, który poczuła, kiedy objęła ją na rogu ulic Alcalá i Manuela Becerry, gdzie Amalia czekała na uciekinierów, żeby zaprowadzić ich na wzgórze.

– Co oni ci zrobili, córeczko!

– Mam się dobrze, to chyba widać. A noga już mnie nie boli. Nie widziałaś, że wdrapałam się aż tutaj, mam? No dalej, idziemy.

Elvira obracała się dookoła, żeby mógł ocenić jej nowy wygląd.

– Popatrz, Paulino. Wyglądam jak chłopak?

Tak, wyglądała jak chłopak.

– Nie nazywam się już Paulino.

– Ach, nie?

– Nie.

– A jak się teraz nazywasz?

– Jaime. Podoba ci się?

– Jaime. Tak, to bardzo ładne imię.

Po czym zastanowiła się chwilę, podwinęła rękawy i nie przestając się uśmiechać, zapytała:

– A ja w dalszym ciągu nazywam się Elvira?

Amalia podwinęła matce rękawy kurtki, zwracając się jednocześnie do Jaimego Alcantary, który nałożył na głowę kaszkiet.

– Oddział Szpaka będzie na was czekać w umówionym miejscu na Pico Montero o dwunastej.

– Ilu ich jest?

– Szesnastu.

– Za dużo. Trzeba będzie utworzyć dwie grupy.

Czarna Kurtka przyjechał z Tuluzy z dwoma zadaniami. Po pierwsze, miał się zająć natychmiastowym uwolnieniem Soledad Pimentel, zanim wróg odkryje, że należała do kierownictwa partii w Salamance, po czym wysłać ją z córką do Francji, żeby nie narażała dowództwa. Po drugie, miał przeorganizować oddziały partyzanckie i powołać Partyzanckie Zgrupowanie na wzgórzu Cerro Umbría. Wszystkie hiszpańskie partie lewicowe przebywające na uchodźstwie połączyły siły, tworząc antyfrankistowski blok, Narodową Unię Hiszpanii, która, kiedy zakończy się wojna w Europie, miała zmusić aliantów do interwencji. Żeby do tego doprowadzić, należało powołać wojsko partyzanckie z prawdziwego zdarzenia, które udowodniłoby, że w Hiszpanii walka zbrojna nie ustała.

– Jeszcze jest czas, żebyś to przemyślał, pozwól, żeby Amalia zabrała Elvirę.

– Powiedziałem ci już, Kordowiańczyku, że zostaje ze mną.

Elvira bała się, że zawziętość Matea zwycięży w końcu z decyzją jej brata, żeby zabrać ją na wzgórze. Od kiedy wyszli z Ventas, od kiedy zaczęli iść w stronę Alcalá, Mateo nie przestawał przekonywać Jaimego, że zabieranie Elviry na wzgórze było szaleństwem. Amalia zgadzała się z nim i w pierwszej chwili zaproponowała, żeby rudowłosa dziewczyna została z nią w Galapagarze.

– Dom w Galapagarze to dobry pomysł. Tam będzie bezpieczna, a ty od czasu do czasu będziesz mógł zejść, żeby się z nią zobaczyć.

Ale Jaime nie dał się przekonać. Nie zostawi już więcej siostry.

– Ona idzie ze mną. Nie nalegajcie. Ty idź do Galapagaru i nie wychodź z domu, dopóki nie przyprowadzimy twojej matki. Jeżeli nie przyjdą inne rozkazy, widzimy się tam, licząc od dzisiaj, za trzy miesiące.

Rudowłosa dziewczyna oddycha z ulgą. Staje po lewej stronie Jaimego i łapie go za rękę.

– Idę z nim.

Sole i Amalia znowu się obejmują. Na pożegnanie mówią do siebie Nie martw się o mnie. Sole zostanie na Cerro Umbría przez trzy miesiące, czas niezbędny do przygotowania jej ucieczki do Francji. Amalia w tym czasie będzie się ukrywać w Galapagarze. To tam pojawią się dwie towarzyszkę, które pomogą im przekroczyć zieloną granicę, i kobiety pieszo przedostaną się przez Pireneje.

Kiedy matka i córka kończą się ścisnąć, Jaime prosi Amalię, żeby coś dla niego zrobiła. Boi się, że po ucieczce Elviry ich dziadka spotkają represje.

- Niech zabiorą go z Madrytu.
- Nie martw się, zajmę się tym.
- Niech wraca do Pampeluny.
- Dobrze.

Amalia powoli zaczyna schodzić ze wzgórza. A reszta udaje się w przeciwnym kierunku. Była szósta po południu drugiego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego

roku.

Zaczynało padać.

Mateo uważał, że wzgórze nie jest miejscem dla kobiet. Tolerował Sole, dlatego że szybko miała je opuścić i dlatego że Elvira powiedziała mu, że to ona przyjęła poród Hortensii. I akceptował dziewczynę o rudych włosach, bo pokazała, że jest odważna jak jej brat, i nauczyła się obchodzić z bronią jak mężczyzna. Sam ją tego nauczył, pokazał jej, jak strzelać z jego *naranjero* i rozróżniać broń po odgłosie wystrzału. Mogła strzelać z każdej broni, chociaż wolała mały pistolet, który nosiła przy pasku. Poza tym jej wykształcenie polityczne stało na dużo wyższym poziomie niż reszty grupy. Wszystkiego, co wiedziała o polityce, dowiedziała się w więzieniu. I w szkole polowej dawała lekcje mężczyznom, którzy nie umieli czytać ani pisać. Była bystra i w wieku szesnastu lat wiedziała więcej niż ci, którzy umierają ze starości. I była silna. Przed upływem miesiąca wyleczyła się z gorączki, która rosła jej po południu, i prawie wyleczyła się z kaszlu, którym zaraziła się w Ventas. Zachłystywała się górskim powietrzem i mimo że wyglądała na smarkulę, nosiła żołnierski plecak i karabin i nigdy nie skarżyła się w czasie marszów. Ani razu się nie potknęła, kiedy musieli iść tyłem po śniegu, żeby zmylić ślady. Ale była kobietą, choć przypominała chłopca, a kobiety nie powinny przebywać na wzgórzu jak jakieś dzikie kotki. Mateo akceptował Elvirę, dlatego że była siostrą Czarnej Kurtki. Akceptował ją, dlatego że opowiadała mu o Tensi.

– Opowiedz mi o Tensi, Elvirito.

– O matce czy o córce?

– O obu.

– Twoja córka ma oczy bardziej niebieskie niż lazur. A Hortensia nigdy nie nazywała cię Kordowiańczykiem ani Mateem, nazywała cię Felipe.

Kiedy Mateo prosił ją, żeby opowiadała mu o Tensi, Elvira zawsze mówiła, że jego ukochana nazywała go Felipe. Lubił wspominać Hortensię, słuchając Elviry.

Tak, tolerował Elvirę, dlatego że opowiadała mu o Tensi. Dlatego że kiedy rudowłosa dziewczyna wymawiała imię jego żony, a potem jego, wzruszał się, czując, że przez chwilę byli razem. Hortensia. Felipe.

Ale była kobietą, a kobiety nie powinny żyć na wzgórzu jak zwierzęta. Czarna Kurtka nie powinien był jej zabrać i dobrze o tym wie. Dlatego zostawia ją pod opieką Matea, kiedy oddział idzie na akcję, tak jak teraz. Powiedział jej, że ma zostać na czatach, a ona mu uwierzyła. Ale swojego przyjaciela nie oszuka, powód, że niby Elvira nigdy nie brała udziału w porwaniu, nie jest wystarczający. Zawsze musi być pierwszy raz. To, że powiedział, że jest za młoda, to też żadne wyjaśnienie, w oddziale Szpaka są jego dwie córki, żadna nie ma więcej niż szesnaście lat i nigdy nie zostają pilnować obozowiska. Ale Czarna Kurtka traktuje swoją siostrę jak małą dziewczynkę, którą zostawili w porcie w Alicante, a ta dziewczyna już przestała być małą dziewczynką, kiedy wyszła przez drzwi więzienia, albo jeszcze wcześniej, kiedy przez nie weszła, kto to może wiedzieć. Jest kobietą i dlatego nie powinien był jej tu sprowadzać. Nie. Nie powinien był jej tu sprowadzać.

Pico Montero to okolone krzakami jeżyn skały, które wieńczą szczyt wzgórza. Między skałami tworzącymi zakole jest polana, którą partyzanci wykorzystali na główny obóz, a kilka metrów od jeżyn, pod mniejszą skałą, jest szczelina, która służyła im za magazyn broni, amunicji i materiałów propagandowych. Czarna Kurtka ulokował tam sztab, stamtąd wyruszył z oddziałem Szpaka, żeby porwać poborcę podatkowego z El Altollano, i tam czekali na jego powrót Elvira

z Mateem. Kiedy czekali, ona prała swoje ubrania, a on się jej przyglądał. Rudowłosa dziewczyna wykopała dół w ziemi, wyłożyła go jagnięcą skórą, po czym wypełniła wodą. Czystą wodą i niczym więcej. Mydło było zakazane, żeby nikomu nie przyszło do głowy namydlić się podczas kąpieli w rzece, bo mydliny mogły ich zdradzić. Mateo skończył właśnie zakopywać puszki po sardynkach, którymi żywili się przez cały dzień. Podeszedł do niej, żeby opowiedziała mu o Tensi. Ale widząc, z jaką energią trze spodnie, zaczął mówić o szczęściu, jakie będzie miał mężczyzna, który się z nią ożeni.

– Dlaczego?

– Dlatego że będzie zawsze czysty jak lza, słońce.

– Jeżeli myślisz, że wyjdę za mąż po to, żeby prac mężczyźni, to jesteś w błędzie. Ten, który chce chodzić w czystych ubraniach, sam musi o to zadbać. Niczego cię nie nauczyła Republika, Mateo, czasy panicyków się skończyły.

– Sama jesteś w błędzie, a ten rząd, a jakże, był rządem panicyków. Nie wiem, czego, u licha, mieliby mnie nauczyć.

– A to, że mężczyźni i kobiety są sobie równi, wreszcie do ciebie dotarło?

– Równi w czym, żeby sobie prac?

– I żeby głosować, na przykład, na coś dali nam prawo głosu.

– Ale co ma wspólnego jedno z drugim, wy, kobiety, nie potraficie dyskutować, uciekacie kominem, nawet jeśli w pobliżu nie ma żadnego paleniska. Pomyliłem się, to był rząd jaśniepań i dlatego dali wam prawo głosu. Jaśniepań posranych ze strachu.

– Jesteś osłem, Kordowiańczyku, prawdziwym osłem!

Mateo odwrócił się i odszedł, nawet nie zapytał o Hortensję. Elvira była kobietą, mimo że przypominała chłopaka, a z kobietami trudno rozmawiać, nie gubiąc się w połowie konwersacji. A już tym bardziej o polityce. Kobiety chcą wszystko wiedzieć i zatrzymują się na tym, że chcą. Za kilka minut upewni się jeszcze co do swojej teorii, kiedy Czarna Kurtka wróci z oddziałem i powie, że bracia poborcy powiedzieli, że nie zapłacą okupu. Elvira podejdzie do Matea i go zapyta:

– Co się stało?

– Nic, pozbyli się go.

– Kogo?

– Kogo? Jak to kogo, słońce? Przecież poszli porwać poborcę.

Mateo zauważy, że drżą jej wargi, kiedy będzie pytać, kto go zabił, a on odpowie, że to wszystko jedno.

– Ten czy tamten, co za różnica. Strzelili do niego ze trzy, cztery razy w głowę, tam na miejscu, i po sprawie.

Ona zapyta, kto wydał taki rozkaz. On odpowie, że takich rozkazów nie ma potrzeby wydawać.

– Takie są zasady. Jeśli nie płacą, to nie płacą.

Na nic się zda, że Mateo będzie się starał wyjaśnić Elvirze, że nie porywają ot tak, kogokolwiek.

– A może myślisz, że to był jakiś aniołek. Ten skurwysyn był skorumpowany jak nikt. W imieniu Ministerstwa Finansów upychał po kieszeniach krwawicę biednych głodnych ludzi.

Nie, na nic się zda. Elvira będzie miała przerażenie w oczach. A Mateo dojdzie do wniosku, że niemożliwe jest cokolwiek jej wytłumaczyć. Odwróci się i pójdzie do brezentowego namiotu, gdzie Czarna Kurtka i jego ludzie zebrali się w celu przygotowania kolejnej akcji. Obróci się i spojrzy za siebie, na Elvirę, podniesie ramiona, zadrze do góry głowę i wzdychając głęboko, popuka palcem w czoło. Nie, zdecydowanie, z kobietami nie da się rozmawiać

o polityce.

Noc towarzyszy dwóm mężczyznom i dwóm kobietom w marszu, kiedy w ciszy kierują się do domu, gdzie Amalia czeka na matkę. Idą w czwórkę pod osłoną zagajnika, starając się schować przed światłem księżyca. Na przodzie Czarna Kurtka, za nim Sole i Elvira, pochód zamyka Mateo. Rozrzucone po ziemi i zwisające z gałęzi pojedynczych drzew liczne kartki rzucają się w oczy ze względu na swą biel.

– Spójrzcie.

Mateo ponagla akuszerkę z Peñaranda de Bracamonte, karze jej iść naprzód i zachować milczenie. W tonie jego głosu słychać wyrzut. W czasie marszów zabronione są rozmowy, całkowicie zabronione. Jaime odwraca głowę w ich kierunku i podnosi palec wskazujący do ust. Znajdują się już niedaleko Galapagaru. Czarna Kurtka zdejmuje z ramienia karabin i przygląda się pierwszemu domowi po prawej, jakieś dziesięć metrów od spichlerza. Czeka na znak, że mogą podejść. Tak, światło mruga dwa razy. Zostaje zapalone, po czym znowu mruga. Biegna we czwórkę, jedno za drugim, i chowają się pod daszkiem spichlerza. Stamtąd Jaime udaje dźwięk sowy. Po paru chwilach odpowiada mu dudek.

Dopiero kiedy wejdą do domu, Sole pokaże im kartkę, którą ściągnęła z drzewa, i powtórzy:

– Spójrzcie.

Ale najpierw uściska córkę i sprawdzi, czy w dalszym ciągu kuleje, a Elvira zapyta o dziadka i Amalia odpowie jej, że czuje się dobrze.

– Jest w Pampelunie, w swoim domu. Miał ciężkie zapalenie płuc, ale już czuje się lepiej. Czuwa nad nim Czerwone Pogotowie.

Wtedy Jaime przeczyta, co jest napisane na kartce, na którą Sole każe mu popatrzeć, jednej z tysięcy ulotek rozrzuconych na wzgórzu przez wojsko, zapewniających o amnestii dla partyzantów, którzy dobrowolnie się poddadzą i nie mają rąk splamionych krwią, obiecujących chrześcijański pochówek pozostałym.

– W Asturii zrobili to samo w trzydziestym dziewiątym. Wielu uwierzyło w te obietnice.

Ale trwa kontrofensywa. Partyzantka z El Llano obiecała rozprościć ulotki informujące o losie tych, którzy się poddali. Cała sieć łączników zajmuje się odradzaniem tym, którzy mają jakiegokolwiek wątpliwości. Tak mówi matce Amelia, żeby ją uspokoić.

– Ludzie wiedzą, że ulotki rozrzucone na wzgórzach są pełne kłamstw. Nie przejmuj się, mamó, i chodź na kolację.

Bierze ją pod rękę i prowadzi, zapraszając całą resztę do kuchni.

– Zrobiłam fasolkę z chorizo, tak jak lubisz.

Z kotła powieszzonego nad paleniskiem bucha para. Elvira podchodzi bliżej, wdycha zapach fasolki z chorizo i grzeje ręce nad ogniem. Mateo też podchodzi, tak jakby zapach był łańcuchem, którym jest przywiązany i za który ktoś go przyciąga do stawy.

– Gorąca kolacja.

Zjedzą gorącą kolację. Nie pamiętają, kiedy ostatni raz jedli gorącą kolację.

– Mam też chleb, świeży chleb.

Na stole leży rumiany bochenek i tylko czeka, żeby go zjeść. Mateo siada pierwszy. Zawiązuje pod brodą serwetkę, gotowy do jedzenia, nie czekając na resztę. Amalia podaje mu talerz pełny po brzegi, a on macza w nim kawałki chleba. Wzdycha i oblizuje palce.

Podczas kolacji dwie towarzyszki, które przybyły rano i będą się przeprowiać z Sole i Amalią do Francji, opowiedzą partyzantom o optymizmie, którym oddycha hiszpańska lewica na zesłaniu. Narodowa Unia Hiszpańska zastanawia się nad możliwością inwazji przez Pireneje.

– Nawet katolicy, monarchiści i karliści wstąpili do Unii zgodnie z zasadą: „Wszyscy przeciwko Franco i Falandze”. Kiedy upadną Hitler i Mussolini, siły demokratyczne nie będą dłużej tolerować faszystowskiego kraju w Europie i pomogą nam pozbyć się Franco.

– I stanie się to niedługo, bardzo niedługo. Kiedy skończy się wojna, wrócimy do Republiki.

Gotowi wierzyć w odrodzenie Republiki, Jaime, Mateo i Elvira spakują naszykowane rzeczy. Plecak Elviry będzie pełen pędów uszytych w więzieniu Ventas, a Mateo i Jaime zapakują żywność, za którą sowicie zapłacą łączniczce. Tak objuczeni jeszcze tej samej nocy wrócą do obozowiska. Amalia i Sole pożegnają się ze swoimi kompanami i wkrótce wyruszą do Francji z dwiema towarzyszkami, które posłużą im za przewodniczki.

Nie wszystkie pożegnania są smutne.

To pożegnanie takie nie było. Bo Sole i Amalia wierzą, że kiedy upadnie faszyzm w Europie, wrócą. Jednocząca się na uchodźstwie lewica hiszpańska umożliwi im powrót. I znowu się spotkają.

– Jeszcze się spotkamy.

– Żegnajcie, towarzyszki.

– Żegnajcie.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia już niedługo.

– Do zobaczenia. Niech żyje Republika!

Sole podnosi zaciśniętą pięść. Pozostali też podnoszą i odpowiadają:

– Niech żyje Republika!

Ale już się nie spotkają. Sole i Amalia nie zobaczą Jaimego ani Elviry, ani Matea. Nigdy nie powrócą ze swojej podróży, w którą wyruszają z nadzieją na powrót. Nigdy nie powrócą z wygnania, na które udadzą się pieszo na drugą stronę granicy przez Pireneje. Entuzjazm każe im uwierzyć wiele razy, że powrót jest możliwy. Ale Sole i Amalia nie wrócą.

Nie.

Nigdy nie wrócą.

Nigdy.

Wielki plecak sprawia, że Elvira nie może iść szybko. Pledy, które Reme i Tomasa przesyłają z więzienia, ciążą jej. Mimo że do tej pory nie czuła zmęczenia, nogi zaczynają posuwać się coraz wolniej. Czuje, że łapie ją zadyszka, i ma metaliczny posmak krwi w ustach. Powinna się zatrzymać, wziąć głęboki wdech, który dotleniłby płuca, ale wie, że nie należy spowalniać marszu. Trzeba iść szybko, dojść do tunelu wydeptanego w jeżynach okalających Pico Montero, zanim mróz oszroni ziemię i zostawią widoczne ślady wokół obozowiska. Musi przyśpieszyć. Iść szybciej. Szybciej. Napad kaszlu wyostrza czujność Jaimego. Jeszcze nie są w bezpiecznej odległości od Galapagaru. Są jeszcze za blisko. Niebezpiecznie jest kaszleć. Jakikolwiek hałas jest niebezpieczny. Czarna Kurtka zatrzymuje się i czeka na siostrę, która idzie dziesięć metrów za nim, oddalona o kolejne dziesięć od Matea. Dalekie ujadanie psów dolatuje ich równocześnie z kolejnym atakiem kaszlu. Elvira zasłania usta rękoma i pada na ziemię.

– Kordowiańczyku, weź jej plecak.

Ujadanie psów nie milknie. Teraz dołączyły do nich kolejne.

– Szybciej.

Jaime mówi najciszej, jak to możliwe. Wyciąga z kieszeni chustkę i wkłada ją Elvirze do ust.

– Możesz oddychać?

Rudowłosa dziewczyna przytakuje.

– Kiedy przestaniesz kaszleć, możesz ją wyjąć.

Wstając z ziemi, Elvira znowu przytakuje. Jej brat pochyla głowę, nasłuchuje ujadania, które nie milknie. Pokazuje jamę w skale i nakazuje Elvirze i Mateowi, żeby szli za nim. Idąc, rozrzuca za każdym krokiem paprykę, którą ma w torbie, żeby zmylić węch psów. A one w dalszym ciągu szczekają. Bardzo możliwe, że zostaną puszczone ich tropem. Wtedy zatrzyma je papryka. Skuleni we troje, oparci plecami o skalistą ścianę, czekają, aż nastanie cisza, a kaszel Elviry dławi chustka. Parę minut później psy zaczną się uspokajać. Kiedy szczekanie ucichnie zupełnie, ruszą dalej. Jaime pocałuje siostrę w czoło, zanim da rozkaz do wznowienia marszu. A ona będzie starała się uśmiechnąć, przygryzając knebel zębami.

Bez ciężkiego plecaka Elvira dotrzyma kroku towarzyszom, ale nie ośmieli się wyciągnąć z ust chustki, dopóki nie znajdą się w obozowisku na Pico Montero.

– Przepraszam.

Przepraszam, powie Elvira do Czarnej Kurtki i doda, że przeprasza, że sama nie włożyła chustki do ust. Zapomniała o zasadzie: w czasie marszu najzwyklejsze kichnięcie może sprowadzić śmierć. Wiedziała o tym. Ale zapomniała. Odgłos kaszlu można zdusić chusteczką. To się nigdy więcej nie powtórzy, obieca. A on pocałuje ją raz jeszcze w czoło.

– Jesteś rozpalona, dziecinko.

Tak, jest rozpalona.

Jaime rozkazuje Mateowi, żeby zmienił stojące na czatach córki Szpaka, zdziwiony, że tylko one trzymają straż nad obozowiskiem.

– Gdzie reszta?

– Poszli do El Altollano.

Córki Szpaka idą krok za Jaimem, który prowadzi siostrę za rękę do brezentowego namiotu. Pomaga Elvirze położyć się na posłaniu z suchych liści i przykrywa ją dwoma pledami,

które wyjmuję z plecaka, a jednocześnie przepytuje dziewczyny:

- Po co poszli do El Altollano?
- Spędzić tam noc.
- Nie powiedzieli wam, po co idą?
- Powiedzieli nam tylko, że spędzą tam noc i że my nie możemy z nimi iść.

Rano, kiedy wróci oddział, Czarna Kurtka zbierze mężczyzn na naradę. Przed namiotem Szpak będzie się bronił przed zarzutem złamania rozkazu, podnosząc głos. A jego córki opuszczą wzrok, słysząc słowa, które docierają do ich uszu przez brezent.

- Naraziłeś cały obóz na niebezpieczeństwo, żeby iść na dziwki?

Gorączka Elviry nie pozwoli jej otworzyć oczu. Córki Szpaka będą myślały, że śpi. Ale nie śpi.

- To zaufany burdel.
- Naraziłeś swoich ludzi, wszystkich nas naraziłeś na niebezpieczeństwo.
- Musieliśmy rozładować napięcie.
- Następnym razem rozładujcie je ręką.
- To nie to samo i mamy już dość dotykania fujary.
- Nie bądź taki zabawny.
- Wcale nie jestem zabawny, ale mówię ci, że od czasu do czasu trzeba się zabawić, a nie ma zabawy bez pańienek.

– Daj sobie spokój z zabawą, pozostawienie obozowiska bez straży to ciężkie przewinienie.

- Ale przecież były dziewczyny.
- Posłuchaj mnie uważnie, Szpaku, bo nie chcę tego powtarzać, za przewinienia takie jak to grozi kara śmierci.

Elvira stara się otworzyć oczy. Ale powieki są za ciężkie. Rozpalone. Trzęsie się. Ostatnie słowa brata sprawiają, że trzęsie się jeszcze bardziej. Grozi kara śmierci. Szuka schronienia, zagrzebując się w pledach. Chowa głowę. Kolacja podchodzi jej do gardła. Jest jej gorąco. Zaraz zacznie kaszleć. Teraz może kaszleć. Tak. Zimno jej. Grozi kara śmierci. Dusi się. Odkrywa głowę. Teraz może kaszleć. Śmierć. Siada na posłaniu. Grozi za nie kara śmierci. Zwraca fasonkę z chorizo przy pierwszym kaszlnięciu. Ktoś przykładą jej zimną rękę do czoła. A ona czuje dłoń Tomasy. Inne ręce pomagają jej się na powrót położyć, ścierają resztki wymiocin z jej brody i wilgotną czystą szmatką przecierają spocone czoło. Zimny okład na czoło. Tomasa. To Tomasa robi jej zimne okłady na czoło. Reme się uśmiecha. A Hortensia pisze w niebieskim zeszytce. Reme zaraz coś zaśpiewa. Elvira nie stara się już otworzyć oczu. Teraz pozwala sobie śnić na jawie, śni. Córki Szpaka ją pielęgnują. Ma spękane usta.

- Pić mi się chce.

Jedna dłoń pomaga jej podnieść głowę i ją podtrzymuje, druga przystawia blaszankę do ust.

Trzęsie się.

- Reme, jak ty fałszujesz.

Zimno jej. Ciężarówka zabiera Trzynaście Róż, a Julita Conesa nie przestaje śpiewać. Joaquina rozmontowuje swój pasek na pojedyncze ogniwa. Joaquina ma proste czarne włosy i piękne oczy. Grozi za nie kara śmierci. Hortensia trzyma w ręku trzynaście róż. Reme nie przestaje śpiewać. Hortensia trzyma w ręku trzynaście ususzonych róż. A ona obraca w palcach czarną główkę od paska.

- Przytul mnie.

Zimno jej.

– Reme!

Reme, krzyczy.

Zimno jej od środka.

Otwiera oczy i znowu je zamyka. I pozwala prowadzić się głosowi, który obiecuje, że ją przytuli. Głos z bardzo daleka, z samego środka:

– Chodź do mnie, córeńko.

Rozpacz jest sposobem zanegowania prawdy, jeśli pogodzenie się z nią wiąże się z zaakceptowaniem niewyobrażalnego bólu. A ciało sprzeciwia się temu, buntuje się. Czarna rozpacz. I Tomasa rozpada się na kawałeczki od środka i na zewnątrz, siedząc w rogu celi. Siedząc na krzeselku, Tomasa rozpada się. Dlatego że Reme odeszła.

Tak.

Reme odeszła. I Tomasa rozpamiętuje swoje nieszczęście, kręcąc głową na prawo i lewo. Drapie się po twarzy. Dusi w sobie krzyk. Zagryza wargi. Patrzy przed siebie. Mur. Patrzy na podłogę. Z całej siły odrzuca głowę do tyłu. Mur. Nie czuje bólu. Zagryza wargi i kręci głową. Drapie się po ramionach. Jej współtowarzyszki śpią. Reme odeszła.

– Co ci się stało?

To Josefina, Asturianka, która płakała w święto Matki Boskiej Miłosierdzia.

– Co ci się stało?

Obudził ją hałas, kiedy Tomasa uderzyła głową w mur. Podchodzi do niej i łapie ją za ręce.

– Krwawisz.

Rozpacz buntuje się wobec możliwości pocieszenia.

– Zostaw mnie.

Josefina będzie nalegać:

– Co ci się stało?

Rogiem fartucha zetrze krew z jej twarzy.

– Nic mi nie jest, do licha.

Tej nocy i podczas wielu kolejnych Asturianka nie pozwoli, żeby Tomasa paznokciami pokiereszowała sobie twarz i ramiona. Będzie się starała wydobyć ją z Nic mi nie jest, do licha. Ale nie uda jej się. Dlatego że Reme odeszła. Uzyskała zwolnienie warunkowe. Tomasa jej już nie zobaczy. Odeszła. I Tomasa wspomina w samotności Reme.

– Włóż ten czerwony sweter, ja włożę fioletowy, a donosicielce pożyczymy żółty. I we trzy wyjdziemy na patio.

To był czternasty kwietnia i Reme chciała uczcić dzień ogłoszenia Republiki, przebierając się za flagę.

– Wrobimy donosicielkę.

– Tak.

I ją wrobiły. Donosicielka w desperacji drapała się po rękach i nogach. Reme zaproponowała, że wysmaruje ją sarnicałem.

– Masz po prostu świerzb. Chodź, wysmaruję cię.

– Śmierdzi.

– No, dajże spokój, dziewczyno, nigdy nie widziałaś reklamy? Sarnical, środek na świerzb o miłym zapachu. I włóż ten czysty sweter, dopóki nie wypierzesz swojego.

Pozwoliła się wysmarować środkiem o przyjemnym zapachu. Włożyła czysty sweter. Wyszła na dziedziniec pod rękę z Reme i Tomasą, zdziwiona tym nagłym przypiływem ich uczuć. Szła ubrana na żółto między Tomasą a Reme, między czerwonym swetrem jednej a fioletowym drugiej. I chodziły tak we trzy, obnosząc kolory republikańskiej flagi.

– I pociągnęłyśmy ją ostro za język.

A donosicielka opowiedziała im, co wiedziała o Sole. Jest we Francji, tak im powiedziała.

– Ona i córka. Akuszerka jest podobno szczyłą wśród komunistów. A córka, którą przetrącili, robi za przynieś, wynieś, pozamiataj.

Pociągnęły ją za język, a donosicielka opowiedziała im, że tak matka, jak i córka organizowały pomoc w ucieczce z obozów koncentracyjnych hiszpańskich zesłańców, którzy wpadli w ręce Pétaina.

– A Elvirita?

– O niej nie mają żadnych wiadomości.

Tomasz wygładziła sukienkę, którą miała na sobie. Uśmiechnęła się. I nie przestawała się uśmiechać, słuchając, jak donosicielka opowiadała im o wstrętnej Bucior, mimo że nawet o nią nie zapytały.

– Siostrę Marię od Serafinów jasny szlag trafił, kiedy dowiedziała się, że w Falandze nic nie wiedzieli o dwóch więźniarkach z Ventas.

Donosicielka była akurat w dyrekcji, kiedy Trutka poprosiła Mercedes, żeby przyprowadziła Bucior.

– To było w Zaduszki, kazała mi wyjść, kiedy przyszła Bucior, ale świetnie słyszałam, jak jej powiedziała, że jeśli więźniarki nie znajdą się do rana, wysyła ją do Malagi. Powiedziała to, krzyżąc. Że nie chce jej na oczy widzieć, jeśli więźniarki się nie znajdą. Mówią, że więzienie w Maladze jest jeszcze gorsze od naszego.

– Gorsze?

– Zawsze może być gorzej.

Więźniarki się nie znalazły. A Bucior przeniesiono do więzienia prowincjonalnego w Maladze. Dojdą ich słuchy, że w funkcjonariuszce jeszcze bardziej wezbrała wściekłość i że więźniarki z Malagi nazywają ją Mogiłą. Inne poinformują, że w Maladze jest znana jako Drakula.

– Swędzi cię?

– Mniej.

– Widzisz?

Donosicielka drapie się po rękach pod żółtym swetrem. Reme uśmiecha się do Tomasy. A Tomasa drapie się po nogach. Bo Reme odeszła.

– Zostawiam ci moje krzeselko.

– W żadnym wypadku, podarował ci je mąż.

– A ja dam je tobie.

– Dobrze, popilnuję je dla ciebie. A ty zabierz walizkę Elvirity i oddaj ją dziewczynie, to pamiątka po matce. I przekaz jej ode mnie, że chodzę w jej sukience.

Reme odeszła. Zabrała walizkę Elviry i ostatni uśmiech Tomasy.

Poszła sobie i możliwe, że Tomasa już jej nie zobaczy. Tak jak odeszła Sole, drobna i energiczna akuszerka, która dawała jej piure przez sondę, jak Elvira i Hortensia; rudowłosa dziewczyna, która poszła bez swojej walizki, i kobieta, która siadywała na wiklinowym krzeselku Reme. Wszystkie sobie poszły. I Tomasa czuje się znowu taka samotna jak w Olivenzie, kiedy nie mogła opłakiwać swoich bliskich i słuchała szlochu kobiety, która straciła dwójkę dzieci w Castuerze. Ale teraz może płakać. I płacze. Obejmuje kolana i popada w rozpacz, wspominając swoje współtowarzyszki. I opłakuje swoich zmarłych. Męża. Synową. Wnuczkę. Już ich nie zobaczy. Swoje dzieci. Swoje dzieci, nie zobaczy już nigdy swoich dzieci.

Kiedy rozpacz zamieni się w smutek, kiedy Tomasa będzie w stanie przeżyć ból, zatraci się w ramionach Josefiny.

– Czy morze jest piękne?

- Tak, bardzo piękne.
- Tak mówią ci, którzy je widzieli. Chciałabym, żeby to była prawda, żeby było bardzo piękne.
- Dlaczego?
- Dlatego że moje dzieci leżą na dnie morza.

Krok za krokiem. Powoli. Musi iść powoli pod rękę z Benjaminem, wpatrując się w ziemię, żeby nie stracić równowagi, bo dystans, który Reme ma do pokonania, żeby dojść na ulicę Hermosilla, paraliżuje ją. Sześć lat bez chodzenia po ulicy. Sześć lat bez oglądania innego widoku niż mur pod samo niebo po kilku zaledwie krokach. Sześć lat bez chodzenia pod rękę z Benjaminem. Muzyka myli Reme kroki. Wybija ją z rytmu. Katarzyniarka kręci korbą, a Benjamín stawia na ziemi walizkę, którą niesie, i podtrzymuje żonę, żeby nie upadła, obejmuje ją w talii, jakby mieli zatańczyć.

– Biedny Benjamín.

– Dlaczego zawsze nazywasz mnie biednym Benjaminem? To ty musisz nauczyć się z powrotem chodzić.

– Bo jesteś bardzo dobry.

– Bardzo dobry, bardzo dobry, daj spokój.

– Jesteśmy już blisko?

Tak, byli blisko. Pozostało jedynie kilka metrów do domu, małego mieszkania, które Benjamín wynajął, kiedy z miasteczka w Murcji przeprowadził się z rodziną do Madrytu. Bardzo blisko. Trzy córki jeszcze niezamężne i synek, który urodził im się późno i nie całkiem zdrowy, idą za nimi. Cała czwórka uśmiecha się, patrząc na mamę. Uśmiechają się, od kiedy zobaczyli, jak wychodzi przez drzwi więzienia, trzymając w jednej dłoni walizkę, a drugą zasłaniając się od słońca. Podbiegli do niej. Przytulili się. Zaczęli ją obcałowywać. A ona nie mogła przestać płakać.

– Dzieci moje!

Benjamín ostatni wziął ją w ramiona. Reme wtuliła się w niego i wyszeptwała:

– Biedny Benjamín!

W salonie wynajętego mieszkania Reme zobaczyła okrągły stół, sześć krzeseł i mały kredens, to było całe umeblowanie.

– Podoba ci się?

Nie wypuszczając ręki męża, Reme odpowiedziała, patrząc na córki:

– Bardzo pięknie, i jak tu czysto, jak posprzątane.

– Musieliśmy sprzedać twoje meble.

– Nie szkodzi.

– Ale popatrz.

Benjamín otworzył drzwi ostatniego pokoju.

– Popatrz.

Sypialnia.

– Łóżko, dwie szafki nocne, komoda i szafa.

Reme usiadła na łóżku i zaczęła gładzić narzutę, którą na szydełku zrobiła jej matka.

– I moja narzuta.

Tej nocy w sypialni Reme i Benjamin odnalazły się dwa ciała. Reme po raz pierwszy od sześciu lat mogła wziąć gorącą kąpiel.

– Kochanie.

– Kochanie.

I po raz pierwszy słowa Reme i Benjamin zaczęły mówić o miłości. Czulość wzięła górę

nad nieśmiałością, którą dotychczas odczuwali. Zapomnieli o ostrożności, o strachu przed wypowiedaniem swoich imion, jęcząc z rozkoszy.

– Benjaminie.

– Reme, moja Reme.

Zdjął z niej koszulę, po raz pierwszy.

Świeżo wykąpana skóra Reme otrzymała pocałunki Benjaminina. Ona muskała całe ciało męża po raz pierwszy od dwudziestu siedmiu lat małżeństwa, zdziwiona swoim odkryciem, i chowała twarz w pachę Benjaminina.

– Jak ładnie pachniesz, kochanie.

– Nie przestawaj mnie dotykać.

– Tak?

– Tak.

Żar, ogień. Taka była ich miłość.

– Benjaminie?

– Tak?

– Śpisz?

– Nie.

– Dzisiaj będę spała w łóżku.

– Hmm...

– Śpisz.

– Nie, nie śpię.

– Będę spała na materacu wyściełanym wełną. W łóżku. W moim łóżku i na mojej poduszce.

Benjamin pogłaskał ją po policzku.

– Ze mną.

– Tak, z tobą.

– No to dobrze, śpijmy już, nie chce ci się spać?

Nie, Reme nie chciało się spać. Zwinięta w kłębek, oparta o ramię Benjaminina, wpatrywała się w pokój, starając się przekonać samą siebie, że naprawdę tu jest. Gdyby mogła ją teraz zobaczyć Tomasa. Gdyby Tomasa mogła ją zobaczyć. Chociaż może lepiej nie, lepiej, że jej nie widzi. Biedna Tomasa.

– Benjaminie.

– Co?

– Podarowałam krzeselko, które od ciebie dostałam, poznanej tam przyjaciółce.

– Dobrze zrobiłaś.

Tomasa jest dobra. Tomasa nie ma w sobie zawiści, sprawia wrażenie twardej, żeby nikt nie zobaczył, jaka jest dobra. Tomasa chciała jej podarować czarną główkę od paska Joaquinie. Jest dobra i szczodra. Pójdzie po nią, kiedy ją wypuszczą. Dlatego że ona nie ma nikogo, kto by na nią czekał. I nie ma nikogo, kto by jej wysyłał paczki. Wyśle jej coś. Tak. I będzie pisała do niej listy, bo ona nie ma nikogo, kto by do niej pisał, i nie ma nic smutniejszego niż widzieć, jak chowa się w kącie, kiedy wręczają korespondencję. Chowa się, Reme widziała wiele razy, jak się chowa. I wie, że robi tak dlatego, żeby nie widzieć twarzy tych, które wyciągają ręce po koperty, i żeby nikt nie widział, że do niej nic nie napisali i nigdy nie napiszą. Będzie miała niespodziankę. Napisze do niej i przekaże jej wiadomości o córce Hortensii. I o Elviricie. I o Sole. Odnajdzie córkę Hortensii i rudowłosą dziewczynę, która podarowała Tomasie sukienkę swojej mamy. Kochana siostrze, tak zacznij list. Kochana siostrze, żeby wręczyli jej list, podszycie się pod jej siostrę. Mam nadzieję, że czujesz się dobrze, tak, właśnie tak, jej siostrze, dlatego że

musi to być ktoś z najbliższej rodziny.

Reme zaśnie, myśląc o Tomasie, szukając słów, które napisze do niej w pierwszym liście. Musi znaleźć sposób, żeby napisać o ich współtowarzyszkach, ale tak, żeby funkcjonariuszka zajmująca się korespondencją i cenzurą nie zorientowała się. Elvirite nazwie dziewczyną z walizką, Hortensia będzie matką dziewczynki o niemożliwie niebieskich oczach, która nie chciała się urodzić. A Sole, nie wie, jak nazwać Sole. Otwarte drzwi klatki. Otwarta klatka.

Tak, Sole będzie otwartą klatką.

Kochana siostrze, mam nadzieję, że czujesz się dobrze. Tomasa stoi na środku dziedzińca, trzymając kopertę w dłoni. Kiedy zobaczyła, że roznoszą korespondencję, pobiegła się schować, tak jak zawsze, ale kiedy usłyszała swoje imię, rzuciła się z powrotem na środek dziedzińca, wyciągając rękę i nie odrywając wzroku od zaadresowanej do niej koperty. Kochana siostrze, przeczytała. Rozpoznała Reme po tym, co jej opowiadała. Rozpoznała Hortensję w matce dziewczynki, która nie chciała się urodzić. Rozpoznała Sole w otwartych drzwiach klatki i domyśliła się, że w dalszym ciągu jest we Francji, chociaż słowo Francja zostało wykreślone. Przeczytała: Kochana siostrze, i zaczęła chodzić z jednego końca do drugiego, żeby wszyscy mogli zobaczyć, że dostała list. Zobacz, napisała do mnie moja siostra, powiedziała kobiecie, która płakała w święto Matki Boskiej Miłosierdzia, Josefinie. Zobacz, napisała do mnie moja siostra, pokazała list donosicielce.

- Nie wiedziałam, że masz siostrę.
- Bo to nie twoja sprawa.
- Dlaczego nie napisała do ciebie wcześniej?
- A co cię to, do licha, obchodzi!

Tomasa nie powie nikomu, że jej siostrą jest nikt inny tylko Reme. Nie powie. Złożyła list na pół, wsunęła go do koperty i patrząc spod oka na donosicielkę, która drapała się z furią po ramionach, odsunęła się od niej.

Od kiedy Reme odeszła, od kiedy poszły sobie po kolei jej przyjaciółki ze starej rodziny, Tomasa zawsze spaceruje sama po dziedzińcu. Nie lubi towarzyszek ze swojej nowej rodziny. Nie śmieją jej ich żarty, nie podobają jej się ich uśmieszki. Nie zawiązała przyjaźni z żadną, nawet z Josefiną, która stara się być dla niej bardzo miła. Tylko Josefina się stara. Reszta patrzy na nią krzywo, zwłaszcza kiedy rozdzielają jedzenie z paczek żywnościowych i liczą ją raz i drugi, zanim wydzielą jej porcję, a Tomasa je, wpatrując się w podłogę.

Z kopertą w dłoni przebiegnie dziedzińcem z prawej strony do lewej. Popatrz, popatrz, napisała do mnie moja siostra, powtarzała więźniarkom, z którymi mijała się po drodze. I usiadła na ławce, gdzie już tak dawno temu opalała się przez dziesięć minut, kiedy Sole karmiła ją sondą przez dziurkę od klucza karceru. Sole, towarzyszka akuszerka z Peñaranda de Bracamonte, otwarte drzwi klatki. Tomasa przyłożyła kopertę do piersi i poszukała wzrokiem okna prawego skrzydła bloku numer dwa. Stamtąd patrzyły na nią Reme, Hortensja i Elvira. Ile czasu minęło od tamtej pory. Ile czasu. Wyobraziła sobie trzy głowy przyklejone do szyby. Ile czasu. Siedząc na ławce, wpatruje się w okno. Ale nie jest smutna. Wymówiła trzy imiona szeptem, pozwalając sobie powspominać. Hortensja. Elvira. Reme. Dlatego że nostalgia ma dzisiaj trzy imiona. Hortensja, kobieta, która zginęła, zanim Tomasa zdążyła się z nią pożegnać. Elvira, rudowłosa dziewczyna, która odeszła bez swojej walizki. I Reme. Kochana siostrze.

Tomasa przestanie odczuwać samotność, kiedy dokładnie co piętnaście dni otrzyma list od Reme i usiądzie na ławce, i będzie wpatrywać się w okno; i kiedy będzie dzielić się ze swoją rodziną paczkami, które przysyła jej Reme.

- Czym zajmuje się twoja siostra, Tomaso?
 - Jest krawcową. A co?
 - Bo wydaje się bogata, sądząc po paczkach, które ci przysyła.
- To donosicielka, zazdrosna o paczki i listy, które dostaje Tomasa.

- Nie jest bogata, ale ma dobre serce i bardzo mnie kocha.
- I to serce urosło jej tak nagle czy miała je do tej pory dobrze ukryte?
- Zajmij się swoimi sprawami, do licha, nie grasz tutaj pierwszych skrzypiec.

Korespondencja i paczki od Reme zamienia się w chlubę Tomasy. Podniesie spojrzenie, jedząc. A na spotkaniach partii będzie się starała przekazać informacje, które dostarcza jej Reme. Kochana siostrzo, dziewczyna z walizką znowu zachorowała. Pamiętasz, jak śpiewała naszą piosenkę? Tak samo źle było i tym razem. Ale czuje się już lepiej. Nie mogłam pójść się z nią zobaczyć, bo jest ze swoim bratem, ale wiem przez znajomych, że czuje się lepiej i znowu śpiewa, żebyśmy pewnego dnia mogły zaśpiewać wszystkie razem. Tak Tomasa dowiedziała się o tym, że Elvira razem z Czarną Kurtką są na wzgórzu Cerro Umbría. Tak dowiedziała się, że rudowłosa dziewczyna była bliska śmierci po raz drugi.

- Elvirita zaciągnęła się do partyzantki.
- I tak popisze się przed towarzyszkami.
- Z Czarną Kurtką.

Ale to dzięki komentarzom towarzyszek Tomasa zrozumie dokładnie to, co połowicznie stara się jej przekazać Reme w listach.

– Tak, dziewczyna ma jaja jak braciszek, organizuje oddziały, żeby poprzeć od środka inwazję, którą przygotowują we Francji.

– Na kiedy?

– Kiedy wejdą alianci. Czyli wtedy, kiedy upadnie Hitler, możemy już szykować walizki, wyrzucą liliputa.

Tomasa będzie relacjonować drobne historie i wiadomości.

– Moja siostra napisała, że Reme też pracuje dla sprawy.

Kochana siostrzo, mam nadzieję, że czujesz się dobrze, ja pracuję w organizacji niosącej pomoc rodzinom poległych w walce za ojczyznę na drugim brzegu.

– Tak, w Czerwonym Pogotowiu.

To dzięki swoim towarzyszkom Tomasa dowie się, że Reme wstąpiła do partii dzień po wyjściu na wolność i że tworzy grupę pomocy dla rodzin więźniów, takich jak jej córki, i że szybko stanęła na czele komórki, która spotyka się w Casa de Campo, udając, że organizują piknik pod drzewami. Miejsce to nazwały Puerta Chiquita. W ten sposób dowie się, że Reme została zatrzymana.

– Reme wpadła. Zabrała ją służba bezpieczeństwa.

W ten sposób dowie się, że wypuścili ją na wolność, nie przedstawiając jej żadnych zarzutów, po dziesięciu dniach.

– Wypuścili Reme. Nie udało im się nic z niej wydobyć i ją puścili.

A dzięki zaszyfrowanym informacjom, które Reme jej przekaże, starając się nie dopuścić, żeby cenzura cokolwiek odkryła, Tomasa dowie się, że jej Kochana siostra nie ustaje w walce i czuje się dobrze. Byłam na wakacjach, przez dziesięć dni obżarłam się grochu, ale już udało mi się go strawić. Nienawidzę grochu. Pracuję tu, gdzie wcześniej, w naszej sprawie.

Co piętnaście dni Tomasa będzie dostawać list od Reme i będzie się cieszyć, że ma siostrę, która ciężko pracuje nad tym, żeby groch szybko się skończył. I usiądzie samotnie na ławce naprzeciwko okna, żeby przeczytać raz i drugi słowa Reme, która kończy list, obiecując, że gdy Tomasa wyjdzie na wolność, będzie na nią czekać przed bramą więzienia.

I tak się stanie.

Reme będzie musiała czekać wiele lat, żeby spełnić daną obietnicę.

Ale jej dotrzyma.

Jaime Alcántara wykonał swoje zadania na czas. Zorganizował w małe oddziały uciekinierów, którzy kręcili się rozproszeni po wzgórzach, i podzielił na sektory tych, którzy byli wprawdzie zorganizowani, ale działali w zbyt licznych grupach. Na wzgórzu Cerro Umbría zawiązał Zgrupowanie Partyzanckie, które zostało powołane w trakcie zebrania w młynie Antona w nocy pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, a w którym wzięli udział dowódcy wszystkich oddziałów. Zredagowali postanowienia, podzielili między dopiero co utworzone oddziały tereny działania i po uporaniu się z wątpliwościami niektórych walczących towarzyszy, które wywołały najróżniejsze spory między anarchistami, socjalistami i komunistami, Jaime, Mateo i Szpak podpisali akt założycielski:

Akt powołania Zgrupowania Partyzanckiego na wzgórzu Cerro Umbría

Dzisiaj, 1 kwietnia 1943 roku, wszyscy zebrani w tym miejscu partyzanci należący do tego oddziału uchwalamy, co następuje:

1. Powołanie, dzięki naszym siłom zorganizowanym i militarnie przysposobionym, Zgrupowania Partyzanckiego na wzgórzu Cerro Umbría.

2. Całkowite podporządkowanie się polityce Narodowej Unii Hiszpańskiej i zorganizowanie się w grupę zbrojną na terytorium, które zajmujemy, pod kierownictwem strategicznym Rady Najwyższej Narodowej Unii Hiszpańskiej, która jako narodowy organ odpowiada przed ludem hiszpańskim za walkę z frankizmem w obronie ojczyzny.

Podpisano: Czarna Kurtka. Kordowiańczyk. Szpak.

Zgrupowanie składało się z sześćdziesięciu dwóch osób. Jedną z nich była Elvira.

– Jak się czujesz, dziecinko?

– Dobrze, czuję się dobrze, nie kaszlę już, nawet gdy biegam.

– Wybrałaś sobie jakieś imię?

– Podoba mi się Celia, tak jak babcia i jak Celia Gámez.

– W takim razie Celia.

– Podoba ci się?

Tak, Jaimemu się podoba. Głaszcze Elvirę po krótkiej czuprynie i uśmiecha się do niej.

– Już niedługo będziesz mogła związać je w kucyk i pomachać nim tak, jak lubię, Celio.

Na zebraniu założycielskim Zgrupowania wszystkim partyzantom postawiono wymóg przybrania fałszywych imion, żeby, jeśli zostaną pojmani żywcem, nie mogli zdradzić swoich towarzyszy, nie wiedząc, jak naprawdę się nazywają. Elvira wzięła sobie do serca ten punkt kodeksu, który zredagowali jeszcze tej samej nocy, uważała, że ważne jest dbać o bezpieczeństwo innych. Ale nie zgadzała się z innym punktem, na który wszyscy przystali, nie zastanawiając się dwa razy, i zaakceptowali jako swój obowiązek, i nie wiedziała, jak powiedzieć bratu, że nie jest w stanie go wypełnić.

– Kucyk bardzo długi, jaki mi się podoba, dziecinko.

– Jasne, a ty rozwiążesz mi kokardę, tak jak wtedy.

– Kiedy?

– Kiedy powiedziałaś mamie, że się zaciągnęłaś, pamiętasz?

– Tak, tak, pamiętam. Byłaś wtedy taka malutka. Mała rozpieszczona dziewczynka, która nie miała pojęcia, że pewnego dnia będzie się nazywać Celia.

– W dalszym ciągu jestem rozpieszczona.

– W takim razie chodź tutaj, to cię popieszczę.

Jaime podszedł do niej i zaczął ją laskotać. Ich śmiech słychać było na zewnątrz młyna Antona, aż Celia wyrwała się bratu i pobiegła w stronę Matea. Jaime patrzył, jak biegnie. Jej rude włosy rozwiewał podmuch wiatru. Nie wiedząc dlaczego, pomyślał o dziadku. Pomyślał o ich spotkaniu przed wejściem do więzienia Ventas. Przypomniał sobie wyraz jego twarzy i smutek w głosie. Elvirita jest w środku. W środku, synku, Elvirita jest w środku. Chciałby, żeby dziadek mógł ją teraz zobaczyć, jak biegnie cała w skowronkach. Chciałby, żeby dziadek mógł ją zobaczyć wolną. Wolność. Pomyślał o lewym rogu rozmównicy w Ventas. O dziadku przyklejonym do metalowej siatki. O swojej siostrze przyklejonej do siatki po drugiej stronie. Chciałby, żeby dziadek zobaczył ją tej nocy, jak biegnie, jak biegnie na wolności. Wolność. Jego siostra biegnie, on patrzy na nią, jak biegnie, uśmiecha się i odwraca w drugą stronę. Wolność, mówi po cichu. Wolność, jakie dziwne są słowa, których nie można wypowiedzieć tak normalnie. I jakie to dziwne nazywać wolnością bieg w środku nocy pod gołym niebem, wzgórze, mróz i upał, knebel w ustach, karabin w dłoni.

– Mateo, Mateo.

– Co ci jest, słońce?

– Czarna Kurtka chce, żebym umarła ze śmiechu.

– Lepiej umrzeć na to, prawda?

Mateo czyści lufę swojego *naranjero* brudną szmatą. Przestał pocierać broń i przyłożył oko do celownika. Elvira chciała mu powiedzieć, że nazywa się Celia. Ale poczuła niepohamowaną panikę, widząc karabin, i zadała mu pytanie, którego wcześniej nie odważyła się zadać bratu:

– Mateo, byłbyś w stanie użyć go przeciwko sobie?

– Nie wiem.

I powiedział, że nie wie, bo wstydził się przyznać, że miał już okazję wypróbować, że nie byłby w stanie tego zrobić, i poprosił Czarną Kurtkę, żeby zrobił to za niego.

– Zapnij dobrze ten guzik, maleńka.

Elvira zapięła guzik koszuli, który się rozpiął.

– Ale widziałam, jak przysięgałeś, że to zrobisz. Przysięgłeś, że to zrobisz.

Mateo w dalszym ciągu czyścił karabin.

– Przysięgłem, bo wierzę, że należy to zrobić. Poza tym jeśli złapią cię żywą, wolałabyś być martwa. Uwierz mi.

– Teraz nazywam się...

Zanim skończyła mówić, że nazywa się Celia, znikąd pojawił się Szpak i przysiadł do nich.

– Kiedy ruszamy?

Mateo spojrział w niebo, zmrużył oczy i odpowiedział:

– Godzinę temu wyruszyła pierwsza grupa. Uspokój się, zaraz będzie nasza kolej.

– Nie wiem, dlaczego, do kurwy nędzy, musimy być ostatni?

– Nigdy nic nie wiesz i nie ma żadnej pieprzonej potrzeby, żebyś cokolwiek wiedział.

Masz wypełniać rozkazy, i tyle.

– Rozkazy i rozkazy, to jedyne, co umie robić brat tej tutaj. Wolałbym działać w pojedynkę.

– Jesteś jak socjaliści, kurwa, którzy tylko potrafią krytykować wszystko, co robimy. A ta tutaj nazywa się Elvira, ta tutaj mówi się o bydle.

– Nazywam się Celia. A to, co robi mój brat, nazywa się skutecznym działaniem w organizacji militarnej, może wreszcie to do ciebie dotrze, Szpaku. I przywyknij, że nie działasz

już w pojedynkę.

Powiedziała to tonem nieznoszącym sprzeciwu. Nazywała się Celia i nie pozwoli nikomu nazywać się ta tutaj ani żeby mężczyźni nie dawali jej dojść do głosu w dyskusji.

– Celia, bardzo ładnie.

– Nie traktuj mnie jak dziewczynki, Szpaku, widziałam, do czego doszło tam w środku między niektórymi dowódcami oddziałów. I teraz widzę, że udało im się ciebie zniechęcić, tym, którzy oskarżają komunistów o to, że chcą przejąć władzę w Unii, organizując partyzantkę. Może zostawilibyście rywalizację dla wroga, a brak zaufania dla zdrajców, wystarczy konfliktów między nami.

– Tak się mówi, Elvirito.

– Celia. Powiedziałaś, że nazywam się Celia.

– Celia, tak, cholera jasna, pomyliłem się, kurwa, szlag.

Gdy Szpak przeklinał, Mateo uderzył się w czoło, patrząc na Celię z dumą. Po czym powtórzył nowe imię Elviry, Celia.

– Celia.

I powtórzył je, uśmiechając się:

– Celia.

Celia odeszła od nich, tłumiąc lekki atak kaszlu. Szpak patrzył za nią, jak odchodzi.

– Ładna panna z niej rośnie. A jak gada!

– Przestań tak na nią patrzeć, Szpaku.

– Co cię ugryzło?

– Nic, i ciebie też nic, dlatego przestań na nią patrzeć w ten sposób. Wiesz, o czym mówię.

– Stary, powiedziałem tylko, że ładna z niej panna. Nawet gdybyś był jej ojcem...

– Wyobraź sobie, że nim jestem, i zamilknij.

Stojąc w drzwiach młyna, Czarna Kurtka dał im znak. Czas w drogę. Dwaj mężczyźni podnieśli się jednocześnie. Szpak popatrzył na Jaimego, a potem na Matea.

– Nie miałem zamiaru nikogo obrazić. Niech ci nie przyjdzie do głowy rozpowiadać na prawo i lewo, że ją obraziłem.

Mateo nie odpowiedział. Podszedł razem ze Szpakiem do młyna i kiedy Czarna Kurtka dał rozkaz do rozpoczęcia marszu, wziął go na stronę.

– Jeżeli jeszcze raz zobaczę, że patrzysz na Celię łakomym okiem, zabiję cię.

Podczas powrotu do obozowiska na Pico Montero Szpak szedł za Mateo ze spojrzeniem wbitym w ziemię. Mateo szedł dziesięć kroków za Celią, ochraniając jej plecy przed spojrzeniami Szpaka i patrząc w niebo. Noc bezksiężycowa, noc gwiazdzista. Lubił takie noce, kiedy niebo wygląda jak namalowane, a rozświetla je tysiące gwiazd, świecących punkcików. Lubił je. I w gwiazdziste noce, takie jak ta, lubił przede wszystkim szukać gwiazdy Tensi. I teraz też jej szukał. Gwiazdy Tensi. Popatrz, najmniejsza ze wszystkich, tamta, najmniejsza ze wszystkich, daję ci ją w prezencie, powiedziała mu, kiedy podarował jej kolczyki, które kupił w Azuadze.

– A można wiedzieć, dlaczego dajesz mi najmniejszą?

– Głupiek z ciebie. Żebyśmy musieli być zawsze bardzo blisko siebie.

– Lepiej chodź no tutaj, głupia ty.

I kochał się z nią.

I poprosiła, żeby na nią spojrzął.

Spójrz na mnie.

Tak, Mateo myśli o Tensi, kiedy idzie za Celią, dziesięć kroków za dziewczyną, którą

zabrał do portu w Alicante, która przestała być małą dziewczynką i która nie przypomina już chłopca.

Cztery godziny marszu. Cztery godziny, żeby wspominać Hortensię. Cztery godziny, żeby zmierzyć się ze swoją stratą, żeby na nowo zmierzyć się z jej śmiercią, żeby kochać się z nią na jednej z gwiazd i czuć, że nie ma już po co żyć i że brakuje mu jej ramion. Już nigdy go nie obejmą. Nigdy nie przytulą. I brakuje mu jej ust. Pocałunków, pieszczot, czułości. Brakuje mu ich. Spójrz na mnie, choćbym ja na ciebie nie patrzyła. Nigdy już nie będzie mógł na nią spojrzeć. Nigdy. Dlaczego Tensi nie żyje? Wzgórze to nie miejsce dla kobiet. Dlaczego pozwolił jej zejść do gospodarstwa w El Altollano? Musi przywyknąć do bólu. Dlaczego nie umiał ocalić kobiety, która nosiła pod sercem jego dziecko? Przywyknąć, żeby móc to znieść. Dlaczego Tensi nie żyje?

Grupa dotarła już do obozowiska i Celia odwraca się w jego stronę. Chce powiedzieć coś Mateowi. Ale tego nie robi. Patrzy na niego. A Mateo odwraca wzrok. I ucieka przed nią. Podchodzi szybkim krokiem do szczeliny między skałami i znika. Żeby ukryć swoją rozpacz.

Słońce nagrzało do niemożliwości brezentowy namiot. Mimo zadaszenia z zielonych gałęzi w środku panował zaduch, którego Celia nie mogła znieść. Córki Szpaka rzuciły się na podłogę wyczerpane. Ona w dalszym ciągu starała się zasnąć. Wytarła spoconą szyję i podniosła się, żeby poszukać blaszanki z wodą. Uwiera ją pistolet za paskiem. Chciała go odpiąć, ale nie zezwolono spać bez broni. Zimą było lepiej. Chociaż czasami mróz był nie do zniesienia. Wspomina z najprawdziwszą zgrozą nocne marsze, nogi zatapiające się w śniegu, odmrożone kończyny, mimo że zaaplikowała sobie maść, po przechodzeniu w bród rzeki. Ale zimą było lepiej. Napila się zimnej wody. Wylała resztę z blaszanki na głowę i zawiesiła ją na bandolierze. Wstała. Wyszła z namiotu i usiłowała znaleźć cień. Jej brat czuwał wyciągnięty obok karabinu pod uskokiem skalnym. Położyła się obok. Tam też się dusiła. Skała, która chroniła ich od promieni słonecznych, nagrzewała się od słońca i pod nią panował zaduch. Smród ciała brata, docierający do niej z każdym jego oddechem czy najmniejszym nawet ruchem, brzydził ją tak samo jak jej własny. Trzeba pachnieć jak wzgórze, powiedział jej Mateo, kiedy poprosiła o mydło albo o wodę kolońską.

– Jak wzgórze, mała, żeby nie mogli iść naszym śladem.

I pachnieli jak wzgórze, wzgórze brudne i spocone, ciężkie, gorące, powolne i zwierzęce. Zmęczenie okazało się silniejsze niż wstręt i Celia zasnęła. Szli przez całą noc. A dzień był długi i piękny. Tak, to był piękny dzień. Poczuli się partyzantem bardziej niż kiedykolwiek, z karabinem na ramieniu, maszerując z oddziałem Czarnej Kurtki w stronę El Llano. To był piękny dzień. Zdobyli wioskę w imieniu Republiki w wyniku operacji militarnej doskonale skoordynowanej. Wszystkie oddziały Zgrupowania Partyzanckiego ze wzgórza Cerro Umbría wzięły udział w inwazji. To był dzień zwycięstwa. Zatknęli trójkolorową flagę na balkonie ratusza, zarekwirowali pistolet burmistrza, broń i amunicję z koszar, rozpruli sejf dowódcy lokalnego oddziału Falangi, a mieszkańcy wręczyli im kosze pełne prowiantu. Upajając się zwycięstwem, w czasie powrotu do obozowiska zaczęli śpiewać hymn partyzancki. Szli przez całą noc i kiedy dotarli na Pico Montero, schowali w magazynie zarekwirowaną broń i prowiant i znowu zaśpiewali.

Wszyscy zdumieli się, słysząc, jak Celia śpiewa.

– Mamy tutaj nawet Celię Gámez.

To był Konus, szef Zgrupowania, który przybył z Toledo, żeby na miejscu koordynować wyzwolenie wiosek. Miał ciemne oczy, jasny uśmiech. Zawsze nosił kapelusz. Mężczyźni z jednostki podziwiali go za odwagę, ale też się go bali. Przestrzegał prawa wzgórza z najwyższą surowością. I mówili o nim, że nie drżała mu ręka, kiedy musiał strzelić do wroga z bardzo bliska, i zapewniali, że nie zawahałby się wymierzyć sprawiedliwość zdrajcom. Tak mówili. A Celia mogła się o tym przekonać, kiedy zajęli wioskę, a jeden z chłopaków, Galicyjczyk, ogłosił na placu przed kościołem, że zamierza wystąpić z partyzantki, że nie wytrzyma dłużej. Konus uśmiechnął się do niego, zarekwirował mu broń, którą miał przerzuconą przez ramię, i spojrzał na dwóch swoich ludzi. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie. Dwaj mężczyźni wzięli chłopaka na muszkę i, co zdziwiło Celię, zabrali go na drogę za kościołem. Konus poszedł za nimi.

Mówią, że Konus zagroził Galisyjczykowi, że go zabije. Jeżeli wystąpisz, to cię zabiję, mówią, że mu powiedział. I mówią, że spojrzenie jego czarnych oczu przeszło chłopca na

wylot. I że zanim Konus w niego wycelował, chłopiec miał już mokre spodnie.

– Teraz i tutaj wysłę cię na tamten świat, ty decydujesz.

Czterej mężczyźni wrócili na plac. Jeden z nich objął chłopaka ramieniem, inny poklepał go po plecach. Konus oddał mu broń i uśmiechnął się. Nikt nigdy nie widział tklivości u Konusa. Nikt. Nigdy. Skrywał ją za ironicznym uśmiechem albo za wybuchem śmiechu, w tym samym momencie, jeszcze zanim nawet zdążyłby ją poczuć. I stojąc przed chłopakiem z Galicji w mokrych spodniach, uśmiechnął się. Ale zanim zaśpiewali hymn partyzancki w obozie, o wschodzie słońca w sierpniu, czarne spojrzenie Konusa przeszło Celię. A ona poczuła jego tklivość gdzieś głęboko, bardzo głęboko ukrytą. I już na zawsze.

Chwilę później, kiedy Celia i córki Szpaka szły się położyć do namiotu, Konus podszedł do nich.

– Bardzo dobrze śpiewasz.

– Dziękuję.

A widząc Konusa przechodzącego obok, Celia po raz pierwszy znienawidziła zapach wzgórza, którym pachniała.

– Lepiej niż Gámez.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam.

Przystanęła przed namiotem. Konus szedł dalej prosto i, nie odwracając się, zamachał do niej ręką na pożegnanie.

– Śpij dobrze.

Ale ona nie może zasnąć. Nie może. Nie mogła w namiocie i nie może teraz. Obudziła się, przytulona do brata. Ciepło dwóch ciał ją obudziło. Siada. Rozgląda się wokół. Wszystkie miejsca w cieniu są zajęte. W oddali widzi Matea, z karabinem na bandolierze i z wiadrem w każdym ręku. Podnosi się i krzyczy:

– Kordowiańczyku!

On zatrzymuje się i czeka na nią.

– Idziesz po wodę?

– A jak ci się wydaje?

– Mogę iść z tobą?

– Nie ma mowy.

– Proszę, muszę się odświeżyć w rzece.

To nie pierwszy raz, gdy Celia chce towarzyszyć Mateowi, kiedy jest jego kolej, żeby iść nad rzekę. Wie, że to niebezpieczne, dlatego nie dziwi ją, że Mateo odmawia.

– Powiedziałem już, że nie.

– No, przystojniaku, nie widziałam przystojniejszego partyzanta od ciebie. Zobacz, w jakim stanie jest moja blaszanka, sucha jak wiór.

– To poczekaj tu na mnie, napełnię ci ją, kiedy wrócę.

– Daj spokój, Mateito, nie bądź niedobry.

– Nie przymilaj się, mała, i nie podlizuj się, nie nabiorę się na te sztuczki. Nie uda ci się to, o nie, obojętne jak bardzo będziesz się starała.

Nie. Nie uda jej się to. Obojętne, jak bardzo będzie się starała, Celi nie uda się przekonać Matea. Zobaczy, jak znika w tunelu jeżyn. Potem z najwyższej skały zobaczy, jak zbliża się do rzeki z wiadrem w każdej ręce i z karabinem na bandolierze. Będzie wiedział, że mu się przygląda. Odstawi wiadra. Zdejmie karabin z pleców, nachyli się nad strumieniem, weźmie w dłonie wodę i chluśnie ją z całych sił do tyłu z pluskiem. I uśmiechnie się, mimo że rudowłosa dziewczyna nie może tego zobaczyć. Dla niej, uśmiechnie się dla niej.

Tak zobaczy go Celia po raz ostatni, jak będzie chlustał wodą na swoje plecy. Dla niej.

Uścisk siostry obudził Czarną Kurtkę. Odwrócił się i zobaczył, że Celia rozmawia z Mateem. Zamknął oczy. Duszący upał nie pozwalał mu na nowo zapaść w sen, choć starał się zasnąć. Zobaczyć we śnie Pepitę i jak opada jej na czoło niesforny kosmyk. Zacisnął powieki. W ciemności szukał Pepity. Jak kołysze biodrami w domu przy Ave María. Patrzył, jak idzie do kuchni. Kwiaty z sukienki sypały się na podłogę z każdym jej krokiem. Jej buty były przemoczone. Jaime otworzył oczy. Potrząsnął głową. Starł pot z czoła i postanowił wstać. Zrobił rundę, obchodząc miejsca, w których partyzanci stali na czatach; starał się oddalić od siebie wizję kwiatów spadających na podłogę. Kiedy doszedł do skały, na której stał Szpak, zaproponował mu papierosa.

– Zapalisz?

– Zapalę.

Palenie za dnia wymagało wprawy, której z czasem obaj nabrali. Zasłaniaли rękoma żarzący się koniec i wydychali dym powoli, rozgarniając go dłońią w momencie wypuszczenia z ust.

– Trzeba sprawdzić skrytkę dzisiaj w nocy, pójdziesz?

– Widziałeś to?

– Co takiego?

– Błysk, za tym drzewem.

– Nic nie widzę.

Obu mężczyzn trapiło to samo zmartwienie. Podczas przejęcia wioski jeden z partyzantów z El Llano poinformował ich, że jego łączniczka poszła do Soto del Real po zapasy i nie wróciła.

– Nie wiem, ale mam złe przeczucie. Pierwszy raz poszła do Soto. Jeżeli nie pojawi się tej nocy w Guadarramie, zostawię wam jutro wiadomość w umówionym miejscu i migiem zmywacie się ze wzgórza.

Ci, którzy zaopatrywali partyzantów, mieli przykazane kupować żywność w różnych sklepach i w różnych wsiach, by nie wzbudzić podejrzeń.

– Zna miejsce obozowiska?

– Doskonale, jej syn jest ze Szpakiem. Zanim przyjechałeś, przychodziła tutaj z osłem. Wydaje mi się, że ją zgarnęli. A ta kobieta, jeśli wierzyć w to, co mówią, nie wytrzyma tortur.

Partyzant z El Llano się nie mylił. Straganiarz z Soto del Real zdziwił się, sprzedając żywność, której było za dużo jak na jedną rodzinę, ale nie doniósł Gwardii Obywatelskiej. Natomiast aptekarz złożył donos w koszarach, gdy wydał im kilogram bikarbonatu, o który poprosiła kobieta. I łączniczka z Guadarramy nie wytrzymała tortur.

– Wydaje się, że coś błyszczy za tamtym drzewem.

Tak, coś błyszczało za tamtym drzewem. Jaime uważnie spojrział przed siebie, lekki ruch w krzakach, które okalały wzgórze, zwiększył jeszcze jego niepokój.

– Popatrz.

Szpak, osłaniając się przed słońcem jedną ręką, rozejrzał się wokół.

– Nie ma ani zefirka, co to jest, do kurwy nędzy? Ktoś rusza się za krzakami.

– Obudź wszystkich, trzeba się stąd zbierać.

W tej samej chwili słońce odbiło się w trójgraniastym kapeluszu. A potem w kolejnym.

I w kolejnym.

I w kolejnym.

Oddziały Benemerity podchodziły do rzeki, w której chlapał się Mateo.

Celia zobaczyła, jak gwardziści okrążali Matea. Krzyknęła jego imię:

– Mateo!

Mateo spojrział w górę. W jednej chwili zrozumiał, że jest zgubiony. W jednej chwili zrozumiał, że powinien zaalarmować obozowisko, i wiedział, jak to zrobić. Złapał swojego *naranjero*. I wiedział, w jednej chwili, że nie pojmają go żywcem. Wystrzał z karabinu Kordowiańczyka zbił z tropu Gwardię Obywatelską. Ci, którzy się czołgali, stanęli na nogi. A ci, którzy w dalszym ciągu się ukrywali, ujawnili swoje pozycje.

Jeden strzał.

Celia rozpoznała strzał *naranjero* Matea, jednocześnie ktoś zaczął ciągnąć ją za ramię, żeby zmusić do zejścia ze skały.

Jeden strzał, tylko jeden strzał wystarczył, żeby obudzić partyzantów, którzy jeszcze spali.

Gwardia Obywatelska sfotografowała ciało Matea i ciała wszystkich pozostałych, którzy zginęli na Pico Montero, i wystawiła zdjęcia w witrynach sklepów we wszystkich wsiach El Llano. Sześciu mężczyzn. I jedna dziewczyna. Mówiono, że to zasadzka, w którą wpadną ci, którzy rozpoznają w zmarłych swoich bliskich. Tylko niektórzy wierzyli, że zostaną im wydane ciała i nie zostaną zatrzymani ani przesłuchani. Pozostali patrzyli na zdjęcia, starając się powstrzymać emocje, żeby nie zdradził ich wyraz twarzy po stracie najbliższych. Patrzyli. Zachowywali milczenie i odchodzili, nie pokazując żadnych uczuć, bez jednej łzy.

Będą płakać w domu, po kryjomu. Pomodlą się za nich po kryjomu. Nie ma żałoby, jeśli nie ma zmarłego. Nie zamówią żadnej mszy, nie odmówią razem modlitwy, nie będzie żadnego pogrzebu. Nie dostaną ciał. Nie będą nosić żałoby. I po ich bliskich nie zabije dwukrotnie dzwon.

– Nie idź.

To była bezsensowna prośba i doña Celia o tym wiedziała. Ale poprosiła znowu:

– Nie idź.

Pogłoski dotarły do pensjonatu przy ulicy Atocha. Pepita zbierała okruszki czarnego chleba do swojego aksamitnego woreczka, kiedy grabarz przekazał jej nowinę. Mówią, powiedział, że zatrzymają każdego, kto rozpozna kogoś ze zmarłych, i że zabrali jedną kobietę tylko dlatego, że zapewniła, że na żadnym ze zdjęć nie ma Czarnej Kurtki. Gwardzista złapał ją za ramię i nie przestał jej popychać, dopóki nie dotarli do koszar. Tu w środku zaraz mi powiesz, jak wygląda ten bandyta i skąd go znasz.

– I to był Czarna Kurtka?

– Nie wiem, nikt tego nie wie, i myślę, że ten, kto to wie, powinien mieć się na baczności, jeśli będzie to rozpowiadał.

Kiedy grabarz sobie pójdzie, Pepita poprosi doinę Celię, żeby popilnowała Tensi, a ona pójdzie zobaczyć zdjęcia.

– Nie idź.

Pepita nie przystanie na prośbę doñi Celii, choć doña Celia będzie nalegać:

– Nie idź.

Wyjdzie z pensjonatu przy ulicy Atocha. Zamknie za sobą drzwi, nie słuchając głosu, który błaga:

– Nie idź.

Pójdzie.

Wsiądzie do tego samego pociągu, który zawiózł ją do Jaimego Alcantary, kiedy jeszcze nazywał się Paulino. I na dworcu Delicias przypomni sobie, jak się tutaj całowali.

Algi.

Wejdzie do ostatniego wagonu i usiądzie na ostatnim miejscu, nie zwracając uwagi, że na pierwszym usadawia się Reme przy boku Benjamina.

Pepita będzie jechać, opierając głowę o szybę, pocąc się, nie zwracając uwagi na upał, zaciskając pięści, nie czując palców, będzie patrzeć, nie widząc pejzażu z połowy sierpnia, żółtego i przygnębiającego.

Wysiądzie na peronie, na którym pewnego dnia stąpała po krwi, nie wiedząc, że po niej stąpa, i skieruje się do najbliższej witryny, nie oglądając się za siebie. Nie zobaczy, że Reme wysiadła z pociągu, trzymając się za brzuch, ani że Benjamín ją prowadzi, przytrzymując za

ramiona, i pyta zawiadowcy stacji o łazienkę, bo Reme źle się czuje.

Będzie szła szybko.

Zaciśnie wargi.

Sześciu mężczyzn i jedna dziewczyna. Siedem fotografii. Siedmioro zabitych.

I stęsknione niemożliwie niebieskie oczy, które wpatrują się w witrynę.

Para gwardzistów robi obchód i zatrzymuje się przed pasmanterią.

– Znasz któregoś, ślicznotko?

– Nie.

Skłamała. Zna jednego. Tylko jednego. Ma zamknięte oczy i otwarte usta.

Gwardziści szukają cienia. Znajdują go pod markizą tawerny przylegającej do sklepu, obserwują, jak Pepita się odwraca. Falbanka na dole spódnicy muska jej kolana.

Odchodzi.

Ciarki przeszły jej po plecach. Zna jednego. Pierwsza fotografia, u góry, po prawej.

– Żegnaj, cukiereczku.

Ona odchodzi, nawet na nich nie patrząc. Ma w swoich niebieskich oczach fotografię śmierci. A oni wpatrują się w jej łydki.

Pepita idzie, kontrolując kroki. Myśli o Tensi. Jej lewy obcas napotyka na brukową kostkę, która wystaje z chodnika. Pepita chwieje się, ale szybko odzyskuje równowagę i przechodzi przez plac, nie widząc Reme. Nie widzi, jak Benjamín wachluje żonę, a ona w tym czasie ściera chusteczką pot z szyi. Złe samopoczucie Reme zmusiło ich, żeby usiąść na ławce w cieniu.

Już od kilku dni Reme leży w łóżku chora, ale kiedy pogłoski o wystawionych fotografiach dotarły na ulicę Hermosilla, wstała i chciała je zobaczyć. Musiała wiedzieć, czy dziewczyną była Elvira.

– Lepiej ci?

– Tak, chodźmy.

Pepita skręca za rogiem, kiedy Benjamín pomaga żonie podnieść się z ławki.

Spojrzenie Reme nie zatrzymało się na twarzach mężczyzn. Nie poznała męża Hortensii. Benjamín też nie wiedział, że pierwsza fotografia, na górze, po prawej, przedstawia mężczyznę, który wszedł razem z nim do rozmównicy w dzień Bożego Narodzenia, kiedy jego syn i wnuk przyjechali z León, a Pepicie udało się załatwić, że wpuścili ich wszystkich do więzienia Ventas.

Reme westchnęła z ulgą. Ta dziewczyna to nie była Elvira.

Gwardziści słyszą, jak wzdycha.

– Co pani dolega? Zna ją pani?

– Nie.

– A ma pani nietęgi wyraz twarzy.

– Jest chora.

– A nie rozchorowała się przypadkiem, widząc tych tutaj?

– Nie, proszę pana, była chora już wcześniej.

Reme łapie się za brzuch i idzie szybko w stronę tawerny. Za nią idzie Benjamín i dwóch funkcjonariuszy Benemerity. Ona zapyta o łazienkę, on poprosi o wodę z cytryną dla żony.

Kiedy dotrą na stację, pociąg będzie prawie ruszał. Pepita usiadła już w pierwszym wagonie, oni wsiądą do ostatniego.

To nie Elvira. To nie Elvira. Reme oddycha z ulgą, ma przed oczami Elvirę, która macha swoim rudym kucykiem.

Benjamín ma przed oczami horror, zamknięte oczy i otwarte usta jednej z córek Szpaka.

Tym, który pociągnął Celię, żeby zeszła ze skały, był Czarna Kurtka. Uciekaj, powiedział, biegiem, biegiem. I pobiegła. Biegła. Nie oglądając się za siebie i nie czekając na brata. Biegła, a odgłos wystrzału *naranjero* Matea dudnił jej w uszach. Nie słyszała nic więcej. Jeden strzał jak jeden krzyk. Jęk, który przeszedł ją na wskroś, który przechodzi ją, kiedy ucieka w popłochu razem z innymi. Biegnie. Niektórzy zostali w tyle. Biegnie wzgórzem w dół z pistoletem w dłoni, z pustą blaszanką na bandolierze. Jej brat organizuje ucieczkę, pośpieszając tych, którzy uciekają, krzycząc, żeby nie zostawiali broni, umawiając się z nimi w awaryjnym obozowisku, w bazie przewidzianej na sytuacje wyjątkowe. Ale ona nie patrzy za siebie. Nie słyszy swojego brata. Nie słyszy nic poza wystrzałem z karabinu Matea. Ten strzał, i tylko on, sprawia, że biegnie. Biegnie. Ucieka przed tym krzykiem, który ją rozdziera, kiedy biegnie. Płacze. Biegnie. Czuje, że się dusi. Poci się. Kaszle. Biegnie w stronę El Llano. Potyka się. Przewraca. Wstaje. Biegnie. Biegnie, choć nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Do El Llano. Choć brakuje jej powietrza. Do El Llano. Biegnie. Nie patrząc na tych, którzy wybrali inną drogę. Jest gorąco. Biegnie. Odwraca się. I jest sama. Biegnie w dół wzgórza sama. Do El Llano. Nie przestaje biec. I czuje, że się dusi. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Napad kaszlu. Włożyła do ust chusteczkę. Straciła siły. Upadła na ziemię. Wstała. Pobiegła parę kroków. Znowu upadła. Kilka kroków dalej. Do El Llano. Rozejrzała się dookoła i zauważyła chaszczę. Znalazła schronienie i cień, na chwilę. Tylko na chwilę. Przycupnęła. W zaroślach. Było bardzo gorąco. Chciało jej się pić. Bolała ją klatka piersiowa i trzęsły jej się nogi. Wpatrywała się w dal. Nic. Nikt. Usiadła na ziemi. Wyjęła z ust chusteczkę i przechyliła do góry dnem blaszankę, przytykając ją do języka. Jedna kropelka wyciekła jak prezent. Jedna kropelka. Smakowała ją. Wyjrzała i popatrzyła w dal. Nikogo. Zaczęła nasłuchiwać. Cisza. Cisza i spokój między listowiem. Będzie musiała wyjść z ukrycia. Poszukać reszty. I kiedy była gotowa wstać, usłyszała sowę. Trzy razy. Tak, to była sowa. Odpowiedziała, naśladując dudka. Trzy razy. Najbliższe niej chaszczę poruszyły się. Ktoś zapytał po cichu:

– Kim jesteś?

Celia przez chwilę milczała, po czym zapytała:

– A ty?

Gałęzie zaczęły się rozchyłać i Celia zobaczyła, jak zza nich wychyla się powoli twarz Konusa.

Odgarnęła gałęzie, które ją zasłaniały.

Uśmiechnął się, widząc rudowłosą dziewczynę, która rozgarniała gałęzie, tak jakby odsłaniała zasłonę, i bardzo powoli wychylała głowę.

– Celia!

Celia też się uśmiechnęła. Smutno. Bardzo smutno.

– Zgubiłam się.

Konus przytknął palec wskazujący do ust. Celia wyszeptwała mu prosto do ucha.

– Mateo nie żyje.

– Tak, wiem.

Oboje dzielili ból i schronienie.

I dopóki nie nastąpiła noc, razem znosili pragnienie.

Z emaliowaną miednicą pełną wody Pepita wychodzi na taras na dachu pensjonatu. Patrzy w niebo i znowu płacze.

– Teraz jesteście już razem, Hortensio.

Odkąd wróciła po obejrzeniu zdjęć, wybucha co chwila niekontrolowanym płaczem. Codziennie płacze kilka razy. Łzy zaczynają spływać jej po policzkach o każdej porze, w każdym miejscu, chociażby nie było jej wtedy smutno.

– Tutaj, na słoneczku, nagrzej się woda dla mojej dziewczynki.

Zostawi miednicę na słońcu na całe popołudnie. Po czym w ogrzanej słońcem wodzie wykąpie Tensi. Bo skończyła już szyć i może się teraz zająć dziewczynką. Niecałą godzinę temu zaniósła ostatnią wyprawę ślubną do magazynu na placu Pontejos. Cztery komplety prześcieradeł, trzy komplety ręczników, dwa komplety obrusów z dwunastoma lnianymi serwetkami każdy, wszystko wyszyte inicjałami D i M A w oblamówce z pączków lilii, i koszulę nocną panny młodej z trzema rzędami koronkowych falbanek przy szyi i przy mankietach. Sprzedawczyni obejrzała jej robotę. Miała na imię Manolita.

– Jakie piękne! Nie dziw, że chodzą słuchy, że jesteś najlepszą hafciarką w Madrycie.

Manolita zapłaciła, ale nie dała jej nowego zlecenia, tylko przekazała wiadomość od właścicielki:

– Mówi, że jak będzie coś miała, to cię zawiadomi.

Pepita wyszła na ulicę, wierząc, że ją zawiadomi, ale zanim doszła do rogu, sprzedawczyni podbiegła do niej i powiedziała ściszym głosem:

– Nie da ci więcej pracy.

– Dlaczego?

– Bo usłyszała, że twój ojciec i twoja siostra byli czerwoni, a ciebie zatrzymała służba bezpieczeństwa.

Nie było potrzeby dłużej tłumaczyć. Pepita straciła już posadę przez to, że spędziła kilka godzin w ministerstwie, kiedy don Fernando wyciągnął ją stamtąd i powiedział, że nie może dłużej u niego pracować.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś, Manolito.

– Nie ma za co.

Sprzedawczyni rozejrzała się na wszystkie strony i wróciła pędem do sklepu.

W drodze do pensjonatu Pepita zaszła do kościoła Świętego Judy Tadeusza. Zapaliła dwie świece.

– Jedna, żebyś mi powiedział, czy Jaime żyje, a druga, żebyś mi znalazł pracę.

Łzy spływały jej po policzkach. I wyszeptala błagalnie patronowi spraw niemożliwych, wrzucając dziesięciocentówkę do puszeki:

– Ta moneta to na pracę. A jeśli do jutra dowiem się, że Jaime żyje, wrzucę ci kolejną.

Uspokoiwszy Pepitę, która wróciła z kościoła zapłakana, doña Celia przyczepiła do drzwi pensjonatu ogłoszenie, a kolejne na stacji Atocha, że krawcowa z doświadczeniem poszukuje pracy.

Nie zajmie Pepicie dużo czasu znalezienie pracy. Trzy tygodnie później, kiedy będzie kąpać Tensi, właścicielka magazynu na placu Pontejos zadzwoni do drzwi i zapyta o nią. Chce wiedzieć, czy krawcowa, ta z ogłoszenia, to Pepita, o której mówią, że jest najlepszą hafciarką

w Madrycie, a ona musi sobie uszyć wyjątkową sukienkę, bo mąż zabiera ją na bal.

Pepita przyjmie swoją pierwszą klientkę, weźmie miarę i poprosi, żeby przyniosła jej materiał, wcześniej podzieli się wiadomością z dołą Celią i parsznie razem z nią śmiechem w kuchni.

– Widzi pani, pani Celio? Ta kobieta nie chciała, żebym wyszywała u niej w sklepie, a teraz chce, żebym uszyła sukienkę specjalnie dla niej.

I następnego dnia, wcześnie rano, pójdzie podziękować świętemu Judzie. Zapali kolejną świeczkę. Tym razem tylko jedną. Jedną dużą świecę, którą kupiła w sklepie z wyrobami z wosku naprzeciwko kościoła. I wrzuci banknot do puszeki, żeby święty powiedział jej, czy Jaime żyje.

– Widać, że za sprawy niemożliwe liczysz sobie z wyprzedzeniem i na dodatek zamówienia przyjmujesz pojedynczo. Cwany jesteś. Za jedną niemożliwość jedna świeczka, jedna dziesięciocentówka. Więc za tę dostałeś jedną pesetę i wielką świecę, bardzo ładną, bo ja też nie jestem głupia i wiem, że im trudniejsza robota, tym więcej kosztuje.

Wracając do pensjonatu, zapatrzy się w niebo. Wyjdzie na taras na dachu, żeby powiesić białe pranie, i spojrzy ponownie, rozwieszając prześcieradło, naciągając je mocno i przypinając dwiema żabkami.

– Nie wiedziałam, że z tych świętych takie liczykrupy.

Potem drugie prześcieradło, i kolejne. Kiedy skończy, stanie na chwilę i będzie się wpatrywać, jak trzepocą na wietrze. A jeśli nie będzie wiało, poruszy sznurkiem. Lubi, gdy białe ubrania trzepocą, i lubi zapach, który unosi się wtedy w powietrzu.

– Pepito! Pepito!

To doña Celia, która przechyla się przez poręcz i którą widać między schodami. Na rękach trzyma Tensi. Dziewczynka woła na nią babciu i prosi, żeby wzięła ją na rękę. Doña Celia krzyczy:

– Pepito, chodź biegiem!

Krzyczy, bo przyszedł listonosz.

– Co się dzieje?

– Dostałaś list!

Schody, które prowadzą na dach, są wąskie i strome. Pepita zbiega, przeskakując po dwa stopnie. Listonosz czeka w drzwiach z listem w ręku. Doña Celia nie chciała go przyjąć. Poprosiła listonosza, żeby zaczekał chwileczkę, dlatego że Pepita czekała na niego bardzo długo. I wiele razy wyciągała rękę po list, który nigdy nie był do niej. A przez ostatnie miesiące, po tragedii na Pico Montero, straciła nadzieję i płacze, kiedy zamyka drzwi, a listonosz odchodzi, nie wymawiając jej imienia. Ale dzisiaj je wypowiedział. I doña Celia chce, żeby Pepita to usłyszała i wzięła od niego list, który jest do niej.

Pepita usłyszy swoje imię.

I zadrży, wyciągając rękę.

– Dziękuję.

Rozpłacze się, odwracając kopertę.

Nadawca: Jaime Alcántara.

Przeczyta na odwrocie Jaime Alcántara. Pocałuje kopertę. Uściśnie listonosza i doñę Celię. Wyciągnie ramiona do Tensi. I z nią zatańczy.

Radość Pepity nie minie, kiedy przeczyta pierwszy akapit w swoim pokoju, i zrozumie, skąd nadano ten list, ani kiedy weźmie do ręki kopertę, którą porzuciła na łóżku, żeby sprawdzić adres nadawcy:

Centralny Zakład Karny w Burgos.

Jaime jest więźniem. Jest więźniem, tak. Ale żyje. I napisał do niej, żeby powiedzieć, że w dalszym ciągu ją kocha. Żyje. Nie przestał o niej myśleć przez cały ten czas. W dalszym ciągu ją kocha. A Burgos jest bardzo daleko. Ale ona pojedzie do Burgos, żeby się z nim zobaczyć.

Pojedzie do Burgos.

Tak, kiedy skończy sukienkę na bal.

Pojedzie, bo on nadal ją kocha.

Weźmie miarę właścicielki magazynu na placu Pontejos, jednocześnie słowo po słowie odtwarzając list, który napisał do niej Jaime. Zrobi dużo przymiarek, bo klientka chce mieć najpiękniejszą balową suknię. Będzie rozmawiać, nie zwracając na nią zbyt wiele uwagi, i zauważy, po tym co usłyszy jednym uchem, jak przechwala się miłością męża. Tak, przechwala się miłością, kiedy Pepita kłuje ją szpilką, opasując w talii materiałem. Przechwala się, dlatego że mąż zaprosił ją na bal, na którym będzie grało pięć orkiestr i wystąpi Minerva, i będzie wieczór poetycki i fandango na zakończenie z Aną de España i jej ośmioma tancerzami, kolacja w Czerwonym Salonie i walc w Ogrodzie Zimowym. Tak, przechwala się balem w hotelu Palace, dokąd zjedzie się cała śmietanka Madrytu, i przechwala się miłością. Czerwieni się, kiedy mówi o swoim mężu. I więcej niż raz wzdycha. Pepita też wzdycha, kiedy słyszy, jak wzdycha tamta, kiedy myśli o listach, które otrzymuje z Burgos co piętnaście dni.

Wzdycha klientka.

I wzdycha Pepita.

Niedługo przed przyjęciem, które Stowarzyszenie Prasy organizuje w hotelu Palace, suknia będzie gotowa. Właścicielka magazynu z placu Pontejos wyśle swoją pracownicę Manolitę, żeby odebrała ją z pensjonatu przy ulicy Atocha. Manolita da Pepicie świąteczny prezent od swojej szefowej: szminkę do ust, którą perfumeria Roberta dawała w prezencie tym, którzy kupowali bilety na bal u nich w sklepie, i nylonowe pończochy, które były na nią za ciasne.

Pepita się rozliczy, przyjmie podarunki i poprosi sprzedawczynię z Pontejos, żeby zaczęła w sieni, dlatego że kończy pakować suknię w kuchni. Ale zanim ją zapakuje, rozlegnie się dzwonek u drzwi.

– To don Fernando.

Doña Celia informuje Pepitę, że don Fernando chciałby się z nią widzieć.

– Don Fernando?

– Tak.

– I czego ode mnie chce?

– Zobaczyć się z tobą, tak mi powiedział.

Pepita przyjęła don Fernanda w kuchni. I kiedy on mrużył powieki, ona zawijała na stole suknię.

– Czego pan sobie życzy, don Fernando?

– Są święta.

Słyszając tę niespodziewaną wiadomość, Pepita podniosła wzrok. Zacisnęła usta, zaciskając w nich trzy główki szpilek, i wydała z siebie dźwięk, który don Fernando zinterpretował jako wyraz zdziwienia. Mimo to doktor Ortega powtórzył:

– Są święta.

I Pepita nie miała innego wyjścia, jak wyjąć z ust szpilki.

– Przyszedł pan powiedzieć mi, że są święta, don Fernando?

– Nie. Ale dowiedziałem się, że twój narzeczony jest w Burgos, i ponieważ są święta...

– A jak się pan o tym dowiedział?

– Człowiek dowiaduje się różnych rzeczy. A ponieważ są święta, przyszedłem do ciebie zapytać o niego i nie chciałbym przegapić okazji, żeby wręczyć ci prezent.

Don Fernando wyciągnął rękę z kieszeni i wręczył jej pieniądze.

– Proszę to schować, proszę pana, to mnie obraża.

– Mam w stosunku do ciebie dług, Pepito, a to jest dobra okazja, żeby go spłacić.

– Nic mi pan nie jest winien i proszę mnie w ten sposób nie obrażać, i nie dawać mi pieniędzy nie wiadomo za co.

– To jest prezent, Pepito. To tylko prezent.

Pepita bierze pieniądze z wyciągniętej do niej ręki i wtyka je do kieszeni marynarki don Fernanda. Przypuszcza, że za prezentem kryje się jakiś ciemny pretekst, którego ona nie jest w stanie zrozumieć.

– Nie ma mowy, proszę pana. Już mówiłam, to mnie obraża.

– Nie chcę cię obrazić, chcę ci tylko pomóc.

– A może mi pan łaskawie powiedzieć, dlaczego czuje się w obowiązku mi pomóc?

Doktor Ortega zamknął drzwi do kuchni i odpowiedział ściszym głosem:

- Bo ty pomogłaś mnie.
- Ja? A w czym, jeśli można wiedzieć?
- Nie wydałaś mnie.

Pepita skończyła zawijać sukienkę. Kiedy brała do ręki papier z powbijanymi szpilkami, przypomniała sobie upór don Fernanda, który dopytywał się, czy wymieniła jego imię w dniu, kiedy wyciągnął ją z przesłuchania. Teraz Jaime jest więźniem, myśli. I myśli, że don Fernando uważa, że Jaime wie rzeczy, o których nie powinien wiedzieć. Strach. Don Fernando się boi. I czuje się winny. Poczucie winy gryzie jego sumienie i wyziera mu z oczu, kiedy mruży powieki. Wyziera mu z oczu. Pepita upewniła się co do tego, kiedy widziała go ostatni raz. Przechodziła przez ulicę i wpadli na siebie. Don Fernando szedł ze swoim ojcem, pod rękę z doña Amparo, która nie mieszka już na pięterku jak gołębnica w gołębniku. Pepita chciała się zatrzymać i przywitać. Ale doña Amparo powiedziała jej do widzenia i nie zatrzymała się, a oni dwaj wymienili spojrzenie, po czym skinęli jej głową, mijając ją. Ojciec uśmiechał się, a syn nie przestawał mrużyć powiek. Strach i poczucie winy. Ze strachu wyrzucił ją ze swojego domu i gryzie go sumienie. Don Fernando wyciągnął ją z przesłuchania tylko dlatego, żeby go nie wydała, a teraz wie, że Jaime jest więźniem, i mruży powieki, bo się boi, że on go wyda.

– Nieładnie mi pan odpłacił, wyrzucając mnie, proszę nie wybielać sumienia moim kosztem. Nieładnie mi pan odpłacił, niech sobie pan nie myśli, że może mi pan jeszcze inaczej odpłacić. To, co pan przychodzi kupić, nie jest na sprzedaż.

– Pepito.

– Żadna Pepito! Proszę stąd iść!

Doña Celia usłyszy krzyki Pepity. I pojawi się w kuchni.

– Co się dzieje?

– Nic, pani Celio, pan już wychodzi.

– Ale co się stało?

– Nic, już wychodziłem, to prawda.

Kiedy don Fernando będzie wychodził, Pepita nachyli się nad jego uchem, pociągnie go za ramię, ukryte pod peleryną, i zmusi go, żeby się do niej przysunął.

– I proszę iść i się nie martwić, proszę pana, pana imię zostanie przemilczane, jeżeli do tej pory nie padło, to znaczy, że nie padnie, i nie jest to kwestia pieniędzy.

– Chciałem tylko...

– Wiem, co pan chciał, a teraz pan też wie, że to, co przyszedł pan kupić, nie jest na sprzedaż. Z Bogiem, don Fernando.

Pepita uśmiecha się do niego półgębkiem.

Don Fernando mruży powieki.

Nazajutrz po balu Pepita zacznie dostawać zamówienia i będzie musiała wyznaczać spotkania swoim klientkom. Dlatego że uszyta przez nią romantyczna sukienka wywołała sensację, kiedy właścicielka magazynu na placu Pontejos weszła do Czerwonego Salonu w hotelu Palace. Przyjaciółki zapytały o modystkę, ale ona nie chciała dzielić się najlepszą krawcową w Madrycie. A jej sprzedawczyni, Manolita, rozpowie o tym klientkom we wszystkich sklepach na ulicy i na placu Pontejos.

I rozejdzie się wieść. Projektantka najpiękniejszej sukni balowej mieszka przy ulicy Atocha, w pensjonacie doña Celi.

Pepita musi się zorganizować. Do najlepszej krawcowej w Madrycie ustawi się kolejka przed drzwiami. Ale pierwszą wizytę przyjmie po dniu Trzech Króli, kiedy wróci z Burgos. Teraz idzie kupić dwa bilety na pociąg, dlatego że pojedzie z doña Celią i dziewczynką zobaczyć Jaimego. Dwa bilety, bo dziewczynka nie płaci. Z tym, co dostała za kreację, ma wystarczającą

kwotę. Pojadą we trzy.

Włoży najlepszą sukienkę, tę samą, którą włożyła, żeby iść na ulicę Ave María pierwszy raz, kiedy chciała ładnie wyglądać, tę w fioletowe kwiatki, z szeroką spódnicą, tę, która należała do Almudeny. Poprawiła jej dekolt i rękawy, według ostatniej mody, i trochę zwęziła ją u dołu.

Dlatego że znowu chce pięknie wyglądać.

Włoży nylonowe pończochy.

I umaluje usta.

Partyjka szachów, żeby zająć czymś szare komórki. Jaime szuka spokoju. Ruch skoczkiem, żeby zapomnieć sen, który powtarza się raz za razem. Pepita idzie w stronę kuchni, ma na sobie przemoknięte buty, kwiatki z jej sukienki sypią się na podłogę. Partyjka przeciw rozpaczcy i przeciw kłęsce. Kordowiańczyk nie żyje. Jedna partyjka przeciwko wzburzeniu. Towarzysz, który go nie opuścił, odkąd poznali się na partyzanckim szkoleniu w Benimàmet, nie żyje. Ruch białych. Ten, który nazywał się Felipe, zginął jako Mateo Bejarano. Zginął też Szpak, nie udało mu się ocalić córki podczas ucieczki i oboje zginęli od strzałów w plecy. Wieża zagraża skoczkiowi. Jedna partyjka szachów, żeby Jaime przestał myśleć o wydarzeniach, które rozegrały się jedno po drugim w czasie ich nieskładnej ucieczki. Katastrofa na Pico Montero sprawiła, że Zgrupowanie Partyzanckie ze wzgórza Cerro Umbría zdeintegrowało się, mimo że dopiero zostało powołane. Szach królowej. On ściągnął swoją siostrę ze skały. Pociągnął ją i poprowadził do tylnego wyjścia z obozowiska. Zobaczył, jak biegnie. Wszyscy biegli. Ona biegła szybko, oddalając się w dół wzgórza. W ręku miała mały pistolet.

– Twój ruch.

– Szach królowi.

Ci, którym udało się uciec, przeczekali w ukryciu, aż zapadł zmrok. W nocy przegrupowali się w umówionym na podobne sytuacje miejscu i tam zdecydowali, że wobec przejścia Cerro przez wroga dołączą do Zgrupowania Partyzanckiego z Estremadury. Tej samej nocy dowiedzieli się, że wieś El Llano, którą zajęli, została zrównana z ziemią. Narodowcy zabili dwóch gwardzistów, którzy oddali im broń, zabrali ziemię wszystkim mieszkańcom, popalili ich domy i zabronili im pozostać na ich własnej ziemi i zbliżać się do niej na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt kilometrów. Król robi rozsadę. Jego siostra nie przyszła na miejsce spotkania. Nie zobaczył jej więcej. Ale dowiedział się o niej miesiąc później, kiedy spotkał się z Jesusem Monzonem w winiarni na Ave María, żeby przygotować plan zdobycia doliny Arán. Jest bezpieczna, to jedyne, co mu powiedzieli, a on nie pytał o więcej. Jest bezpieczna. Powinien tylko wiedzieć, że jest bezpieczna. I to wystarczy. Ruszy pionkiem trzy pola, jeśli nie chce zostawić króla odsłoniętego. Podczas spotkania na Ave María starał się przegnać obraz Pepity. Jej przemoczone buty, sukienkę w kwiaty. Nie mógł zapomnieć o powracającym koszmarze. Zawahał się, czy powinien wyjść na ulicę, na rogu z ulicą Magdaleny znowu się zawahał, Pepita mieszkała tak blisko. Tak łatwo byłoby wejść na górę, stracić minutę i mieć ją w ramionach. Chciał ją zobaczyć w sukience w kwiaty, znowu całej w kwiatkach. Zawahał się, ale nie chciał jej narażać na niebezpieczeństwo, zagryzł wargę i poszedł prosto na dworzec Delicias. Na peronie pocałunków myślał o Pepicie, o jej niemożliwie niebieskich oczach, o niesfornym kosmyku spadającym na czoło i o jej ustach czekających na jego usta. Prawdopodobnie dlatego nie zauważył, że śledzą go dwaj mężczyźni. Nie mógł wsiąść do pociągu.

– Szach-mat.

Król upada na szachownicę. Sam jest sobie winien, że został pokonany. Poprzysięga zemstę.

Kolejna partyjka.

Czas mija między czarnymi i białymi figurami. Na dziedzińcu jest zimno. Kawa zbożowa, którą wypił na śniadanie, już nie ogrzewa mu żołądka. Jest jeszcze przed południem, a on w dalszym ciągu ma w kieszeni cztery suszone figi nadziewane migdałami. Pora na drugie

śniadanie. Grający z nim towarzysz też zachował energetyczną wartość śniadania z fig na później, żeby oszukać głód, bo odmówią obiadu w stołówce, zupy z kapusty, śmierdzącej i zimnej, albo potrawki z grochu, cztery ziarenka grochu na krzyż pływające w brudnej wodzie, gorsze od pamiętnej soczewicy Negrina, którą jadło się na wojnie. Figi i piętka chleba, który dają im do brei, pozwolą znieść głód aż do południa. Potem pójdą na warsztaty stolarstwa i będą zbijać małe drewniane skrzynki, które kobiety rozniosą po ulicach swoich wiosek, a potem zejdą do kuchni i upieką kartofle.

– Twój ruch, Gerardo.

Znowu przegra. I znowu pomyśli, że jest mu wszystko jedno. Ale nie jest mu wszystko jedno. Za dużo porażek, innych i własnych, sprawi, że w szachach będzie poszukiwał małych wygranych. Nauczy się nowych strategii, ataków i obrony, które uwolnią go od poczucia, że nie bierze już udziału w żadnej walce. Będzie grać z pasją. I w tym zakładzie karnym, nazywanym uniwersytetem, będzie czytał książki autorów, którym udało się oszukać cenzurę, i będzie wyczekiwał listów Pepity, jednocześnie stając się znawcą historii Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

– Szach.

Dwóch dni brakuje do spotkania z Pepitą. Dwóch dni. Będzie czekał z niecierpliwością przez dwa dni.

Dwa dni.

Jeszcze bołą go nerki i krwawi, oddając mocz. I palce też go bołą, chociaż odrosły mu już paznokcie. Nazywam się Jaime Alcántara. Jestem jeńcem wojennym. Jaime Alcántara. Trybunał wojskowy osądził go jako Jaimego Alcantarę urodzonego w Belchite. Nie powiązali go z Czarną Kurtką.

Nie dostał kary śmierci.

Zawiadamia się prokuraturę, że w wyniku dochodzenia prowadzonego przez Sekcję Polityczno-Społeczną Policji Okręgowej została zdemaskowana i zlikwidowana nielegalna siatka o charakterze wywrotowym, do której należała grupa mieszkańców z tego okręgu. Ich zamiarem była reorganizacja Partii Komunistycznej. Zostali przyłapani na rozprowadzaniu broszury „Poradnik bibliofila”, w którym przedrukowywano artykuły z nielegalnej gazety „Mundo Obrero”.

Przewodniczącym trybunału był pułkownik, dzierżył buławę. Kiedy obrońca usiłował wygłosić swoją mowę, pułkownik uderzał buławą o podłogę.

Najpierw przeczytali listę skazanych na karę śmierci. Imiona, jedno za drugim, szybko. Bez wahania. Potem resztę kar, wymawiano imię sądownego i karę, na którą został skazany.

Jaime Alcántara, trzydzieści lat pozbawienia wolności.

– Mat.

– Szybko się uczysz.

Małe zwycięstwa.

– Zagramy jeszcze raz?

– Później.

Tak, później znowu zagrają. Teraz chce pospacerować po dziedzińcu.

– Pomóc ci?

– Dziękuję, już mogę sam.

Ledwo idzie. Ale idzie. I myśli o Pepicie. Przyjadę z dołą Celią i przywiozę dziewczynkę, napisała mu w ostatnim liście. Nazywa się Tensi, tak jak jej mama. Myśli o Mateo, zobaczy jego córkę; jemu nie udało się jej zobaczyć. Dwa dni. I myśli o Hortensii, kobiecie, która nauczyła się pisać na ścianach w Casa Grande w Don Benito. Nauczyła się pisać tępy

ołówkiem, a on prowadził jej rękę.

– W ten sposób, widzisz?

– W ten sposób, tak. Ale jeśli mnie puścisz, zaczyna mi się mylić i brakuje mi liter albo mam ich za dużo.

– Pisz, ja cię rozumiem. Wiem, która litera jest zbędna, a której brakuje.

– I umiesz dopisać tę, której brakuje, i skreślić tę, która jest zbędna?

– Nie myśl o tym. Musisz tylko zapisać słowo, połączyć ze sobą litery i pomyśleć, że jest dobrze.

– Jasne, tej litery, która jest zbędna tu, brakuje tutaj.

Jaime spaceruje po dziedzińcu. Kończy papierosa i depcze niedopałek. Źle się czuje.

Ledwo może zrobić jeden krok, a już kłuje go w pęcherzu, bolą jądra. Don Gerardo podchodzi do niego. Pomaga mu dojść do szpitala i prosi o termofor.

Jaime przyłoży sobie termofor. Ciepło sprawi, że będzie mógł oddać mocz. Krew. Ból nie minie. I poczuje wściekłość. Wściekłość, bo musi wyzdrowieć w ciągu dwóch dni. Musi o własnych siłach wejść do rozmównicy. Dwa dni. Wściekłość, bo wie, że to będzie niemożliwe, że Pepita zobaczy, jak idzie, opierając się o don Gerarda. Wściekłość.

Tak, wściekłość.

Rozmównica w Centralnym Zakładzie Karnym w Burgos jest smutna i ciemna, ale cicha. Środkiem biegnie korytarz osłonięty po obu stronach dwoma murkami zakończonymi nie metalową siatką, ale żelaznymi prętami sięgającymi pod sam sufit. Osadzeni nie są odwiedzani często, więc strażnicy, którzy pilnują, chodząc po korytarzu, mogą słuchać rozmów wszystkich i przystanąć, żeby wsłuchać się w tę, która najbardziej ich zainteresuje. Pepita i doña Celia czekają. Każda ściska jedną rączkę Tensi. Dziewczynka rozgląda się dookoła z szeroko otwartymi oczyma. Widziała, jak odwiedzający chwytają się prętów, żeby dojrzeć, czy po drugiej stronie wpuścili już więźniów, ale mur im na to nie pozwala. Pepita ją podnosi.

– Tam są.

Doña Celia zobaczyła don Gerarda. Pepita rozpoznaje tylko sylwetki dwóch mężczyzn, jednego opartego o drugiego.

– Gdzie?

– Tam.

Don Gerardo pomaga Jaimemu podejść do prętów. Pepita przytula do siebie dziewczynkę i jednocześnie wydaje z siebie jęk:

– Co oni ci zrobili?

Jaime wyciąga w stronę Pepity prawą rękę między prętami. Ona wyciąga swoją. Nie mogą się złapać, ale czują, że dotykają się koniuszkami palców.

Strażnik każe im się cofnąć. Jaime wpatruje się w niebiesciuteńkie oczy przed sobą.

– Jak długo nie widziałem tego niemożliwego koloru!

– Jakiego koloru?

– Twoich oczu, dziecinko.

Kochasz mnie? zapyta ona. Kocham cię, odpowie on, przytrzymując się prętów, bo nie jest w stanie utrzymać się na nogach.

– Odsuń się, chcę zobaczyć twoją sukienkę.

Pepita cofa się o parę kroków, żeby Jaime mógł zobaczyć jej sukienkę.

Całą w kwiatkach.

I Jaime uśmiecha się, i pyta, czy dziewczynka, którą trzyma na rękach, to Tensi.

To Tensi, tak, mówi Pepita, wracając na miejsce, i prosi dziewczynkę, żeby spojrzała na Jaimego:

– Spójrz.

– Jesteś moim tatusem?

– Nie, maleńka, nie jestem twoim tatusem.

Jest podobna do ciebie, mówi Pepicie, ma twoje oczy. Po czym prosi ją, żeby odebrała spodnie, które dla niej zostawił w paczkarni.

– Włożyłem ci do kieszeni kartkę, na której zanotowałem długość. Żebyś mi je skróciła.

Ona nie wie, że w mankietach nogawek Jaime ukrył manifest, w którym więźniowie proszą, żeby kara śmierci została zniesiona. Jeszcze tego nie wie. Ale się dowie. Odkryje to, kiedy zabierze się do skracania spodni i rozpruje mankiety. I zanieś manifest do Puerta Chiquita, gdzie, jak wie, Reme spotyka się z kobietami, które pracują w Czerwonym Pogotowiu.

Pepita przysuwa się bliżej prętów. Krzyczy, bo przyzwyczała się krzyczeć w rozmównicy w Ventas.

– Przywiozłam ci paczkę i pieniądze.

– Dlaczego krzyczysz?

– Nie wiem.

– Nie przywoź więcej pieniędzy, partia o mnie dba, ty i tak masz dość wydatków z tym aniołkiem.

Kończy się czas widzenia. Strażnik nakazuje więźniom, żeby wracali do cel. Teraz Jaime pyta:

– Kochasz mnie?

– Tak.

– I ja cię kocham, dziecinko.

Don Gerardo pomaga Jaimemu iść. Strażnik zaczyna się niecierpliwić.

– Szybko, idziemy, każdy na swój blok.

Krzyki Pepity docierają do uszu Jaimego, szybując w powietrzu:

– Przyjadę za rok!

Odchodząc, Jaime odwraca głowę do tyłu, do tych niemożliwie niebieskich oczu.

– Pisz do mnie.

Czas się skończył. Jaime widzi, że Pepicie drżą usta, widzi, jak macha ręką.

– Przyjadę za rok, mój kochany.

Teraz nadchodzi czas oczekiwania.

Będą czekali rok, żeby się zobaczyć. Będą pisali do siebie co piętnaście dni. Czekanie. Jaime wraca na blok, opierając się o don Gerarda. Będzie grał z nim w szachy. W tym czasie czeka. Czeką na ocenzone listy Pepity. Czekają na te listy i na listy od dziadka. Czekanie, czekanie. Pampeluna i Madryt, na przemian, jeden list na tydzień. Odpowie na listy. Będzie karmił słowami swoją miłość, żeby przeżyć. I nie jest to takie proste. Słowa, które oszukują brak kogoś, samotność, ale pokazują odległość. Nie, nie jest to takie proste wiedzieć, że za murami więzienia toczy się życie, a on jest tylko nieobecny świadkiem, który dzięki innym bierze udział w wydarzeniach z daleka. Zawsze z daleka.

Nie jest to takie proste, nie.

Miasta mają swoją historię. Ale mają też cudze historie, małe i osobiste, jedną i wiele, historię pisaną przez tych, którzy zachowali ją głęboko w pamięci. Jaime jest w Burgos. Wrócił do miasta, tam gdzie się urodził, gdzie pierwszy raz poszedł do szkoły, gdzie jego matka odganiała strach, siedząc przy wezłowiaku łóżka, gdzie tata uczył go maszerować, ołowiany żołnierz z drewnianą szabelką, gdzie nauczył się czytać i pisać, gdzie po raz pierwszy się bił, gdzie poznał przyjemność ciągnięcia za warkocze, gdzie przekonał się na własnej skórze, co znaczy pasja. Jest w Burgos. I w Burgos nie straci swojej pasji. Nie straci jej, chociaż czasami wydaje mu się, że ją traci. Chociaż czasami wydaje mu się, że Burgos jest bardzo daleko. Z pasją będzie dalej walczył, z Burgos, z daleka, wspominając ojca, wojskowego z pasją broniącego żołnierskiej dyscypliny, wspominając matkę, z pasją opowiadającą bajki na dobranoc. Z pasją będzie brał udział w nocnych rozmowach o polityce u siebie na bloku. Będzie czytał angielskie komunikaty wojenne. Będzie dyskutował z towarzyszami o tym, jak potoczy się wojna światowa. Z pasją będzie świętował posuwanie się naprzód aliantów, wyzwolenie Paryża, wycofanie się wojsk państw Osi i będzie się karmił nadzieją, że rządy państw demokratycznych poprą Narodową Unię Hiszpańską. I będzie to robił z pasją, w więzieniu w Burgos.

Strażnicy siedzą w budkach wartowniczych, w ciepłe grzejników, i odrywają się od swoich spraw jedynie po to, żeby przeliczyć więźniów. Osadzeni mogą swobodnie poruszać się po więzieniu, wyjść na dziedziniec, zejść do kuchni albo gromadzić się na zebraniach politycznych. Jaime przyłączy się do entuzjazmu więźniów na wieść o lądowaniu w Normandii, do optymizmu tych, którzy poszli się spakować, przekonani, że wraz z tym desantem nadszedł kres frankistowskiej dyktatury, i do rozczarowania, kiedy zobaczą, że więzienne kraty pozostają zamknięte pomimo zwycięstwa aliantów. Z Burgos będzie obserwował niemoc republikańskiego rządu na uchodźstwie i wysłuchiwał argumentów, którymi według kierownictwa partii komunistycznej demokratyczne potęgi uzasadniają swój brak interwencji w wewnętrzne sprawy Hiszpanii. Omawiane przez więźniów, zaostrzą od dawna trwający spór między socjalistami, anarchistami i komunistami.

– Mówią o sytuacji w Hiszpanii jako o „hiszpańskim problemie”, możecie to sobie wyobrazić? Jesteśmy tylko tym, problemem.

– Sram na takich demokratów.

– Podetrzyj się potem tym papierem, bo z niego jasno wynika, że to wasza, komunistów, wina. Gdyby wszyscy nie obawiali się, że jeśli wrócimy do Republiki, rządy znajdą się w waszych rękach, nikt nie bałby się państwa satelickiego Związku Radzieckiego na południu Europy.

– Kim są ci wszyscy, jeśli można wiedzieć?

– Nie bądź taki mądry, towarzysz ma rację, to wy żeście spieprzyli sprawę całym tym marksizmem-leninizmem.

– Rozwałę ci mordę.

– Tylko spróbuj.

Kłótnie, do których przyłączali się inni więźniowie. Nowi, którzy dzień za dniem wydłużali listy zatrzymanych i osadzonych. Ostatni towarzysz, który dołączył, przyniósł złe wiadomości:

– To, co wydarzyło się w dolinie Arán, było porażką.

Jaime pomógł mu wyrwać ostatnią drewnianą okiennicę i położyli na niej jego siennik, żeby ochronić go przed zimnem i wilgocią podłogi.

– Trzeba szybko umówić zebranie.

Zwołali walne zgromadzenie. A nowo przybyły opowiedział im o klęsce ofensywy partyzanckiej i zaproponował, żeby porozmawiali o odpowiedzialności Santiaga Carrilla za wycofywanie się z doliny Arán, o roli Jesusa Monzona, jego nieostrożności i zbytym optymizmie. Zarzucał Unii strategiczny błąd w przygotowaniu inwazji, bo wprawdzie miała do dyspozycji siedem tysięcy hiszpańskich partyzantów po stronie francuskiej, ale nie liczyła się z brakiem poparcia w kraju.

– Za bardzo zawierzyli, że wieś się przyłączy, a wieś ma już tego po dziurki w nosie.

– Dziesięć dni trwała ta przygoda, skończyło się.

Z Centralnego Zakładu Karnego w Burgos, z daleka, zawsze z daleka, Jaime weźmie udział ze swoimi towarzyszami w nieudanej operacji przedostania się przez Pireneje.

A z partyzanckiej prasy, którą rozprawdza jeden z funkcjonariuszy więziennych po uprzednim opłaceniu stu pięćdziesięciu peset, dowie się, że Zgrupowania Partyzanckie kontynuują walkę zbrojną mimo klęski.

Dyskusje o polityce sprawią, że będą się czuli częścią czynnego ruchu oporu. Będą pisać manifesty i pisma propagandowe i rozprawdzać je wśród więźniów, i przekazywać na zewnątrz, pokazując w ten sposób, że walka w więzieniach trwa. Jaime weźmie udział w pracach komitetu do spraw agitacji i propagandy i da instrukcje towarzyszom z warsztatów stolarskich, żeby zrobili w skrzyniach podwójne dno, skąd ich żony i narzeczone wyjmą ulotki i rozdadzą je w autobusach i pociągach. I czas będzie im upływał na robieniu tych skrzynek. Dlatego że czas w Burgos nie stanie, choć Jaime doświadcza jego upływu tylko z daleka. Czasowi i pasji Jaimego uda się oszukać mury więzienne, kiedy Pepita otworzy podwójne dno skrzynki w pensjonacie przy ulicy Atocha.

– Jaime.

– Tak, Gerardo?

Jaime trzyma w rękę list od dziadka. Don Gerardo ma drugi. Czekali we dwóch całe popołudnie, ale funkcjonariusz, który rozdaje korespondencję, dzisiaj był leniwy i opóźnił ponad dwie godziny wręczenie listów.

– Zagramy ostatnią partyjkę, kiedy skończymy czytać.

– W porządku.

List od don Javiera jest krótszy niż zwykle. Litery koślawsze. Ręka, która je stawiała, trzęsła się bardziej niż zazwyczaj. W zaledwie kilku liniijkach opowiada wnukowi, Kochany wnuku, że Elvirita przyszła się z nim pożegnać, zanim wyjechała z Hiszpanii, i powiedziała mu, że teraz nazywa się Celia, jak babcia. Dodaje, że on czuje się dobrze mimo zapalenia płuc. Jest niegroźne, pisze mu, niegroźne, nie masz się czym martwić. Ale Jaime nie może przestać się martwić. Słowa dziadka przepelniają go niepokojem. Jego dziadek jest chory. A Celia przebywa w Pradze.

Przeczyta list i gdy tylko skończy go czytać, zacznie czekać na następny.

– Kiedy będziesz gotów, zagramy ostatnią.

Ostatnią, tak. Jego przyjaciel nie będzie już co tydzień czekał razem z nim, grając w szachy, na kolejny list. Nie będzie z nim, raz w roku, czekał na dzień odwiedzin, żeby zejść do rozmównicy, ani nie wróci z nim potem na blok, żeby czekać, aż minie kolejny rok. Dlatego że jego przyjaciel zostanie ułaskawiony tego popołudnia. Jeden z funkcjonariuszy wypowie jego imię i doda głośno:

– Proszę wyjść ze wszystkimi rzeczami!

Wyjdzie ze wszystkimi swoimi rzeczami i ze skrzynką, którą zawiezie Pepicie od Jaimego. Jego towarzysze z bloku będą bić brawo i będą wiwatować na jego cześć, odprowadzając go do wyjścia. Rząd uścisków. Głośny lament. On zarzuci sobie na plecy żołnierski plecak i wręczy Jaimemu szachy.

– Następną zagramy na zewnątrz.

A w drzwiach więzienia będzie na niego czekać doña Celia.

Żeby uczcić powrót męża, doña Celia zaprosiła Pepitę i Tensi na podwieczorek w San Ginés. Gorąca czekolada z *churros*.

– Mogę zjeść tyle *churros*, ile zechcę?

– Tyle, ile chcesz.

Dziewczynka przygryza wargę i podnosi wzrok, licząc, ile *churros* będzie w stanie zjeść. Doña Celia ściska mocno ramię don Gerarda. On łapie ją za rękę. Oboje starają się ukryć emocje przed Pepitą, żeby nie czuła nieobecności Jaimego w obecności don Gerarda. Ale i tak ją czuje, jakby ktoś ją uderzył obuchem, chociaż też stara się ukryć emocje i uśmiecha się, patrząc na Tensi.

– Nie przesadzaj z tym obzarstwem, malutka. Już cię widzę, jak je zjadasz oczyma, i już widzę, jak dzisiaj w nocy złapie cię kolka, że ho, ho.

Tak, Tensi obudzi Pepitę o świcie, przewracając się z boku na bok.

– Uspokoilibyś się wreszcie i przestała mnie kopać, wiercisz się, jakbyś miała owsiki.

– Bo mnie brzuch boli.

– Mówiłam, że nie można być takim łakomczuchem.

Po zwymiotowaniu *churros* i czekolady Tensi szuka pocieszenia w ramionach Pepity.

– Don Gerardo jest moim dziadkiem?

– Tak.

– Ale jeśli ty nie jesteś moją mamą, a on nie jest twoim tatą, nie może być moim dziadkiem.

– Jestem twoją przyszywaną mamą.

– A don Gerardo jest moim prawdziwym dziadkiem czy przyszywanym, jak ty?

– Przyszywanym, ale są tacy przyszywani, którzy są dużo prawdziwsi niż ci najprawdziwsi.

– Dzieci w szkole mają prawdziwe mamy. Ja też chcę mieć prawdziwą mamę.

– Ty masz prawdziwą mamę, która jest w niebie, i drugą przyszywaną, masz więcej mam niż inne dzieci, no dalej, idź spać, bo już bardzo późno.

– Ale co mam powiedzieć dzieciom, które mówią, że to nieprawda, że mam dziadka.

– Powiedz im, że są kłamstwa, które są prawdziwe.

– I zakonnicom też?

– Też, śpij już.

Rano, kiedy Pepita będzie czesać Tensi, dziewczynka przyjrzy się ich odbiciu w lustrze. A po południu, kiedy będą szły do Casa de Campo, żeby spotkać się z Reme, Tensi pociągnie Pepitę za rękę, żeby ciocia na nią spojrzała.

– Prawda, że jestem do ciebie podobna?

– Prawda.

– Jestem do ciebie taka podobna, jakbyś była moją prawdziwą mamą.

Jest niedziela i mimo zimna Casa de Campo jest bardziej przepełniona niż zwykle.

Dochodząc do Puerta Chiquita, grupa kobiet, która udaje, że przyszła na piknik, okrąża Reme.

– Biedaczek.

– Współczuję ci z całego serca.

– Dobrze chociaż, że nie cierpiał.

- Co się stało?
- Synek Reme nagle odszedł.

Pepita toruje sobie przejście do Reme, a kobiety, które zostają za jej plecami, lamentują:

- Wiadomo, że tym aniołkom serduszko nie bije długo.
- Ale nigdy nikt nie może być na to przygotowany.

– A już na pewno nie ona, która oplakuje lata spędzone w więzieniu. Mówi, że je straciła, nie mogąc zajmować się swoim dzieckiem, i że była złą matką.

- Nie była złą matką.
- Reme przytula się do Pepity.

– Mój synek.

– Teraz jest w niebie. Jest aniołkiem w niebie i jest mu dużo lepiej niż tutaj. Dużo lepiej niż nam wszystkim, Reme.

Kobiety starają się pocieszyć matkę, która straciła dziecko. Potem otwierają koszyki, wyjmują żywność, którą udało im się zgromadzić, a Reme rozdziela ją do paczek, które wysła więźniom niemającym rodzin.

- Nie za dużo tego.

Nie za dużo. Nie.

- Czy któraś z was przyniosła pieniądze?

Pepita ma pieniądze. I ma też manifest w skrzynce, którą Jaime podał jej przez don Gerarda.

- Trzeba to wysłać za granicę, żeby opublikowały gazety.

Jeszcze przed końcem roku manifest zostanie opublikowany. Skrzynki z warsztatów stolarskich spełnią swoją funkcję gołębi pocztowych i Pepita, nie mając takiego zamiaru, stanie się kolejnym członkiem podziemnej partii komunistycznej, chociaż nigdy do niej oficjalnie nie wstąpi.

- Robię to dla Jaimego, wie pani. Nic waszym nie zawdzięczam, pani Reme.

Z przyjemnością posłałabym ich wszystkich, gdzie pieprz rośnie.

Robi to dla Jaimego. Znosi do Casa de Campo wiadomości, które on jej przesyła, rozbija skrzynki i znosi je na targ staroci albo odwiedza w imieniu Czerwonego Pogotowia sklepy z żywnością, które wskazuje jej Reme, żeby zapełnić swój koszyk, dla Jaimego. I część pieniędzy, które zarabia szyciem, odkłada, żeby dać Reme, bo wie, że ona rozprowadzi je między więźniami. A Jaime jest więźniem. I zawsze wzbrania się przed przyjęciem od niej pieniędzy, które zawozi mu raz na rok. Pepita spotyka się z Reme w Puerta Chiquita dla Jaimego. Ale każdego miesiąca przychodzi na spotkanie, odżegnując się od partii.

- Wasi nie dali mi nic prócz nieszczęść, pani Reme.

– Kochana, nie przesadzaj.

– Nieszczęścia, zapewniam panią, same nieszczęścia, i nie mam do was za grosz zaufania, za dużo polityki i choćby nie wiem co się stało, nie będę wam nic zawdzięczać, nic a nic.

- Miejmy nadzieję, że nastanie wreszcie wolność, na którą wszyscy czekamy.

– Ja tam czekam tylko, żeby wreszcie skończyło się całe to pasmo nieszczęść.

Nieszczęścia.

Sprawcą ostatniego nieszczęścia Pepity było arcybiskupstwo, które miesiąc temu odmówiło jej sakramentu małżeństwa, dlatego że jej narzeczony jest komunistą. Jaime podpisał pełnomocnictwo, w którym wyznaczał don Gerarda, żeby w jego imieniu i reprezentując go, zawarł pełnoprawne małżeństwo z Pepitą. Ale kapelan Centralnego Zakładu Karnego w Burgos powiedział mu, że musi wyrzec się swoich politycznych przekonań, zanim weźmie ślub. Jaime się nie zgodził. Arcybiskup mówi, że wina jest w tobie, dodał kapelan. Ja się tym zbytnio nie

martwię, ale moja narzeczona będzie bardzo zawiedziona, odpowiedział mu Jaime, po czym zapytał go, czy z jakiegoś powodu zrzuciłby sutannę. Kiedy ksiądz odpowiedział, że w żadnym wypadku, Jaime poprosił go, żeby zrozumiał, że jeśli ktoś jest komunistą, też nie wyrzeka się swojej ideologii.

– Widzi pani, Reme. Teraz jestem narażona na to, że kiedy przyjadę do Burgos, jak w zeszłym roku, nie pozwolą mi wejść, bo nie jestem żadną rodziną, i będę musiała odejść jak niepyszna, nie mogąc się z nim widzieć. Co za rozczarowanie, i ja z tym muszę żyć, bo nikt mnie od tego nie uwolni. A rozczarowanie, którego on doświadczył; nawet nie chce mi się o tym myśleć. Cały okrągły rok, co to się mówi, że mija szybko, będę czekać, oszczędzać na podróż, a gdy tam dotrę, nie będę mogła go zobaczyć ani przez chwileczkę, chociaż wydam pieniądze, a nie mam ich za dużo i mogłabym je przeznaczyć na coś innego. Bo teraz okazuje się, po tych wszystkich latach, że nie jestem rodziną, a arcybiskup nie daje pozwolenia, żebym się nią stała, bo mój narzeczony ma takie a nie inne przekonania polityczne. Więc niech mi pani nie mówi, że politykę uprawia się dla wolności, bo wolność to ja widzę tylko wtedy, kiedy dzieci przeskakują kałuże i chlapią się, aż miło.

Nie lubi polityki. Lubiłaby żyć w spokoju. Chciałaby być w Kordowie. I żeby Jaime nie był więźniem. Pepita nie lubi rzeczy, których nie rozumie, i przychodzi na spotkania co miesiąc, rok w rok, przynosząc to, co może, ale nie rozmawia o polityce. Ożywia się, kiedy towarzyszki wspominają o śmierci synka Reme, o ślubach trzech córek, które do niedawna były jeszcze pannami, albo o tym, jak szybko rośnie Tensi. Nie lubi dyskusji o polityce. Włączy się do rozmowy, kiedy kobiety będą się wymieniać uwagami na tematy, które rozumie, albo kiedy Reme przyjdzie i powie, że wreszcie udało jej się oddać walizkę Elvirze, rudowłosej dziewczynie, która przystała do partyzantki i walczyła z bronią w rękę, odważniejsza niż kiedykolwiek, dopóki nie wysłali jej do Czechosłowacji. Albo kiedy opowie, że Sole, akuszerka z Peñaranda de Bracamonte, i jej jednooka córka wyemigrowały do Meksyku i współpracują z rządem republikańskim, albo kiedy oznajmi, że Antoñita Colomé, śpiewaczka, która pomogła Sole i Elviricie w ucieczce, musiała zbiec do Francji, bo powiedziała pewnemu falangiście, że cała jej krew jest czerwona.

Ale kiedy kobiety rozmawiają o aliantach, którzy wygrali swoją wojnę i to im wystarczy, oburzone tym, że nie interweniują na terytorium hiszpańskim, i komentują, że założyli Organizację Narodów Zjednoczonych, wyłączając Hiszpanię, Pepita milczy jak grób. I kiedy nadejdzie wiadomość, że Argentyna, Portugalia, Republika Dominikany i Stolica Apostolska są jedynymi krajami, w których zachowały się hiszpańskie ambasady, mimo że ONZ zapowiedziało zerwanie z nimi stosunków dyplomatycznych, Pepita w dalszym ciągu będzie milczeć. Będzie się rozglądać wokół i w ciszy przysłuchiwać uwagom swoich koleżanek o izolacji, na którą kraje demokratyczne skazały Hiszpanię, o kryzysie gospodarczym, o wsparciu Argentyny, o wizycie Ewy Duarte, o przysyłanej przez Perona soczewicy.

Pepita w ciszy będzie się przysłuchiwać podwieczorkom w Casa de Campo, rok w rok, trzymając za rękę Tensi. A ona będzie rosła i rozumiała słowa, których Pepita nie chce rozumieć. Pepita zauważy, że dziewczynka słucha uważnie wszystkiego i po zebraniach szuka Reme, żeby opowiedziała jej o mamie.

– Była odważna, bardzo odważna.

Pepita zauważy, że Tensi patrzy na Reme z podziwem.

I że zacznie zadawać pytania, które jej się nie podobają.

– Co to jest komórka, Reme?

I przestanie przyprawiać ją na zebrania.

– Dlaczego nie przyprawiasz już dziewczynki?

Zapytają ją.

A ona odpowie, że dziewczynka się nudzi, żeby nie powiedzieć, że jest za mała, by wciągać ją do polityki. I ona nie pozwoli jej wciągać.

I będzie słuchać swoich towarzyszek, nie odzywając się, i poczuje, że włochata, czarna jak smoła pajęczycza zaczyna tkąć wokół niej lepka sieć, i przestraszy się, że jej siostrzenica siedzi teraz w domu i drapie miejsce ukąszenia.

- Pepito.
- Co?
- Bujasz w obłokach.
- Zamyśliłam się.

Zebranie w Puerta Chiquita dobiegło końca. Pepita słucha z radością, że Tomasa ma już łóżko. Więzienie Ventas rozluźniło rygor i każda osadzona ma teraz swoje miejsce i swoją pryczę. Tomasa napisała do Reme i Reme odczytała jej list. Pepita słuchała słów towarzyszki, która nazywa Reme siostrą. Potem dowiedziała się, że z powodu coraz mniejszej liczebności ostatnie Zgrupowania Partyzanckie zostaną rozwiązane.

- Są coraz bardziej przetrzebieni przez Gwardię Obywatelską.
- I coraz mniej popierani przez swoich łączników z El Llano.
- Walka zbrojna już nie ma sensu.

Walka zbrojna już nie ma sensu. I Pepita myśli o Hortensii, która zginęła, wierząc w walkę z bronią w ręku, odważniejsza niż kiedykolwiek. I myśli o tych, którzy zginęli na wzgórzu Cerro Umbría, o krwi, po której stąpała na stacji tego dnia, kiedy poznała Czarną Kurtkę, o fotografiach tych, którzy mieli zamknięte oczy i otwarte usta.

- Ale słyszałaś cokolwiek?
- No tak, że zakończyła się walka partyzancka, bo już nie ma sensu.
- Czyli słyszałaś połowę. Chodź, pójdziemy razem do metra, po drodze wytłumaczę ci to, co przegapiłaś.

Tak, usłyszała połowę. Pepita zaczęła myśleć o tych, którzy zginęli, kiedy kobiety informowały, że za rok będzie Rok Święty Jakubowy. Myślała o tych, którzy nie żyją. I myślała o przeklętej partii, która bezsensownie podtrzymała partyzantkę przez długie lata, żeby pokazać swoją siłę, zwrócić na siebie uwagę, żeby wielu z nich zginęło, odważniejszych niż kiedykolwiek, bez sensu.

I kiedy idą do metra, Reme tłumaczy jej, że pozostali na wzgórzu mężczyźni i kobiety są bardzo nieliczni.

- Wycierpieli już swoje, teraz powinni się rozejść. Naszą walką jest teraz polityka, i tylko polityka.

Walką jest polityka, a ci, którzy walczyli z bronią w ręku i są martwi albo w więzieniu, albo w niebezpieczeństwie.

- Za rok będzie Rok Święty Jakubowy.
- I co z tego?
- Musisz napisać list.

Musi napisać list, dlatego że w przyszłym roku jest Rok Święty Jakubowy i wszystkie rodziny więźniów napiszą do Jego Eminencji Kardynała, Arcybiskupa Santiago de Compostela, aby poprosił rząd o ułaskawienie.

Pepita ma poprosić o ułaskawienie Jaimego.

Reme poprosi o ułaskawienie Tomasy, jej siostry, Estremadurki o oliwkowej cerze, która ma już łóżko.

Pepita napisze list. I siódmego stycznia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku otrzyma potwierdzenie doręczenia, w którym kardynał Quiroga Palacios pozdrawia i błogosławi

Josefę Rodríguez Garcíę i zawiadamia, że zwrócił się z gorącą prośbą o ulaskawienie, o które wyżej wymieniona ubiega się w swoim liście, i otrzymał odpowiedź rządu, który obiecał z troską pochylić się nad petycją, i poleca nas wszystkim opiece Najwyższego. Niech więc Najwyższy ma nas w swojej opiece, niech On nam dopomoże, pisze na zakończenie zamiast pożegnania.

Niech ma nas w swojej opiece. Najwyższy. Pepita powtarza to zdanie i tego samego popołudnia udaje się do kościoła Świętego Judy Tadeusza z banknotem jednopesetowym na jałmużnę. Niech ma nas w swojej opiece. Jest wtorek i kolejka do kościoła ciągnie się aż do placu Świętego Krzyża. Niech Najwyższy nam dopomoże. Pepita czeka cierpliwie, powtarzając swoją prośbę. Niech nam dopomoże. Wejdzie do kościoła, kiedy nadejdzie jej kolej. I zapali świeczkę. Niech ma nas w swojej opiece. I wrzuci do skarbonki jedną pesetę, wpatrując się w figurę świętego.

– Wyciągnij ku nam pomocną dłoń, święty Judo Tadeuszu.

Ułaskawienie, którego udzielił rząd z okazji Roku Świętego Jakubowego, nie objęło Jaimego. Pepita pisze kolejny list. Tym razem odpisuje jej osobisty sekretarz Jego Eminencji Kardynała, Arcybiskupa Santiago de Compostela, prezbiter Jesús Precedo Lafuente.

Odpisuje na niespełna stroniczce:

Sekretarz pozdrawia Doñę Josefę Rodríguez Garcíę, błogosławi ją i w imieniu JE pragnie ją poinformować, że JE kardynał otrzymał jej list dnia 3 bieżącego miesiąca, i prosi mnie tym samym, abym poinformował ją, że w swoim czasie wystąpił do odpowiednich władz, prosząc o wydanie dekretu ułaskawiającego, mogącego objąć jak największą liczbę więźniów, żeby upamiętnić tegoroczny Rok Święty Jakubowy. JE ubolewa nad tym, że jej bliski nie został objęty tym dekretem, i jednocześnie pragnie poinformować, że jej imię zostało odnotowane, na wypadek gdyby nadarzyła się jeszcze okazja, by JE mógł wstawić się w jej imieniu. Żegna się z nią z wyrazami szacunku i zapewnia o modlitewnej pamięci, udzielając swojego pasterskiego błogosławieństwa.

Pepita czyta list na głos. Jaime słucha i wbija wzrok w podłogę po drugiej stronie korytarza. Kiedy Pepita skończy czytać, Jaime podniesie wzrok i zobaczy strażnika, który się przed nim zatrzymał.

– Bardzo mi przykro. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

Pepita nie może powstrzymać łez. Jaime wskazuje na nią głową i prosi funkcjonariusza:

– Pozwól mi ją pocieszyć.

– Nie mogę.

– Owszem, możesz.

– I tak już ją wpuszczam, mimo że nie jesteście po ślubie, nie proś mnie o więcej.

– Jeżeli cię o więcej nie poproszę, to ty też nic ode mnie już nie dostaniesz. Nigdy.

Rozumiesz?

Tak, rozumie. Strażnik zajmuje się przekazywaniem podziemnej prasy i partia płaci mu hojnie za usługi. A Jaime daje mu dodatkowy napiwek, raz w roku, żeby poczekał na Pepitę w wejściu i wpuścił ją do rozmównicy, zanim inny strażnik każe jej pokazać książeczkę rodzinną.

Kobiecie o niemożliwie niebieskich oczach nie udaje się usłyszeć, o czym rozmawiają dwaj mężczyźni, ale z oczu Jaimego bije taki upór, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziała. Jaime wstaje.

– Dasz mi pięć minut.

– Nie masz pojęcia, o co mnie prosisz.

– Pięć minut.

Pepita wstaje i przysuwa się do prętów. Widzi strażnika idącego korytarzem w kierunku wyjścia i Jaimego wychodzącego z rozmównicy. Parę minut później funkcjonariusz, ten sam, który chodził po korytarzu, bierze ją pod rękę.

– Proszę ze mną.

Na końcu wąskiego korytarza są drzwi. Pepita wie, że po drugiej stronie tego korytarza czeka Jaime. Wie. Nie wie skąd, ale wie. Idzie w stronę drzwi prowadzona przez funkcjonariusza, który nie puszcza jej ramienia.

I rzeczywiście.

Jaime.

Strażnik otworzył drzwi.

– Macie pięć minut.

Pięć minut. Po raz pierwszy od tylu lat czas dla Jaimego zaczyna się liczyć; liczyć, i biegnie bardzo szybko u boku Pepity, chociaż jest to tylko pięć minut.

Ona przysuwa się do niego.

– Z bliska jesteś jeszcze piękniejsza.

Gładzi ją po policzkach i szuka jej spojrzenia.

– Zostało mi jeszcze tyle lat, stracisz młodość, jeśli będziesz na mnie czekać.

– A ty z bliska jesteś jeszcze głupszy. Nie mów nic, lepiej mnie pocałuj.

Bez pośpiechu. Będą się całować bez pośpiechu. W ciszy i bez pośpiechu przytulą się, złapią za ręce, będą patrzeć na swoje splecione palce i uśmiechną się do siebie, zanim znowu złączą swoje usta. Przez pięć minut.

Kiedy funkcjonariusz otworzy drzwi, Jaime poprosi go o jeszcze jedną minutę.

– W porządku, ale tylko minutę.

Minutę dłużej, żeby Jaime mógł ją znowu pocałować. Czuć jej usta, algi falujące pod powierzchnią morza, przez minutę.

Odchodzi.

Upłynie wiele lat, zanim znowu będzie mógł ją pocałować.

Odchodzi.

Funkcjonariusz zamknął już drzwi.

Pepita odbiera skrzynkę, którą Jaime zostawił jej w paczkarni, i wychodzi z więzienia w Burgos smutniejsza niż kiedykolwiek.

Smutniejsza niż kiedykolwiek pójdzie na przystanek, a autobus zabierze ją do Burgos. Smutniejsza niż kiedykolwiek wsiądzie do pociągu do Madrytu. I kiedy pojawi się w pensjonacie przy ulicy Atocha, ze swoimi niebieściuteńkimi oczyma smutniejszymi niż kiedykolwiek, doña Celia i don Gerardo przestaną notować przychody i rozchody w księdze rachunkowej, wstaną zza stołu w kuchni i przerwą próbę wyliczenia miesięcznego bilansu, zaniepokojeni smutkiem, który odkryją w spojrzeniu Pepity.

- Co ci się stało, córeńko?
- Nic mi się nie stało, pani Celio.
- Jak się czuje Jaime?
- Tak sobie.

Tensi zostawi rozłożone na łóżku niebieskie zeszyty swojej mamy, kiedy usłyszy głos Pepity. Zanim wyjdzie z pokoju, zatrzyma się przed lustrem garderoby, przewiąże się w talii grubą tasiemką z satyny i stanie na palcach. Po czym zbiegnie ucałować dopiero co przybyłą.

- Jadłaś?
- Nie.
- Chodź, siadaj, zaraz ci nałożę, królik w pomidorach, zobaczysz jaki dobry, sama ugotowałam.

- Naprawdę?
- Naprawdę, naprawdę.

Królik w pomidorach bardzo smakował Pepicie. Wstała od stołu, żeby zmyć po sobie talerz. Don Gerardo udał się na drzemkę.

- Zobacz, mamó.
- Tensi stanęła na czubkach palców i przysunęła swoje ramię do ramienia Pepity.
- Prawie taka jak ty.
- Jeszcze trochę ci brakuje.
- No dalej, zostaw ją w spokoju i rośnij sobie spokojnie.

Doña Celia zabrała Pepicie talerz z rąk.

- Wyglądasz na zmęczoną. Prześpij się trochę, ja pozmywam.

Była zmęczona, tak, ale nie mogła zasnąć. Jaime w paczkarni zostawił jej drewnianą skrzynkę.

- Muszę zanieść skrzynkę do Puerta Chiquita.
- Pójdę z tobą.
- Nie.

Już od jakiegoś czasu Pepita wzbraniała się, żeby zabierać Tensi na zebrania w Casa de Campo, ale ona zawsze nalegała.

- Pozwól mi iść.
- Zostaniesz z babcią.
- Zabierz mnie, wcześniej mnie zabierałaś.
- A teraz już nie, rozumiemy się?
- Ale, ale dlaczego?

– Jesteś nudna jak flaki z olejem, a dzisiaj nie mam ochoty na kłótnie.

Poszła sama udawać, że bierze udział w pikniku, a do koszyka włożyła ulotki, które miała przekazać Reme.

Jedna z kobiet przyniosła butelkę jabłecznika i szklanki. To był dzień świętowania i czekały na Reme, żeby wypić zdrowie ułaskawionych więźniów. Tomasa była jednym z nich. Estremadurka o oliwkowej cerze wyszła z więzienia Ventas z podniesioną głową, zaciskając w dłoni tobolek ze swoimi nielicznymi rzeczami i obawiając się do końca, że drzwi się przed nią nie otworzą.

Dygotała.

Tomasa trzęsła się od momentu, w którym zaczęła zbierać swoje rzeczy. I trzęsła się przez cały ranek, kiedy czekała na funkcjonariuszkę, która miała odprowadzić ją do wyjścia. Josefina starała się ją uspokoić.

– Kobieto, uspokój się.

– Strasznie dużo czasu im to zajmuje, do licha.

– Nie bój nic, przyjdą.

Siedząc na łóżku, obejmując tobolek, trzęsła się. Nie mogąc zapanować nad swoim niepokojem, usiłowała wychwycić dźwięk zamka drzwi prowadzących na główny korytarz. Josefina usiadła obok niej. Ale zaraz wstała, słysząc jęk dobiegający z przylegającej celi.

– Znowu płacze.

Tak, znowu płakała jej towarzyszka z celi, kobieta z Grenady, która spędziła w więzieniu dwadzieścia lat i wybuchnęła płaczem, kiedy odkryła, że przechodzi menopauzę. Płakała już od ponad piętnastu dni. Josefina starała się ją pocieszyć. Kochana, lepiej dla ciebie, zapewniała ją. A Grenadyjka jęczała, że jej mąż chciał mieć dzieci i ona też i że niecały rok, który spędzili razem, starali się o nie.

– A teraz mi się to przytrafiło, gdy za niecałe dwa miesiące wychodzę.

Tomasa dygotała. Docierały do niej głosy z celi obok, ale jej uszy nasłuchiwały uważnie dźwięku zamka kraty. Zadzźwięczały klucze. Zazgrzytał zamek. Stukot butów strażniczki dotarł do Tomasy. Tomasa się trzęsła. Wstała z tobołkiem w rękę. Zamknęła oczy. Wstrzymała oddech i czekała w swojej celi. Dygocze, myśli, wątpi i boi się, że strażniczka ją minie.

Ale nie.

Strażniczka wymawia jej imię. I Tomasa żegna się ze swoimi towarzyszkami. Przytuliła Josefinę, kobietę, która nie poznała swoich córek w święto Matki Boskiej Miłosierdzia, i Grenadyjkę, która nigdy nie zostanie matką. I idzie wolno w stronę drzwi za Mercedes, do ostatniej chwili bojąc się, że to nieprawda. Ale drzwi otwierają się przed nią. Drzwi klatki zostały otwarte.

Zanim Mercedes przekręciła klucz, ucisnęła jej rękę, a Estremadurka nadstawiła policzek. Strażniczka ją pocałowała. Przekręciła klucz. Powiedziała po cichu:

– Cieszę się. Naprawdę się cieszę, że możesz stąd wyjść.

Otwarte drzwi klatki zamknęły się za plecami Tomasy. Mercedes została w środku, w dalszym ciągu upinała włosy w kok w kształcie banana.

Reme czekała na siostrę po drugiej stronie. Przeszła przez ulicę, gdy zobaczyła wychodzącą niepewnie Tomasę, i ruszyła do niej szybkim krokiem oparta na ramieniu Benjamina. Biedny Benjamín.

Tomasa przytuliła się do niej.

– Reme, twoje krzeselko rozsypało się kilka lat temu. Wiele razy je naprawiałam, ale znowu się rozsypało, draństwo jedno.

– O czym ty mówisz?

- Twoje krzeselko, to wiklinowe.
- Daj spokój z krzeselkiem. Co chcesz zrobić, Tomaso? Co chciałabyś zrobić najpierw?
- Chcę zobaczyć morze.

Chce zobaczyć morze. I idzie wolno do Casa de Campo oparta na ramieniu Reme. Krok za krokiem. Powoli. Reme się uśmiecha. Patrzy na Benjaminą. On odpowiada jej uśmiechem. Wspólnicy, którzy wiedzą, że to nie z powodu wieku Tomasa nie może iść, nie potykając się. Wspólnicy, którzy wiedzą, że Estremadurka, która wyszła z Ventas z siwiuteńkimi włosami i skórą bardziej oliwkową niż kiedykolwiek, musi nauczyć się chodzić.

- Zobacz, co mam, Reme.

Tomasa pokazuje jej czarną główkę od paska Joaquina. Prezent, który zawsze nosiła w kieszeni na pamiątkę Trzynastu Róż.

- Należy do nas obu. Teraz chcę, żebyś ty ją miała.

Na troje starszków czeka w Puerta Chiquita toast.

- Za wolność!
- Za wolność!
- Za wolność!

I kiedy kończy się zebranie, Pepita pożegna się na zawsze z Reme i z Benjaminem.

Na zawsze, tak, bo Reme i Benjamín postanowili wrócić do swojej wioski.

- Wracamy na wieś.

- Jak to?

– Widzisz, zawsze mówiłam, że nigdy nie wrócę. Ale jesteśmy już starzy i chcemy wrócić. Tak więc wracamy, a co.

Wracają do siebie na wieś i zabierają Tomasa, dlatego że Tomasa chce zobaczyć morze, a ich dom jest nad morzem.

Pewnego dnia Pepita też wróci do domu. Pewnego dnia, kiedy Jaime będzie mógł wypić toast za wolność, wróci do Kordowy. Ale zanim to się stanie, będzie uczęszczać na zebrania w Puerta Chiquita, tęskniąc za Reme. I co roku będzie jeździć do Burgos, tęskniąc za Jaimem.

Ale pewnego dnia Pepita wróci do Kordowy.

- Jeżeli chcesz jechać, pojedziemy.
- Naprawdę?
- Pojadę z tobą, dokąd zechcesz, dziecinko.

Uśmiech Pepity sprawia, że Jaime też się uśmiecha.

– Mam dom. I mam klucz od domu. Trzeba będzie kupić trochę sprzętów, umeblować choćby sypialnię, chciałabym mieć własne łóżko i własny materac. Pobierzemy się i pojedziemy do Kordowy.

Ona śniła na jawie, a on pozwalał jej marzyć.

Z czasem straci entuzjazm. Dotknie brody, kiedy będzie wracać powoli na ziemię ze swojego snu. Odgarnie niesforny kosmyk delikatnym melancholijnym gestem, powie, że jeszcze czas, żeby pomyśleć o domu, i zapyta Jaimego, jak się czuje jego dziadek:

- Jak się miewa? Już wydobrzył?
- Mój dziadek nie żyje!
- Mój Boże!
- Okłamał mnie.
- Nie mów tak.

Okłamał go, tak. W listach zawsze pisał, że czuje się lepiej.

– Nie pozwalają mi napisać do siostry. Zostawiłem ci drewnianą skrzynkę, żebyś mogła ją sprzedać na targu staroci.

Pepita wyniesie z więzienia list ukryty w podwójnym dnie drewnianej skrzynki, którą zabierze na targ staroci pewnego niedzielnego ranka. Dostarczy list do Puerta Chiquita, a tam zajmą się przekazaniem go do Pragi.

List będzie szedł ponad dwa miesiące, zanim rudowłosa dziewczyna, która przestała przypominać chłopca, weźmie go w swoje ręce, ale dotrze. A Jaime będzie wiedział, że dotarł, kiedy otrzyma odpowiedź na dnie koszyka, który przyniesie mu Pepita następnym razem, podczas kolejnej wizyty, za rok.

Odpowiedź siostry sprawi, że Jaime odkryje w swoim życiu pustkę, którą może zapełnić tylko słowami. Słowami. Słowami, które Celia napisze, kiedy list od Jaimego dotrze do Pragi. Słowami, dzięki którym on się dowie, że list dotarł, że ona wzięła go do rąk podekscytowana. I przeczytała go, w salonie swojego domu, pod czujnym wzrokiem męża. Słowami, dzięki którym on się dowie, że Elvira w dalszym ciągu nazywa się Celia.

Jej brat nazywa ją dziecinką. Kochana dziecinko. Pisze do niej dziecinko i zawiadamia ją, że don Javier Tolosa zmarł. Nasz dziadek zmarł, kochana dziecinko.

Żal przeszywa powietrze. W Pradze. Westchnienie. Celia chroni się w ramionach męża. Szuka pocieszenia w jego sile, w dłoniach, które głaszczą ją po plecach, w bezpieczeństwie, które czuje, kiedy słyszy, jak on mówi jej do ucha:

- Ty poradzisz sobie ze wszystkim, Celio Gámez.

Poradzisz sobie ze wszystkim. I Elvira napisze do brata. I wypełni słowami pustkę lat, przez które się nie widzieli. Opowie mu, że po katastrofie na Pico Montero walczyła nadal, a po fiasku operacji w dolinie Arán przystała do partyzantów, którzy przybyli z Francji. Opowie mu, że brak wsparcia dla partyzantki zmusił ją do rezygnacji. Opowie mu, że zakochała się w Konusie w dniu, w którym zabili Matea. Dobrze pamięta ten dzień. Zbiegała ze wzgórze

z pistoletem w ręku, oplakując śmierć Matea.

I zgubiła się.

W krzakah odnalazł ją Konus. Jego czarne spojrzenie przeszło ją na wskroś. Okazał jej czułość. W jego ramionach przestała płakać. Kiedy zapadła nad nimi noc, Konus powiedział, że wraca na Pico Montero; chciał odzyskać broń i amunicję, którą zostawili w magazynie z zaopatrzeniem.

– Idę z tobą.

I wrócili na wzgórze.

Gwardia Obywatelska zostawiła kilku swoich na straży. Konus ich zobaczył. Celia nie wie jak. Wie tylko, że kiedy we dwoje wspinali się po północnej ścianie, on odwrócił głowę, naciągnął mocniej na głowę kapelusz, który zawsze nosił, przyłożył karabin do policzka, pokazał jej jamę w pobliskich skałach i nakazał ręką, żeby za nim szła. Kiedy dotarli do kryjówki, powiedział ściszym głosem, prawie szepcząc:

– Zostawili strażników. Poczekaj tu na mnie. Za nic na świecie nie ruszaj się stąd, dopóki nie wrócę.

Celia stała w ukryciu przy wejściu do skalistej jamy przez długie godziny. A Konus nie wrócił.

Dwa miesiące później, kiedy Celia przystała do Zgrupowania Partyzanckiego z Estremadury i Centrum, powiedzieli jej, że Konus zginął, próbując odzyskać broń na Pico Montero.

Celia opisała bratu głęboki smutek towarzyszy, którzy przekazali jej tę wiadomość, i żalobę, którą nosiła w sercu przez dziesięć lat. Podniesie wzrok znad listu, przypominając sobie tamten ból.

Napisze, żeby jej brat mógł przeczytać list za rok. Żeby pustka czasu zapełniła się słowami. Żeby Jaime dostał, rok później, odpowiedź na list, który Pepita wyniesie z więzienia w denku drewnianej skrzynki. Skrzynki, którą sprzeda potem na targu staroci. Napisze Celia, przypominając sobie uśmiech Konusa w tamtą gorącą noc dawno temu. Przypominając sobie, jak rozgarnęła gałęzie i napotkała jego czule spojrzenie, szukające jej spojrzenia, i jego uśmiech.

Napisze, przypominając sobie zimno innej nocy, nie tak dawnej, kiedy partia uznała za konieczne rozwiązać Zgrupowania Partyzanckie i wysłano ją do Czechosłowacji, i dotarła pociągiem do Pragi wycieńczona podróżą na wygnanie.

Na stacji będzie na ciebie czekał towarzysz, jest niski i nosi kapelusz, tak jej powiedzieli.

A jemu kazali odebrać ze stacji Hiszpankę, która przyjeżdżała o dziewiątej. Towarzyszkę, która będzie miała czerwoną wstążkę przywiązaną do rączki brązowej walizki.

Po roku Jaime dowie się, że Celia przyjechała do Pragi ze wstążką przywiązaną do walizki ich mamy.

I schodząc na peron, Celia zobaczyła Konusa.

Zdziwił się, widząc ją, i uśmiechnął się do niej.

Oboje zdziwili się tym spotkaniem.

Celię przeszło spojrzenie ciemnych oczu Konusa, poczuła jego czułość. I postawiła na ziemi walizkę, na której widniały ślady wielu podróży.

– Chodźmy, idziemy. Dlaczego płaczesz?

– Czemu po mnie nie wróciłeś?

– Wróciłem, ale ciebie tam już nie było.

– Tak?

Tak, Konus wrócił do jamy o świcie, zaledwie piętnaście minut po tym, jak Celia zdecydowała się wyjść z ukrycia. Kilka miesięcy później, kiedy wstąpił do Zgrupowania

Partyzantów z Levante i Aragonii, jemu także powiedziano, że Celia zginęła, kiedy starała się przedostać do Francji przez Pireneje. Przez dziesięć lat oboje sądzili, że drugie nie żyje. Na stacji Celia nie mogła powstrzymać łez.

– Chodź, Celio, Celio Gámez.

– To tak daleko, a ja już nie mam siły.

Konus ją przytulił.

Poczuła jego dłonie na swoich plecach. I jego głos szepczący jej do ucha.

Poradzisz sobie ze wszystkim, powiedział jej, i poradzisz sobie ze mną.

Minie rok, zanim Jaime dowie się, że Celia i Konus pobrali się w Pradze. Minie rok, zanim dostanie list od Celi. Rok, tyle czasu będą szły słowa, które ukoją niepokój Jaimego, jego smutek, dłużące się godziny Jaimego uciekającego co noc przed powtarzającym się koszmarem, w którym kwiatki z sukienki Pepity spadają na podłogę.

– Do Kordowy?

– Tutaj wszyscy się nie pomieścimy, pani Celio. Kiedy Jaime wyjdzie na wolność, wyjeżdżamy. Chcę mieć swój dom, on też.

– Kiedy Jaime wyjdzie na wolność, porozmawiamy, jeszcze dużo czasu zostało, córeńko.

– To już ustalone, pojedziemy do Kordowy.

Dwie kobiety rozmawiały, kręcąc się między jadalnią a kuchnią, zanosząc talerze i szklanki, nakrywając stoły.

– Jaime będzie chciał jechać do Kordowy?

– Powiedział, że pojedzie za mną, dokądkolwiek zechcę.

– A Tensi? Zabierzecie ze sobą Tensi?

Tensi czytała dzienniki mamy w swoim ulubionym kącie. Światło wpadające przez balkon oświetlało jej pogrążoną w myślach twarz. Pepita obserwowała ją, napełniając szklany dzbanek w zlewie, pod kranem z zimną wodą. Lubiła obserwować jej minę, kiedy zaczytywała się niebieskimi zeszytami. Czowała, że mama towarzyszy córce. Że łączą je słowa, które Hortensia napisała dla Tensi. Już od lat czyta je po cichu, oparta zawsze o tę samą balustradę balkonu. Kiedy Pepita tak na nią patrzy, ma wrażenie, że jej mama też ją widzi. I uśmiecha się, bo Tensi wyrosła na piękną dziewczynę. I Hortensia też pewnie na nią patrzy zachwycona, tak jak patrzy na nią Pepita.

Doña Celia weszła do kuchni. I prosi Tensi, żeby jej pomogła:

– No dalej, nie leń się i nakryj dla nas do stołu.

Był pierwszy maja, więc don Gerardo nie będzie z nimi jadł obiadu. Jak co roku policja zjawiała się wcześniej rano w pensjonacie i zabrała go na komisariat. W ten sposób starają się zapobiec pierwszomajowym demonstracjom, zamykając wszystkich, co do których istnieje podejrzenie, że mogliby chcieć zakłócić porządek. On jest przyzwyczajony, doña Celia także. Czekają razem w przedpokoju, aż zadzwoni dzwonek do drzwi, żeby policja stała przed ich drzwiami nie dłużej, niż to konieczne. Ona go pocałuje i da mu kanapkę zawiniętą w brązowy papier. I czeka przez cały dzień, aż nadejdzie noc. W środku nocy on wróci do domu.

– Tensi, słyszysz, co do ciebie mówię?

– Tak, babciu.

– No dalej, rusz się.

Pepita skończyła napełniać dzbanek i wychodziła właśnie z kuchni, a w tym momencie Tensi nachyliła się nad uchem doña Celi.

– Ty jej powiedz, babciu.

– Uzgodniłyśmy, że sama jej powiesz.

W drzwiach Pepita usłyszała, jak szepczą, i zapytała, co takiego we dwie knują.

– Ty jej powiedz.

– Nie, sama jej powiedz.

– Ale ty zaczniesz.

– Dostyc tego, powiecie mi wreszcie, o co chodzi, czy nie, przypominacie dwie przekupki na bazarze. Bez urazy, pani Celio.

W końcu Tensi sama powiedziała:

– Chcę wstąpić do partii.

Dzbanek, który Pepita trzymała, wypadł jej z rąk i rozbił się o podłogę.

– Kto ci nakładł takich pomysłów do głowy? To pani, pani Celio? To pani? Nie widzi pani, że to jeszcze dziecko?

– Nie gniewaj się na nią, to nie ona.

– Więc to don Gerardo. Przypatrz się dobrze, co spotyka don Gerarda każdego pierwszego maja. Zobacz, gdzie jest, i zastanów się, czy też chcesz tak skończyć.

Doña Celia pozbiierała skorupy z podłogi, a Tensi odłożyła na stół zeszyty mamy.

Niebiesciuteńkie oczy Pepity spoczęły na niebieskich okładkach, na literach zapisanych przez Hortensję. Dla Felipe. Dla Tensi.

– Jesteś jeszcze dzieckiem, nie możesz się w to wpakować.

– Mamo, mam osiemnaście lat.

– No właśnie, jesteś za mała, prawda, pani Celio? Prawda, że jest za młoda na te historie?

Palce Pepity gładzą zeszyty, które czytała tyle razy na głos. Dla Tensi. Teraz Tensi czyta je sama. Już od dawna czyta je sama i nauczyła się ich na pamięć. Pepita wie, że nie uda jej się przekonać Tensi. Wie, że nie może sprzeciwić się słowom, które napisała jej mama. Walcz, walcz, córeczko, walcz zawsze, walcz jak twoja mama, jak twój tata, to nasz obowiązek, choćbyśmy mieli przyplacić to życiem.

Nie, nie przekona jej. I wie o tym.

– Twoi rodzice mogą być z ciebie dumni.

Idzie do swojego pokoju i szuka pod łóżkiem starego metalowego pudełka. Wraca do kuchni, wyciąga z niego kolczyki, które Felipe kupił w Azuadze, i wręcza je Tensi.

– Twoja mama poprosiła mnie, żebym je dla ciebie przechowała, aż dorośniesz.

Ręce Pepity drżą, kiedy szuka w pudełku czegoś jeszcze. Wyjmuje skrawek materiału, który chowa w zaciśniętej dłoni, stawia pudełko na stole w kuchni, dlatego że szuka czegoś jeszcze. Klucz do jej domu w Kordowie upada na podłogę, pod czerwonym aksamitnym woreczkiem, nad listami od Jaimego, złożony na cztery i poślódkły przez te wszystkie lata, znajduje papier. Wyrok.

– Jesteś już duża, Tensi, jesteś już na tyle duża, że możesz się wpakować, w co zechcesz, choćbym ja nie chciała, żebyś się wpakowała, ale przysięgnij mi, że będziesz ostrożna, przysięgnij na pamięć swojej mamy, że będziesz bardzo ostrożna.

– Na obie mamy, które mam, przysięgam, będę bardzo, ale to bardzo uważać, nie martw się o to.

– Jak mam się nie martwić?

– Daj spokój, mamo, nie płacz.

Tensi podnosi klucz, który upadł na podłogę. Ociera Pepicie łzy, całuje ją w policzek i pyta, co takiego trzyma w dłoni.

Za plecami Tensi doña Celia patrzy na Pepitę i kręci głową. Prosi, żeby nie dawała córce skrawka sukienki jej matki. Już od dawna doña Celia nie chodzi na cmentarz ze swoją siostrzenicą Isabel i z parą nożyczek. Już od dawna rodziny mają pozwolenie, żeby pochować swoich bliskich. Ale doña Celia nie zapomniła o bólu, który deformował twarz bliskim, kiedy wręczała im kawałki materiału z ubrań rozstrzelanych. Pepita nie zastanowiła się nad tym dobrze. Ona nie chce zobaczyć tego bólu na twarzy Tensi.

Widząc minę doñi Celi, Pepita zauważa swój błąd.

– Nie powiesz mi, co tam masz w ręku?

Nie odpowiadając Tensi, Pepita patrzy na doñę Celię. Patrzy na poślódkłą kartkę wyroku, a doña Celia znowu zaprzecza ruchem głowy.

– Mamo, pytam cię, co tam masz w ręku?

Pepita zbiera listy i wyrok, całuje skrawek materiału, nim schowa go na powrót do pudełka, i odpowiada, że to pamiątki.

– To pamiątki.

Tylko pamiątki.

Pepita skończy niedługo czterdzieści dwa lata. Staje przed lustrem i przygląda się siwym włosom na skroniach i w opadającym na czoło kosmyku. Ciągle jeszcze jest ładna, chociaż widzi w swoim odbiciu tylko nagłą potrzebę ufarbowania włosów i groźbę zmarszczek wokół oczu.

Kilka sekund wystarczy, by Pepita poprawiła woalkę i uciekła od swojego wizerunku. Kilka sekund, by odnaleźć pod łóżkiem metalowe pudełko po herbatnikach; żeby przeczytać ostatni list od Jaimego. List, w którym pisze o pewnej pogłosce.

Najukochańsza moja, w więzieniu krąży pogłoska, z dnia na dzień mówi się o niej coraz głośniej i z dnia na dzień coraz wyraźniej czuję, że już niedługo będziemy razem. Bardzo niedługo, dziecinko.

Tak, bardzo niedługo.

Pogłoska dotyczy rychłej amnestii. Umarł papież. Amnestia w wymiarze jednej szóstej kary obejmie te kary pozbawienia wolności na trzydzieści lat, które nie zostały orzeczone w wyniku złagodzenia kary śmierci.

Pepita jeszcze raz powtarza kalkulacje przeprowadzone w liście przez narzeczonego. Amnestia skróci mu karę o pięć lat, które, dodane do dziewiętnastu spędzonych w więzieniu, dają w sumie dwadzieścia cztery, a na pozostałe sześć lat przypadnie zwolnienie warunkowe, to jasne jak słońce w najjaśniejszy letni dzień.

Przebiega wzrokiem wskazówki Jaimego. Przyślę ci telegram, jak tylko otrzymam powiadomienie o amnestii, być może stanie się to już po posiedzeniu Rady Ministrów w przyszły czwartek. Jeśli chcesz wziąć ślub w Madrycie, będziemy musieli to zrobić tego samego dnia, kiedy wypuszczą mnie na wolność, przygotuj wszystko, bo z pewnością nie pozwolą mi zatrzymać się w stolicy nawet na jedną noc.

Pepita czyta słowo amnestia, słowo wolność, czyta przyszły czwartek, czyta ślub i przypomina sobie, że czekają na nią doña Celia i Tensi. Zanim schowa list z powrotem do pudełka, zatrzymuje spojrzenie na wierszu Luisa Alvareza Piñera, którym Jaime zwykle się z nią żegna,

Staraj się nie ranić swego oszronionego serca.

*Nie pozwól, by bicie zegara zmąciło
błękit twych oczu.*

dwiema szpilkami upina czarną woalkę i zagląda do kuchni.

- Jest pani gotowa, pani Celio?
- Tak, możemy już iść.
- Dobrze wyglądam?
- Świetnie.
- Nie umalowałam ust.
- I dobrze. Nie masz prosić księdza, żeby się z tobą ożenił, tylko żeby udzielił ci ślubu z Jaimem.
- A Tensi?
- Wiesz, jaka jest niecierpliwa. Już czeka na dole.
- Włożyła długie rękawy?
- Tak.

– Na pewno? Żeby potem nie było, że jej nie wpuszczą.

– Na pewno, na pewno, ma na sobie sweterek.

Trzy kobiety szybkim krokiem zmierzają do kościoła. Pepita patrzy niespokojnie przed siebie, to ona dyktuje tempo starszce i dziewczynie, które jej towarzyszą. Wchodzą do zakrystii na umówione spotkanie. Ksiądz zapyta:

– W czym mogę paniom pomóc?

– Chciałabym wziąć ślub.

Pepita wyjaśnia całą sytuację. Narzeczony jest niewierzący.

– Ale ja wierzę w Boga.

Już raz odmówiono im sakramentu małżeństwa. Jej narzeczony jest człowiekiem twardych politycznych przekonań i nie wyrzeknie się swoich idei, chociaż zgodził się na ten ślub. Niedługo wyjdzie z więzienia w Burgos. Wyjadą do Kordowy, gdzie Pepita ma jeszcze dom, który należał kiedyś do jej ojca.

– Chcę, żebyśmy przeszli próg tego domu, będąc już małżeństwem.

– Znam cię, córko, wiele razy widywałem cię przed wizerunkiem świętego i wiem, że jesteś pobożną i przyzwoitą kobietą. Mógłbym udzielić ci ślubu, ale mówimy tu o sakramencie, a twój narzeczony jest komunistą.

Pepita nie odrywa swojego niemożliwie niebieskiego spojrzenia od oczu księdza. Tensi i doña Celia też uparcie na niego patrzą. Obie wtrącają się do rozmowy, wstawiają się za Pepitą:

– Ale narzeczony wyraził zgodę.

– A sakrament dla niej będzie ważny czy nie będzie?

– Dla niej będzie ważny, ale ja nie mogę pobłogosławić tego małżeństwa. Tak to już jest, córko.

Pepita bierze księdza za rękę.

– Rzeczy mogą być takimi, jakie są, albo takimi, jakimi chcemy, żeby były. Tak to już jest, ale mogłoby być zupełnie, ale to zupełnie inaczej i nie uda się księdzu zbyć mnie zwykłym tak to już jest, bo zbyt silny jest mój głód i zbyt wielkie pragnienie, by go wreszcie zaspokoić. Przyniosłam wszystkie niezbędne dokumenty oprócz książeczki rodzinnej, po którą musimy pójść oboje do sądu, przyniosłam wszystko: akt urodzenia, mój i jego, świadectwo chrztu, prawdziwą wiarę i nadzieję, że zgodzi się ksiądz udzielić nam ślubu, a święty Juda Tadeusz będzie miał w opiece naszą miłość.

Ksiądz miał na imię Abundio. Poruszyła go determinacja Pepity, ścisnął jej rękę, poprowadził ze sobą i poprosił, by usiadła w pierwszym rzędzie kościelnych ławek. Tensi i doña Celia wyszły za nimi z zakrystii i stanęły przed obrazem świętego Judy Tadeusza.

Pepita i ksiądz długo rozmawiali. Poprosił, by opowiedziała mu swoją historię. Więc opowiedziała. Wyznała, że od wielu lat udaje, że są małżeństwem.

– Od wielu lat, wyobraża sobie ksiądz? Serce biło mi jak szalone za każdym razem, kiedy jechałam do Burgos, nie wiedząc, czy pozwolą mi się z nim zobaczyć, czy nie. I niepokój szarpiący mi duszę mijał dopiero wtedy, kiedy już stałam przed nim w rozmównicy.

– I kiedy twój narzeczony wyjdzie na wolność?

– Zaraz po posiedzeniu Rady Ministrów, być może już w przyszłym tygodniu, podarują mu pięć lat, przysługuje mu jeszcze sześć zwolnienia warunkowego, ale na pewno nie pozwolą mu przenocować w Madrycie, więc musimy wziąć ślub jeszcze tego samego dnia i wyjechać do Kordowy, a nocny pociąg odchodzi o dziewiątej. Pojadę po niego do Burgos, punktualnie o siódmej rano będę czekać przed bramą więzienia i przyprowadzę go prościutko do kościoła.

– A jeśli nie obejmie go amnestia?

– Na pewno obejmie, proszę księdza, tym razem musi go objąć. Ale gdyby go nie objęła,

gdyby jakimś nieszczęsnym zrządzeniem losu go nie objęła i musiałabym czekać jeszcze pięć lat, będę księdza błagać, by dał mi słowo, że udzieli nam ślubu, gdy tylko mój narzeczoney wyjdzie na wolność.

Zbierało się na deszcz. Po wyjściu z kościoła Pepita głęboko odetchnęła. Doña Celia i Tensi, nie mając odwagi zapytać, patrzyły na Pepitę niecierpliwie. Wszystkie trzy zrobiły krok do przodu. Wszystkie trzy przystanąły. Pepita znów westchnęła i w połowie westchnienia wydusiła z siebie wreszcie Zgodził się!

– Chodźmy czym prędzej zamówić meble do sypialni.

Szły bardzo szybkim krokiem. Uśmiechały się, idąc. Wszystkie trzy przekroczyły próg sklepu meblowego z uśmiechem na ustach. I z uśmiechem kupiły najpiękniejsze na świecie meble do sypialni. Ale kiedy sprzedawca zapytał o adres, pod który ma je wysłać, panna młoda zaczęła płakać.

– Musi je pan wysłać do Kordowy.

– Do Kordowy, proszę się o nic nie martwić, wyślemy je do Kordowy. Tylko proszę już nie płakać, przez całe życie nie widziałem jeszcze panny młodej, która uderza w szloch, zamawiając sypialnię.

Tensi otarła swoją chusteczką łzy Pepicie i spojrzała na sprzedawcę.

– Aj, proszę pana! Gdyby pan wiedział, gdzie jest pan młody, toby się pan tak nie dziwił.

Samotność objawia się czasem potrzebą uścisku. Pepita pragnie uścisku, bardziej niż kiedykolwiek pragnie, by ktoś ją przytulił. Nie może usiedzieć w miejscu. Niepokojnie przemierza cały dom z telegramem w ręku.

AMNESTIA W DZIENNIKU URZĘDOWYM. JUTRO WOLNOŚĆ.

Tensi powinna już wrócić. Pepita otwiera drzwi pensjonatu i wygląda na pustą klatkę schodową. Zaraz przyjdzie Tensi. I doña Celia, i don Gerardo, powinni wszyscy zaraz tu być. Ale ciągle ich nie ma. I Pepita znika z powrotem w otwartych drzwiach. Wydaje się jej, że słyszy kroki, i znów wychyla się przez poręcz schodów. Nie, nikogo nie ma na dole. Wraca do pensjonatu i zamyka drzwi. Potrzebuje, żeby ktoś ją przytulił, ale może tylko wypić szklanek zimnej wody. Siada w kuchni. Czyta od nowa telegram. Odkłada go na kuchenny stół, patrzy na niego, gładzi, rozkłada, prostuje wygniecenia, bierze z powrotem, całuje. Wstaje. Idzie do swojego pokoju. Wraca do kuchni. Siada. Powinni zaraz tu być. Wstaje. Wychodzi na balkon. Ścisną mocno poręcz. Spogląda w kierunku placu Jacinta Benavente. Patrzy w kierunku skrzyżowania ulic San Sebastián i Atocha. Spogląda na zegarek. Jeszcze raz rozgląda się w prawo, potem w lewo. Gdzie oni się podziali? Dlaczego akurat dzisiaj to cholerne partyjne zebranie musi tyle trwać. Wychyla się przez poręcz. Jeszcze trochę. I jeszcze raz rozgląda się w prawo i w lewo.

– Błagam cię, Panie Boże, niechże wreszcie wrócą!

W prawo, potem w lewo.

Od ponad czterdziestu dni czeka na ten telegram, dokładnie czterdzieści trzy dni, ale do tej pory przychodziły tylko listy, co tydzień list, w którym Jaime zapewniał, że pogłoska się potwierdziła, że amnestia zostanie ogłoszona na dniach, że w każdej chwili może się spodziewać telegramu. Już wkrótce będziemy razem, dziecinko. Zobacysz.

Jeszcze dziś po południu pojedzie do Burgos, zatrzyma się w tym samym zajeździe, w którym nocuje co roku. Jutro o siódmej rano musi czekać przed bramą więzienia. A Tensi nie ma, nie ma też doñi Celii ani don Gerarda. A ona musi jeszcze odwiedzić księdza Abundia. I spakować walizkę. I kupić bilet. A tak rozpaczliwie potrzebuje, by ktoś ją przytulił.

– Idą! Oj, matulu, matuleńko, a już myślałam, że się nigdy nie doczekam. Tensi! Tensi!

Krzyczy, wymachując telegramem, jak macha się flagą. Ale Tensi nie słyszy, idzie z doñą Celią i don Gerardem, nieświadoma rozgorączkowania Pepity.

– Pani Celio, panie Gerardzie!

Oni też jej nie widzą, nie widzą telegramu w jej dłoni głaszczącego powietrze.

– Tensi! Tensi!

Nic.

Pepita wybiega z balkonu. Pędzi w dół po schodach na spotkanie najbliższych, którzy przechodzą teraz przez ulicę San Sebastián.

Objęcia, pragnie natychmiast wpaść w czyjeś objęcia.

Tensi widzi pędzącą i też rusza biegiem na jej spotkanie.

– Mamo! Co się stało?

– Jaime jutro wychodzi!

Pepicie drżą ręce, kiedy podaje Tensi telegram. A Tensi drży głos, kiedy czyta słowa:

– Jutro wolność.

– Przytul mnie, córeńko.

I wpadają sobie w objęcia. I doña Celia i don Gerardo przyłączą się do uścisku. Przytulają się wszyscy czworo. I don Gerardo zakrzyknie:

– Chodźmy natychmiast kupić Dziennik Urzędowy!

I trzy kobiety odpowiedzą:

– Idziemy!

Pepita i Tensi biorą pod rękę doñę Celię, pomagają jej przyspieszyć kroku.

Czym prędzej na Puerta del Sol.

Czym prędzej do kiosku.

JUTRO WOLNOŚĆ.

Don Gerardo kupuje oficjalny biuletyn. I zaczyna w pośpiechu przerzucać strony. Jedna za drugą, w pośpiechu.

Trzy kobiety patrzą na odwracane strony. Pepita zaciska dłonie. Doña Celia i Tensi płaczą.

– Tutaj jest! Tysiąc pięćset czwarty!

Przed kioskiem don Gerardo przeczyta Dekret 1504, słowo po słowie.

– Niech pan przeczyta raz jeszcze, proszę.

Poprosiła Pepita. I don Gerardo przeczytał raz jeszcze, głośno, na środku ulicy.

Teraz zapłakali wszyscy czworo.

Zanim wrócą do pensjonatu, udadzą się jeszcze do kościoła Świętego Judy Tadeusza.

Pepita wejdzie do środka, przyciskając do piersi Dziennik Urzędowy. Pokaże księdzu Abundioowi dekret, który podpisali Francisco Franco i Luis Carrero Blanco, podsekretarz kancelarii premiera.

Dekret o amnestii z powodu wstąpienia na tron papieski Jego Świątobliwości Pawła VI.

Doniosłe dziejowe wypadki skłaniają ku temu, by podzielić się radością i weselem przepelniającym współobywateli z tymi, którzy odbywają kary pozbawienia wolności, z uzasadnioną nadzieją, że wspomnienie wydarzenia, które stało się przyczyną łaski, przyczyni się do resocjalizacji przestępcy, przywracając go jednocześnie na łono społeczeństwa i rodziny, co jest najszczytniejszym celem przyświecającym naszemu systemowi penitencjarnemu.

Wiekopomny i radosny fakt wstąpienia na papieski tron Jego Eminencji Księdza Kardynała Giovanniego Battisty Montiniego i wspomnienie świętej pamięci Jana XXIII skłaniają Szefa Państwa, wsłuchanego w powszechne uczucie uwielbienia i wiernego oddania, które wobec następcy Świętego Piotra żywi cały hiszpański naród, do ogłoszenia amnestii będącej holdem dla szanowanej i świętej osoby Chrystusowego Namiestnika na ziemi i wielkości Świętego Kościoła Katolickiego.

Dekret o amnestii składa się z ośmiu artykułów wyjaśniających, w jaki sposób mogą skorzystać z niej poszczególne grupy skazanych. Przypadek Jaimego obejmuje punkt d) artykułu pierwszego, Pepita wskazuje palcem odpowiedni akapit:

– Niech ksiądz sam zobaczy, proszę przeczytać tutaj, punkt de.

Kary powyżej dwudziestu lat pozbawienia wolności, w szóstej części, z wyłączeniem przypadków, gdy kara trzydziestu lat pozbawienia wolności została orzeczona w wyniku złagodzenia orzeczonej kary śmierci.

A kiedy ksiądz Abundio skończy czytać punkt d) artykułu pierwszego, Pepita z dumą pokaże mu telegram.

AMNESTIA W DZIENNIKU URZĘDOWYM. JUTRO WOLNOŚĆ.

– Widzi ksiądz? Mówiłam, że wyjdzie zaraz po posiedzeniu Rady Ministrów, a teraz przychodzę prosić księdza, żeby dotrzymał danego mi słowa.

Mieli go wypuścić o siódmej rano, ale naczelnik więzienia trochę się spóźnił. Jaime, który spakował już walizkę, odliczał skrupulatnie ostatnie minuty spędzone na bloku, cały czas myśląc o Pepicie.

Zbliżała się ósma, kiedy wreszcie funkcjonariusz wymówił jego nazwisko:

– Jaime Alcántara, proszę wyjść ze wszystkimi rzeczami!

I Jaime udał się do gabinetu naczelnika, przyśpieszając kroku i zmuszając funkcjonariusza, by i on szedł szybciej. Pepita na niego czekała.

Nie wypuszczając z ręki chusteczki, co rusz wycierając nos, naczelnik Centralnego Zakładu Karnego w Burgos wypisał dokument Przedterminowego Zwolnienia Warunkowego na nazwisko Jaime Alcántara i złożył podpis na odwrocie, gdzie widniało już pięć pieczęci i przynajmniej tyle samo podpisów oraz obowiązki w okresie przedterminowego zwolnienia warunkowego. Kilka minut przed wybiciem ósmej Jaime trzymał w ręku dokument, myśląc o Pepicie, niespokojny, bo wiedział, że na pewno przyszła po niego znacznie wcześniej przed umówioną godziną. Schował dokument do kieszeni. Zwykły kawałek papieru, zwykły świstek. Uścisnął dłoń, którą wyciągnął do niego naczelnik. Niespokojny wysłuchał jego dobrych rad i życzeń. Pepita na niego czekała.

Tak, Pepita chodzi przed więziennym murem, spoglądając w stronę bramy. Powolne, drobne kroki, które wracają po swoich śladach zaledwie po trzech metrach. Czeką na niego. I co chwila spogląda na zegarek. Przykłada go do ucha. Może dziś rano zapomniała go nakręcić.

Nie.

Nie zapomniała go nakręcić.

Wskazówki zegarka posłusznie odmierzają czas, ale poruszają się tak wolno. Pepita słyszy ciche tik-tak, kiedy chodzi tam i z powrotem, nie odrywając wzroku od bramy. Spaceruje tak ponad półtorej godziny. Ponad półtorej godziny jej obcasy wystukują rytm oczekiwania.

Z budek strażniczych obserwują ją żołnierze, znudzili się komentowaniem jej urody; już nie chce im się gwizdać, uśmiechać przymilnie, wykrzykiwać pochlebstw. Pepita nawet na nich nie patrzy. Utkwiła swój błękitny wzrok w bramie, czasem tylko go odwraca, by spojrzeć na zegarek.

Ósma dziesięć.

Żołnierze także patrzą na zegarek, jakby kobieta o niemożliwie niebieskich oczach zaraziła ich swoją niecierpliwością.

Kiedy wskazówki pokażą kwadrans po ósmej, brama się otworzy. I ten, który nazywał się kiedyś Paulino, wyjdzie, zostawiając za więziennym murem ostatnie dziewiętnaście lat swojego życia.

Pepita pobiegnie mu na spotkanie.

A on odgarnie z jej czoła niesforny siwy kosmyk.

– Długo czekałaś?

– Tyle, ile było trzeba.

Tak, czekała długo. I potrzebuje uścisku.

– Ślicznie wyglądasz, dziecinko.

– Przytul mnie.

Długo czekała na Jaimego. Zbyt długo, i Jaime bierze ją w ramiona.

Dwa ciała, które się odnajdują.

Dwa impulsy.

Dwie błyskawice.

Ale muszą już iść do autobusu i pośpieszyć się, żeby zdążyć na pociąg o dziewiątej. Doña Celia, don Gerardo i Tensi czekają na dworcu, a ksiądz Abundio w zakrystii kościoła Świętego Judy Tadeusza.

Jaime i Pepita ani na chwilę nie puszcza swoich rąk.

Nie przestaną patrzeć sobie w oczy.

I nie znajdą słów, które mogliby sobie powiedzieć.

Ale będą się uśmiechać.

I kiedy dojadą do Madrytu, doña Celia, don Gerardo i Tensi zobaczą ich wysiadających z pociągu, wciąż uśmiechniętych.

Jaime przywita się z każdym z osobna długim uściskiem.

Tensi ma w uszach kolczyki swojej matki.

– Byłem z twoim tatą, kiedy kupił te kolczyki.

– Naprawdę?

– Tak, w Azuadze.

I Jaime przypomina sobie fotografię Hortensii w tych samych kolczykach i z dzieckiem w ramionach.

Ucałuje Tensi w policzek i pogładzi jej kolczyki.

Ale postanowi milczeć. Nie zdradzi, że kiedy Hortensia dostała te kolczyki, wzięła na ręce dziecko, które nie było jej dzieckiem, i powiedziała, że też będzie takie miała. Któregoś dnia. A on zrobił jej zdjęcie.

– Ksiądz Abundio na was czeka, trzeba się pośpieszyć. Musimy przecież wstąpić do pensjonatu.

Ksiądz Abundio czeka. A Pepita chce się jeszcze przebrać przed pójściem do kościoła. Włoży szary kostium i krótką mantylkę, którą podarowali jej drużna i drużba, doña Celia i don Gerardo.

Przed wejściem do kościoła czekają świadkowie, Isabel, siostrzenica doña Celi, i Manolita, sprzedawczyni z Pontejos.

Wchodząc do kościoła z Jaime pod ramię, Pepita odwróci głowę w prawo i, podtrzymując mantylkę, uśmiechnie się do świętego. Również Jaime się uśmiechnie, spoglądając w prawo, a potem ucałuje kciuk Pepity i puści oko patronowi spraw niemożliwych.

Korowód weselny zmierza do zakrystii, którą ksiądz Abundio udekorował kwiatami.

Państwo młodzi.

Drużba i drużna.

Isabel.

Manolita.

Tensi niesie obrączki.

Ksiądz Abundio pobłogosławił małżeństwo:

– *In nomine Dei.*

Kiedy wszyscy znaleźli się w nawie głównej, kierując się do wyjścia, ksiądz Abundio zatrzymał ich na chwilę. I na głos przed głównym ołtarzem odmówił modlitwę w intencji małżeństwa.

A kiedy wyszli z kościoła, na młodą parę czekał prezent od księdza: biły dzwony.

Nadciągała letnia burza.

Padło.

I woda lała się strumieniami z rogów mantylki Pepity, jakby sama mantylka była deszczem. A kiedy szli, stopy jednych ochlapływały stopy drugich. Morza. Kałuże.

Kałuże.

Tak.

Don Gerardo, doña Celia i Tensi wrócą od razu do pensjonatu. Isabel i Manolita pójdą najpierw po tort weselny, zamówiony w Starej Cukierni del Pozo i starannie udekorowany na tę okazję rozetami z kremu i bitą śmietaną przez samego Juliana Leala, właściciela cukierni.

A nowożeńcy idą sami w strugach deszczu. Sami, przemoczeni do nitki i uśmiechnięci, skierują się na Puerta del Sol, gdzie Jaime kupi sobie palto i buty. Będzie próbował palcami osuszyć wodę płynącą po policzkach Pepity. A ona, mimo wysiłków, przemoczy pantofelki.

Kiedy wyjdą ze sklepu obuwniczego, Pepita zauważy, że Jaime idzie chwiejnym krokiem i za każdym razem, kiedy patrzy w dal, potyka się i mocniej ściska jej ramię.

– To te otwarte przestrzenie, kiedy mam przed sobą tyle otwartej przestrzeni, płaczą mi się nogi.

– Jeszcze się nie przyzwyczyłeś do nowych butów, ot co.

Wszyscy spotkają się jeszcze na weselnym przyjęciu w jadalni pensjonatu przy ulicy Atocha. Więźniowi, który właśnie odzyskał wolność, posługiwanie się nożem i widelcem sprawia wielką trudność. Ale don Gerardo zapewnia go, że szybko na powrót się do nich przyzwyczai. Skończyły się czasy więziennej brei i metalowej łyżki.

Tak, skończyły się czasy więziennej brei i łyżki.

Tensi się śmieje. Patrzy na Jaimego z nieukrywanym podziwem i ciągle zadaje mu pytania. Czasem chce się dowiedzieć czegoś o matce, innym razem o ojcu.

– Mama napisała mi w zeszycie, że to ty ją nauczyłeś pisać i że mój tata był bardzo odważny.

Jaime, pomagając Pepicie kroić tort, potwierdzi, że ojciec Tensi był bardzo odważny i matka też.

– Pozwólcie mi odprowadzić was na dworzec.

Ona zostanie w Madrycie, by nadal działać i pomóc dziadkom prowadzić pensjonat.

– Wolelibyśmy pożegnać się tutaj.

Pożegnają się w pensjonacie i Tensi się rozpłacze.

– Napisz do mnie, jak tylko dojedziecie na miejsce, mamo.

Doña Celia i Pepita też będą płakać.

Nowożeńcy zejną po schodach, trzymając się za ręce.

Wychylając się przez poręcz schodów, Tensi krzyknie za mamą:

– Napisz do mnie!

Pepita obiecuje, że napisze.

Jaime się uśmiecha.

Uśmiechają się oboje.

Ona ma w torebce klucz do domu ojca.

On ma w kieszeni adres Komitetu Okręgowego Partii Komunistycznej w Kordowie i instrukcje dotyczące zwolnienia warunkowego.

Zrobiło się już ciemno. Idą we dwoje ulicą Atocha.

Pepita patrzy na Jaimego.

Jaime też nie odrywa od niej wzroku.

Pada.

Letnia burza okazała się bardzo długa.

OBOWIĄZKI W OKRESIE PRZEDTERMINOWEGO ZWOLNIENIA WARUNKOWEGO

1. Zwolniony warunkowo ma się udać niezwłocznie do wyznaczonego mu miejsca zamieszkania, to jest do Kordowy, stolicy prowincji, gdzie będzie przebywał do czasu uznania kary za odbytą w wypadku dobrego sprawowania.

2. Nie będzie mógł opuszczać ustalonego miejsca zamieszkania bez odpowiedniej zgody. Jeśli zaistnieje konieczność zmiany miejsca zamieszkania, musi wystąpić o zgodę do miejscowo właściwego Sądu Penitencjarnego i będzie miał obowiązek poczekać na wydanie tejże zgody, w przeciwnym wypadku zwolnienie warunkowe może zostać odwołane, a zwolniony warunkowo trafi z powrotem do zakładu karnego.

3. Po przybyciu do miejsca zamieszkania stawi się niezwłocznie w Rejonowym Sądzie Penitencjarnym w stolicy prowincji, a w innych miejscach w odpowiedniej Komisji powołanej do tego celu, które poinstruuje go, gdzie ma się stawiać od tej pory. Niewypełnienie tego warunku skutkować będzie odpowiednim zawiadomieniem Centralnej Komisji Zwolnień Warunkowych, która podejmie przewidziane prawem środki, łącznie z wnioskiem do ministra sprawiedliwości, wystosowanym za pośrednictwem odpowiedniego organu, o cofnięcie zwolnienia warunkowego. W celu identyfikacji swojej osoby zwolniony warunkowo obowiązany jest przedstawić niniejszy dokument, do czasu aż Centralna Komisja wyda dowód tożsamości osoby pozostającej pod nadzorem kuratorskim, o którym mowa w artykule 11 Dekretu z 22 maja 1943 roku.

4. Zwolniony warunkowo zobowiązany jest do wysłania za pośrednictwem poczty pierwszego dnia każdego miesiąca raportu dotyczącego swojej osoby własnego autorstwa. Raport ten powinien zostać przedłożony wspomnianym wcześniej odpowiednim organom, które, zapoznawszy się z nim, prześlą go naczelnikowi zakładu karnego.

Gdyby zwolniony warunkowo pozostawał bez pracy, zobowiązany jest zgłosić ten fakt Sądowi Penitencjarnemu, wyjaśniając przyczyny takiego stanu rzeczy, tak by rzeczony Sąd, pod warunkiem dobrego sprawowania zwolnionego, mógł przedsięwziąć kroki w celu znalezienia mu zatrudnienia.

W raportach zobowiązany jest pisać prawdę i z całą stanowczością zaleca mu się unikanie złego towarzystwa i wszystkiego, co mogłoby zaowocować rozluźnieniem obyczajów lub popełnieniem nowych przestępstw.

Burgos, 20 lipca 1963.

I była środa.

*A w oddali
prowizoryczny ostrokół wymyśla naprędcę
nieodzowny horyzont.*

LUIS ÁLVAREZ PIÑER

WYRAZY WDZIĘCZNOŚCI DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY
PODAROWALI MI SWOJĄ HISTORIĘ.

Dużą część tej powieści zawdzięczam pewnej kordowiance o niemożliwie niebieskich oczach. Pepicie, która wciąż jest piękna. I Jaimemu, który zmarł przy niej 29 kwietnia 1976 roku w Kordowie, niedługo zanim przysłała po niego policja, żeby jak co roku nie dopuścić, by wziął udział w obchodach święta 1 Maja. Zabierzcie go, jeśli chcecie, powiedziała Pepita i zaprowadziła policjantów przed martwe ciało Jaimego.

I Felipe, miłości Hortensii, który wyszedł z domu, mając dwadzieścia jeden lat, a wrócił, mając czterdzieści siedem.

Elvirze, właścicielce walizki, którą przysłano z Trijueque z dwoma mundurami ojca, dwiema parami sztylp i garnizonową czapkę.

Enrique, synowi kobiety rozstrzelanej po porodzie.

I Mercedes, która odnalazła Purę i przedstawiła mi José Luisa Silvē.

José Luisowi Silvie, który spędził szesnaście lat w więzieniu w Burgos.

Isabel Sanz Toledano, która dzieliła celę z Trzynastoma Różami.

Manolicie del Arco, która przez pięć miesięcy czekała na wyrok śmierci, a potem spędziła osiemnaście lat w więzieniu.

Soledad Real, skazanej na trzydzieści lat przez trybunał do spraw zwalczania komunizmu i masonerii.

José Amalii Villi, będącej w Grenadzie świadkiem rozpaczki kobiety, która nie poznała swoich córek, i nieznośnego bólu innej, jej rozdzierającego płaczu, bo nie miała dzieci i w więzieniu zaczęła się jej menopauza.

I kobiecie, która nie chce, bym wymieniała jej nazwisko ani nazwę jej rodzinnej miejscowości, i która poprosiła, bym zamknęła okno, zanim zaczęła opowiadać mi swoją historię ściszym głosem.

I Rafaeli, która nigdy wcześniej nie opowiadała swojej historii i zgodziła się porozmawiać ze mną w Kadyksie.

Gerardowi Antonowi, Pinto, który zrelacjonował mi swoją walkę w Zgrupowaniu Partyzanckim Estremadury i Centrum z wielkim bogactwem szczegółów i niezwykłą hojnością.

Reme i Florianowi, Celi i El Grande, którzy poznali się podczas walki partyzanckiej, a miłość spotkali w Pradze.

I El Rubio, i Qucio, i komendantowi Riosowi, i Sole, i Carme, i Esperanzie, i Marii, i Rafaelowi, i Antoniowi, i Carmen, bo ich doświadczenia wzbogaciły moją opowieść.

José Luisowi Muñozowi Bejarano, który użyczył mi imienia swojego dziadka, Matea.

I Fernando Antonowi. I całej La Gabilla Verde. I Santa Cruz de Moya.

I Joxe Izquierdowi, który zabrał mnie do obozu koncentracyjnego w Castuerze i do la Casa de la Sierra w Don Benito. I Stowarzyszeniu Młodzieży z Jerte za spotkania w El Torno i w Jerte.

I Rosie, która podarowała mi powieść Juany Doñi.

I Rosario Ruiz, która wynalazła mi książkę Giuliany di Febo i dokumentację na temat Trzynastu Róż.

I Fernandzie Romeu Alfaro za jej esej *El silencio roto* [Przerwana cisza] i za to, że dzięki niej w moim domu znalazły się oryginalne listy Julity Conesy, i za to, że poznałam dzięki niej José Amalię Villę, Soledad Real, Manolitę del Arco oraz Isabel Sanz Toledano.

Antionowi, siostrzeńcowi Julity Conesy, za jego wielkoduszność i za pudełko, które mi przekazał, z listami jego ciotki.

Tomasie Cuevas, Soledad Real i Juanie Doñi za ich pisemne świadectwa.

José Hernandezowi, który widział narodową flagę na czyichś ustach i kok Powstań, Hiszpanio!

Juanowi Luisowi i Raquel, i Toñi, bo do nich należy wspomnienie czerwonej torebki z aksamitu.

I Nieves Moreno, która odkryła twarz Hortensii w książce Juliana Chavesa.
José Marii Lamie, który przedstawił mi Libertad, córkę José Gonzaleza Barrera,
ostatniego republikańskiego burmistrza Zafry.

Benjaminowi z Alicante, który opowiedział mi swoją historię na wysadzanej palmami
alei.

I pewnej kobiecie z Gijón, która poprosiła mnie, żebym opowiedziała prawdę.

I Manuelowi Santiago, i Marii José Martín za świadectwo babci Marii de los Ángeles.

I Matilde Eiroi, Secundino Serranowi, Francisco Moreno Gomezowi, Danielowi Arasie,
Julianowi Chavesowi, José Marii Lamie, Nigelowi Townsonowi, Paulowi Prestonowi, Geraldowi
Brenanowi, Carlosowi Llorensowi Castillo, Josepowi Marii Sanmartiemu, Javierowi Marcosowi
Arévalo, Hugh Tomasowi, Mary Nash, Jacobo Garcii Blanco-Ciceronowi, Mircie Núñez
Díaz-Balart, Antoniowi Rojasowi Friendowi, Fernando Díazowi-Plaja, Francisco Espinozie
i Manuelowi Tagüeñi, bo połączyłam ich publikacje i wyniosłam z ich lektury ważne informacje,
i skorzystałam z zawartych w nich cennych dokumentów.

Pracownikom Biblioteki Narodowej, Czytelni Czasopism i Biblioteki Madryckiej
Wspólnoty Autonomicznej przy ulicy Doctora Esquerda, którzy pomogli mi w moich
poszukiwaniach.

I Marii Ageo, która nie mogła się uwolnić od pewnego marzenia.

